

 SAGA  
EGMONT

Paweł Szlachetko

ZWERBOWANA MIŁOŚĆ

**POWRÓT**

**TOM 3**

Paweł Szlachetko

# Zwerbowana miłość. Powrót

Saga

*Zwerbowana miłość. Powrót*  
Zdjęcie na okładce: Shutterstock  
Copyright © 2020, 2020 Paweł Szlachetko i SAGA Egmont  
Wszystkie prawa zastrzeżone  
ISBN: 9788726554557

1. Wydanie w formie e-booka, 2020

Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą SAGA Egmont oraz autora.

SAGA Egmont, spółka wydawnictwa Egmont

## Andrzej Leszczyński. Zapis pierwszy. 11 lipca 1991 rok.

*Byłem etatowym pracownikiem komunistycznego kontrwywiadu MSW, Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej. Dla pieniędzy mógłbym wysadzić w powietrze pół Europy... I o mało tego nie zrobiłem.*

*Wszystko zaczęło się w kwietniu 1989 roku. Przeszedłem wówczas do z sekcji infiltracji, która zajmowała się werbowaniem „Esek”. Tak w żargonie nazywano wysokiej klasy prostytutki pracujące w najlepszych hotelach Warszawy. Wybrane dziewczyny podstawiano zagranicznym turystom z Zachodu, wobec których mieliśmy plany werbunkowe, lub których chcieliśmy „wydoić” z informacji.*

*Tymczasem w kraju robiło się coraz bardziej gorąco. Ekipa Jaruzelskiego przegrała w czerwcowych wyborach 1989 roku do Sejmu. Powstał pierwszy niekomunistyczny rząd Mazowieckiego.*

*W połowie 1989 roku było już pewne, że komuniści nie przetrzymają kolejnego roku i dojdzie do zmiany ekipy rządzącej. Może dlatego pewnego dnia w willi Stanisława Sulimowicza, generała brygady MSW, spotkali się: zastępca dyrektora Departamentu II Wojskowych Służb Informacyjnych, pułkownik Michał Tabor. Jego zadaniem było sprawowanie pieczy nad wojskową ochroną kontrwywiadowczą kraju. Aleksander Jastrzębski należał do ścisłego kierownictwa Wydziału Czwartego Komitetu Centralnego PZPR i bezpośrednio nadzorował pracę Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.*

*Ci trzej faceci byli mocno umoczeni w aktywnym ściganiu opozycji demokratycznej w Polsce. Mogli zatem przewidzieć, że nowa władza właśnie ich, jako pierwszych, zechce rozliczyć za grzechy przeszłości. Postanowili zatem osłonić się materiałami zebranymi w teczkach osobowych, które przez lata kompletowała Służba Bezpieczeństwa.*

*Nie tak trudno się domyślić, że wielu opozycjonistów, mimo pięknej karty działacza antykomunistycznego, miało na sumieniu jakieś grzechy. Te są bez znaczenia, gdy rozlepią się na murach ulotki czy kolportuje*

*prasę podziemną. Kiedy jednak chce się zostać np. dyrektorem departamentu ministerstwa czy wyjechać na placówkę dyplomatyczną jako attaché, przeszłość może stanąć na przeszkodzie naszego (wreszcie) dostatniego życia.*

*To był bat na tych, którzy rzeczywiście mieli coś na sumieniu. Jeśli chodzi o resztę, Sulimowicz, Tabor i Jastrzębski dysponowali znacznie bardziej morderczą bronią. Wiele założonych w poprzednich latach teczek były fałszowanych. Jeśli nie można było na daną osobę znaleźć haka, tworzyło się jej fikcyjną przeszłość. W takich sytuacjach Służba Bezpieczeństwa dokładała wielu starań, by uprawdopodobnić, że ten i ten jest gejem, że zdefraudował jakąś sumę pieniędzy, że znecał się fizycznie nad rodziną, że donosił na innych, że..., że..., że...*

*Od połowy 1989 do początku 1991 roku w archiwum MSW skopiowano kilka tysięcy akt osobowych: agentów, tajnych współpracowników, oraz tych, których postanowiono nimi uczynić, żeby potem można ich było szantażować.*

*Innymi słowy, powstała grupa interesu, która postanowiła bronić wypracowanych przez lata pozycji, majątków i układów. Akta, które wywieziono z archiwum MSW do Francji i ukryto w jednym z tamtejszych banków miały zagwarantować tym ludziom spokojną i dostatnią przyszłość. Układ powstał w interesie wąskiego grona osób. Jednak należy wyraźnie powiedzieć, że stał się realnym zagrożeniem dla bezpieczeństwa państwa polskiego.*

*Wszystkie te plany pokrzyżowała jedna kobieta, Anna Wermer, która postanowiła się zemścić za miłość, która w rzeczywistości okazała się agenturalnym werbunkiem.*

*W jaki sposób? Właśnie o tym chcę opowiedzieć.(...)*



## Anna Wermer. Zapis drugi. 11 lipca 1991 rok.

*Byłam podobna do agentki, którą Sulimowicz wysłał do Paryża, by w Banku Koëniga umieszczała przekazywane jej z Polski mikrofisz. W sumie w skrytce znalazło się osiem tysięcy czterysta pięćdziesiąt sześć mikrofisz.*

*Zanim się o tym dowiedziałam, poznałam Andrzeja. Byłam pewna, że zetknął nas ze sobą przypadek. Nowy Rok, oblodzona jezdnia, samochodowy poślizg, kolizja drogowa. Kilka godzin później jakoby przypadkowe spotkanie na balu sylwestrowym.(...)*

*Zostaliśmy kochankami. On Esbek, ja... hotelowa dziwka. Czy mógł ktoś wymyślić lepszą parę? Kochałam i sądziłam, że jestem kochana. Byłam pewna, że los wreszcie wyciągnął do mnie przyjazną dłoń, że po długich poszukiwaniach wreszcie spotkałam tego jedyne, swoje drugie ja, idealnie pasującą drugą połówkę pomarańczy.*

*Kilka tygodni później okazało się, że mam białaczkę. Rak był uleczalny, pod warunkiem, że kurację odbędę w jednej ze specjalistycznych klinik Francji. Andrzej próbował walczyć, żeby zdobyć pieniądze na leczenie. Mnie również z całych sił mobilizował, żebym się nie poddawała. Wtedy ostatecznie uwierzyłam, że to jest ten wyczekiwany mężczyzna, który zostanie ze mną na dobre i złe, że dla niego liczy się tylko miłość.*

*Boże, jakże wtedy byłam naiwna.(...)*

*Cały dotychczas znany nam świat walił się dokoła z wielkim hukiem. Uczestniczyliśmy w politycznej rewolucji, której nikt do końca nie rozumiał. Mimo to, po raz pierwszy od wielu lat, na ludzkich twarzach pojawił się uśmiech. Jakaś iskra elektryczna przebiegła przez ulice i ożywiła dotąd snujące się po nich manekiny. Zaczynało się nowe. Tylko ja tkwiłam w miejscu. Tylko ja nie miałam planów na przyszłość. Byłam śmiertelnie przerażona białaczką. Nie umiałam odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego właśnie mnie to spotkało? Dlaczego mnie?(...)*  
*Przerażona chorobą zgodziłam się na zagranie roli agentki w zamian z ratowania zdrowia w jednej z zachodnich klinik.(...)*

*Przeszłam operację plastyczną, żeby całkowicie upodobnić się do agentki, która w paryskim banku składała wywożone z Polski archiwum. Miałam się pod nią podszyć i wykraść mikrofiszę. (...)*

*Kilka dni później zdjęto mi bandaż. W lustrze zobaczyłam piękną kobietę, za której rysami twarzy ukryła się dawna Anna Wermer.*

*Jeszcze tego samego dnia Andrzej pokazał mi film. Zobaczyłam nagranie z ukrytej kamery jak agentka przekazuje w banku mikrofiszę. (...)*

*Zanim zachorowałam na białaczkę, byłam pewna, że piekła nie ma. Potem poczułam strach, którego zimny dotyk co noc kładł się na moim gardle – bezlitosny, grożący, że pewnego dnia zaciśnie się i mnie udusi.*

*W takich chwilach byłam pewna, że nic gorszego nie może mnie już spotkać. Znowu się myliłam. Białaczka była zwykłym oszustwem.*

## Anna Wermer. Zapis trzeci. 12 lipca 1991 rok.

*Odkryłam, że przekręt z Josephine wymyślił major Leon Siejka, który został wyznaczony do kopiowania akt Służby Bezpieczeństwa przez generała Sulimowicza. Andrzej Leszczyński został przez Siejkę dobrany do zespołu z racji swoich kontaktów z dziewczynami. Jedna z nich, jak zakładał major, mogła wcielić się w postać paryskiej agentki. Ich wybór padł na mnie, Annę Wermer.*

*Postanowiłam się zemścić.*

*Tym dwóm facetom prawie udało się przekręcić wysoko postawionych zleceniodawców, którzy szykowali sobie miękkie lądowanie po dojściu Solidarności do władzy. Ale byłam od nich sprytniejsza. Kurwy nie zwodzi się bezkarnie. Obaj musieli być ukarani za mój strach, nieprzespane noce. Zwłaszcza jeden, Andrzej Leszczyński, musiał zapłacić za zwerbowaną miłość i łzy. Marzenia o wielkiej forsie Siejki i Leszczyńskiego miały się nigdy nie spełnić.*

*Mając mikrofiszki z archiwum SB oraz wybrane ze skrytki Banku Koëniga spore pieniądze, uciekłam z córką na koniec świata, do Montevideo. Byłam pewna, że nikt mnie tam nie znajdzie. Kolejna pomyłka. Ile miało ich jeszcze mnie zaskoczyć? (...)*

*Kiedy człowiek jest już na samym dnie, kiedy wie, jak bardzo go oszukano, kiedy czuje w ustach smak goryczy zawiedzionej miłości, świat nie ma mu już nic do zaoferowania. Tak stało się ze mną po przyjeździe do Montevideo. Zaczęłam żyć tylko dla córki. Gdyby nie ona, poddałabym się, mówiąc: „pas”.*

*Postanowiłam, że zostanę wzorową matką. Zamierzałam wynagrodzić dziecku wszystkie lata, kiedy wciskałam w jej ręce kolorowe zabawki, całowałam w policzek i zapominałam na wiele dni o jej istnieniu. A kiedy sobie o niej przypominałam, wmawiałam sobie pewnie, że mała na swój sposób mnie kocha. Kiedy pojawił się Andrzej, mój świat, który przez pół roku mozolnie budowałam, runął niby rozsypujący się domek z kart. (...)*

*Z wiadomości popołudniowych dowiedziałam się, że w moim domu w Montevideo zastrzelono dwie kobiety. Na zdjęciach rozpoznałam twarz*



*Elwiry Sas–Koneckiej. Była moją serdeczną przyjaciółką. Pomogła mi uciec z Paryża razem z córeczką. Druga kobieta najwidoczniej była jej znajomą. Miała pecha – odwiedziła naszą willę w niewłaściwym momencie. I co gorsza, była do mnie podobna.*

*Jeszcze tej samej nocy wróciłam do willi. W jednej z dużych pluszowych zabawek córki ukryłam część mikrofisz i kilka tysięcy dolarów. Kiedy jechałam na miejsce, co chwila uspokojałam się w duchu, że z pewnością nic mi nie grozi. W końcu, jak wynikało z prasowych doniesień, mordercy byli pewni, że na Avenida Charakas 18B zastrzelono dwie Polki. (...)*

## Anna Wermer. Zapis dziewiąty. 15 lipca 1991 rok.

*Pewnego dnia w moim domu w Montevideo zjawił się Andrzej. Nie pytałam jak mnie odnalazł. Byłam przerażona śmiercią Eweliny. Postanowiłam mu zaufać, gdyż nadal kochałam drania. Andrzej pomógł mnie i córeczce uciec z Urugwaju pod zmienionym nazwiskiem. (...)*

*Okazało się, że ściga nas nie tylko policja tego kraju, ale także tajemniczy „oni”. Nawet Andrzej wydawał się zaskoczony ich niespodziewanym pojawieniem się. Wcześniej zapewniał mnie, że wyjazd do Stanów Zjednoczonych będzie nudną wycieczką. Tam miałam przekazać archiwum Tomaszowi Szczegowskiemu. Facet był agentem, który został delegowany przez Warszawę do odzyskania całości akt, które wywieziono na Zachód.*

*Przerażona śmiercią przyjaciółki, poddałam się dyktatowi Andrzeja. Jednak coraz częściej zadawałam sobie pytanie, kim w rzeczywistości jest mój były kochanek i czego ode mnie chce? Postanowiłam, że już drugi raz nie dam się mu oszukać.*

*Przed wylotem do Stanów Zjednoczonych najpierw poleciliśmy do Panamy. To miało zmylić ludzi, którzy szli naszym tropem.*

*Ucieczka do Stanów Zjednoczonych miała miejsce cztery miesiące temu. Kilka tygodni później dowiedziałam się, że w Paryżu, w niedzielę 16 lipca, na dworcu Gare de Lyon, dojdzie do wymiany mikrofisz w zamian za moją wolność i gwarantowane w przyszłości bezpieczeństwo.*

## Rozdział 1

Nad Paryżem świeciło jasne słońce. Szykował się gorący niedzielny dzień i ludzie niechętnie myśleli o zbliżającym się południu.

Secundus podszedł do bukinisty, który od rana handlował książkami nad brzegiem Sekwany. Uścisnęli sobie dłonie.

- Jak sprzedaż? – spytał Amerykanin.
- Coraz gorzej – tamten nie miał zadowolonej miny.
- Nie kłam, że nikt już nie czyta książek.
- Owszem, wielu, ale ci akurat nie mają pieniędzy.

Jeszcze jakiś czas wymieniali uwagi. W końcu bukinista wyszedł zza sterty książek.

- Będę za dwie godziny – obiecał.
- Nie spiesz się – Sekundus klepnął go po ramieniu. – Smacznego obiadu.
- Na razie.

Secundus został sam na stoisku. Przez następną godzinę sprzedał jedynie stare wydanie encyklopedii Larousse'a. Ludzie przychodzili, oglądali książki, pytali o cenę i odkładali na miejsce.

Dokładnie o dwunastej w południe do stoiska podszedł niepozorny mężczyzna. Miał na sobie jasny letni garnitur, którego dyskretnej elegancji nic nie można było zarzucić. Był modnie przystrzyżony, niezbyt krótko, jak większość mężczyzn w Paryżu. Twarz przeciętna, gładko wygolona. Nieznajomy wziął do ręki jedną z wyłożonych książek i zaczął przeglądać. Chwilę potem rzucił wokół szybkie spojrzenia, jakby zazdrosny, że ktoś mógłby zobaczyć, co trzyma w dłoni. Jednak prócz sprzedawcy w pobliżu nie było nikogo.

Mężczyzna, Sylwester Konarski, oficjalnie był zastępcą attaché kulturalnego ambasady polskiej w Paryżu. W rzeczywistości zaś zastępcą szefa rezydentury wywiadu na obszar Francji.

Sekundus sięgnął pod ladę i wyciągnął kryminał.

– Gorąco polecam tę pozycję. Na pewno przypadnie panu do gustu.

Konarski obrzucił obojętnym spojrzeniem bukinistę, ale wziął powieść. Otworzył i na pierwszej stronie zobaczył kartkę zapisaną odręcznym charakterystycznym pismem.

*Nawiąź kontakt z księdzem. Telefon w Warszawie: 22 457 69 89. Oferta została zaaprobowana. Przedstaw Jego Eminencji swoje warunki dalszej służby w Paryżu.*

Konarski oddał stare wydanie sprzedającemu z równie obojętną miną, jak wówczas, gdy brał je do ręki.

– Powinna pana ucieszyć informacja – bukinista spojrzął na Polaka – że wiem, kto chce sprzedać pierwsze wydanie powieści *Maigret et le corps sans tête* George’a Simenona, z 1955 roku. Jeśli dobrze pamiętam, wspominał pan, że jej szuka.

– To intrygująca wiadomość – ożywił się Konarski.

– Myślę, że niedługo przekaze ją panu prawdziwy przyjaciel. Warto, żeby poznał go pan osobiście.

GREG SIEDZIAŁ na ławce na paryskim dworcu kolejowym Gare de Lyon i przyglądał się przechodzącym obok ludziom. Prawdę mówiąc, zupełnie go nie interesowali. No, może trochę, ale jako nowojorczyk, patrzył na nich jak na dziwolągi, które, same o tym nie wiedząc, chodzą do góry nogami.

Tylko że teraz Greg również siedział do góry nogami, jeśli przyjąć za punkt odniesienia jego ulubiony fotel w pokoju w Bronxie. Jednak na szczęście kula ziemską była tak wielka, że zupełnie nie czuł z tego powodu żadnego dyskomfortu. Chyba że zaliczyłby do niego lekką niestrawność. Z pewnością wzięła się stąd, że serwowany w samolocie posiłek nie był koszerny, a on zlekceważył wpajane przez matkę od dziecka zalecenia i wbijane do głowy, niekiedy paskiem przez pupę, nakazy wiary.

To prawda, kotlet wieprzowy był smaczny, lecz teraz coraz bardziej ciążył na żołądku. A może to bardziej grzech ugniatał wątrobę i palił przewód pokarmowy? Może powinien odmówić modlitwę za odstępców,

by znaleźli w ciemności światełko wiary, która wyprowadzi ich z mrocznego tunelu niestrawności?

– Ty się, Greg, tak nie ekscytuj tą nowoczesnością i nie wyrzekaj na nauki ojców naszych – zawsze upominała go matka. – Przecież stara tradycja też była kiedyś nowoczesna, a że miało to miejsce dwa tysiące lat temu, to nie trzeba zaraz o tym głośno rozpowiadać. A poza tym sam niedawno mówiłeś, że czas to jest sprawa umowna. Więc umówmy się, że nasza wiara nadal jest jak najbardziej nowoczesna. Dlatego zacznij wreszcie, do cholery, chodzić do synagogi, bo rabin Izaak stale wierci mi o ciebie dziurę w brzuchu. No i ja już jestem od tego przewiercona przez niego na wylot.

Kwestia niekoszernego jedzenia była ważna do rozstrzygnięcia, gdyż Greg miał jeszcze przed sobą lot, w czasie którego z pewnością będą serwowane ciepłe dania. Chociaż zamiast modlitwy może lepiej wziąć proszki na zgagę i zapomnieć o wszystkim?

Kiedy przed dwoma tygodniami zadzwonił w jego nowojorskim mieszkaniu telefon, nie był zdziwiony, gdy w słuchawce usłyszał głos Andrzeja Leszczyńskiego. Prawdę mówiąc, po śmierci matki dziwił się już niewielu rzeczom.

– Co u ciebie? – Greg udał zainteresowanie.

– W porządku – Leszczyński też kłamał.

– Chcesz do mnie wpaść na kawę?

– To raczej niemożliwe.

– Jesteś w więzieniu?

– W Paryżu.

– To też nie najlepiej – stwierdził Greg – zważywszy, że otaczają cię ludzie, z których każdy uważa siebie jeśli nie za Prousta lub Moneta, to z całą pewnością za Asterixa.

– Nie masz o Francuzach najlepszego mniemania – odparł Andrzej.

– Nie, od kiedy się dowiedziałem, że nowojorczyków nazywają burakami.

– Przecież też tak myślisz – zdziwił się Polak.

- Ale ja jestem swój. Obcy nie mają prawa.
- Może i masz rację – zgodził się Andrzej.
- Ja cię zagaduję, a ty może dzwonisz w jakimś interesie? – Zaciekawiał się Greg.
- Owszem, mam pewną propozycję.
- Dawaj.
- Mówiłeś, że chciałbyś pojechać do Dublina, żeby dać w synagodze datek na modlitwę za spokój duszy twojej mamy – powiedział Andrzej.
- Ano, mówiłem – spojrzał nabożnie na portret matki. Był zasłonięty ciemnym szalem, żeby Greg się nie stresował wieczną naganą w oczach rodzicielki.
- Przelałem na twoje konto dziesięć tysięcy dolarów i wykupiłem bilet do Dublina, tam i z powrotem.

Greg poczuł przyjemne mrowienie w łydkach.

- Dziesięć? Dlaczego tak mało? – Zażartował.
- Odpowiedział mu śmiech.
- Mogę dorzucić stówę.
  - W porządku – udał, że godzi się ze stratą, której właśnie doświadczył. – Co cię skłoniło do tak szlachetnego czynu?
  - Twój bilet jest z pięciogodzinnym międzylądowaniem w Paryżu. Chcę, żebyś w tym czasie wpadł na pewien dworzec kolejowy – wyjaśnił Andrzej.
  - Możesz dokładniej?
  - Przylecisz na lotnisko de Gaulle’a. Wsiądziesz w metro i dojedziesz nim do dworca Gare de Lyon. Ze skrytki na bagaże numer dwieście czterdzieści pięć wyjmiesz pewne rzeczy. Hasło do zamka to „Molesworth”. Potem wrócisz metrem na lotnisko i polecisz do Dublina. I wtedy będziesz mógł iść do synagogi, gdzie przed osiemdziesięciu laty twoja babka wzięła ślub z twoim dziadkiem. A potem staniesz przed domem, w którym tej samej nocy twoja szacowna mama została



powołana przez Pana na ten piękny świat. Co myślisz o tak ułożonej trasie podróży?

– Oprócz słów „piękny świat” wszystko może być. Chociaż nie jestem pewien, czy babcinego domu już nie zburzyli.

– Sprawdziłem. Kamienica pod numerem 24, przy Molesworth Street nieopodal Biblioteki Narodowej, nadal stoi i właśnie jest remontowana.

Greg od lat marzył, żeby odwiedzić kraj dziadków, o którym wiele słyszał, ale do którego jakoś nigdy nie mógł się wybrać. Szkoda mu było na to pieniędzy. Ciągnęła go tam jeszcze jedna ważna sprawa, ale do niedawna bał się sam przed sobą nawet do niej przyznać. I teraz ta propozycja Polaka. Nie mógł odmówić, zwłaszcza że Leszczyński wszystko fundował.

– A co mam zrobić z zawartością skrytki? – spytał Irlandczyk.

– Weź ją ze sobą do Dublina.

Tak więc Greg, nowojorski żyd z irlandzkimi korzeniami, siedział teraz na ławce w głównej hali dworca, nieopodal kilku rzędów skrytek na bagaże. I miał nieco mieszane uczucia, bo poprzednia przysługa, którą wyświadczył Andrzejowi, kosztowała go nieco nerwów. Pamiętał tamten dzień, jakby to było wczoraj. Też na lotnisku, jak teraz, tyle że w Nowym Jorku. Podawał urzędnikowi imigracyjnemu paszport. Ten dłuższy czas gapił się na jego zdjęcie, żuł gumę i coś sprawdzał w papierach.

– Czternaście godzin temu wyleciał pan do Panama City? – Spytał w końcu.

– Tak – odparł Greg.

– Po wylądowaniu odczekał pan dwie godziny i wrócił do kraju?

– Nie do końca. Poleciałem, pokręciłem się dwie godziny po mieście i wróciłem – sprostował Greg.

– Miał pan przylecieć z kobietą i dzieckiem.

– Przyleciałem sam i nic nie wiem o żadnej kobiecie ani tym bardziej o dziecku.

Greg zobaczył kątem oka stojących za jego plecami dwóch cywili ubranych w ciemne garnitury. Na milę jechało od nich „fedlina”, jak Greg określał agentów federalnych. Trochę się zdenerwował, gdy poproszono go, żeby poszedł za tamtymi do odosobnionego pomieszczenia na przesłuchanie.

– Czy jestem o coś oskarżony?

– W żadnym wypadku – mężczyzna o twarzy poznaczonej głębokimi dziobami po ospie pokręcił głową. – Chcemy jedynie uzyskać od pana pewne informacje.

Usiedli przy stole w pustym pomieszczeniu.

– Czy zna pan Andrzeja Leszczyńskiego? – Padło pierwsze pytanie.

– To mój sąsiad, ale nie widziałem go od pewnego czasu.

– Od kiedy?

– Tydzień? Może dwa tygodnie? Słyszałem, że kiepsko mu się powodzi.

– Mieszkacie w jednym domu?

– Aha. Ale znamy się stąd, że jadamy w jednym barze. To wszystko.

W Gregu obudziła się przezorność. Jego ojciec powtarzał mu aż do śmierci: „Nie wychylaj się, bo przeciąg urwie ci jaja”. Dlaczego nie głowę? Greg wciąż tego nie rozumiał. Tak więc, nie zamierzał afiszować się ze znajomością z Polakiem. Przynajmniej nie przed agentami.

– Co miał pan na myśli, mówiąc, że „kiepsko mu się powodzi”? – spytał agent.

– Nic nie miałem na myśli. Tak usłyszałem na ulicy – powiedział obojętnym głosem. – Raz słyszę to, raz co innego.

– A co na przykład? – Nie ustępował fedzio.

– A że na przykład mops tej suchej Lei Szlomo, który to czworonóg ma raka odbytu, nie może się wypróżnić jak należy. I wszystkich nas to denerwuje, bo Lea płacze nocami. Ściany są cienkie i nikt nie może spać przez to jej szlochanie. A jak już człowiek usnie, to ma sen, że jest tym zaślinionym bydlęciem, mopsem. I wtedy się napina i napina, i też nic

nie może zrobić... To czy tak długo można żyć? – Funkcjonariusz próbował wpaść Gregowi w słowo, ale ten nie przestawał mówić. – Dlatego błagamy ją od roku: Lea, nieszczęście ty nasze, co to nam siedzisz na karku jak wrzód o zaślinionej gębie mopsa. Idź ty do weterynarza. Lea płacze i pyta: „Po co?” Jak to, po co? Niech mu znowu co wytną, albo dadzą na sen wieczny, spokojny i bez bolesnego stękania na każdym trawniku. Już my się złożymy w całej kamienicy po tych kilkanaście centów na zastrzyk. Niech on wybawi i to biedne zwierzę od męczarni i tych biednych ludzi, którzy przez niego męczą się już nie tylko w łóżkach, ale też we własnych ubikacjach. Ale czy Lea Szlomo na kogokolwiek zwraca uwagę? Nie. Nigdy. Ona nawet nie słuchała swoich biednych rodziców, co to przez nią dostali fioła. A przecież właśnie przez lekceważenie rad starszych i mądrzejszych została się starą panną z dzieckiem i do tego kupiła tego cholernego mopsa.

Kiedy potem Greg zaczął opowiadać o mieszkającym piętro wyżej starym Patryku, któremu tydzień temu ukradziono metalową szczękę, fedzie wzięli go pod pachy i wyrzucili za drzwi.

Greg otrząsnął się ze wspomnień i zaczął przeglądać gazetę, którą niedawno znalazł w pobliskim koszu. Gdyby nie wyrazy, których nie rozumiał, dziennik byłby niemal identyczny jak ten, który czytywał w Nowym Jorku: te same wybite na czołówce duże wyczernione tytuły, wystraszone lub zdziwione twarze ludzi na fotografiach, lichej papier i z pewnością wysoka cena.

Na ściennym zegarze obie wskazówki znalazły się na cyfrze dwanaście. Nowojorczyk miał nadzieję, że usłyszy cichy gong, lub choćby kurant, lecz nic takiego nie nastąpiło. Podróżni przelewali się z jednego końca hali na drugi, ciągnąc za sobą walizki na kółkach, kłócąc się, uśmiechając, klnąc pod nosem, lub rozglądając na boki zdeorientowanym wzrokiem. Nic nadzwyczajnego, tak jest na każdym dworcu świata.

Greg nie miał czasu na dłuższą refleksję, gdyż zobaczył Andrzeja Leszczyńskiego, który wybiegał z torbą spomiędzy skrytek na bagaże. Polak nawet na niego nie spojrział. Tylko kiedy przemykał obok, rzucił zduszonym głosem: „Twoja kolej”.

Greg poszedł w stronę schowka numer dwieście czterdzieści pięć. Na klawiaturze numeryczno-literowej wpisał: „Molesworth”. Drzwi odskoczyły z cichym trzaskiem odłączanego elektronicznego zamka. Nowojorczyk dostrzegł, że trzęsą mu się ręce. Wyjął ze skrytki plecak. Zauważył leżącą na dnie schowka pocztówkę. Przypomniawszy sobie, że polecono mu ją zostawić. Zatrzaskał drzwiczki. I pomyślał, że nawet wyprawa do ziemi przodków nie jest warta tych nerwów, które funduje mu Polak. Musi przestać zgadzać się na robienie mu przysług, i tyle.

SIERŻANT LUIS Gelando szedł przez halę dworca Gare de Lyon, gdy nieoczekiwanie zderzył się z jakimś mężczyzną. Na twarzy Francuza pojawił się bolesny skurcz. Zmierzył intruza wściekłym wzrokiem.

– Chyba powinienem nauczyć cię rozumu – sierżant gwałtownie zacisnął palce na klapach marynarki obcego.

Wtedy przed jego oczami zawirowały krwawe kręgi, a stopę, na którą nadepnął podróżny, rozsadził przeszywający ból zmiażdżonych palców. Może właśnie dlatego dokładnie zapamiętał twarz podróżnego: kolor oczu – niebieski, włosów – brunet, rysunek nosa – lekko spiczasty u nasady, usta – pełne, kształt podbródka – męski, owal twarzy – regularny. Jakby fotograficzna stopklatka zatrzymała w jego umyśle uwieczniony bólem portret napastnika.

ANDRZEJ LESZCZYŃSKI dostrzegł pod rozchyłoną połą płaszcz policyjny mundur. Przecież francuscy gliniarze mieli być wycofani z Gare de Lyon. Może to przypadek. Ale jeśli nie? Niewiele myśląc, podbił tamtemu ręce do góry. Wyswobodził się z chwytu i uderzył pięścią w szczękę gliniarza. Usłyszał chrupnięcie pękającego zęba. Mężczyzna poleciał do tyłu i uderzył plecami w posadzkę.

Nie zważając na krzyk leżącego, Andrzej pobiegł przez halę. Wkrótce znalazł się na dworze przed głównym wejściem. Przebiegł przez chodnik i stanął na krawędzi jezdni. Dwie sekundy później zatrzymała się przed nim taksówka. Otworzył drzwiczki i wskoczył do środka. Auto ruszyło z piskiem opon.

Obejrzał się. Zobaczył polskich agentów, którzy biegli do zaparkowanego w pobliżu samochodu. Na chodniku stał nieruchomo Tomasz Szczęgowski. Ich spojrzenia na sekundę się skrzyżowały.

Samochód przyspieszył, włączając się w pędzący ulicą sznur samochodów. Secundus, który siedział za kierownicą, co raz to zerkał w lusterko wsteczne, sprawdzając, czy nie są śledzeni. Jednak kiedy odjechali sprzed dworca, sztucznie stworzony za nimi korek unieruchomił wszystkich, którzy mieliby ochotę pojechać ich śladem.

Skreśli w stronę Placu Bastylli. Andrzej niewidzącym wzrokiem patrzył przez szybę auta, nie zauważając mijanych budynków. „Zabierzesz mnie do Luwru?” – usłyszał w myślach pytanie Anny. „Zawsze chciałam zobaczyć Mona Lizę. Helena i Olga mówią, że to żadne halo, ale one kończyły tylko handel zagraniczny”. Dotknął wówczas jej dłoni. „W takim razie o dwunastej trzydzieści w Ogrodach Tuileries” odpowiedział.

Secundus zatrąbił na jadącego przodem pontiaca, który nie mógł zdecydować się, czy skreślić w prawo czy jechać prosto. Andrzej zerknął na zegarek. Za dwadzieścia minut Anna pojawi się przed Luwrem. Z pewnością będzie czekała przy fontannie, skąd rozciąga się widok na wejście do ogrodów oraz pałac z pobudowaną przed nim szklaną piramidą. W tym czasie on spotka się ze Schneiderem. Nie zamierzał przyjmować narzuconych mu przez Amerykanina reguł. Gdyby to zrobił, już zawsze musiałby grać znaczonymi przez Jankesów kartami. Przygotował własne rozdanie i zamierzał przypilnować, żeby Natan Benjamin Schneider wraz z Secundusem i Primusem grali jego talią.

Kilkanaście minut jechali w milczeniu.

– Niedługo dojedziemy na miejsce – głos kierowcy wyrwał go z zamyślenia.

– W porządku, nigdzie mi się nie spieszy.

Znowu zerknął na zegarek. Dochodziła trzynasta.

– Numer skrytki i hasło? – Secundus wjechał w zatłoczoną Rue de Rivoli.

– Dwieście czterdzieści pięć. Molesworth.

W CZASIE GDY samochód z Andrzejem oddalał się od centrum miasta, dwóch mężczyzn wysiadło na stacji metra usytuowanego pod dworcem Gare de Lyon. Kilka minut później znaleźli się na jego hali głównej. Krótki rzut oka wystarczył, żeby zorientować się, gdzie jest sektor ze skrytkami na bagaż. Ruszyli w ich kierunku.

Kiedy dochodzili na miejsce, rozległ się stłumiony dźwięk dzwonka. Jeden z mężczyzn sięgnął do kieszeni i wyjął pager. Na podświetlonym na zielono niewielkim ekranie widniało: „Dwieście czterdzieści pięć. Molesworth”.

Skierowali kroki do właściwego boksu. Wyższy mężczyzna wybił hasło na klawiaturze skrytki. Zamek puścił z metalicznym szczękiem. Mężczyzna otworzył szerzej drzwiczki.

– Pusto? – Zdziwił się.

– Tam jest jakaś kartka. – Niższy sięgnął po leżącą na dnie pocztówkę. Z jednej strony można było zobaczyć Wieżę Eiffla. Z drugiej zaś... – „Suck my dick” – przeczytał.

Popatrzyli po sobie.

– Starego trafi szlag – powiedział wyższy.

SECUNDUS PRZEJECHAŁ przez Most de Neuilly. Znaleźli się w nowoczesnej paryskiej dzielnicy La Défense. Wkrótce pozostawili po prawej stronie olbrzymi nowy łuk triumfalny zbudowany ze szkła, stali i betonu.

Wykręcili w boczną uliczkę. W pierwszej chwili mogło się wydawać, że po jej obu stronach wznosił się wysoki szklany mur, który niemal sięgał nieba. W rzeczywistości wjechali w ciąg komunikacyjny między dwoma wysokościami. Wkrótce znaleźli się w jasno oświetlonym tunelu, z którego wyjechali na wewnętrzny dziedziniec. Nad ich głowami wznosił się szklany ostrosłup.

Secundus zatrzymał auto przed głównymi drzwiami. Zgasił silnik.

– Jesteśmy na miejscu.



Andrzej wysiadł z samochodu.

– Chodź za mną – Secundus ruszył przodem, nie patrząc, czy Polak podąża jego śladem.

Weszli do olbrzymiego, pustego holu. Pozornie sprawiał wrażenie recepcyjnego lobby dużej korporacji. Kilkanaście kamer skupiło na nich obiektywy.

Na wprost obrotowych drzwi, w pleksiglasowym sześcianie recepcji siedział strażnik. Secundus nawet nie spojrzał w jego kierunku. Minęli go bez słowa, a i tamten nie podniósł na nich wzroku. Dokładniej widział ich na monitorach.

Doszli do wind. Secundus przeciągnął kartą magnetyczną przez czytnik. Rozsunęły się drzwi. Weszli do środka. Zawieszona pod sufitem kamery zarejestrowały obraz twarzy obu mężczyzn.

Wysiedli na dwudziestym piętrze. Wyłożony zielonym marmurem hol ciągnął się przez całą długość budynku. Szkło w połączeniu z chromowaną stalą sprawiało imponujące wrażenie. Coś z klimatów Alphaville, elektronicznie sterowanego miasta–państwa, z głośnego filmu Jeana–Luca Goddarda.

Agent wskazał najbliższe drzwi. W środku czekał już Schneider. Na widok wchodzących uniósł się lekko z fotela, jakby zamierzał wstać na powitanie. Było to jednak wszystko, na co się zdobył. Sam zamiar był według niego wystarczający.

– W skrytce dworcowej zamiast mikrofisz znaleźliśmy tylko kartkę z obscenicznymi pozdrowieniami – w głosie Schneidera pojawił się cień zawodu.

– Przykro mi, że was zawiodłem.

– Zawód to nie jest dobre słowo. Czujemy się oszukani.

– Zatem czas renegocjować warunki.

– Mówisz poważnie? – Secundus uniósł do góry brew, jakby ostrzegał przed zbytnim poufaleniem się. Pomyślał jednocześnie, że Primus albo Secundus powinni sprawdzić monitoring z kamer kontrolujących strefę skrytek bagażowych.

Nie zawiódł się. Obaj niemal równocześnie spojrzeli na niego pytająco. W ostatnim tygodniu Primus był zbyt pewny siebie, zaś Secundus właśnie dostał wystarczającą nauczkę. Niech zatem on naprawi swój błąd i skontroluje monitoring na Gare de Lyon. Kiwnął głową w stronę Sekundusa, ten wstał i wyszedł z gabinetu.

– Szkoda, że dla mnie nie pracujesz. – Schneider odwrócił się w stronę Polaka. – Ale ponieważ to się raczej nie zmieni, przejdźmy do meritum.

– Wasza propozycja – zaczął Andrzej – którą złożyliście mi w Nowym Jorku, była następująca: Po przylocie do Paryża, w zamian za gwarancje bezpieczeństwa, Anna Wermer przekaże wam mikrofiszę wykradzioną z archiwum Służby Bezpieczeństwa.

– Oraz dostanie za to odpowiednie wynagrodzenie – dodał Natan. – Pięćset tysięcy dolarów.

– To dla was nieistotna suma. Ważniejsze jest to, że choćby częściowe ujawnienie treści mikrofisz może doprowadzić do kompromitacji nowej elity polskiej władzy. To zaś w konsekwencji mogłoby zachwiać mało stabilnym układem politycznym w Europie Środkowo–Wschodniej. Efekt domina miałby fatalny skutek dla młodych demokracji wschodniego regionu Europy. Rosjanie o niczym innym nie marzą. W równaniu końcowym katastrofa uniemożliwiłaby wam objęcie dominującej pozycji w regionie... Ponieważ moja osoba nabrała kluczowego znaczenia, nie zamierzam dalej grać drugoplanowej roli w reżyserowanym przez was filmie. Anna Wermer i jej bezpieczeństwo mało mnie interesują. Teraz ja mam mikrofiszę i to ze mną powinniście ustalić nowe warunki ich przejęcia.

Po wypowiedzeniu tych słów Andrzej wstał i ruszył do drzwi. Kiedy naciskał klamkę, odwrócił się za siebie.

– Czekam w hotelu na telefon z nowymi propozycjami.

Wyszedł. Schneider pomyślał, że zlekceważył Polaka. W Nowym Jorku Leszczyński wydawał się uległy. Wówczas to Anna Wermer dysponowała archiwum. Ale czy rzeczywiście ona decydowała o wszystkim? Czyżby Leszczyńskiemu zależało tylko na pieniądzu? Jeśli tak, wówczas sytuacja była klarowna i prosta.

ANDRZEJ DOSZEDŁ szeroką aleją do brzegu Sekwany. Obejrzał się na Wielki Łuk Braterstwa. W jego pobliżu pięły się w górę szklane bryły wieżowców. Sam Grande Arche miał szerokość stu ośmiu metrów, wysokość stu dziesięciu o głębokość stu dwunastu. Swoim wyglądem przypominał wspaniały hipersześcian, w którym znajdowały się biura, urzędy, muzeum i galerie.

Wreszcie znalazł budkę telefoniczną, oddaloną od zatłoczonego turystami pasażu. Zadzwoił do Banku Koëniga. Zerknął na zegarek. Była godzina czternasta dwadzieścia.

POD WIECZÓR do gabinetu Natana Schneidera zapukał Secundus.

– Znamy personalia faceta, który opróżnił skrytkę na paryskim dworcu. Greg MacCoin. Właśnie zameldował się w dublińskim hotelu.

Kiedy Natan został sam, spojrzął na zegar ścienny. Dochodziła dwudziesta pierwsza. Gdyby nie pogoń za archiwum, siedziałby teraz w nowojorskim gabinecie. Za minutę weszłaby jego sekretarka, panna Rose Simons, z talerzykiem, na którym znajdowałoby się jabłko i nóż do obrania. Jak zawsze od niezliczonej liczby lat. Czasami Schneider myślał z paniką, że pewnego dnia Rose nie przyjdzie do pracy, a on otrzyma powiadomienie o jej śmierci.

On sam raczej nie brał pod uwagę tego, że mógłby zrezygnować z pracy, nawet na skutek czwartego zawału serca. Na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat wszystkie trzy przeżył w swoim gabinecie. A przecież z medycznego punktu widzenia trójka oznaczała niemal pewne przeniesienie się na tamten świat. Może dlatego Natan był pewien, że swój przydział zgonów już definitywnie wyczerpał i teraz może się niczym nie przejmować. Żeby utwierdzić w sobie to przekonanie, zaczął hojnie wspierać kościół prezbiteriański, w którym pełnił jakże zaszczytną funkcję przewodniczącego rady parafialnej.

Na razie musi dokończyć sprawy w Paryżu. Nieświadomy niczego Leszczyński dał mu klucz do skarbca, o którym esbek nie miał zielonego pojęcia. Niech tak zostanie jak najdłużej. Wszyscy muszą być przekonani, że zależy im na aktach polskiej Służby Bezpieczeństwa. W

rzeczywistości mało obchodziły go teczki osobowe prowincjonalnych kacyków nowej władzy, którzy w czasach ukrywania się za komuny obciągali jeden drugiemu. Kiedy odleci do Nowego Jorku, Primus lub Secundus sfinalizują resztę. Jeszcze nie zdecydował, którego zostawi w Europie.

Wzrok powędrował w stronę drzwi, przez które niedawno wyszli asystenci. W tej rozgrywce nie tylko oni byli asami atutowymi.

Przez lata nauczył się, że trzeba mieć jeszcze piątego asa w rękawie. I on go miał! Głęboko zakonspirowany agent czekał od dziesięciu lat na sygnał, że ma rozpocząć realizowanie ustalonego planu. Natan wczoraj wysłał zakodowany znak, żeby kret przystąpił do działania.

Nie było możliwości, żeby przegrał tę rozgrywkę.

Wyjął z kieszeni marynarki jabłko i wbrew swoim kilkudziesięcioletnim zwyczajom, wytarł je o połą marynarki i odgryzł duży kawałek. Gdyby nie sztuczna szczeka, która utkwiała w twardym mięszu, Natan mógłby się poczuć jakby niedawno skończył sześćdziesiąt osiem lat.

GREG STAŁ w synagodze i zastanawiał się, dlaczego w opowieściach matki wewnątrz świątyni było wielkie, świetliste i pełne niebiańskiego przepychu. W rzeczywistości sala mogła pomieścić najwyżej kilkadziesiąt osób. Drewniany budynek już dawno powinien iść do remontu, ale niczym starowina, przygarbiona i pomarszczona, stał na swoim miejscu, wspierając się na boskim miłosierdziu zamiast na zasobności portfeli wiernych. Greg minął wschodnią ścianę synagogi, skłaniając głowę przed skrzynią Aron ha-kodesz.

– Przepraszam – zwrócił się do młodego Żyda, który kiwał się w przód i tył, mamrocząc pod nosem słowa modlitwy. – Gdzie mógłbym znaleźć rabina?

Zapytany nie zareagował. Dopiero chwilę później Greg dostrzegł pod pejsami wetknięte w uszy słuchawki. Z kieszeni wystawał walkman. Podobno można było kupić modlitwy nagrane i czytane przez lektora. Chociaż chłopak równie dobrze mógł słuchać najnowszych przebojów zespołu Bee Gees.

Greg postanowił wrócić następnego dnia w czasie szabasowego nabożeństwa. Wychodząc z bożnicy, jeszcze raz stanął w jej progu i obejrzał się na wzniesione na środku podwyższenie. Przypomniała mu się jedna z opowieści matki, którą przez czterdzieści lat słuchał w każdy piątek wieczorem. Dlaczego przypomniało mu się to wszystko właśnie w piątek późnym popołudniem?

– Przed szabasem starsze pokolenie odbywało rytualną kąpiel w mykwie, aby w czystości przyjąć *szabas małka* – królową sobotę. Ta mykwa była i dla kobiet w specjalne dni, i dla mężczyzn też w oddzielne. Nie to, co dziś. Stąd bierze się to zdziczenie, zepsucie i rozwody. Bo ludzie niegdyś byli pobożni. Wierzyli w Boga, choć ten ich zdradził w czasie drugiej wojny światowej, skazując na wytepienie. Bardzo w niego wierzyli. I modlili się dużo. Dużo się modlili. Nie to, co dzisiaj. Ty też, widzę, masz ochotę przystać do paranoików nazywających się dziećmi kwiatami i uprawiać wolną miłość. Ale zapamiętaj sobie, Greg, że ta rozpusta jak nic zaprowadzi cię do lekarza, gdzie będziesz bał się wyjawić, że jesteś chory na syfilis. I umrzesz w samotności i nieszczęściu i nie będzie już z ciebie żaden kwiat i żadne dziecko. Tak właśnie Pan sprawiedliwy ukaze twoje bezbożnictwo, a mnie doprowadzi do rozpaczki i samobójstwa. Zatem – matka kontynuowała wspomnienia – od piątku wieczorem, przez całą sobotę ulica, gdzie mieszkałam, zmieniała swój wygląd. Wszyscy byli umyć i wytarci do sucha. Pachniało naftaliną. Żydzi podążali do synagogi, do której i ja szłam ze swoim ojcem i matką, żeby z ust rabina usłyszeć słowa, które niegdyś wypowiedział sam Jahwe i jego prorocy.

Greg wyszedł na ulicę. Ostrożnie zamknął za sobą stare drzwi, jakby w obawie, że wypadną z zawiasów i wtedy będzie musiał zapłacić za ich naprawę. Rozejrzał się po ulicy, na której nie było już bogobojnych Żydów, tylko samochody, rozwrzeszczane dzieciaki, tłum spieszących przechodniów, a w nim paru podpitych facetów, którzy rozmawiali z chętnymi dziewczynami.

I nagle zrobiło mu się czegoś żal, ale nie chciał doszukiwać się przyczyny, żeby nie popaść w jeszcze większą melancholię.

Greg sączył piwo z wysokiej szklanki i wspierał przy tym łokieć na dębowym blacie baru. Do hotelu „Pod Różą Wiatrów” wprowadził się godzinę temu. Wziął prysznic. Zapominając o nakazach wiary, w restauracji zjadł lekko krwisty stek z frytkami. Ponieważ już zgrzeszył, postanowił skorzystać z uchylonej furtki – nim oczyszczenie z grzechu w synagodze powtórnie zatrzaśnie mu ją przed nosem – i posmakował miejscowego piwa.

Przy czwartym kuflu zadał sobie w duchu pytanie, dlaczego na paryskim dworcu kolejowym nie zwyciężyła w nim wrodzona ciekawość i nie zajrzał do plecaka, który wyjął ze skrytki? On tylko odszedł na bok i usiadł na ławce. Chciał być pewien, że nikt go nie śledzi. Dlaczego tak postąpił, nie bardzo wiedział. Najwidoczniej los kierował jego krokami. Oto bowiem z oddalonej o kilkanaście metrów dalej trafiki wyszedł Hawele Bolkovitz. W jaki sposób znalazł się w Paryżu i jakie miał interesy w budce, gdzie sprzedawano tytoń? Czy Greg powinien zawołać na powitanie? Na szczęście tego nie zrobił.

Kiedy Hawele zamknął za sobą drzwi kiosku, zamachał do kogoś radośnie ręką. Greg dostrzegł biegnącą w jego stronę uśmiechniętą Sunny. Jej widok również był dla niego zaskoczeniem. Kiedy Sunny zrobiła kilka pierwszych kroków, pierś Hawele przebił ognisty szpikulec. Marszand jakby się potknął. Z ust plunął ciemną krwią na jasną posadzkę. Sunny rzuciła się w jego stronę, wzywając głośno pomocy. Ale Hawele już jej nie potrzebował.

Greg nie bardzo mógł uwierzyć, że to, co widział, było prawdą. Kto i po co zabił tak porządnego człowieka? Hawele był nowojorskim marszandem. Tajemnicą poliszynela było, że był kochankiem Sunny. Dlaczego tak rozsądny człowiek związał się z kobietą, o której szeptano dziwne rzeczy? W tym wypadku miłość tłumaczyła wszystko. Pięćdziesięcioletnia Sunny mogła zawrócić w głowie niejednemu, ale wybrała Hawele.

W rzeczywistości nazywała się Sonia Tielegin Siemionowna i pochodziła z Petersburga. Nazywano ją też królową śmieci. Do niej bowiem należały wszystkie wysypiska wokół Nowego Jorku. W niemal każdym przedsiębiorstwie zajmującym się oczyszczaniem ulic miała pakiety udziałowe. Sunny umiejętnie rozproszyła je między kilkadziesiąt



osób. Nikt nie mógł jej niczego zarzucić, chyba tylko to, że dziwnym zbiegiem okoliczności akcjonariusze zawsze działali na jej życzenie i zgodnie z jej interesem.

Dawała pracę ponad dwóm tysiącom osób. Mogła mieszkać w pałacu, lecz wolała stare mieszkanie na piętrze w części Brooklynu nazywanego „Małą Odessą”. Szanowała ludzi, a mieszkający tam Rosjanie wiedzieli, że w ciężkich chwilach mateczka nigdy ich nie opuści.

To było jej dobre i łagodne oblicze. O złym szeptano na mieście historie, które nawet facetów o mocnych nerwach przyprawiały o zgrozę. Najłagodniejszą karą, którą nakazała wymierzyć swoim ludziom po złapaniu pewnego danoszczyka było zakopanie go żywcem pod tłusto–lepko–brejowatą górą śmieci. W egzekucji brali udział ci, którzy jeszcze do niedawna uważali kapusia za przyjaciela. To nie Sunny wymierzała karę. To oni musieli dopilnować, żeby sprawiedliwości stało się zadość. Po kilkunastominutowej walce i płaczliwych błaganiach zdrajcę zakryło błoto, po którym na koniec przejechał spychacz ciągnący za sobą dwutonowy betonowy walec równiarki. Było po sprawie.

Znany marszand i królowa śmieci. No cóż, nawet w najlepszych rodzinach trafiają się mezalianse. Oto bowiem Greg uważał, że choć sztuka potrzebowała pieniędzy, to owe pieniądze zawsze gardziły sztuką. Ale to była opinia jedynie na użytek żydowskiego księgarza, której ten nigdy nikomu nie zdradzał.

Przy szóstym kuflu i po trzech w międzyczasie wypitych lampkach whisky, Greg wreszcie wiedział wszystko. Krew Hawele była znakiem od Boga, żeby tym razem nie kombinował. W swej dobroci Najwyższy rozjaśnił jego pamięć, przypominając rozmowę z Hawele sprzed kilku tygodni. Greg podał mu wówczas cenę zdrady planów Andrzeja, którą Rosjanin bardzo chciał poznać. Nie ma co kryć, Grega zainteresowało wówczas, ile mógłby na tym zarobić, a nie – dlaczego Hawele chce poznać te informacje. Hawele był oburzony wysokością wymienionej stawki.

– Chcesz mnie okraść w biały dzień?

– Przecież mamy wieczór – Greg spojrzał wtedy w okno, jakby chciał się upewnić, że nie pomylił pory dnia.

– Wiem, co mówię – Hawele zmarszczył brwi. – Bo jak powiedziałeś cenę, to aż mnie oślepiło.

– Niby, co?

– Twoja zachłanna bezczelność.

– W końcu Andrzej jest moim przyjacielem. Myślisz, że wyrzuty sumienia są bezwartościowe?

– Od zawsze wiedziałem, że ty nie jesteś żaden gość – Hawele wznosił oczy do nieba. – Ja od zawsze przez serce czułem, że ty jesteś irlandzki – szukał chwilę odpowiedniego słowa – szmas hałełe, który mógłby nawet sprzedać Pana Jezusa.

– Kto to jest szmas hałełe? – spytał zaciekawiony Greg.

– Nie wiem – marszand wzruszył ramionami. – Najwyraźniej Pan Najwyższy podsunął mi to judaszowe przekleństwo.

Słowa te spłynęły wówczas po Gregu niczym woda po kaczkę, ale ton głosu Hawele zapadł mu głęboko w pamięć. Już chociażby przez przyrównanie go do Judasza powinien zażądać dwieście dolarów więcej. Nic to. Było minęło. Wziął tylko pięćset.

Nieoczekiwanie do baru dosiadł się czterdziestoletni mężczyzna w nierzucającej się w oczy marynarce i o równie byle jakiej fizjonomii. Uśmiechnął się do niego przyjaźnie.

– Można? – Nieznajomy trzymał w ręku szklanekę z piwem. Czekał na zgodę, nim postawił ją obok kieliszka Grega. Ten kiwnął głową. – Czy my się już gdzieś nie spotkaliśmy?

– Nie wydaje mi się.

– Już wiem. – Tamten klepnął się radośnie po kolanie. – Gare de Lyon. Kiedy wychodził pan z dworca, zaczepił pan bagażem o moją walizkę.

Greg chciał przywołać barmana, żeby dolał mu trunku, ale trącił szklanekę nieznajomego. Na blat wylało się trochę piwa. Pomyślał, że Najwyższy znowu machnął do niego z góry ostrzegawczo dłonią. Nie chodziło o jakiś tam dworzec kolejowy, Paryż i plecak Andrzeja, ale o

to, że ostatnio zbyt ochoczo folgował sobie w picu. Jeśli w ciągu dnia wychylał sześć piw to był maks. Dziś wypił już osiem. Wystarczy.

Lekceważąc nieznanego, Greg przywołał dłonią barmana. Podał numer pokoju, żeby dopisano rachunek z baru i zsunął się ze stołka. Nie zwrócił przy tym uwagi na obrażoną minę gościa.

Kiedy wrócił do siebie na górę i usiadł na łóżku, próbował sobie przypomnieć, w jakiej to chwili zaczepił bagażem o czyjaś walizkę. Dzisiaj? Wczoraj? Dwa dni temu? W Paryżu, czy też...? Nim znalazł odpowiedź, usnął w ubraniu na hotelowym łóżku. I wtedy po raz trzeci Wiekuisty dał mu znak.

Przyśniło mu się, że czas cofnął się o rok i on ponownie wchodzi na stołek, który ustawił na środku swojego pokoju w Nowym Jorku. Potem założył na szyję pętlę i wykopał spod nóg podparcie.

Greg zadyndał nad podłogą, ale jak zwykle w jego życiu i tym razem coś poszło nie tak. Pętla nie zaciągnęła się do końca i nie mógł szybko, jak planował, dokończyć żywota. Dyndał zatem nad ziemią bezradnie i szukał w powietrzu podparcia. Łapał przy tym powietrze w szeroko otwarte usta, niczym ryba rzucona falą na piaszczystą plażę. Dusił się, ale nie na tyle, by stracić przytomność i oddać życie Bogu.

Wtedy do pokoju weszła niedawno zmarła rodzicielka. Niewysoka, w nocnej koszuli, z wiecznie okręconą wokół głowy siatką, z kolorowymi walkami, na które były nakręcone jej siwo-żółte pasemka włosów.

– Spójrz sam na siebie – usłyszał jej astmatyczne skrzekliwe gderanie. – Dorosły mężczyzna przed takim ważnym życiowym krokiem przynajmniej założyłby spodnie. A ty, co? Wisisz tak w samych gaciach i skarpetkach, z których na dodatek jedna jest dziurawa. Co ludzie o nas powiedzą, jak już cię znajdą na amen powieszzonego? Oczywiście o tym nie pomyślałeś. Ty niby zawsze i wszystko wiesz lepiej, ale nawet sznura dobrego nie kupiłeś. Oszczędziłeś dwadzieścia centów i co teraz? Ani be, ani me, ani kukuryku. Wyglądasz jak ten pajac, co to go w dzieciństwie powiesiłeś na pasku ojca. Nawet masz taki sam głupi wyraz twarzy.

Kiedy matka stukała gniewnie łaską w podłogę, Greg prosił Wiekuistego, żeby ten pozwolił mu wreszcie skonać lub uczynił go

głuchym na zrzędenie rodzicielki. Kochał ją całym sercem, ale tylko wówczas, gdy w chwilach dobrego humoru milcząco wodziła za nim wzrokiem pełnym nagany. Przez wszystkie lata dorosłego życia tylko słyszał jej wieczne utyskiwania, więc po jej śmierci chciał mieć od tego chociaż chwilę spokoju.

Wcześniej ich zrzędlivy potok zalewał ojca, w który po latach biedak wreszcie się utopił... umierając na apopleksję. Kiedy wreszcie matka odeszła do lepszego świata, Greg był zaszokowany tym, że w mieszkaniu przez kilka minut może panować kompletna cisza. Do czasu. Bo przecież, gdy nieszczęśliwie zakochany postanowił skończyć ze sobą, matka znowu przypomniała mu o sobie.

– I po cóż żeś się zakochiwał w tej Lei Szlomo. Masz prawie pięćdziesiąt lat. Ona pochowała już trzech bogatych mężów. Szuka czwartego, ale nie takiego golca jak ty. – Zła, dźgnęła Grega laską w pierś i ten znowu zaczął bujać się na boki. – Może dlatego woli tego mopsa z rakiem odbytu, niż amanta z dziurawymi kieszeniami. Ale ty nic, tylko wodziłeś za nią oczami. I proszę, jak to się skończyło? Dyndasz sobie, a mógłbyś chociaż coś odpowiedzieć, wytłumaczyć się, przeprosić...

Matka chciała jeszcze coś dodać, ale Greg zwałił się na podłogę. Potłukł się przy tym boleśnie. Zaciśnięta na szyi pętla raptownie poluzowała ucisk. Złapał w płuca głębszy haust powietrza i zemdlął.

Kiedy ponownie otworzył oczy, przez długi czas wirowały przed nimi czarne platy, jakby w pokoju nie pozapalał wszystkich lamp i lampek, za które solidnie płacił, co miesiąc właścicielowi kamienicy. Kiedy próbował się podnieść, rozcierając skręconą łydkę, zobaczył klęczącego nieopodal Andrzeja z nożem w ręku.

Było wątpliwe, żeby Polak został wysłany przez Boga, o którego Greg błagał, dławiąc się na sznurze. Mimo to był wdzięczny sąsiadowi, że nie musi już słuchać dalszych wyrzutów matki, która przecież po śmierci powinna zamilknąć na wieki.

Czy mógł zatem odmówić przysługi wyjazdu do Paryża, zwłaszcza że podróż została opłacona? W końcu dzięki Andrzejowi wkrótce pójdzie do bożnicy, w której przed osiemdziesięciu pięciu laty nadano imię jego

nowo narodzonej matce. Tam poprosi rabina o modlitwę za spokój duszy Estery MacCoin. Dzięki temu, gdy sam już zamknie oczy, nie usłyszy po tamtej stronie astmatycznego utyskiwania, które najpierw zabiło ojca, a potem o mało i jego nie doprowadziło na łono Abrahama.

Tak, za perspektywę zapewnienia sobie spokojnego życia wiecznego Greg był Andrzejowi wdzięczny i gotów był zrobić dla niego niemal wszystkiego... Oczywiście, jeśli owo „wszystko” nie narażało go na stratę finansową.

Kiedy Greg ocknął się ze snu, przez dłuższą chwilę spoglądał na coś chyba białego i próbował sobie przypomnieć gdzie się znajduje. W jego nowojorskim mieszkaniu, na suficie koło lampy, był sporej wielkości żółty naciek. Powstał po tym, jak mieszkająca wyżej Lea Szlomo próbowała wykapać psa w balii, mimo że w łazience miała sprawną wannę. Zrobiła to w pokoju, chociaż wiedziała, że jej mops nie znosił wody. Kiedy zatem Lea go namydliła, pies wysliznął jej się z rąk i zaczął uciekać po całym domu. W efekcie gonitwy balia została wywrócona, a podłoga Lei i sufit Grega zalane. Zdenerwowana tym Lea wybiegła na klatkę schodową i zaczęła imiennie wymyślać wszystkim sąsiadom. Krzyczała, że cały świat, a zwłaszcza oni są przeciw niej i działają jej tak na nerwy tak mocno, że o mało nie udusiła z tej złości swojego ukochanego psa.

No tak, ale to wydarzyło się dziesięć lat temu. Prócz plamy na suficie wisiał jeszcze solidny stary żyrandol, a nie jakiś półmiskowaty klosz, z którego sączyło się słabe światło.

Alkohol jeszcze nie do końca wyparował z jego głowy, więc musiało nieco potrwać, nim Greg przypomniał sobie paryskie lotnisko. Jazdę metrem na dworzec Gare de Lyon. Opróżnienie skrytki. Przejazd taksówką.

W Banku Koëniga przywitał go przyjemny chłód klimatyzacji. Gdyby tak jeszcze podawali tam piwo... Greg postanowił szybko załatwić zleczone przez Andrzeja zadanie i po wyjściu wpaść na szklaneczkę angielskiego „Real ales”, którego reklamę widział z okna zatrzymującej się taksówki. Z tego, co słyszał, do ich produkcji używa się wyłącznie tradycyjnych odmian chmielu – Fuggles i Goldings z

hrabstwa Kent. Ponieważ miał w perspektywie wizytę w matczynej synagodze, gdzie z pewnością dostąpi łaski oczyszczenia z grzechów, poczuł, że powinien sobie pofolgować w alkoholowej abstynencji. Obsługującym go urzędnikom bankowym nie bardzo się spieszyło, żeby zająć się jego osobą. Próbował zwrócić na siebie uwagę, ale wydawało się, że wszyscy mają go gdzieś.

– Jeśli nikt tu nie chce moich pieniędzy – rzucił głośno i podniósł się z fotela. – W takim razie znajdę inny bank.

Niemal w tym samym momencie oczy urzędników zwróciły się w jego stronę.

– Czym mógłbym służyć?

Do Grega podszedł mężczyzna w średnim wieku, z martwym wyrazem twarzy. Można byłoby go wziąć za pracownika zakładu pogrzebowego.

– Chciałbym otworzyć skrytkę. Długo to potrwa?

– Czy ma pan przy sobie depozyt?

Greg wskazał na plecak.

– W takim razie nie dłużej niż pół godziny

Jak dotąd wyliczenia czasowe Andrzeja spełniały się niemal co do minuty.

Po wypełnieniu niezbędnych formularzy, Greg opłacił skrytkę za rok z góry.

– Jeszcze jedno – zwrócił się do urzędniczego grabarza.

– Słucham szanownego pana. – Tamten próbował się uśmiechnąć, lecz nie bardzo mu wyszło.

– Na formularzu wpisałem hasło numeryczne. Za godzinę zadzwoni do was mój współnik, poda obecne hasło i przekaże wam nowe.

Twarz urzędnika stała się jeszcze bardziej ponura.

– To oczywiście możliwe, ale pragnę nadmienić, że może to narazić bezpieczeństwo skrytki. Ktoś postronny mógłby usłyszeć nowe hasło i...



– Proszę się nie przejmować. To nie jest już ani pańskie, ani też moje zmartwienie.

Po wyjściu z banku Greg postanowił posmakować francuskiego piwa. W restauracyjce zamówił butelkę Anosteké Saison. Nie było najlepsze, ale szkoda było zostawiać pół szklanki. Na ulicy złapał taksówkę i kazał zawieźć się na lotnisku. Potem był lot do Dublina, obiad z krwistym stekiem, kilkanaście piw i...

Wreszcie Gregowi wróciła pamięć ostatnich wydarzeń. Leżał na łóżku w pokoju hotelowym. Był późny wieczór i niedawno ktoś pytał go...

Uniósł się na łokciu. Wiszący nad drzwiami zegar wskazywał godzinę dwudziestą drugą dwadzieścia. W fotelu na wprost siedział ten sam mężczyzna, który przysiadł się do niego przy barze.

– Jak tu pan wszedł?

– Drzwi były otwarte.

Greg był pewien, że facet kłamie. Nieznajomy uśmiechnął się nieszczercze.

– Chciałem, żebyś mi coś wyjaśnił. – Przybysz przysunął fotel do tapczanu.

– Ja?

– Chodzi o bagaż, który zniknął ze skrytki dworca Gare de Lyon.

– Ale mnie wystraszyłeś – Greg westchnął uspokojony. – Już myślałem, że wychodząc z baru przypadkowo zapomniałem zapłacić za rachunek. Jeśli zaś chodzi o tamten bagaż... Co cię interesuje?

Nieznajomego nieco zbiła z tropu jego otwartość.

– Co z nim zrobiłeś?

– Zawiozłem do banku.

– Jakiego?

– Koëniga. – Uprzedził ewentualne pytanie, które z pewnością tamten zamierzał zadać. – Na pewno interesuje cię hasło do skrytki. – Greg

wsparł się na łóżku po obu stronach rękami, czując, jak od wypitego alkoholu zaczyna kręcić mu się w głowie.

Nieproszony gość kiwnął potakująco głową i zrobił jeszcze bardziej zaskoczoną minę. Greg przeliterował hasło, potem dla pewności zapisał je na kartce. Następnie podał ją z uśmiechem siedzącemu na krześle.

– Robisz sobie ze mnie jaja?

– Ależ skąd – przyłożył dłoń do serca, jakby chciał tym zapewnić o prawdomówności. – Jeśli chcesz, mogę przysiąc na świętego Patryka, patrona Irlandii i Nigerii. To niewątpliwy faworyt mojego zmarłego papy. A ja nigdy nie odważyłbym się szargać jego pamięci.

Wydawało się, że nieznajomy uwierzył.

– Jeszcze mógłbym w czymś pomóc? Prawdę mówiąc, jestem śpiący, a jutro zamierzam odwiedzić synagogę, w której niegdyś modliła się moja mamusia.

– W porządku – intruz wstał z miejsca. – Ale jeśli mnie oszukałeś...

Wtedy Greg, żeby nie przerywano mu snu, opowiedział jeszcze o zleceniodawcy, który kazał mu poinformować urzędnika w banku, że w ciągu godziny hasło do skrytki zostanie zmienione drogą telefoniczną.

DOCHODZIŁA DWUDZIESTA trzecia, gdy zadzwonił telefon. Schneider leżał w łóżku, lecz nie spał. Im był starszy tym mniej liczył na nocny wypoczynek. Wystarczyło mu kilka przerw w ciągu dnia, gdy ucinał sobie półgodzinną drzemkę. Wszyscy wiedzieli, że nie wolno mu wtedy przeszkadzać, gdyż „myśli”.

Po drugiej stronie słuchawki usłyszał głos Sekundusa, który zrelacjonował spotkanie agenta z Gregiem MacCoinem.

W myślach kiwnął z uznaniem głową. Potrafił docenić przeciwnika. Polak okazał się wytrawnym graczem. Niepotrzebnie go lekceważył. Z pewnością nie tylko oni już wiedzą gdzie zostały ukryte mikrofiszki. Bankowa skrytka była niezłym posunięciem. Wszyscy też otrzymali jednoznaczny sygnał, że klucze do skrytki ma Andrzej Leszczyński. Najwyraźniej zamierzał zabawić się w „Kto da więcej”?

– Halo, jest pan na linii? – Usłyszał głos Sekundusa.

– Umów mnie jutro z Polakiem. Niech czeka u siebie w hotelu.  
Przyjadę o jedenastej przed południem.

## Rozdział 2

– Grałeś kiedyś w szachy? – Natan Schneider wziął Andrzeja pod ramię i mimo że był gościem, ruszył w stronę tarasu.

– Zdarzyło mi się kilka razy.

Wyszli na dwór. Pojawił się wezwany kelner.

– Co podać?

– Ja sok z mango, a ty? – Natan spojrzał pytająco w na Polaka.

– Może być to samo.

Kiedy obsługujący wyszedł, Natan przesunął fotel w głąb tarasu, żeby uniknąć rażących promieni słonecznych.

– Wspomniałem o szachach, gdyż chcę, żebyś wiedział, że bardzo zależy nam na pomyślnym zakończeniu tej operacji. Powinieneś być również pewien, że jesteśmy w tej rozgrywce partnerami.

– Już jesteśmy? – Andrzej udał zdziwienie.

– Okej, można powiedzieć, że wcześniej mieliśmy zamiar potraktować cię nieco instrumentalnie.

– Lubię te wasze eufemizmy. To co z tymi szachami?

– Zastanowiłem się nad pierwszym posunięciem – stwierdził Schneider – i doszedłem do wniosku, że lepiej będzie, jak archiwum pozostanie w twoich rękach.

Andrzej był ciekaw, co Amerykanin wymyślił. Chociaż, słowo „ciekaw” nie oddawało istoty sprawy. Sugestie Schneidera mogły być pomocne w typowaniu kierunku, w którym zmierzają myśli tamtego. Wreszcie zrozumiał.

– Chcesz mnie użyć jako pionka w grze?

– Od naszej poprzedniej rozmowy uważam cię za ważną figurę.

– Nie zmienia to faktu, że chowasz się za moimi plecami.

– Tobie zależy na pieniądzach – Schneider wzruszył ramionami – więc za tę dodatkową przysługę dostaniesz ich więcej. Chyba nie masz nic przeciw temu?

– Mów dalej.

– Wydaje się nam, że w tej partii głównym rozgrywającym jest Sulimowicz. Twój niedawny zwierzchnik z pewnością każdy ruch kalkuluje na zimno i po wielokroć ogląda się za siebie. Jak myślisz, co by było, gdybyśmy pozbawili go czasu, który jest niezbędny do zastanowienia się nad kolejnym posunięciem?

Andrzejowi spodobał się pomysł, żeby zmusić Sulimowicza do działania pod presją coraz szybciej dziejących się wydarzeń.

Zjawił się kelner i postawił przed nimi pełne szklanki. Gdy zostali sami, Amerykanin podjął przerwany wątek.

– Od chwili zakończenia w Polsce pierwszych demokratycznych wyborów do Sejmu i objęcia stanowiska premiera przez Mazowieckiego, w waszych ambasadach przygotowywana jest wymiana kadrowa. Najszybciej zrobiono to w Waszyngtonie, Paryżu, Londynie oraz Brukseli. Odsyłani do Warszawy ludzie są rozgoryczeni i przekonani, że państwo ich oszukało. A ci, którzy mają poczucie krzywdy, mają motyw do szukania zemsty. Chyba nie muszę cię uczyć, że w takich momentach pojawia się agent, który oferuje współpracę.

– Kogo zwerbowaliście?

– Nazywa się Sylwester Konarski i jest zastępcą attaché kulturalnego ambasady w Paryżu. Jak obaj wiemy, w rzeczywistości jest zastępcą rezydenta paryskiej komórki wywiadu. Przez niego możesz nawiązać kontakt z Sulimowiczem.

– Interesujące rozwiązanie – mruknął Andrzej.

– Konarskiemu wskazaliśmy jednego z waszych biskupów, który od lat zajmuje się bezpieczeństwem prymasa Polski. On zna zasady naszej gry, co ułatwi nam działanie. Jak myślisz, co duchowny odpowiedział na propozycję przekazania w jego ręce ukradzionego archiwum MSW?

– Z pewnością wyraził ochotę jego poznania. Tylko że...

– Że?

– W ten sposób Kościół dostanie wiedzę o ludziach, którzy obecnie lub w przyszłości będą rządzą Polską.

– To mniejsze zło. Sądź się inaczej?

W tym momencie Andrzej zaczął sobie uświadamiać, dlaczego na początku rozmowy Schneider pytał o szachy. Kontakt przez Kościół uwiarygodni Andrzeja w oczach Sulimowicza, że przychodzi z ważną ofertą.

W słowach Schneidera kryła się jeszcze delikatna podpowiedź: Kościół był na tyle mocnym graczem, że poprzez niego można byłoby pokusić się o usunięcie z gry dotąd niezatapialnego generała.

– Muszę się jeszcze nad wszystkim zastanowić – Andrzej potarł w zamyśleniu czoło.

– W porządku. Secundus umówi nas za parę dni – Schneider chwilę obracał między palcami pustą szklanekę po soku. – Powiesz mi wtedy, czy dobrze zrobiłem, obstawiając ciebie jako czarnego konia tej rozgrywki.

DROGA PIĘŁA się stromo pod górę. Nicolas Richelieu miał wrażenie, że szarobrazowa wstęga, zawijając się szerokimi zakrętami w prawo lub lewo, wznosi się serpentyną aż do samego nieba.

Dojechał do skalnej półki, na której zjeżdżający z góry samochód mógł poczekać na wyminięcie wjeżdżającego z dołu. Na Nico nie czekało żadne auto, a on nie zamierzał dawać wytchnienia silnikowi pracującemu na wysokich obrotach. Jeszcze tylko sześć zakrętów i będą na miejscu.

Spojrzał na śpiącą obok Catherine. Kiedy wyjeżdżali z Marsylii, była podekscytowana podróżą. Z pewnością będzie miała pretensję, że nie obudził jej, gdy dojechali do doliny Gordolasque. Nim skręcili w stronę wioski Belvédère, minęli niedawno postawiony tu pomnik sześćioletniego Sebastiana z psem Belle. Catherine koniecznie chciała go zobaczyć. Mówiła, że jako mała dziewczynka z wypiekami na twarzy oglądała w telewizji przygody chłopca, żyjącego w małej wiosce w



Alpach, którego ojciec prowadzi stację narciarską na granicy francusko-włoskiej.

Nicolas również pamiętał ten serial. Tylko że nie został nakrecony, jak twierdziła Catherine, pod koniec lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku, a sześćdziesiątych. Nie zamierzał prostować pomyłki żony. Już sam fakt, że musiała przyznawać się, że urodziła się w ubiegłym wieku przyprawiał ją o ciężki stres, który, wraz z wybiciem początku nowego tysiąclecia, kosztował go kilkadziesiąt tysięcy franków za wizyty u psychoanalityków. W duchu żartował, że dobrze się stało, że Catherine skupiła się jedynie na ubiegłym wieku, nie zaś ubiegłym tysiącleciu. Tego z pewnością finansowo by nie wytrzymał.

Kiedy minęli ostatni zakręt, ukazały się pierwsze zabudowania wioski okrytej mgłą, która snuła się tuż nad ziemią. Świejące słońce, jasne niebo i nisko przepływające na nim chmury oraz ta mgła sprawiały nierealne wrażenie zawieszenia gdzieś pod nieboskłonem.

Wkrótce pozostawili za sobą ostatni dom. Minęli kolejny zakręt. Na odsłoniętej przestrzeni mgłą rozwiał ostrzejszy wiatr. Dzięki temu mógł zobaczyć wychylający się spomiędzy skał kolos czołgu, rdzewiejący na szczycie wzniesienia od czasów bitwy o Masyw de l'Authion. To będzie ich znak, że za kilka minut zobaczą drewniany płot okalający ich nowo zbudowany dom.

Nicolas dotąd bywał tu sam, sprawdzając jakość wykonanych prac kolejnego etapu budowy. Teraz, gdy wszystko było gotowe, postanowił pokazać willę Catherine w całej jej okazałości. Do niej będzie należało urządzenie wnętrza. Na razie pokój na parterze z odkupionym od sąsiadów wielkim żelaznym łóżkiem, pamiętającym lata pięćdziesiąte, w zupełności im wystarczy.

Zerknął na fotel obok. Refleks słońca przesunął się po kosmyku, który opadł Catherine na czoło, jakby chciał go odsunąć na bok. Mimo swoich lat, ciągle była piękną kobietą, a on wciąż w niej zakochany niczym w tamtej dwudziestolatce, która potrafiła go skuterem, gdy nieopatrznie wszedł na jezdnię na czerwonym świetle.

Wreszcie dojechali na miejsce. Zatrzymał samochód przed gankiem i zgasił silnik. Catherine nie obudziła się. Siedział w ciszy, wpatrując się

w czarujący widok na dolinę Gordolasque.

Wsiadł ostrożnie z auta. Dostrzegł rosnące nieopodal fioletowe wrzosi. Wyjął scyzoryk i naciął ich gruby pęk. Postanowił wstawić je do wazonu w kuchni. Potem zrobi świeżą kawę i obudzi żonę.

Wsunął klucz w zamek. Przekręcił. Wszedł do środka. Automatycznie zapalane lampy rozświetliły długi hol. Uśmiechnął się, przypominając sobie niedawną rozmowę z Cardussem, zwanym „Bebe”.

– Ty rzeczywiście chcesz zaszyć się na tym zadupiu? – Cardusse był zniesmaczony pomysłem.

– To nie jest zadupie – Nico zaprzeczył.

– Z jednym telefonem, do którego miejscowi ustawiają się w kolejce od samego świtu? Zadupie.

– Kazałem pociągnąć osobną linię do domu.

– Prowadzisz interes w Marsylii. Zapomniałeś o tym? – „Bebe” spacerował nerwowo po pokoju.

– Chcę wreszcie odpocząć.

– Rzucasz biznes?

– Jeszcze nie teraz, ale powoli się do tego szykuję. Poza tym mam ciebie. Ostatnio chyba nawet narzekałeś, że zbyt często patrzę ci na rękę.

– W porządku, ale czasy są niepewne. Rynek zaczyna wariować. Ta ilość tanich narkotyków, która znalazła się na rynku, może doprowadzić nas do ruiny.

– Jak wrócę, zastanowimy się nad sytuacją. Chcę mieć kilka dni odpoczynku. Chociaż... to może być problematyczne.

– Dlaczego?

– Podobno w okolicy znajduje się dużo świstaków.

Z miny „Bebe” wysnuł wniosek, że ten nie bardzo wie, o czym mówi.

– Podobno gwizdzą nawet w nocy – Nico zaśmiał się głośno, widząc, że to również niewiele wyjaśniło.

Na szczęście Marsylia została gdzieś daleko w tyle. Marsylia i jej kłopoty. Nigdy ich nie brakowało, a przecież marzył, że pewnego dnia wyrwie się stamtąd i zostanie zwykłym wieśniakiem... z całkiem sporym kontem w banku.

Przed dwudziestoma laty wszedł w biznes narkotykowy z grupą oddanych sześciu przyjaciół. Z powodu jego nazwiska – Richelieu, jak u pierwszego ministra Francji za Ludwika XIII – nazywano go Kardynałem. Początkowo budziło to śmiech. Wkrótce zdobyli dzielnicę Les Docks. Po trzech latach walk miasto należało do nich i już nikt się z niego nie śmiał. Był panem Marsylii, ale to nie odjęło kłopotów. Im bardziej przybywało mu lat, im więcej ubywało z jego otoczenia przyjaciół, tym bardziej problemy zdawały się piętrzyć i narastać. Dostyc tej szarpaniny. Jest na to już za stary. Zasłużył na odpoczynek.

Zamknął za sobą drzwi wejściowe i ruszył w głąb domu. Zatrzymał się w progu kuchni. Mrużąc oczy, wciągnął w nozdrza zapach modrzewiowych bali, z których kazał wznieść willę. Wstrzymał oddech, żeby jeszcze mocniej doświadczyć otaczającej go ciszy.

Nacisnął klamkę i wszedł do środka. Zbyt późno dostrzegł czerwoną nitkę światła fotokomórki jarzącą się na wysokości kolan. Robiąc krok, usłyszał wypowiedziane niegdyś przez żonę słowa: „Nie wnoś wrzosów do domu, gdyż przynoszą nieszczęście.”

Ułamek sekundy później okręcił się wokół niego czerwony jęzor płomienia. Fala uderzeniowa gwałtownie rozprężającego się powietrza rzuciła nim o ścianę holu. Była niczym stalowa prasa, która, nie wiedzieć czemu, uderzyła od dołu – najpierw zmiażdżyła stopy, błyskawicznie pochłonęła kolana, zgruchotała biodra, doskoczyła do krtani i...

Wybuch kilku kilogramów semtexu uczynił z drewnianym domem to, co stałoby się, gdyby w dziecięcym ubraniu nieoczekiwanie znalazł się stukilogramowy osilek. W jednej sekundzie wszystko zostało rozerwane potężną eksplozją. Wybite z ziemi fundamenty skoczyły do góry. W jednej tysięcznej części sekundy ściany rozsunęły się na boki i zamieniły w drewnianą miazgę.

Obudzona hukiem Catherine otworzyła powieki. Zobaczyła grubą belkę. Kloc pędził w jej stronę. Był gotów przebić przednią szybę

samochoду. Nim jej dosięgnął, zmienił się w papkę płonących drzazg.

Gorejąca pięść wbiła się do środka auta. Uderzenie rzuciło samochodem między stare sosny. W górę buchnął jezor benzyny z rozerwanego baku. Zaskwierczało skręcane ogniem igliwie, które wraz z iskrami spadło na ziemię płonącym deszczem.

KOMISARZ MARC Dedecius jeszcze bardziej wychylił się na krzesle. Potem, zagłębiony w lekturze artykułu, wsparł adidasy o blat biurka.

– Słyszałeś – zawołał, nie opuszczając gazety – co stary powiedział na wczorajszej konferencji prasowej? – Nie czekając na odpowiedź zaczął czytać: *Prefekt policji Maks Ganoncour stwierdził, że w Marsylii, drugim pod względem liczby mieszkańców mieście Francji, rządzą gangi imigranckie. Dzieje się tak dlatego, że przez ponad pół wieku masowo naphywali tu przestępcy z byłych francuskich kolonii w północnej Afryce – głównie z Algierii i Maroka. Jak ci się to podoba?*

Ponieważ nikt nie odpowiedział, opuścił gazetę. Zobaczył, że przy biurku na wprost nie było nikogo.

– Jean – zawołał.

Pod biurkiem rozległo się stęknienie i wygramolił się stamtąd potężny, niemal dwumetrowy dwudziestoosmiolatek. Wszyscy, którzy go poznali, dość szybko przestawali żartować z jego tuszy. Jean Fargoo, komisarz wydziału kryminalnego, był mistrzem Francji w zapasach sprzed pięciu lat.

Choć obaj znali się nieco dłużej, Marc nie potrafił do końca rozgryźć partnera. Na przykład, dlaczego od tygodnia zakładał podkoszulkę z dużym napisem na piersiach: *Pierdol się, stara dziwko*. Czyżby powodem był zbliżający się rozwód? A może rzuciła go kolejna kochanka?

Jakby dla zrównoważenia owej jawnej niechęci wobec kobiet, Marc zaczął nosić T-shirta z napisem: *Kocham wszystkich ludzi*. Jego potrzeba manifestacji przeciwnego zdania wynikała stąd, że właśnie znowu się zakochał. Poza tym zawsze stanowił antypodę swojego partnera i wbrew przewidywaniom, to właśnie ich bardziej łączyło niż dzieliło.

– Czego się drzesz?

– Pytałem...

– Nie masz czym zawracać sobie głowy?

– Chodzi o to, że za chwilę podniesie się krzyk, że nie szanujemy ludzi o odmiennym kolorze skóry i całe to smęcenie w stylu: Liberté, égalité, fraternité.

– W czym problem? Wolność, równość, braterstwo to piękne słowa.

– Ale nie wtedy, kiedy ktoś przyciska ci gnata do czaszki.

Na biurku zadzwieczał telefon. Marc zerknął na zegarek.

– Przecież jesteśmy po pracy.

– Więc nie podnoś słuchawki.

– A jeśli to Ève? Poznaliśmy się... Co ci będę mówił – Marc zmrużył rozmarzone oczy. – Nawet nie wiesz, jaką ona ma figurę. – Sięgnął po słuchawkę. – Halo...

Minutę później maszerowali korytarzem w stronę gabinetu prefekta.

– Mówiłem, żebyś nie odbierał – Jean był zły. – Za godzinę rozpoczyna się transmisja z meczu.

Zameldowali się w gabinecie szefa policji. Poproszono ich o zreferowanie ustaleń śledztwa, dotyczącego zabójstwa Nicolasa Richelieu.

– Czekamy na wyniki DNA.

– Coś jeszcze zrobiliście przez czas owego czekania?

Prefekt nie był w dobrym nastroju. Marc zobaczył rozłożoną gazetę z artykułem, który niedawno czytał. Najwyraźniej obrońcy libert ,  galit , fraternit  podnieśli wrzask, że obraża mniejszości. Cholera, jak to jest – Marc zadał sobie w duchu pytanie – że taki jeden z drugim pacan gardłuje w obronie praw obywatelskich, ale jak Algierczyk obrobi go z portfela, to drze japę na całą ulicę, że stała mu się krzywda i dlaczego policja nie wyrzuca z kraju kolorowych.

– Ty mnie słuchasz? – Głos prefekta w końcu do niego dotarł.

– Jasne, szefie.

– Pytałem o pierwsze wnioski w sprawie zabójstwa Kardynała.

– Richelieu to zasiedziały typ – Marc, nie pytając o zgodę, przysiadł na jednym z krzeseł. – Zasiedziały, czyli wszystkich podległych sobie ludzi ustawił tak, że interes funkcjonował niczym szwajcarski zegarek. Trzy lata temu jego bratanek próbował zagrozić jego władzy. Kardynał nawet nie musiał sobie zawracać nim głowy. Jego ludzie sami odstrzelili narwańcowi łeb, a zwłoki okręcone w foliowy worek wrzucili nocą do zatoki.

– Więc kto wysadził go w powietrze wraz domem i żoną w samochodzie?

Tym razem głos zabrał Jean. W przeciwieństwie do przyjaciela nie usiadł, ale Marc zawsze uważał partnera za dziwaka. W końcu, kto przy zdrowych zmysłach, mając tytuł mistrza Francji i jeszcze kilka innych międzynarodowych tytułów sportowych, bawi się w policjanta?

– Od Helmutów z Kriminalpolizei dostaliśmy sygnały, że w powietrzu wisi coś bardzo niedobrego. Z ich informacji operacyjnych wynika, że za morderstwem Kardynała stoi niejaki Daar Geen, skądinąd znany nam już z przeszłości killer. Prawdopodobnie szykuje się powtórka z rozrywki. Dwadzieścia lat temu narkotyki w Europie przejął tak zwany Syndykat lub „nowa mafia”. Nowa, bo chłopaki byli młodszy od bossów i bardziej od nich bezwzględni. Dziś, według Kriminalpolizei, znów nowe pokolenie chce władzy, więc poleje się krew.

– Gdyby Niemcy mieli rację – włączył się Marc – to powinniśmy coś wiedzieć o młodych, którzy przestępują z nogi na nogę, żeby odebrać Kardynałowi biznes. Ale ja niczego takiego nie słyszałem. Wszyscy kochali starego patrona, jak i on kochał wszystkich, włącznie kilkoma skorumpowanymi sędziami, którzy wkrótce zasiądą na ławie oskarżonych. Idylla. Tylko że faceta już nie ma i każdy zadaje sobie pytanie: „Dlaczego?”

– Niech zatem wszyscy pytają, a wy znajdźcie odpowiedź. I to w miarę szybko, bo dziennikarze coraz bardziej trują mi dupę.

– Tak jest, szefie – Marc i Jean wypowiedzieli te słowa niemal równocześnie.



– Możecie odejść.

KIEDY ZA WYCHODZĄCYMI zamknęły się drzwi, prefektowi przyszło do głowy, że ci z kryminalnego, a szczególnie z wydziału zabójstw, są niereformowalni – na przykład jeśli chodzi o ubiór. Nie wspominając o zachowaniu albo problemach osobowościowych. On mógł coś na ten temat powiedzieć, gdyż ostatnie dwadzieścia lat przepracował właśnie w wydziale zabójstw.

Wcisnął przycisk interkomu.

– Tak, szefie? – usłyszał głos sekretarki.

– Zaraz do wydziału wrócą Jean i Marc. Powiedz im, że mają ubierać się stosowniej, kiedy idą do pracy. I że to rozkaz. Aha i spytaj Jeana, gdzie kupił tę fajną podkoszulkę.

Odłożył słuchawkę i spojrzał po raz kolejny na rozłożoną gazetę. Skrzywił się. Kiedy jego poprzednik na stanowisku odchodził na emeryturę, wtajemniczył go w wiele sekretów. Jednak nie ostrzegł go, że z prasą należy postępować ostrożnie, gdyż dziennikarze w przypadku prefektów policji albo próbują ich zagryźć, albo... powiesić.

– STARY PYTAŁ... – sekretarka wydziału spojrzała na Jeana.

– Gdzie kupiłem podkoszulkę.

– Skąd wiesz?

– Widziałem, jak na nią patrzył.

Ruszył za Markiem do pokoju. Kiedy siadał za biurkiem, zerknął na partnera.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi o Dalmatyńczyku?

Obaj na miejsce wybuchu przylecieli helikopterem już godzinę po tym, jak zginął Kardynał. Obejrzelili teren, a potem przesłuchali mieszkańców wioski. Właściciel miejscowego sklepu zeznał, że przed miesiącem pojawił się u nich nieznajomy. Uwagę sklepikarza zwróciło to, że facet wyglądał niczym plamisty Dalmatyńczyk. Mimo młodego

wieku, przybysz miał posiwiałe włosy, a na twarzy, szyi i dłoniach białe plamy. Wszystko to wskazywało, że cierpiał na chorobę skóry.

Jean i Marc spojrzeli wówczas na siebie znacząco. Od paru lat, wśród policjantów wydziałów kryminalnych kilku państw sąsiadujących z Francją przewijała się informacja o zabójcy, którego cechą charakterystyczną była choroba skóry zwana bielactwem. Typowano Greka, Daar Geena.

– Bo jeszcze niewiele wiemy. – Marc westchnął głośno.

– I to mnie martwi – Jean skrzywił się. – Zbliża się czas premii i jeśli stary podzieli twoją opinię, to zostanę z ręką w nocniku.

– Więc zrób coś.

– Niby co?

– Zadzwoń do niego i przynajmniej podaj adres sklepu, gdzie kupiłeś T-shirta.

## Rozdział 3

Daar Geen pchnął drzwi zakładu pogrzebowego. Zadźwięczał zawieszony nad nimi dzwonek. Znalazł się w niewielkim saloniku.

– Dziękuję za punktualność – zza ciężkiej, ciemnobrązowej kotary wyjrzała twarz łysego mężczyzny o wylupiastych oczach, które powiększone przez grube szkła okularów sprawiały wrażenia, jakby miały wypaść na podłogę.

Pan Śmierć, właściciel zakładu pogrzebowego, uściśnął dłoń przybyłego.

– Proszę – wskazał najbliższy fotel – niech pan spocznie. Jeśli dobrze sobie przypominam, chodzi o ciało brata.

– Kula strzaskała mu prawy policzek.

– Czy przyniósł pan zdjęcie, o które prosiłem?

– Mam kilka starych fotografii, ale z pewnością na nic by się panu zdały. Wystarczy jednak, że weźmie pan aparat fotograficzny. Byliśmy bliźniakami.

– To rzeczywiście może być pomocne – właściciel zakładu pogrzebowego i balsamiarz w jednej osobie wykrzywił usta w sztucznym uśmiechu. – Kiedy chciałby pan, żeby brat był gotowy do podróży?

– Za tydzień?

– Świetnie. Przygotowałem odpowiednie dokumenty wymagane na lotnisku.

Pan Śmierć poderwał się ze swojego miejsca, zniknął za kotarą i wrócił z kilkoma arkuszami zadrukowanych kartek.

– Tu jest wszystko wyszczególnione. Proszę zwrócić uwagę na ten punkt – wskazał na jeden z akapitów cienkim kościstym palcem – nazwałem go: „Pośmiertna toaleta”. Między innymi chodzi o tanatokosmetykę.

Daar Geen miał niepewną minę.

– Tanatokosmetyka jest dziedziną, która zajmuje się makijażem oraz służy wszelkiemu upiększaniu w celu ukrycia oznak śmierci – wyjaśnił Pan Śmierć.

Daar Geen kiwnął głową, że rozumie.

– W tym punkcie ująłem zabieg, który muszę zastosować do czasowej konserwacji. Polega na podaniu specjalnego płynu do korpusowego, który wspomaga konserwację zwłok w czasie dalekiej podróży i umożliwia późniejsze wystawienie ciała na widok publiczny.

– W porządku. To coś skomplikowanego?

– Do prawej tętnicy szyjnej szacownego brata zostanie wstrzyknięta sól eliminująca bakterie, które są odpowiedzialne za procesy gnilne. Płyny wyprą krew, rozejdą się po całym organizmie i nasączą tkanki. Wówczas znikną plamy opadowe i zasinienia. Skóra szacownego nieboszczyka znowu nabierze naturalnego wyglądu. Potem przyjdzie kolej na specjalne płyny odkażająco–konserwujące do jamy brzusznej i opłucnej, czyli tam, gdzie proces gnicia następuje najszybciej. Nasz zakład ma w tym stosowne długoletnie doświadczenie. W końcu – zaśmiał się, jakby zamierzał opowiedzieć dobry żart – źle przeprowadzona tanatopraksja może doprowadzić do strupienia ciała w bardzo...

Daar Geen nie miał zamiaru przerywać mówiącemu. Po prostu przestał go słuchać.

GŁOWA ZNAJDOWAŁA się na wprost wylotu lufy pistoletu. Anna trzymała broń w wyprostowanych dłoniach. Po tym, jak Andrzej zniknął z dworca Gare de Lyon z mikrofiszami, Olga i Helena orzekły, że zabiją sukinsyna, jeśli dorwą go wcześniej niż ona.

Zmrużyła lewe oko, dokładnie celowała w czoło. Wskazujący palec dotknął języka spustowego. Pamiętała, że powinna naciskać go powoli i równomiernie, nie obawiając się późniejszego huk.

Zgniotła cyngiel. Iglica uderzyła w spłonkę. Wyrzucony siłą rozprężanych gazów pocisk wystrzelił z lufy. Pistolet cofnął się w dłoniach.

W jednej dwutysięcznej sekundy kula uderzyła w zawieszony dwadzieścia metrów dalej papierowy obrys postaci, który w wyobraźni Anny był żywym człowiekiem. Mając na uszach wytłumiające słuchawki, po wystrzale nawet nie drgnęła. Po kilku dniach ćwiczeń zdjęła słuchawki i powoli przyzwyczała się do huku broni.

Z satysfakcją dostrzegła, że pocisk coraz częściej trafiał na wysokości oczu. Gdyby zamiast papierowej planszy na jego drodze znalazła się czaszka, to rozprysłaby się ona na boki niczym soczysty arbuz, który uderzono drewnianą pałą.

Uśmiechnęła się zimno. „Soczysty arbuz”. Coś lodowatego i perwersyjnego kryło się w tych dwóch słowach. Ponownie zgmiotła język spustowy. Wreszcie po oddaniu kolejnych sześciu strzałów wyczerpała magazynek Glocka. Wystrzelała wszystkie naboje ostatniej, piątej serii. Na dziś wystarczy. Zgodnie z zasadami, wysunęła magazynek i położyła go obok broni na pulpicie stanowiska strzeleckiego. Na koniec zdjęła plastikowe okulary i wsunęła je w etui.

– Jak samopoczucie? – młody instruktor obrzucił ją uwodzicielskim spojrzeniem.

– Dzięki tym kursom coraz bardziej się poprawia.

– Może wcześniej warto zjeść z kimś fajnym kolację.

– Myśli pan o sobie?

– Nie wolno nam umawiać się z klientkami. – Zrobił zmartwioną minę. – Ale jeśli już sama pani o to pyta...

– Może innym razem. – Ruszyła w stronę wyjścia.

Od pięciu dni chodziła na kurs strzelecki, który zafundowały jej dziewczyny. Helena twierdziła, że poczuje się wtedy pewniej. I lepiej, dodała Olga, kiedy naciskając spust, wyobrazi sobie łeb tego drania, Andrzeja.

Przez pierwsze dwa dni była tak zaaferowana samym pistoletem, jego działaniem i ogłuszającym hukiem, że nie miała czasu na włączenie wyobraźni. Pistolet, uznała, to interesujący wynalazek. Przed tygodniem, przy kolacji, Helena pierwsza podjęła ten temat.

– Powinnaś się zdecydować, w jaki sposób zamierzasz go rozwalić – wbiła na widelec połówkę pomidora.

– Może nóż? – Olga spojrzała pytająco.

– Niby co, nóż? – Anna nie zrozumiała.

– Namierzmy go... – Olga zaczęła wyjaśniać. – Na ulicy jest tłok. Idziemy za nim. Wokół od cholery ludzi. Wszyscy zajęci swoimi sprawami, więc nie zastanawiają się, dlaczego idąca obok kobieta wyjmuje z torebki nóż do krajania chleba. Podchodzisz od tyłu... No i wiesz.

– Co?

– Ciach – Słowa te Olga nie powiedziała już tak stanowczo. Najwyraźniej zrobiło jej się słabo, gdy sobie wyobraziła te sytuację.

– Co, ciach? – nie ustępowała Anna.

– Nie wiem. Nie pytaj, jak. Ta rozmowa nie jest na moje nerwy. Od dwudziestu lat robi mi się słabo, jak pobierają mi krew, a co dopiero mówić o... To nie dla mnie.

– Można kogoś wynająć. – Helena puknęła palcem w leżącą obok gazetę. – W ogłoszeniach na pewno coś znajdziemy.

– Poradzę sobie – w głosie Anny przyjaciółki nie usłyszały bezradności. – Gdy sobie uświadomiłam, jak ten facet kręcił mną przez ostatni rok... – Anna zacisnęła dłoń w pięść i uderzyła nią w blat stołu. – Nie może mu to ujsć na sucho. – Zerknęła na Olgę. – Nóż odpada, nie jestem rzeźnikiem, a ze swoją wyobraźnią na pewno sobie poradzę.

Przyjaciółki przytaknęły, ale z ich twarzy mogła wyczytać, że nie do końca są przekonane, iż sobie poradzi. Wszystkie trzy przed laty pracowały w hotelu Europejskim, ale Helena twierdziła, że łączy ich coś więcej niż wspomnienia. Była jeszcze czwarta, Elwira. Rzadko o niej wspominały, gdyż za każdym razem jedna drugiej podawała chusteczkę, którą wycierały płynące z oczu łzy.

– Dzisiaj też zjesz obiad z Sunny? – zaciekawiała się Olga.

– Chyba zbyt ostro ją osądziłam – stwierdziła Helena. – Myślę, że nawet byłam o nią trochę zazdrosna.



– Mimo swojej siedemdziesiątki – Olga kiwnęła z uznaniem głową – nadal ma doskonałą figurę. Na twarzy też niewiele zmarszczek. Jak myślicie, zrobiła sobie operację plastyczną, czy nie?

– Cholera wie – Helena podeszła do krzesła i zgoniła siedzącego na nim kota. – Ale faktem jest, że nieźle się trzyma.

Pod koniec kolacji zdecydowały, że Anna powinna przejść kurs strzelecki. Kiedy zmywały naczynia, Olga spytała Anny:

– Kiedy zamierzasz zapisać się na strzelnicę?

– Jutro, a co?

– Pójdę z tobą.

– Też chcesz postrzelać? – zdziwiła się Helena. Potem zmrużyła oczy, jakby zaczęła się czegoś domyślać. – Czyżby twój belmondziak zrobił cię w trąbę?

– To nie to. W przyszłym tygodniu chce mnie zabrać na polowanie. Pomyślałam, żeby oswoić się z hukiem, inaczej po każdym wystrzale będę wrzeszczała niczym małomiasteczkowa cipa.

– A propos Belmonda – mruknęła Helena.

– Jakiego? – Anna nie bardzo wiedziała, o kim mówi.

– Mojego kinowego ogiera – rozmarzyła się Helenka. – Nigdy nie kochałaś się w Jean Paul Belmondo?

– Wolałam Alain Delona.

– Podobno miał związki z mafią.

– Dla mnie świetny aktor.

Przeszły do salonu fryzjerskiego, który był własnością Heleny. Usiadły na sofie i fotelach w biurze.

– Nieważne, taki, śmaki... Kiedy ślub? – Helena spytała Olę. – Mówiłaś coś o końcówce lata, a tu słyszę o polowaniu.

– Mój gołąbek ma ważne sprawy zawodowe. Ale w grudniu, po świętach, będziecie już mogły do mnie mówić: „Pani hrabino”.

Jakby tylko czekając na te słowa, kot wskoczył na kolana przyszłej arystokratki.

– Skurwiel. – Olga krzyknęła z dezaprobatą imię kota i zepchnęła zwierzę na podłogę. – Zabieraj tę tłustą dupę.

– Choć do pańci – Helena przywołała futrzaka. – Proletariusze powinni trzymać się razem i najlepiej z daleka od herbowego tałatajstwa.

– PROSZĘ ZATRZYMAĆ się przy tamtym kiosku – Sunny klepnęła w ramię kierowcę taksówki.

– Chce pani wysiąść?

– Kupić gazetę.

Przy poprzednio mijanym kiosku jej uwagę przyciągnęły rozstrzelone gazetowe tytuły popołudniówek.

– Ale tu jest zakaz zatrzymywania się.

– Doliczysz mandat do rachunku.

Auto wykręciło w stronę krawężnika. Wysiadła, kupiła dziennik i wróciła do taksówki. Ruszyli. Na pierwszej stronie widniał nagłówek, „Przewrót w Moskwie. Nieznany los Gorbaczowa.”

Przerzuciła wzrokiem treść artykułu. Wynikało z niego, że wiceprezydent ZSRR i członek Biura Politycznego KC KPZR Gienadij Janajew dokonał przewrotu politycznego, wsparty przez partyjną konserwę oraz wysokich dowódców wojska, KGB i MSW. A urzędujący prezydent, Michaił Gorbaczow, został aresztowany i uwięziony w nieznanym miejscu.

Zdażyła się już oswoić z tymi wiadomościami. Dziś rano otrzymała zaszyfrowany sygnał, że centrala na jakiś czas zamilknie. Nie oznaczało to niebezpieczeństwa, ale i nie wróżyło niczego dobrego.

Podobną wiadomość dostała w lutym 1984 roku. Wtedy przejęła się nią nie na żarty. Kilka dni później świat obiegła wiadomość, że zmarł Jurij Andropow, Pierwszy Sekretarz Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. Trzydzieści miesięcy później nadeszła kolejna – w marcu 1985 roku zmarł Konstantin Czernienko, następny z kolei sekretarz

KPZR. Dzisiejszego ranka, 19 sierpnia 1991 roku, znowu odebrała sygnał: „Czekaj na ponowne nawiązanie kontaktu”. Kiedy paliła kartkę z rzędem cyfr, przebiegło jej przez głowę, że być może wkrótce odbędzie się pogrzeb głoszącego potrzebę pierestrojki i głośności, Michaiła Gorbaczowa. Dlatego codziennie przeglądała prasę, ciekawa, czy znajdzie potwierdzenie swoich przewidywań. Jednak w dzisiejszej gazecie również nic na ten temat nie znalazła.

Przebudowa i jawność, wydeła drwiąco wargi. Po miesiącach szturmowania pustych sklepów ludzie woleli zamordyzm, byle stać ich było na mięso w każdą niedzielę i setkę wódki, zagryzioną dobrze ukiszonym ogórkiem.

Zaczęła bezmyślnie gapić się na migające za oknem widoki. W Moskwie szło przetasowanie, kto, za kim się opowie, kto jeszcze jest z nami, do nas dołączy lub też nas zdradzi. Sunny wiedziała, że przerwy w nadzorze są dobrą okazją do zadbania o własną przyszłość.

Taksówka zatrzymała się przed zakładem pogrzebowym. Zapłaciła i wysiadła. Na jej powitanie wyszedł niewysoki łysy mężczyzny o wyłupiastych oczach, nienaturalnie powiększonych przez grube szkła okularów. Zaprowadził ją do saloniku i wskazał jeden z foteli.

– Poinformowano mnie telefonicznie, że właśnie pani decyduje w sprawach dotyczących pochówku monsieur Hawele Bolkovitza.

– Chciałabym go skremować.

– Nie mam zamiaru wpływać na pani postanowienia, pragnąłbym jednak zwrócić uwagę, że techniki balsamowania posunęły się już tak daleko, że praktycznie możemy już zachować ciało na wieczność.

Oczywiście z wiecznością lekko przesadził, ale tracący bliskich z pewnością lubili słuchać takie słowa. Sunny udała zainteresowanie.

– Służymy naszym klientom pełną gamą usług. Manicure i pedicure też jesteśmy w stanie wykonać. Ważne są fryzury, więc myjemy głowy, prostujemy włosy, kręcimy loki, dobieramy peruki, zdarzało mi się już robić balejaż.

– Mój narzeczony był mężczyzną.

– Oczywiście, oczywiście. Nie miałem nic złego na myśli. Jedynie chciałem wskazać, że jesteśmy w stanie zaoferować pełną gamę różnorodnych usług.

Ten facet chciał ją naciągnąć, a ona nie miała zamiaru mu w tym przeszkadzać.

– Jak mi powie pan, że kiedyś robił zmarłej hennę, to nie uwierzę.

– Rzeczywiście, jeszcze nie miałem takiego zlecenia, ale zapewniam, że wykonalibyśmy je perfekcyjnie.

– A gdybym chciała na kilka dni wystawić ciało w kaplicy?

– Zastrzyki z odpowiedniego preparatu zabijają bakterie, które wywołują rozkład zwłok. Dodatkowym ich atutem jest to, że w ciele szacownego zmarłego nie zbierają się wówczas żadne gazy i płyny. Innymi słowy, nie pojawia się ów nieprzyjemny zapach. Proszę zauważyć, że nasze ciało po śmierci zamienia się w prawdziwą bombę biologiczną. Podczas kontaktu ze zmarłym, który leży w domu lub jest wystawiony do oglądu innych, bardzo łatwo może dojść do zakażenia. Konserwacja eliminuje to niebezpieczeństwo. Taki zabieg można też oczywiście wykonać po sekcji zwłok. Tylko wtedy wygląda on nieco inaczej.

– Czyli jak?

– Jeżeli zwłoki są zaszyte, muszę ponownie je otworzyć, wyciągnąć wszystkie narządy, umyć, przełożyć do specjalnych worków, zalać płynem konserwującym i zasypać proszkiem dezynfekującym. Worki wkładam z powrotem do ciała i zaszywam. Wszystko jest wysterylizowane i zabezpieczone.

– I zmarły chowany jest do grobu z tymi...?

– Worki są biodegradowalne. W ciągu miesiąca rozłożą się w ciele, nie pozostawiając po sobie najmniejszego śladu.

Sunny kiwnęła za zrozumieniem głową.

– Rozumiem, że prócz owych...hm... worków z wnętrznościami może pan w ciele zaszyć coś jeszcze.

– Jeszcze? – Balsamiarz nie zrozumiał.

Sunny sięgnęła po torebkę i wyjęła z niej prostokątne pudełko wielkości czterech paczek papierosów.

– Na przykład coś takiego.

– Chce to pani umieścić w ciele szacownego Hawele...

– Ależ skąd. Przecież powiedziałam, że chcę, żeby Hawele Bolkovitz został skremowany.

– Zatem?... – Na twarzy właściciela zakładu pogrzebowego pojawił się wyraz zagubienia. – Proszę mi wybaczyć, ale nie bardzo rozumiem.

– Otrzymał pan zlecenie zabalsamowania zwłok pewnego Greka. Jego ciało niedawno przewieziono do pańskiej kostnicy.

Oczy balsamiarza zrobiły się dwa razy większe. Właściciel zakładu pogrzebowego chciał coś powiedzieć. Nim jednak otworzył usta, Sunny wyjęła z torebki dwa pliki banknotów.

– W każdej paczce jest dziesięć tysięcy dolarów.

– Ależ szanowna pani...

Ponownie sięgnęła do torebki po kolejny plik studolarówek. Jednak zanim to zrobiła, wcześniej wyjęła pistolet. I to nie był przypadek.

Oczy balsamiarza znowu uległy gwałtownemu powiększeniu.

– Co miałbym zrobić?

DAAR GEEN rozłożył gazetę w poszukiwaniu notatki prasowej. Wszystkie gazety informowały o Związku Sowieckim i wojnie o władzę. To najwyraźniej zepchnęło informacje o Kardynale na daleki plan. Wreszcie znalazł wiadomość, ale dopiero na ósmej stronie.

*Przed dwudziestu laty krwawa wojna gangów wyniosła Richelieu do władzy. Czy dziś czeka nas powtórka tamtych wydarzeń? Niektórzy twierdzą, że podziemny świat przygotowuje się do wymiany bossów. Podobno śmierć Kardynała jest pierwszym sygnałem zachodzących zmian. Kolejnym może być zalew rynku tanimi narkotykami. W efekcie, dzisiejsi dystrybutorzy padną zniszczeni niskimi cenami heroiny, kokainy, czy syntetyków. Co wówczas nas czeka? Mój policyjny informator*

*zasugerował, że ktoś z zewnątrz próbuje zmonopolizować europejski rynek. Zatem znowu na ulicach naszych miast poleje się krew?*

Zanim Daar Geen pojechał z bratem bliźniakiem do Paryża, przygotował willę na przyjazd Kardynała. Kiedy wszedł do środka modrzewiowego domu Richelieu, przypomniała mu się szopa ojca w Kolchiko, z której co dnia dochodził brzęk piły mechanicznej. W tamtych latach lubił też wsłuchiwać się w równomierny szmer ostrza hebla wygładzającego drzewo. Ojciec był wspaniałym stolarzem. Nikt w okolicy nie robił lepszych trumien.

Odłożył gazetę i zaczął przyglądać się przechodniom, którzy mijali kawiarniany stolik. Trzy młode dziewczyny rozmawiały głośno. Szły całą szerokością chodnika. Mężczyźni schodzili im z drogi. Niektórzy się do nich uśmiechali, inni zaczepiali. Młodzi jak zwykle mają innych gdzieś, uważając, że świat należy tylko do nich. Szkoda, że tak szybko przychodzi otrzeźwienie, gdy pewnego dnia to oni muszą ustąpić innym miejsca.

Przywołał kelnera i zamówił jeszcze jedną kawę. Nigdzie mu się nie spieszyło. Do Paryża przyjechał z Boissy–Saint–Léger kolejką RER. Okazało się, że miał pecha. Całą drogę musiał znosić wrzaski dzieciaków. Jakby tego było mało okazało się, że zegarek spieszy się i do umówionego spotkania z Panem Śmierć, jak nazwał w myślach właściciela zakładu pogrzebowego, miał jeszcze godzinę. Czy gdyby dokładniej wszystko przemyślał, brat żyłby nadal?

Kilka dni temu, na dworcu Gare de Lyon, zajął z bratem w ukryciu stanowiska strzeleckie po dwóch stronach hali dworca. Ich zadaniem było zabicie Anny Wermer po tym, jak przekaże wysłannikowi jakiś pakunek.

Po długim oczekiwaniu wreszcie zobaczył cel. Tak mu się przynajmniej wydawało. Sekundę później w głębi dostrzegł podobną kobietę, która też była ubrana w biały płaszcz, miała ciemne włosy, ostry makijaż i przewieszony przez prawe ramię identyczny plecak. W tej samej chwili z drugiej strony dworca nadszedł trzeci sobowtór. I jeszcze jeden. I kolejny.

– Widzisz to co ja? – Krzyknął wtedy do krótkofalówki.



Kobiety–klony zmierzały do dworcowej kafeterii... niech to szlag. Coś śmierdziało na odległość. Która z nich była Anną Wermer, a która sobowtórem? Przecież wszystkich nie zabijał

– Jesteś tam? Do cholery, odezwij się! – Po raz kolejny zawołał do mikrofonu.

Kiedy przesuwiał celownikiem optycznym po hali dworca, trafił na dach trafiki. W wizjerze zobaczył odsunięte na bok okienko na szczycie i długą lufę karabinu snajperskiego. Była skierowana w stronę dworcowego zegara, gdzie stanowisko zajął brat.

Tylko że Hawele nie wiedział, że jest ich dwóch i załatwił tylko jednego. Daar Geen miał gdzieś Wermer. Musiał pomścić śmierć bliźniaka. Kiedy Żyd wyszedł z trafiki, skierował krzyżak celownika optycznego w jego pierś i pociągnął za spust.

Daar Geen przez dłuższy czas zastanawiał się, w jaki sposób powiadomić ojca o śmierci syna. Wreszcie sięgnął po słuchawkę telefonu. Przez cały czas, kiedy wykreślał numer kierunkowy do Grecji, następnie Salonik, skąd uzyskał połączenie do Kolchiko, zastanawiał się, co powie staremu. Kiedy wyruszał w świat, przyrzekł mu, że będzie chronił młodszego o pięć minut brata.

– Jeśli tego nie zrobisz – usłyszał, zanim papa zrogowaciałym palcem uczynił krzyżyk na jego czole – i zabraknie młodszego, wtedy odczujesz, jakby odrabano ci prawą rękę. Można bez niej żyć? – Ojciec spojrzał pytająco, a on niepewnie przytaknął. – Ano można, tylko nie bardzo wiadomo jak.

Rzeczywiście, Daar Geen czuł, jakby skradziono mu połówkę jego samego.

Kiedy powiedział ojcu o śmierci brata i o tym, że zastrzelił jego zabójcę, przez dłuższy czas w słuchawce panowała głucha cisza.

– Halo – zaczął się denerwować, że stracił połączenie.

Dopiero za szóstym „halo” stary odpowiedział: – Jestem.

– Co mam zrobić?

- Przywieź go do Kolchiko.
  - To długa droga. Ciało może... – Daar Geen nie dokończył, gdyż ojciec przerwał mu bezceremonialnie.
  - Więc zabalsamuj zwłoki. Potem wyprawimy mu pogrzeb.
- Znowu na jakiś czas zapadło milczenie.
- To wszystko? – zapytał niepewnie.
  - Nie.
  - Co jeszcze?
  - Przywieź nowe noże do heblarki.
- Ojciec zawsze był praktyczny.

SUNNY SIEDZIAŁA przy stoliku w salonie. Od dwóch tygodni co rano budziła się w paryskim hotelu na Champs–Elysees i niezmiennie powtarzała sobie, że teraz nienawidzi tego miasta. Przed laty to właśnie do Paryża wyjechała z Hawele po tym, jak się poznali. Wówczas spędzili tu siedem cudownych dni. Byli w sobie zakochani po uszy, mieli po niecałe trzydzieści lat i uważali, że świat może ofiarowywać im tylko to, co ma najlepszego. W tym samym Paryżu straciła ukochanego, gdy wreszcie zaplanowali, że będą już żyć tylko dla siebie. Chcieli wierzyć, że znowu są młodzi, zaś świat przypominał sobie o tym, że niegdyś obiecał im ofiarować wszystko, co najlepsze.

– Daj mi jeszcze tylko miesiąc – poprosił Hawele – żebym dokończył wszystkie sprawy, które prowadzę z Berią.

Tak Hawele nazywał towarzysza Mikunina, który z ramienia centrali KGB nadzorował w Stanach Zjednoczonych jego działalność agenturalną. Niewysoki, korpulentny, z drucianymi okularami na nosie, z powodzeniem mógł być uważany za brata bliźniaka osławionego niegdyś szefa stalinowskiego KGB, Ławrientija Pawłowicza Berii.

Kiedy usłyszała pukanie do drzwi, była przekonana, że to służąca przyszła uporządkować jej apartament. Wstała, żeby otworzyć. W progu zobaczyła niskiego korpulentnego mężczyznę w drucianych okularach na nosie.

– Można? – Skłonił sztywno głowę.

Sunny wskazała fotel.

– Hawele wiele mi o pani opowiadał. Proszę pozwolić, że się przedstawię, Aleksander Pawłowicz Mikunin.

Więc jednak miał coś wspólnego ze stalinowskim szefem KGB – przynajmniej po otczestwie, pomyślała Sunny. Podała dłoń, którą gość ucałował z szacunkiem.

– Jeśli Hawele o mnie opowiadał, nie muszę się przedstawiać?

– Rzeczywiście, to zbyteczne.

Nie czekając na kolejne pytanie, Mikunin usiadł i zwrócił do Sunny twarz.

– Od dwóch tygodni o niczym innym nie piszą.

Beria położył przed nią dwie gazety, Libération i Le Monde. Każda z czołówek krzyczała wytłuszczonymi dużymi literami nagłówków: „Pucz Janajewa”. „Dywizja wojska kieruje się na Moskwę”.

– To miło, że pofatygował się pan specjalnie do mnie, żeby przynieść gazety i powiedzieć o kłopotach naszej ojczyzny. Tylko...

– Co to ma wspólnego z panią?

– Otóż to.

– Razem z Hawele mieliście do wykonania zadanie, które zleciły wam kierownictwa organizacji, dla których pracowaliście. W przypadku Hawele było to KGB, zaś w pani GRU, czyli II Zarząd Główny Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych ZSRR.

– Dlaczego powiedział pan: „Pracowaliście”. W przypadku Hawele to rozumiałe, jeśli zaś chodzi o moją osobę...

Sunny dostrzegła, jak Beria spogląda w stronę barku, w którym stały alkohole.

– Mam butelkę Gaston de Casteljac. Podobno to twój ulubiony cognac – nieoczekiwanie przeszła na „ty”.

– W porządku – Mikunin kiwnął głową.

– W takim razie napijemy się oboje.

Sunny naląła każdemu po solidne pół koniakówki. Nie zawiodła się, kiedy po powrocie do stolika zobaczyła zadowoloną minę Mikunina.

– Twoje zdrowie – Mikunin podniósł do góry kieliszek.

– Piję tylko za pamięć Hawele.

– W takim razie za niego.

Stuknęli się. Beria mlasnął głośno językiem. Przymykając oczy, zamruczał zadowolony, gdy przełykał bursztynowy trunek.

– Dlaczego, pytałaś, użyłem sformułowania „pracowaliście”? – Mikunin w końcu się odezwał.

– Aha.

– Dla ciebie, jak i dla mnie nie jest istotne, czy Janajew wygra czy przegra. W obu tych wariantach nasze rodzime organizacje ulegną daleko idącym zmianom.

– To ciebie przeraża?

– Do tej pory może sądziłaś, że jako prowadzący Hawele przywożę mu z centrali zlecenia nowych zadań i odbieram raporty z wykonanych prac.

– Dlaczego chcesz mi zdradzić swoje tajemnice?

– Muszę mieć kogoś, kto pomoże wykonać zadanie realizowane dotąd przez Hawele. Jest ważne dla naszej socjalistycznej ojczyzny. Może cię to śmieszy – dostrzegł drwiący wzrok Sunny – ale ja wierzę w ideę Wielkiej Rosji.

Przez chwilę patrzyła na Mikunina, ale tak naprawdę widziała Hawele.

– Mów – zdecydowała.

Przez następne dwadzieścia minut Mikunin dokładnie zrelacjonował nadzorowaną przez Hawele operację.

– To wielka sprawa – Sunny przytaknęła.

– Ufam ci. Moi szefowie spaliliby mnie żywcem, gdyby się dowiedzieli, że zdradziłem plan konkurencyjnej służbie.

– Ich już nie ma.

– Ale zadanie musi być wykonane. Jesteśmy już blisko celu.

– Czego oczekujesz ode mnie?

– Jako nowojorski marszand, Hawele był zasobnym człowiekiem. Jego pieniądze w rzeczywistości stanowiły ważne źródło finansowania akcji, którą realizowaliśmy. Przed laty na jego konta przychodziły pieniądze transferowane na Zachód z berlińskiego Vostok Banku. Potem, już jako szacowny marszand dbał, by w krwioobiegu naszych amerykańskich działań nie zabrakło gotówki. Brak funduszy, to właśnie nam dziś grozi. W efekcie może dojść do fiaska przedsięwzięcia, nad którym pracowałem z nim od lat. Nie mogę do tego dopuścić. Dlatego chciałbym, byś w imię pamięci Hawele, nie wspominając o mateczce Rosji, pokryła rachunki, które miał uregulować Hawele.

– Ile?

– Dwa miliony dolarów.

Sunny nawet nie spojrzała na Mikunina, choć wysokość sumy mogła wywołać zaskoczenie.

– W porządku – dopiła koniak. – Ale chcę mieć dokładne rozliczenie – uśmiechnęła się zimno. – W końcu jesteśmy na Zachodzie, gdzie ludzie bardzo sobie wierzą i jeszcze dokładniej patrzą sobie na ręce. Coś jeszcze?

– Leszczyński. Zgubiliśmy jego ślad.

– Chodzi o archiwum.

– Jest ono jednym z ważniejszych elementów tej układanki.

– Mam zamiar na kochankę Leszczyńskiego, która może mi go wskazać. Skontaktuję się, jak będę coś wiedziała.

Kiedy Sunny zamknęła drzwi, podeszła do okna. Przed domem stał samochód. Drzwiczki przed Mikuninem otworzył jakiś facet, którego fizjonomia skojarzyła się jej z lisią twarzą.

– DLACZEGO SUNNY chce ci pomóc znaleźć Andrzeja? – Helena podeszła do barku. Nalała sobie kieliszek wina. Odwróciła się do Anny i wskazała na butelkę, ale ta pokręciła przecząco głową. – Umożliwiła nam wyjazd z Nowego Jorku, ok. Wspomogła kasą, też ok. A co ją teraz obchodzą twoje problemy?

– Nie pytałam. Nic mi do tego. Może ma swoje powody. Może to nieładne, ale postanowiłam ją wykorzystać, w końcu jestem dziwką.

Helena wróciła na poprzednie miejsce we wnęce okiennej. Spoglądała przez okno, które wychodziło na Sekwanę. Po drugiej stronie rzeki wznosiła się koronkowa budowla Notre Dame. Kątem oka dostrzegła, że Anna zaczęła masować żołądek.

– Coś się stało?

– Niestrawność. Mdli mnie od wczoraj.

– Włóż do gardła dwa palce, wyrzuć to coś z siebie. I po kłopotcie.

– Będę musiała tak zrobić – Anna kiwnęła głową.

– A jeśli chodzi o Sunny... – Helena zamyśliła się na sekundę.

– To?

– Myślę, że nie jest ci potrzebna żadna Rosjanka.

– Możesz jaśniej? – Anna zmrużyła oczy przed słońcem, które nieoczekiwanie wyszło zza chmury.

Dla samej Heleny historia, którą zamierzała opowiedzieć Annie, była niemalym zaskoczeniem. Oto bowiem około dziewiątej rano usłyszała pukanie do drzwi gabinetu. Helena przywiązywała dużą wagę do pozorów. Dlatego każdego dnia, równo o ósmej, wchodziła do sekretariatu, w którym czekała już na nią Monique. Dziewczyna była bystra, więc z łatwością udawało jej się spławiać natrętów, domokrażców, naciągaczy i przypadkowo zabłąkanych turystów. W efekcie, jako prezes firmy kosmetycznej, która miała jeden zakład fryzjerski, Helena spędzała w biurze dwie godziny. W tym czasie mogła spokojnie przejrzeć gazety, napić się kawy i sprawdzić, czy jej poranny

makijaż nadal sprawia, że nie można oderwać wzroku od jej ładnej twarzy.

Dzisiejszego ranka wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to poranne pukanie.

Ki czort? – przebiegło jej przez głowę.

– Tak?

Drzwi odchyliły się i w progu stanęła niepozorna dziewczyna. Mogła mieć najwyżej trzydzieści lat. Jednak w jej fizjonomii było coś niepokojącego. Helena zrozumiała co, gdy tamta przeszła przez długi salon i stanęła na wprost biurka. Twarz przybyłej była w szramach po wcześniejszych okaleczeniach. Brzytwa albo nóż – szybko oceniła Helena, lecz nie dała po sobie poznać, że widok pochlastanych ostrzem policzków, czoła i brody uczynił na niej jakiegokolwiek wrażenie. Jeśli Monique wpuściła nieznajomą, najwidoczniej skłonił ją do tego ważny powód.

– Mam na imię Ronnie.

– A ja Helena – wskazała krzesło na wprost. – W czym mogę ci pomóc?

Dziewczyna zajęła miejsce i założyła nogę na nogę. Na nich również można było zobaczyć cieliste blizny.

– Co byś powiedziała, gdybym to ja pomogła tobie?

Helena skrzywiła ironicznie usta.

– Mówiąc między nami, jakoś sobie radzę – nie zważając na gościa, przysunęła sobie lusterko i rozpoczęła przegląd lewej brwi.

Ronnie nie odezwała się, dopóki Helena nie skończyła. Potem wytrzymała spojrzenie Heleny, w którym można było wyczytać pytanie: „Jeszcze tu jesteś?”.

– „Jakoś sobie radzę” – odezwała się wreszcie. Z każdego jej słowa kapła ironia. – Każda z nas w pewnym okresie życia mogła tak powiedzieć: Mam gdzieś cały świat. Wszystko idzie po mojej myśli. Jednak nie przyjechałaś tu z Polski dlatego, że tam brakowało ci ptasiego mleka. Nasz zawód nie należy do najbezpieczniejszych. Najczęściej

przyciąga męty o byczych karkach. Ci dranie nas terroryzują, zabierając wszystko, co w ciągu nocy zdołamy zarobić.

– Ktoś ciebie okradał?

Ronnie kiwnęła powoli głową.

– Chcesz powiedzieć, że możesz mnie uchronić przed takimi facetami?

– Nie tylko przed nimi.

Słuchając dziewczyny, Helena początkowo była przekonana, że ta mała przyszła ją szantażować. „Ja dam ci ochronę, a w zamian będziesz mi płacić...” Jednak szybko okazało się, że miała inną propozycję.

– Czyli jaką? – Anna spojrzała pytająco na Helenę.

– Ronnie uświadomiła mi prawdę, o której wiedziałam, ale kompletnie nie zdawałam sobie z niej sprawy. Jesteśmy wszędzie.

– My?

– Dziewczyny, które – chrząknęła znacząco – gotowe są ulżyć facetom w ich rozporkowej niedoli.

– No i...?

– Nasi kochankowie i chwilowi dosiadacze, ci wszyscy podwórkowi macho, kieszonkowi onaniści, smutne zwisy i ta cała reszta, która potrzebuje wypłakać się w naszych ramionach, oni wszyscy gadają jak najęci. Niemal każdy z nich, gdy tylko postaramy się w łóżku zaspokoić jego seksualne marzenia, gotowy jest zrobić dla nas wszystko. Innymi słowy, mamy władzę nad facetami.

– Coś w tym jest.

– Co jest w czym? – Do pokoju weszła Olga.

– Kupiłabyś sobie wreszcie luźniejszy stanik? – Helena westchnęła widząc, jak Olga poprawia piersi wysuwające się z miseczek biustonosza. – Kiedyś jadąc samochodem, wpadniesz w dziurę, a cycki wyskoczą i powybijają ci zęby.

– Zapomniałaś, że tu nie ma dziur w ulicach?



– Nie dokończyłaś – Anna skierowała uwagę Heleny na poprzedni temat.

– Ano właśnie – Helena zerknęła w stronę Olgi. – Mówię Ance o Ronnie.

– Aha – najwidoczniej Olga знаła temat, gdyż zajęła się opiłowaniem i tak już idealnych pazurów.

– Zatem – Helena zmarszczyła brwi, jakby szukała zdania, na którym ostatnio skończyła. – Kobieta zawsze pomoże drugiej, którą oszukał mąż, kochanek, którą bije ćpun, alfons czy chwilowy dobiegacz. Ostatecznie zaś cementuje nas pogarda, której doświadczamy. Faceci uważają dziwki za coś gorszego, bo nam płacą. Gardzą, żeby udawać, że nie są uzależnieni od naszych majtek. Do tego dochodzą ich żony. Te flądry nienawidzą nas, bo dajemy ich misiom to, czego one nie potrafią, nie chcą, lub co wstydzą się robić.

– Dobrze powiedziane – Olga przytaknęła.

– Czy któraś z tych pind z obrączką na palcu wie, co to hiszpański wiatrak? – Helena spojrzała pytająco.

W pokoju zapadła cisza. Pierwsza odezwała się Anna.

– Prawdę mówiąc... ja sama nie wiem.

Mina Olgi wskazywała, że ona również. Helena westchnęła zrezygnowana.

– Ja też. Wymyśliłam to teraz na poczekaniu. Ale racja jest i tak po mojej stronie.

Wszystkie wybuchnęły śmiechem.

– Długo zamierzasz krążyć wokół tematu? – spytała Anna.

– Ronnie ma kontakty w całym Paryżu. – Helena zerknęła w stronę pustego kieliszka. – Pracuje dla niej wiele dziewczyn, ale potrzebuje finansowego wsparcia. Do kogo więc miała się zgłosić, jak nie do koleżanki po fachu. Powiedziałam, że wchodzę w ten biznes jako współniczka.

– Dlaczego przyszła do ciebie?

– Okazało się, że kiedyś jej pomogłam. Rzeczywiście, pół roku temu dałam kilka tysięcy na porzniętą nożem dziewczynę. – Helena na sekundę zawiesiła głos. – Chcesz zniknąć, czy też kogoś znaleźć, odszukać lub odstrzelić, od dziś możesz zgłosić się do mnie. Ten biznes ma przyszłość. Powinnyście dołączyć do mnie.

– Z pistoletem poradzę sobie sama – rzuciła Anna. – Ale jeśli twoja Ronnie jest taka dobra, niech odszuka Andrzeja.

– Już to jej zleciłam.

## Rozdział 4

Andrzej przyjechał na spotkanie ze Schneiderem, na które umówił go Secundus. Przeszedł za strażnikiem przez długi sterylne biały korytarz. Skręcili w drugi łącznik. Zatrzymali się przed drzwiami, otwieranymi na kartę magnetyczną.

Strażnik wprowadził go do pustego pokoju i poprosił, żeby chwilę poczekał. Podeszedł do biblioteki z kilkunastoma książkami na półkach: „Podstawy programowania”, „Język HTML”, „Informatyczne pułapki”... Wszystko to były programistyczne podstawy, które już dawno miał za sobą.

Zobaczył włączony komputer. Podeszedł bliżej. Na ekranie toczyła się znajoma mu rozgrywka. Postać w stroju komandosa przyczoła się za krzakiem, żeby się ukryć przed nadchodzącym patrolem. Pamiętał, że zanim żołnierze podejną blisko, bohater powinien skoczyć za kępę krzewów po prawej stronie, a potem skryć się w skalnej jaskini. Andrzeja zaświerbiły palce, ale nie dotknął klawiszy. Kilkanaście sekund później bohater gry komputerowej został odkryty i zastrzelony. Pojawił się napis z pytaniem, czy program ma wznowić rozgrywkę. To był *Metal Gear 2*, druga odsłona przełomowej japońskiej gierki.

Do pokoju wszedł Secundus. Uśmiechnął się, gdy zobaczył Andrzeja przed monitorem.

– Jak ci się podoba?

W głosie Secundusa Andrzej usłyszał protekcyjny ton, który mu się nie spodobał. Z pewnością Amerykanin sądził, że oni, Polacy, dopiero zeszli z drzew i takich cudeniek jeszcze nie widzieli.

– Nic specjalnego – wzruszył ramionami, usiadł i okręcił się w fotelu w stronę Amerykanina.

– Żartujesz? Kolejna gra z takim pomysłem. A jaka odjazdowa grafika – Secundus zapalił się. – Od dwóch dni będę się, jak wyjść z kanionu. Co chwila natykam się na tych pieprzonych strażników i ginę. Można oszaleć...

Andrzej odwrócił się do ekranu i przysunął sobie klawiaturę. Wcisnął klawisz potwierdzający rozpoczęcie ponownej rozgrywki. Dwadzieścia minut później Solid Snake przedarł się niezauważony między posterunkami wartowniczymi. Leszczyński odwrócił się do stojącego mu za plecami Secundusa.

– Co masz taką minę?

Amerikanin sprawiał wrażenie, jakby próbował zresetować myśli, gdyż jego mózg najwyraźniej się zawiesił.

– Znasz *Metal Gear*?

– Od roku.

– Dobrze sobie radziłeś – w głosie Secundusa usłyszał niechętną pochwałę..

– Też tak myślę – mruknął obojętnie. – Według mnie gry komputerowe mają przed sobą cholernie ciekawą przyszłość. – Nie dopowiedział, że jakiś czas temu wsiąkł w zachodnią literaturę programistyczną. Planował nawet otwarcie usług informatycznych, ale przeszłość gwałtownie zapukała do jego drzwi. Wstał i poklepał Amerykanina po ramieniu. – Jak będziesz miał jeszcze jakieś kłopoty, to zadzwoń.

Secundus skrzywił się, słysząc w głosie Andrzeja protekcyjny ton.

– Nie dajmy Schneiderowi czekać – Secundus jakby przypomniał sobie o zwierzchniku.

Przeszli przez pokój przechodni i znaleźli się w gabinecie. Natan Benjamin Schneider uściskał mocno, po męsku dłoń Polaka. Andrzej dostrzegł na monitorze pokój z komputerem, z którego właśnie wyszedł. Schneider podążył śladem jego spojrzenia.

– Jesteś niezłym graczem.

– Lubię pana, więc podzielę się pewną refleksją. – Andrzej wskazał ruchem głowy na drzwi, za którymi właśnie znikli Secundus i Primus. – Są typowym produktem Ameryki. Wierzą w swój kraj i uważają go za najlepszy na świecie. To nic złego, tak trzeba myśleć o swojej ojczyźnie. Tylko że oni zatrzymują się na tej granicy, przekonani, że poza USA nic

nie istnieje. Dla nich w Moskwie czy w Warszawie po ulicach łażą białe niedźwiedzie, a przechodnie obowiązkowo noszą przy sobie kołki, żeby w dzień odganiać się od tych wrednych futrzaków, a w nocy od wampirów. Myle się? – Schneider nie odpowiedział, ale jego uśmiech sugerował, że nie. – Jeśli Ameryka jest tak wspaniała – Andrzej rozsiadł się na krześle – to jakim sposobem w rękach ludzi ze Wschodu znalazła się bomba atomowa i wodorowa? Powie pan, że ich plany zostały wam wykradzione. Skoro takie dzikusy jak my zdołały wam rąbnąć takie sekrety, to jesteście zadufanymi w siebie frajerami. Myślę, że nawet teraz – wskazał na drzwi – oni uważają, że siedzą ode mnie o gałąź cywilizacyjną wyżej. Proszę im powiedzieć, żeby zmienili w głowach kombinacje cyfr. Inaczej nigdy nie otworzą sejfów, w których schowane są klucze do sukcesu na Wschodzie.

– To niegłupie, pomyślę o tym. A jeśli chodzi o naszą ostatnią rozmowę. Miałeś się zastanowić, czy dobrze zrobiłem, obstawiając ciebie jako czarnego konia tej rozgrywki.

– To pokaże przyszłość. Na razie pański styl gry mi odpowiada. Przynajmniej mogę być pewny, że przed finalną rozsadą nie poświęci mnie pan za byle jakiego pionka.

Schneider kiwnął zadowolony głową. Polak nie miał zbyt wielkiego pola manewru i wybrał najdogodniejszą dla siebie opcję.

– Cieszę się, że będziemy partnerami, którzy choć mają do siebie ograniczone zaufanie wiedzą, że w kluczowych sprawach mogą na sobie polegać. – Otworzył szufladę biurka i wyjął niezbyt grubą książkę z wytartymi rogami. Podał ją Andrzejowi. – To pierwsze wydanie powieści *Maigret et le corps sans tête* George'a Simenona, z 1955 roku. Secundus niedawno powiedział Konarskiemu, że dostanie ten antykwaryczny rarytas od prawdziwego przyjaciela.

A zatem Andrzej znalazł kolejne potwierdzenie, że Schneider przewidział tę partię na kilkanaście ruchów naprzód.

NATAN ZAMKNAŁ za wychodzącymi drzwiami i stał jakiś czas z dłonią na klamce. Musi na niego uważać. Przyszło mu do głowy, że źle ocenił

Polaka. Był nie tylko twardym graczem, ale i szcwanym lisem. Ale miał jeszcze wystarczająco wiele czasu, żeby skorygować przyszłe działania.

Przeszedł do drugiej sali, gdzie Primus i Secundus siedzieli za długim stołem. Zajął miejsce u szczytu. Przesunął wzrokiem po asystentach. Nieoczekiwanie naszała go myśl: „Który pierwszy się zbuntuje?” Od obu wymagał pomysłów, ale i oczekiwał, że mając szacunek dla samych siebie, przeciwstawią się jego tyranii. Im jednak mocniej na nich naciskał, tym niżej schylali głowy. Czyżby się pomylił, wybierając na szefów dwóch zespołów?

Ten Polak podobał mu się coraz bardziej, a siedzący na wprost agenci mierzili coraz mocniej. A pracy nie ubywało, tylko przybywało. Z Rosji nadchodziły sprzeczne wiadomości w związku z puczem Janajewa. Sytuacja wydawała się poważna. W Moskwie dochodziło do dużych przetarasowań na szczytach władzy. Mieli informacje, że agenci na Zachodzie otrzymali sygnał czasowego zamrożenia wszystkich akcji. W efekcie aktywność ich ambasady w Paryżu praktycznie spadła do zera. Dziś rano dostał potwierdzenia, że podobnie rzecz ma się w innych stolicach zachodniej Europy, gdzie pod przykryciem placówek konsularnych działają sowieckie komórki wywiadowcze. Wszyscy czekali, kto wygra w Moskwie.

Natan zerknął na zegarek. Dochodziła jedenasta. Tęsknił za bezkofeinową kawą parzoną przez pannę Simmons. Odsunął na bok tę myśl. Nie pomagała w koncentracji.

KIEDY ANDRZEJ wyjeżdżał z garażu krętym ślimakiem, zerknął na zegarek. Dochodziła jedenasta. Za pół godziny dojedzie do Luwru. Kiedy usłyszał o Konarskim, zrozumiał, że dokonał najlepszego wyboru z możliwych. Schneider był niebezpieczny. Jedynym błędem, który popełniał, była bezgraniczna wiara, że wyszkoleni przez niego Primus i Secundus nie tylko są jego intelektualnym odbiciem, ale że są mu wierni jak psy.

Lojalność nie jest już w cenie, pomyślał Leszczyński. Z drugiej strony lojalność zanika, gdy się jej nie docenia. Ze słów Schneidera wynikało, że nie mieli trudności w zwerbowaniu Konarskiego. Nie ma się czemu dziwić. Komuna porzuciła swoich dawnych popleczników, a

nowa władza nie chciała widzieć czerwonych na kluczowych stanowiskach za granicą. A ludzie zdążyli się już przyzwycząić do dolarowych apanaży, które w Polsce warte były górę pieniędzy. Czy na ten właśnie haczyk złapano Konarskiego?

Powiedziano mu, że co niedziela, w południe, zastępca attaché kulturalnego ambasady w Paryżu parkował na Rue de l'Admiral de Coligny. Potem siadał przy tym samym stoliku w Cafe du Pont Neuf. Zjadał obiad. Wypijał lampkę czerwonego wina i ruszał między stragany paryskich bukinistów, którzy handlowali nad Sekwaną.

Andrzej zwolnił, gdy zobaczył przed sobą uliczny wypadek. Stojący na jezdni policjant dał znak, żeby objechał łukiem rozbity motor.

DWA DNI PÓŹNIEJ zaparkował nieopodal Sekwany. Popychając zderzakiem auto przed sobą, a potem ustawione z tyłu, wyrobił sobie przy krawężniku wystarczająco miejsca.

Wysiadł i ruszył w stronę kawiarni. Kiedy stanął w progu, dostrzegł Konarskiego. Z wyglądu był przeciętnikiem, który nie przepadał za najnowszymi trendami mody. Choć zarazem nie można było odmówić jego ubraniu dyskretnej elegancji. Przystrzyżony niezbyt krótko, jak większość mężczyzn w Paryżu. Twarz zwykła, wygolona. Zarost mógł go wyróżnić, a zastępca attaché kulturalnego ambasady w Paryżu wolał pozostać w cieniu. Ot, jeden z szarych punktów w szarym tłumie, zawsze chodzący zacięzioną stroną ulicy.

Z przekazanej Andrzejowi charakterystyki wynikało, że facet skończył romanistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim. Był zapalonym kolekcjonerem francuskich powieści kryminalnych. Jego ulubionym pisarzem był George Simenon. No i był ostatnim z dawnych towarzyszy, którego pozostawiono w paryskiej placówce, mimo że należeli do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

Zajął miejsce kilka stolików dalej. Zamówił kawę.

Kiedy piętnaście minut Konarski wyszedł, Andrzej zostawił na spodku należność za kawę i ruszył śladem agenta. Kilka minut później stanął obok niego przy jednym ze stoisk bukinistów przy stojaku z plakatami z lat dwudziestych. Ich oczy spotkały się. Konarski

uśmiechnął się zdawkowo, dostrzegł jednak w oczach Andrzeja coś, co zatrzymało jego uwagę.

– My się znamy?

– Skąd to przypuszczenie? – Andrzej udał zdziwienie.

– Przyglądał mi się pan już w kawiarni. Potem szedł moim śladem – Sylwester Konarski wydawał się rozluźniony i zrelaksowany.

– Mamy wspólnych znajomych.

– To interesujące – Konarski odsunął od siebie stojak. Zrobił to w taki sposób, żeby móc rozejrzeć się wokół.

– Jesteśmy sami – uspokoił go Andrzej.

– Dlaczego sądzi pan, że mógłbym...

– Jest pan attaché ambasady polskiej, choć w rzeczywistości działa na terenie Francji jako agent polskiego wywiadu.

Konarski patrzył na Andrzeja obojętnie, jakby ten mówił o kimś trzecim.

– Jestem agentem? – Udał rozbawienie. – Interesujące.

– Podobnie jak ja.

– Pan również? – Tym razem roześmiał się głośno.

– Moim szefem był generał Sulimowicz.

– Chyba nigdy nie słyszałem tego nazwiska – attaché powiedział pewnym głosem.

Konarski miał zamiar odejść, kwitując spotkanie lekceważącym wzruszeniem ramion. Działał zgodnie z procedurami. W końcu Andrzej mógł być francuskim prowokatorem, albo został wysłany z Polski w celu sprawdzenia jego lojalności.

Nim to zrobił, Andrzej wyjął z kieszeni książkę Simenona.

– Znajomy wspominał, że szuka pan pierwszego wydania *Maigret et le corps sans tête* George'a Simenona, z 1955 roku. Oto i one. – Konarski był najwyraźniej zaskoczony. – Jest pańska. Czy teraz poświęci mi pan swoją uwagę?



Attaché jakby od niechcienia zamknął palce na okładce kryminału.

– Dziękuję za miły prezent – uśmiechnął się szeroko – ale nadal uważam, że musiał mnie pan z kimś pomylić.

– Na wewnętrznej stronie okładki – powiedział – znajdziesz numer mojego telefonu. Zatrzymałem się w hotelu Ibis w Wersalu. Będę czekał na ciebie o dwudziestej.

WIECZOREM, DOKŁADNIE z wybiciem godziny ósmej, w pokoju hotelowym zadzwonił telefon. Andrzej od razu rozpoznał w słuchawce głos Konarskiego.

– Jestem na dole.

Andrzej odłożył słuchawkę. Przed wyjściem rozejrzał się po pokoju, sprawdzając, czy przypadkiem czegoś nie zostawił. Z szuflady komódki wyjął ostry szpikulec bagnetu. Umocował go na stalowej prowadnicy, która była przywiązana rzemieniami do przedramienia prawej ręki. Powoli naciągnął sprężynę mechanizmu wyrzutowego. Szczęknęły zatrzaski zaciśnięte na ostrzu. Zsunął rękaw. Wystarczyło teraz, by gwałtownie odchylił dłoń do tyłu, a z rękawa natychmiast wystrzeliłby stalowy kolec bagnetu. Nałożył marynarkę.

Zszedł do recepcji i poprosił o wystawienie rachunku. W recepcyjnym saloniku czekał Konarski. Podali sobie ręce na powitanie. Andrzej wskazał drzwi wyjściowe.

– Chodźmy na spacer.

Kiedy wyszli z hotelu, Andrzej wskazał na opla.

– Wracając do Paryża, omówimy nasze sprawy.

Konarski prawdopodobnie spodziewał się innego rozwoju sytuacji, ale nie dał po sobie poznać, że w jakimkolwiek stopniu zburzyło to jego wewnętrzny spokój. Wsiedli do środka.

– Na tylnym siedzeniu jest koperta. Znajdziesz w niej kilka mikrofilmów.

Andrzej włączył silnik i ruszył.

– Skąd pewność, że masz resztę?

– Niestety, nie mogę zaproponować kolejnej koperty z ponad ośmioma tysiącami. Jeśli zatem masz trudności ze swoją wiarą... – zwolnił – możesz wysiąść.

– Po co te nerwy?

Konarski odłożył kopertę na tylne siedzenie. Przyszło mu do głowy, że nadal jest ulubieńcem losu. Oto przed dwoma miesiącami dostał informację, że Warszawa zamierza zdjąć go ze stanowiska i we wrześniu wróci do kraju. Nie łudził się, że dostanie propozycję dalszej pracy w ministerstwie. I tak mógł mówić o farcie. Tacy jak on, z czerwoną przeszłością, w większości po wylądowaniu na Okęciu wsiadali w autobus, wracali do swoich domów i czekali na pierwszy przekaz z emeryturą.

Prawdę mówiąc, już pogodził się z tą myślą. Najbardziej było mu żal antykwariuszy rozkładających stragany nad Sekwaną i nieskompletowanego zbioru wydań Simenona. No cóż, wszystko kiedyś ma swój kres.

O tym, że komuna się skończyła, dowiedział się 7 kwietnia 1989 roku, kiedy to Sejm zmienił ordynację wyborczą oraz dokonał nowelizacji konstytucji. Dziesięć dni później Sąd Najwyższy ponownie zarejestrował *Solidarność*. Dalej wypadki potoczyły się już błyskawicznie. 4 czerwca komuniści przegrali wybory do Sejmu. Odtąd z podobnymi doń towarzyszami Sylwester Konarski zaczął ześlizgiwać się po równi pochyłej. Nim spadł w niebyt, na jego drodze stanął Amerykanin. Teraz Konarski zamierzał udowodnić, że zasłużył na zaufanie, którym obdarzono go dziesięć lat wcześniej, gdy został amerykańskim śpiochem. Miał w dupie Polskę, podobnie jak ona miała jego.

Kiedy zadzwonił do Warszawy pod wskazany numer, jego propozycja została potraktowana z niemal obojętnym lekceważeniem. Był tym zawiedziony. Kilka dni później zorientował się, że zaczęto go sprawdzać, czy rzeczywiście jest tym, za kogo się podaje. Tym razem skontaktowała się z nim druga strona przez bezpieczny kanał łączności. W jaki sposób kościelni dorwali się do rządowych łączności nie miał pojęcia, i było mu to absolutnie obojętne. Ważne, że w końcu otrzymał wszelkie

pełnomocnictwa do prowadzenia rozmów w sprawie archiwum, o którym powiedzieli mu Amerykanie.

– Czy mógłbym przy tej okazji mieć osobistą prośbę do Jego Eminencji? – Spytał wówczas bezceremonialnie.

W słuchawce zapadło niechętnie milczenie.

– Jaka?

– Chciałbym jeszcze zostać w naszej ambasadzie w Paryżu. Powiedzmy na dwa lata.

– Chyba jest to możliwe.

Rozległ się sygnał rozłączonej rozmowy, a on pomyślał, że gdyby miał dobrą pamięć, to odmówiłby dziękczynne „Ojcie nasz”, którego niegdyś uczyła go matka.

Konarski wrócił do rzeczywistości, gdy koła samochodu zapiszczały na zakręcie.

– Jak w kraju zareagowano na moją propozycję? – Andrzej zerknął przelotnie na pasażera.

– Nie musi się pan już o nic martwić. Mam wszelkie pełnomocnictwa, żeby w satysfakcjonujący dla obu stron sposób sfinalizować całe przedsięwzięcie. Oczywiście wcześniej chciałbym usłyszeć pańskie warunki.

Andrzej uśmiechnął się w duchu. Konarski był „tłustym lisem”. Tak w ich slangu nazywano agentów, którzy obrośli tłuszczem i nie nadawali się już do łowów, choć nadal byli przekonani, że są w czołówce prowadzących polowania. Bardzo łatwo można było im wcisnąć każdą bajeczkę. Na przykład tę, że Leszczyński jest naiwniakiem, który uwierzy, że dostanie to, co chce.

– Nie są wygórowane. Dwa miliony dolarów przelewem na wskazane bankowe konta. Przyznasz, że to nie jest wysoka cena za święty spokój?

– Zależy, czy spojrzymy na to od strony płacącego czy beneficjenta. Milion.

– Nie targuj się ze mną – głos Andrzeja stał się zimny i twardy. – Nie mam budki z warzywami, a ty nie spotkałeś się ze mną przypadkowo.

Jeśli teraz usłyszę od ciebie inną propozycję, cena mikrofisz automatycznie skoczy o pięćset tysięcy. Tak będzie za każdym razem, gdy usłyszę słowo „nie”.

– Możemy wszystko spokojnie omówić, bez takich kategoryczności?

– Chciałeś, żebym przedstawił ofertę. Poza tym jestem patriotą, więc doceniam moją dobrą wolę i stosunkowo niską cenę.

– Patriotą?

– Czy według ciebie słowo „patriota” oznacza, że człowiek przepełniony miłością do ojczyzny przez całe życie powinien chodzić z gołą dupą? – Moment później zachnął się, uderzając dłonią w kierownicę. – No tak... zapomniałem, że wy komuniści przez całe życie służyliście tylko wielkiej sprawie, nie odkładając sobie na boku choćby kęsa z pięćdziesięcioletniej uczty zorganizowanej pod szyldem Polska Rzeczpospolita Ludowa.

– Po co ten sarkazm?

– Pięć milionów.

– Pięć? – Konarski niemal zachłysnął się własnym głosem. Przez chwilę Andrzej miał wrażenie, że przeszarżował. Jednak jego zachowanie mieściło się w wymyślonym profilu osobowościowym. – Dobrze, pięć – Konarski zgodził się z udanym namysłem. – Kiedy dostaniemy mikrofisz?

– Za tydzień. W końcu nie macie pod ręką pięciu baniek, a ja nie trzymam mikrofisz pod siennikiem materaca.

Andrzej włączył radio. Z głośnika popłynęło *Indiańskie lato*, Joe Dassin.

– *On ira où tu voudras, quand tu voudras...* – Andrzej zanucił z udaną swobodą refren ze śpiewającym.

Dopiero teraz napięcie ostatnich godzin powoli zaczęło spadać. Andrzej poczuł jak pod koszulą, po piersi, bardzo powoli, ścieka kropla potu.

BENIAMIN SCHNEIDER został obudzony telefonem o piątej nad ranem. Był zły, gdyż dopiero godzinę wcześniej zdołał wreszcie zasnąć. Kiedy jednak przez bezpieczną linię telefoniczną usłyszał o rosyjskim zbiegu, przetrzeźwiał w jednej sekundzie. Oto z ambasady w Montevideo uciekł rosyjski agent wywiadu wojskowego. Najwyraźniej po puczu Janajewa facet doszedł do wniosku, że ma szansę wyrwać się na wolność.

Po zmyleniu tropu współpracowników, agentowi GRU udało się dostać do amerykańskiej ambasady, gdzie poprosił o azyl. Poddano sprawdzeniu jedną z przekazanych przez niego informacji. Brzmiała równie sensacyjnie, co nieprawdopodobnie. Dlatego obudzono Schneidera, bo to właśnie on był fachowcem od zajmowania się messages impossible, czyli nieprawdopodobnymi informacjami.

Pomyślał o swoim asie atutowym, agencie, którego wybudził po dziesięciu latach oczekiwania na sygnał. Jak dotąd Bóg mu sprzyjał. Ale żeby tak było, wcześniej musiał solidnie się napracować.

Piętnaście minut później Primus i Secundus fundowali sobie lodowaty prysznic, żeby przystąpić do zbierania informacji na zadany temat. Dostali na to tylko trzy dni.

## Rozdział 5

General Sulimowicz siedział za biurkiem w gabinecie i wpatrywał się w wiszący na ścianie obraz olejny. Przedstawiał różnokolorowe kwadraty, trójkąty i sześciąty. Wpisane jedne w drugie, miały wywoływać u widza twórczy niepokój. Tak przynajmniej twierdził artysta. Gdyby pacykarz dostał pałą przez gołe plecy, z pewnością zmieniłby zdanie i przyznał, że nie potrafi malować, a idea obrazu została dorobiona przez niego post factum. Generała wkurzało malowidło, ale nie nakazał, żeby zastąpiono je innym. To dziwne, jak obrazy wiszące na ścianach urzędów państwowych zawsze dokładnie odzwierciedlały ducha danej epoki.

Pamiętał ten gabinet, gdy jeszcze zasiadał w nim ktoś inny. W latach sześćdziesiątych ze ściany na wprost uśmiechała się dorodna dziewczyna, która w mocnych dłoniach trzymała złocisty snop zboża. Obok Jagny czy też Zochy stał równie dorodny syn chłopski z sierpem w dłoni. Wieśniaczka miała złotą skórę, podobną do trzymanyh w dłoniach kłosów. Jej rozpromieniona twarz zdawała się obiecywać rządzącej partii zwiększenie wydajności na ziemiach pegeeru, zarówno w kwintalach zboża jak i dzieciach, urodzonych w przyszłym planie sześćioletnim.

Potem dziewczyna zamiast snopka trzymała w dłoni klucz monterski. W latach siedemdziesiątych szła w kwiecistej sukience przez kolorowy warszawski Nowy Świat. W 1981 założyła mundur Wojsk Ochrony Pogranicza, a teraz... Teraz na ścianach urzędów, jak i w życiu codziennym, dominowała sraczka, w której artyści unikali koloru czerwonego.

Na biurku zadzwieczętał interkom. Podniósł słuchawkę.

– Tak?

– Prosił pan, żeby przypomnieć, kiedy będzie godzina dwudziesta.

– Dziękuję. Jesteś już wolna. Tylko powiadom kierowcę, że niedługo zejde na dół.

– Oczywiście, panie generale.

Wstał z miejsca i przeciągnął się z cichym mručeniem. Podeszedł do okna, za którym wolno zapadał letni zmierzch. Miał już dosyć szarpaniny. Musi tylko dokończyć tę ostatnią sprawę. Potem odejdzie na emeryturę.

Wyszedł z gabinetu i zjechał windą do podziemnego garażu. Przy samochodzie czekał już kierowca. Otworzył przed nim drzwi. Zawarczał silnik. Ruszyli. Wyjechali z podziemia, minęli posterunek wartowniczy i wkrótce jechali Puławską.

– Co tam, Władeczkule, w eleganckim świecie?

– Niestety, panie generale, jeszcze nie bywam na salonach – zarechotał kierowca.

– Obiecałeś wczoraj, że opowiesz mi najnowszy kawał.

– Się robi, panie generale. O Lechu może być?

– Dawaj.

– No więc, kiedy Wałęsa poczuł, że będzie umierać, zebrał wszystkich najbliższych współpracowników i tak mówi: – Słuchajcie, musicie dla mnie znaleźć jakiś dobry grób. Tylko nie byle jaki. W końcu to ja obaliłem komunizm w Polsce. Załatwcie mi kwaterę na Wawelu, mamy tam znajomych zakonników, kogoś się wyjmie z krypty, odmalujecie podziemia i będzie dla mnie jak trzeba. Chłopaki pojechali, załatwili, wrócili do Lecha. On jednak mówi: – Wiecie, tak sobie leżę i myślę, że właściwie to ja obaliłem komunizm w całej Europie Wschodniej. No i z tej perspektywy ten Wawel, to jakby za mało. Watykan będzie w sam raz. Załatwcie, w końcu mamy przecież tam swojego papieża. Chłopaki z trudem, ale załatwili. Wrócili, a Wałęsa mówi: – Wiecie, tak sobie myślę, że dzięki mnie komunizm padł prawie na całym świecie, Watykan to za mało. Jedźcie do Jerozolimy, tam jest taki grób. On od dwóch tysięcy lat jest pusty. Będzie akurat. Chłopaki pojechali, długo ich nie było, wreszcie wracają i mówią: – Lechu, załatwione, ale wiesz, w Jerozolimie są Żydzi i oni chcą zrobić na tym interes. To będzie kosztować milion dolarów. Wałęsa podnosi się z łoża boleści ostatkiem sił i woła: – Co? Milion dolarów? Za trzy dni leżenia?

Generał zachichotał.

– Niezłe, Władeczku. Ludzie nikogo nie oszczędzą – Sulimowicz przytaknął głową sam sobie. – Niedawno Lechu był nietykalny, bohater. A dziś już ktoś zdrapuje świeżą farbę na jego posągu.

– Dla ludzi nie ma nic świętego.

– Ano nie ma. Wiesz, Władeczku, co kiedyś Piłsudski powiedział o Polakach?

– Ja się urodziłem w czasach ustroju powszechnej szczęśliwości, panie generale, więc niby skąd miałbym.

– Kiedy Naczelnik z wojskami wkraczał na teren Królestwa Kongresowego i ludzie zamykali przed nimi drzwi domów, podobno zawołał do legionistów: „Naród wspaniały, tylko ludzie kurwy”. Ktoś to podchwycił i do pieśni „My Pierwsza Brygada” dopisano nową zwrotkę.

*Nie chcemy już od Was uznania*

*Ni Waszych mów, ni waszych łez.*

*Skończyły się dni kołatania*

*Do waszych serc – jebał was pies!*

– Myśli pan, że będą o tym uczyć w szkołach?

– Ależ skąd, Władziu. Przecież wszyscy święci, jakby zajrzeć im w majtki, to nawet nie mają czym się odlać, takie są porządne. A Piłsudski zastąpi Polakom Lenina.

– Mnie tam, panie generale, polityka nigdy nie obchodziła. Niech tylko wreszcie będzie można coś kupić w sklepach.

Dwadzieścia minut później kierowca wykręcił na ślimakowaty podjazd. Przed pałacem biskupim kolorowiały kwiatowe rabaty. Na odgłos nadjeżdżającego samochodu, w drzwiach pojawił się młody kleryk.

Generał wysiadł z samochodu. Stojący w progu skłonił przed Sulimowiczem głowę w geście powitania.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – księżulo zaciągnął cienko, jakby był na początku mutacji głosu.

– Niech będzie, niech będzie – odpowiedział obojętnie.



Ruszył za duchownym znaną sobie drogą. Przeszli długim holem w stronę schodów. Tu na jednej ze ścian zobaczył obraz Prymasa Wyszyńskiego. Podczas pierwszych odwiedzin dowiedział się, że namalował go Wymyk. Weszli na piętro. Idący przodem otworzył drzwi do prywatnych apartamentów Jego Eminencji. Duchowny siedział w głębokim fotelu na wprost otwartego na ogród tarasowego okna.

– Witam pana generała.

– Niech Będzie pochwalony Jezus Chrystus.

– Myślałem, że już nigdy katolickie powitanie nie przejdzie panu przez usta – zażartował korpulentny duchowny i wskazał taras. – Przygotowano dla nas wieczorną kolację. – Zerknął na Sulimowicza. – Mam nadzieję, że zje pan ze mną?

– Znając umiejętności kucharza Waszej Eminencji, wołałem darować sobie dzisiejszy obiad.

– Mam nadzieję, że nie było to zbyt duże poświęcenie? Chyba nie żywi się pan w stołówce zakładowej?

– Już nie, chociaż... – generał nie dokończył, ale widząc uniesione pytająco brwi Jego Eminencji, dokończył: – Czasami chciałbym do niej wrócić. Nawet mógłbym znowu czekać w kolejce po talerz i mielonego a la podeszwa. Pod warunkiem, że znów będę miał trzydzieści lat.

Duchowny uśmiechnął się ze zrozumieniem.

– To były czasy późnego Gomółki?

– Ależ skąd, Eminencjo. – Sulimowicz pokręcił przecząco głową. – Ja nieco inaczej patrzę na tamte lata. To były czasy mojej późnej młodości lub wczesnego wieku średniego.

– Mówiąc między nami – biskup położył Sulimowiczowi przyjaźnie dłoń na ramieniu – ja też nie miałbym nic przeciw takiemu obrotowi sprawy.

Roześmieli się i wyszli na taras. Czekał już na nich stół nakryty białym obrusem. Fotele ustawiono jeden obok drugiego.

– Będziemy mieli lepszą możliwość swobodnego porozmawiania – biskup wskazał Sulimowiczowi miejsce po prawej. – Jako gospodarz

gwarantuję pełną dyskrecję spotkania.

Sulimowicz zadał sobie w duchu pytanie, skąd to zapewnienie i poważnie wpatrzone weń oczy, które najwyraźniej miały słownemu przekazowi dodać powagi.

Kiedy dziś rano sekretarka poinformowała go o telefonie z pałacu biskupa, trochę się zdziwił. Osobisty sekretarz pytał, czy wieczorem Sulimowicz znajdzie czas dla Jego Eminencji. Sposób, w jaki go zapraszano, zwłaszcza pośledniość dzwoniącego księżulka, była wyraźnym sygnałem, kto będzie nadawał ton rozmowie. Sulimowicz nazywał to wprost – hierarchią dziobania. Generał odrzuciłby zaproszenie, gdyby nie wspomniano, że głównym tematem rozmowy będą sprawy amerykańskie ściśle powiązane z obecną sytuacją w Polsce.

Z pewnością w zaproszeniu nie chodziło o jedną z nowojorskich parafii i rezydującego tam księdza, którego akta tajnego współpracownika niedawno przekazał duchownemu. Z informacji Sulimowicza wynikało, że ksiądz Stefan przestał pełnić posługę kapłańską. Tę sprawę rozwiązano szybko i dyskretnie, bez zbędnego rozgłosu. O czym zatem biskup chciał z nim mówić?

Podziękował księdzu za podjęty trud i poprosił, żeby szczegóły spotkania omówił z sekretarką. Nie żegnając się, odłożył słuchawkę. Jeśli obrażony duchowny przerwie połączenie, okaże się, że pilność sprawy była mierna i nie należy sobie zawracać nią głowy. Kilkanaście minut później sekretarka poinformowała, że jest umówiony na dzisiejszy wieczór.

Teraz generał usiadł na wskazanym przez biskupa miejscu.

– Co z księdzem Stefanem? – Rzucił od niechcienia.

– Postanowiliśmy, że zostanie w Stanach. – Biskup nie zamierzał informować generała o śmierci kapłana z przedawkowania narkotyków. Poza tym słowa: „Postanowiliśmy, że zostanie w Stanach...” nie miały się z prawdą. Pochowano go na jednym z tamtejszych cmentarzy zakonnych. – Tak będzie najlepiej dla nas wszystkich, którzy zetknęli się z tą sprawą – podsumował hierarcha.

– Nas?

– Dokładniej Matki naszej, Kościoła, który – ksiądz skłonił przed nim głowę – potrafi docenić oddane mu przysługi.

Generał machnął obojętnie ręką, jakby chciał powiedzieć: „Ależ nie ma o czym mówić”.

– Myślę, że obowiązkiem każdego uczciwego Polaka jest ochrona Kościoła przed pomówieniami i obmową złych ludzi.

– Proszę się częstować – Jego Eminencja wskazał na jeden z półmisków. – Zdradzę panu sekret. Ta sałatka ze szparagami i serem camembert jest boska.

– Jeśli ksiądz biskup używa słowa „boska”, to jest to dla mnie wystarczającą rekomendacją.

Chwilę później Sulimowicz uniósł oczy w szczerym zachwycie, gdy spróbował śmietanowo–łososiowego tagliatelle.

Kiedy nasycili pierwszy głód, biskup polecił, żeby kuchnia poczekała z przygotowaniem pikantnej tarty. Wstał od stołu i sięgnął do kieszeni po papierosy. Sulimowicz domyślił się, że nadszedł czas właściwej rozmowy. Zeszli na dół. Kiedy ruszyli żwirowaną alejką, generałowi przyszło do głowy, że jeszcze nie tak dawno w tym miejscu chrzęścił im pod butami śnieg.

– Drogi przyjacielu – biskup zaciągnął się camelem – nie raz już dał pan dowód, że mimo przeszłości bliskie jest panu dobro domu Bożego.

Sulimowicz skłonił w milczeniu głowę. Obaj nie wierzyli w wypowiedane przez siebie ładnie brzmiące słowa. Jednocześnie zdawali sobie sprawę, że bez nich trudniej byłoby im dojść do porozumienia.

– W czym teraz mógłbym być pomocny?

– Tym razem chyba role się odwróca.

– Co Jego Eminencja ma na myśli?

– Widzi pan, generale, pewna osoba, która wyrzekła się przeszłości i wróciła na łono Pana naszego dała dowód odzyskanej wiary.

– Cóż za godna pochwała przemiana. – Generał skrzywił się w duchu.

– Rzecz tyczy archiwum, które wywieziono z Polski w czasach, gdy prawdziwi patrioci siedzieli jeszcze w więzieniach, a ci, którzy się za nich uważali... – Biskup rzucił papierosa na ziemię i zgniół go czubkiem półbuta. – Zresztą, dajmy już pokój przeszłości.

Kiedy Sulimowicz jechał do pałacu biskupa, wydawało mu się, że jest na wszystko przygotowany. Mylił się. Na dźwięk słowa „archiwum” miał wrażenie, że zakręciło mu się w głowie.

– Przysiadziemy na tej ławce. Tak tu pięknie pachną kwiaty – skłamał.

Zajęli obok siebie miejsca, a Sulimowicz zamknął oczy, jakby napawał się zapachami bijącymi z głębi ogrodu. W rzeczywistości próbował opanować gonitwę myśli.

– Dowiem się szczegółów? – Powiedział na głos, gdy już był pewien, że jest w stanie opanować drżenie głosu.

Biskup nie bez satysfakcji dostrzegł, że jego słowa wywołały na gościu wrażenie. Właśnie na to liczył.

– Mówiąc najprościej, istnieje możliwość przejęcia przez naszego człowieka archiwum, które z pewnością szukają nadzorowane przez pana służby. Mylę się?

Sulimowicz przytaknął.

– Niestety, Sowieci zwerbowali w naszych szeregach osobę, która miała ułatwić im przechwycenie najważniejszych akt przechowywanych w archiwum MSW. Na szczęście w porę dowiedzieliśmy się o kopiowaniu mikrofilmów przez niejakiego Siejkę.

– Jednak akcja nie do końca się powiodła i straciliście z oczu dokumenty.

– W jaki sposób moglibyśmy je teraz odzyskać? – spytał generał.

– Osoba, która skontaktowała się z naszym człowiekiem i która może je dostarczyć zażądała gratyfikacji. Niestety nie stać nas na zapłacenie tak wysokiej sumy – biskup westchnął i rozłożył bezradnie dłonie.

– Jak wysokiej?

– Osiem milionów dolarów.

– Myślę, że jesteśmy w stanie podołać temu ciężarowi – stwierdził Sulimowicz. – Proszę przekazać nam kontakt do tego człowieka, a my już...

– Rzecz w tym, że owa osoba ufa tylko nam. Według niej pośrednictwo Kościoła daje gwarancje, że transakcja zostanie przeprowadzona rzetelnie i uczciwie.

Kurwa jego mać, Sulimowicz zaklął w duchu. Co ten dziad z pedalskimi fioletowymi guzikami przy sutannie pierdoli o uczciwości?

– Co się stanie – generał posłodził głos – jeśli właściwa suma zostanie przekazana Waszej Eminencji?

– Ależ nie chcę mieć nic wspólnego z żadnymi pieniędzmi. My tylko wskażemy konto, na które dokonacie przelewu – stwierdził hierarcha.

– Co wówczas?

– Delegowany przeze mnie ksiądz odbierze archiwum, które następnie przełożymy w wasze ręce.

– Czy to nie będzie dla owego księdza zbyt niebezpieczne? – Zaniepokoił się generał.

– Od dwóch tysięcy lat Kościół zмага się z niebezpieczeństwami nie zawsze przyjaznego mu świata i jak dotąd trwamy na Chrystusowej niwie.

Sulimowicz zadał sobie w duchu pytanie, dlaczego jest wściekły na biskupa. W końcu dostanie to, co stracił.

Wstali z ławki i ruszyli na dalszy spacer.

Sulimowicz spojrzął kątem oka na idącego obok. Biskup niedawno skończył sześćdziesiąt cztery lata. Czy po tym jak zorientował się, co los zesłał w jego ręce zaczął myśleć o sakrze kardynalskiej? A może jeszcze taka ewentualność nie przyszła mu do głowy? Wątpliwe. Archiwum, które każe skopiować i wiedza w nim zawarta mogą go wynieść wysoko. Gdyby drepczący obok grubasek o fizjonomii Świętego Mikołaja nie skorzystał z nadarzającej się okazji, okazałby się głupcem. A Sulimowicz nie raz już się przekonał, że ten klecha do głupców nie należał.

Należało zatem liczyć się z tym, że biskup oraz wybrani hierarchowie poznają tajemnice, o których wielu z dawnych opozycjonistów, a dziś ludzie nowej władzy wolałoby zapomnieć. Cóż, nie ma człowieka bez skazy.

Dzięki zdobytemu archiwum Kościół dostanie realną władzę i możliwość wpływania na decyzje podejmowane w ministerstwach, gmachu rady ministrów czy pałacu prezydenckim.

– Mam nadzieję – biskup zwolnił kroku i spojrzał pytająco na generała – że w tej sprawie wszystko już ustaliliśmy?

– Tak. W chwili, kiedy ksiądz przekaże mi numer konta, dokonamy stosownej wpłaty. Potem będziemy czekać cierpliwie na przekazanie nam naszej własności. Chciałbym jednak dodać, że... Nie bardzo wiem jak to... hm... powiedzieć.

– Tak?

Sulimowicz przystanął i spojrzał biskupowi głęboko w oczy.

– Otóż owa cierpliwość nie powinna być wystawiana na zbyt długą próbę.

– Proszę się nie martwić – duchowny położył generałowi uspokajająco dłoń na ramieniu. – Z pewnością kilka dni nam wystarczy, żeby dokumenty przewieźć do kraju i przekazać je w pańskie dłonie.

– Doskonale – Sulimowicz rozciągnął usta w udawanym zadowoleniu.

– W związku z naszym spotkaniem miałbym do pana, generale, jeszcze jedną prośbę.

– Jeśli mogę być w czymś pomocny...

– Otóż w czasie ostatniego posiedzenia episkopatu, w gronie kilku dyskutantów, zadaliśmy sobie pytanie, oczywiście na użytek własnych przemyśleń... – hierarcha zawiesił głos.

– Jakże?

– Chodzi o Rzecznika Praw Obywatelskich, profesor Łętowską. Jej wniosek odrzucono w Trybunale Konstytucyjnym.

– Wniosek dotyczący niezgodności instrukcji ministerstwa edukacji w sprawie powrotu nauczania religii do szkół. – Upewnił się generał.

– Nie inaczej.

Podczas wczorajszej narady u ministra spraw wewnętrznych, Sulimowicz usłyszał, że Mazowiecki chłodno odnosi się do wzrastającej ekspansji Kościoła w życie publiczne kraju. Ze słów klechy należało wnioskować, że kościelni chcą twardo walczyć o utrzymanie religii w szkołach.

– Za kilka miesięcy, jako rzecznik, pani profesor kończy swoją kadencję – stwierdził duchowny. – Czas znaleźć kogoś, kto będzie potrafił zrozumieć swoją rolę w nowo kształtującej się Rzeczpospolitej.

– Ale? – generał próbował wpaść w słowo biskupa, jednak ten nie zwrócił na to najmniejszej uwagi.

– My wskazaliśmy drogę, która prowadzi do przywrócenia dawnych sprawdzonych wartości – w głosie biskupa odezwała się twarda nuta. – System komunistyczny, zwalczając religię osiągnął to, że w wielu umysłach religia stała się czymś, co należy do kategorii prywatności. Tymczasem religia nie jest sprawą prywatną, a wręcz domaga się wielkiej narodowej wspólnoty. Katolikom wmówiono, że sprawy religii trzeba zamknąć w Kościele. Dlatego czas z tym skończyć.

NATAN BENIAMIN Schneider wysiadł z samochodu na płycie lotniska. Kilkanaście metrów dalej czekał już odrzutowiec agencji. Wracał do Nowego Jorku i niczym małe dziecko był podekscytowany czekającą go podróżą. Zwłaszcza wiele obiecywał sobie po rozmowie z Primusem, który przyjechał razem z nim samochodem i siedł teraz z tyłu w stronę odrzutowca. Podszedł do stewardesy czekającej przy trapie.

– Dzień dobry – dziewczyna uśmiechnęła się, ukazując rząd białych jak śnieg zębów.

Natan miał zęby żółte, choć nigdy nie zapalił ani jednego papierosa i regularnie chodził do dentysty. Panna Simons pewnego dnia zaproponowała, żeby spróbował pasty wybielającej. On jednak pozostał przy proszku dentystycznym, który używał od siódmego roku życia.

Wszedł na pokład maszyny. Usiadł w fotelu i sięgnął po czekającą na stoliku gazetę. Kiedy ją rozkładał, dziewczę z plastikowym uśmiechem ponownie stanęło obok.

– Czy możemy startować?

Kiwnął głową, lecz zamiast wrócić do gazety, odrzucił ją na stolik i chwilę patrzył za odchodzącą. Z pewnością jej sukienka była zbyt krótka. Chociaż... jemu było to już obojętne.

Dziewczyny przestały go interesować gdy skończył czterdzieści lat. Kiedy powiedział o tym żonie od dwóch lat, przyjęła to z wyraźną ulgą. Mężczyźni również nigdy go nie pociągali. Tamtego dnia, wieczorem, upił się zadowolony, że niepotrzebne nikomu napięcia i stresy ma wreszcie za sobą.

Przyjaciele byli przekonani, że jeśli było mu wówczas czegoś żal, to tylko tego, że w wieku trzydziestu ośmiu lat dał się namówić na ślub. Pośrednio tak. Po sprawie rozwodowej okazało się, że owa życiowa nierozwaga kosztowała go okrągły milion z majątku, którym musiał podzielić z ex małżonką. Tak przynajmniej sądzili inni. Dla Natana małżeństwo była inwestycją. Nieco kosztowną, ale już nikt nigdy nie szepnął za jego plecami, że jest gejem. Biorąc zaś pod uwagę karierę i lata, kiedy ją rozpoczynał, tego typu insynuacje mogły przekreślić jego życiowe aspiracje.

W fotelu na wprost usiadł Primus. Położył przed sobą kilka kartek z notatkami. Wystartowali. Kiedy znaleźli się na wysokości przelotowej, stewardesa podała napoje, a jego asystent mógł przystąpić do referowania spraw bieżących.

– Właściwie to mamy tylko dwa punkty do omówienia.

Natan wziął do ręki szklanekę z sokiem grapefruitowym i kiwnął głową do Primusa, że słucha.

– Sylwester Konarski nawiązał kontakt z biskupem. Tak jak przewidywaliśmy, dzięki duchownemu niedługo powinien otrzymać przedłużenie kontraktu na dotychczasowym stanowisku w ambasadzie.

– Co u Leszczyńskiego?

– Zgodnie z pańskim poleceniem, zdjęliśmy mu ogony.



– Przejdźmy do najważniejszej sprawy, która jest związana z rosyjskim uciekinierem w Montevideo.

– W połowie lat siedemdziesiątych – Primus zajrzał do leżących przed nim notatek – w Ameryce Południowej pojawiła się spółka UniFruit Corporation z kapitałem osiemset milionów dolarów. Właścicielem był facet o nazwisku Ramir Mondego. Na początku 1980 roku rozpoczęła skup nieużytków rolnych w Urugwaju, Paragwaju oraz Argentynie. W sumie wydatkowano na ten cel ponad pół miliarda dolarów, a UniFruit stał się w Ameryce największym posiadaczem ziemskim. Dodajmy posiadaczem ziemskim, obejmującym jedynie nieużytki rolne w trudno dostępnych rejonach trzech wspomnianych już krajów.

Na części z nich, wynoszącej niecały jeden procent całości, UniFruit prowadził wzorową produkcję rolną. Ta służyła jedynie wykreowaniu obrazu nowatorskiej działalności firmy. W ich ówczesnych folderach można przeczytać, że UniFruit zamierza zrehabilitować nieużytki i przywrócić ich pełną wartość pod względem siewnym.

W rzeczywistości na tych ziemiach, zamiast prosa czy kukurydzy, rozpoczęto hodowlę kokainy na przemysłową skalę. Zanim moi ludzie odkryli w dokumentach nazwę firmy UniFruit, zainteresowali się pewnymi wydarzeniami, które miały miejsce w lipcu 1979 roku. Wówczas na giełdzie nowojorskiej dostrzeżono, że ktoś próbuje po cichu ograniczać światową podaż srebra. Po latach ustalono, że nieznanymi w tamtym momencie szerszemu ogółowi inwestorzy zaczęli skupywać srebro, umieszczając je w sejfach Londynu, Nowego Jorku, Dallas, Zurychu oraz w arabskim mieście Dżudda. W miarę szybko wyszło na jaw, że głównym graczem jest teksański miliarder Nelson Bunker Hunt, zarządzający majątkiem rodziny naftowych potentatów z Teksasu.

Do lata 1979 roku cena na rynkach za jedną uncję wahała się od półtora do trzech dolarów. Bunker Hunt to zmienił. Początkowo incognito, potem już pod własnym nazwiskiem zaczął kupować srebro. Zwiększył tym jego podaż i cenę. W efekcie ostatniego dnia 1979 roku za uncję płacono już trzydzieści cztery i pół dolara i cena nadal szybowwała w górę.

Ponieważ na rynku było coraz mniej srebra, trzeba było za nie płacić coraz większą ilością gotówki, a na zwyżkę właśnie grał Hunt. Późniejsze śledztwo wykazało, że dziewięciu z dwudziestu trzech dyrektorów giełd towarowych posiadało krótkie pozycje w kontraktach opiewające na trzydzieści osiem milionów uncji srebra. To znaczy, że łącznie posiadali niemal dwa miliardy dolarów, na których mogli zbić błyskawiczne fortuny. Tak też się stało. Dokonana przez nas analiza dokumentów pochodzących z różnych źródeł wykazała, że był ktoś jeszcze, kto posiadał krótkie pozycje w kontraktach na osiemnaście milionów uncji. Ramir Mondego. Na dziesięć dni przed krachem zbył akcje. Zarobił wtedy na różnicy kupna do sprzedaży osiemset milionów dolarów. Wkrótce potem rynek się załamał, indeksy poszły w dół. W 1988 roku Huntowie ogłosili bankructwo, po tym, jak sąd uznał ich winnymi manipulacji rynkiem srebra. Ale ta historia już nas nie interesuje. Rzecz w tym, że poznaliśmy źródło, z którego narodziła się fortuna UniFruit.

Primus zamknął plastikowe okładki skoroszytu i podał raport Natanowi.

- Co pan o tym myśli?
- Interesujące.
- Tylko interesujące? – Primus był najwyraźniej zawiedziony.
- A ty, co o tym myślisz? – Natan uniósł nieznacznie głowę, jakby zwracał się do kogoś siedzącego za asystentem.

W głośnikach odezwał się głos Secundusa.

- Ludzie Primusa mogliby się bardziej postarać.
- On cały czas nas słyszał? – Asystent niemal zaniemówił z wrażenia.

Natan zachichotał w duchu złośliwie. Trzeba dać ludziom poczucie, że wreszcie wdrapali się na szczyt, że niemal zwyciężyli w rywalizacji z przeciwnikiem. Powinni przez moment skosztować sukcesu, żeby dokładnie zapamiętali jego smak. A kiedy już będą pewni czekającej nagrody, zepchną z powrotem w przepaść.

- Zatem? – Natan znowu spojrzął gdzieś w górę.

– Zespół Primusa spieprzył śledztwo.

– W jaki sposób? – warknął Primus.

– Ja też skorzystałem z komputerów, ale zadaniowałem je na rozwiązywanie problemów, a nie podsuwanie statystycznych odpowiedzi. No i kopałem znacznie głębiej. Primus założył, że Ramir Mondego zaczął skupować akcje za własne pieniądze. – Głos Secundusa był rzeczowy. – Żeby tak się stało, musiałyby wyłożyć z własnej kieszeni sto osiemdziesiąt siedem milionów dolarów. Tyle bowiem kosztował pierwotny pakiet akcji srebra, który stał się jego własnością.

W tej sekundzie Primus zorientował się, gdzie popełnił błąd. Za mocno naciskał ludzi. Nie dał im szansy na wnikliwsze rozejrzenie się w zgromadzonym materiale. Obiecał sobie, że następnym razem to on będzie górą i weźmie odwet za dzisiejsze upokorzenie.

– Według ustaleń mojego zespołu – kontynuował Secundus – pierwszą transzę pieniędzy don Ramir dostał od firmy Total Investment Co. Dokładnie dziewięćdziesiąt osiem milionów. Pozostałe pieniądze pochodziły od Optica Magnum Ltd. Obie powołano do życia miesiąc wcześniej na Antylach Holenderskich. Tamtejsze wypisy do rejestrów spółek handlowych nie należą do szczegółowych i nikt dokładnie nie kontroluje, czy przedkładana deklaracja jest zgodna ze stanem faktycznym. Na szczęście transfer aktywów finansowych jest ściśle odnotowywany. Stąd wiemy, że obie spółki zostały dokapitalizowane przez Vostok Bank z siedzibą w Berlinie. Przeszły one przez konta niejakiego Hawele Bolkovitz.

– Vostok? – Primus zmarszczył brwi, jakby próbował sobie coś przypomnieć.

– Ten prywatny bank – odpowiedział Natan – wspiera finansowo działania KGB na Zachodzie i w rzeczywistości jest kierowany przez ludzi tej agencji. Stąd proste równanie wyprowadzone przez Secundusa, które wskazuje, że don Ramir to w rzeczywistości agent Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego przy Radzie Ministrów ZSRR.

Secundus miał jeszcze asa w rękawie, którego zostawił na koniec spotkania.

– I jeszcze jedna, według mnie, ważna sprawa. W 1986 roku Sulimowicz pojawił się w Montevideo w ramach objazdu placówek wywiadowczych w Ameryce Południowej. Jak zwykle w takich przypadkach facet z centrali został wzięty pod dwudziestoczterogodzinną obserwację. Na dzień przed wylotem z Urugwaju Sulimowicz spotkał się z Ramirem Mondego w jego prywatnej rezydencji. Potem generał przetaił Urugwajczykowi szlak do założenia w Polsce dużego przedsiębiorstwa spedycyjnego.

– Co w tym wszystkim takiego sensacyjnego? – Primus najwyraźniej próbował z niego zadrwić.

– Sprawdzaliśmy przelewy, które Siejka regularnie dostawał na swoje szwajcarskie konto od rosyjskich przyjaciół. Ostatni przelew, z czasu, gdy wyjechał do Paryża, żeby wykraść z banku archiwum, opiewa na sumę ośmuset tysięcy dolarów. Podejrzewam, że to miało być jego wynagrodzenie za mikrofiszę. Pieniądze zostały przesłane z jednej z filii UniFruit Corporation z Montevideo, która należy do... – zawiesił triumfująco głós – Mondego.

SECUNDUS PRZERWAŁ połączenie. Potem przesunął wzrok z ekranu na siedzącego obok Andrzeja Leszczyńskiego.

– To dlatego naciskałeś, żebym się nie spóźnił? – Polak nie spuszczał z niego oczu.

– Chciałem, żebyś wiedział, że nie zamierzam nic przed tobą ukrywać. Nawet to, że nienawidzę starego dziada. – W głosie Secundusa brzmiała pogarda.

– On chyba również niezbyt was szanuje – stwierdził Andrzej.

– Prócz panny Simons, gardzi wszystkimi, którzy go otaczają.

Andrzej nie bardzo wiedział, o jakiej Simons Amerykanin mówi, ale niespecjalnie go to obchodziło.

– Chcesz, żebym zaczął ci współczuć? A może, żebym zastrzelił Schneidera? – Andrzej nadal nie wiedział, czego Secundus od niego oczekuje.

– Ależ skąd. Dzięki niemu zrobię karierę w Waszyngtonie.

Andrzej wstał z fotela. Podeszedł do barku. Położył dłoń na butelce whisky.

– Chcesz?

– Bez lodu i wody.

– Dobry wybór.

Nalał dwie szklanki i wrócił na poprzednie miejsce.

– Twoje zdrowie, sojuszniku. – Andrzej wypił zawartość jednym haustem. – Teraz powiesz mi wreszcie, co takiego genialnego wpadło ci do głowy?

Secundus upił drobny łyk alkoholu i odstawił szklankę na biurko.

– Chcę zawrzeć układ. Gramy na własne zwycięstwo.

Andrzej przechylił głowę na bok.

– Dlaczego miałbym ci wierzyć?

– Przez ostatnie cztery lata tylko biegam na smyczy u nogi swego pana. Nie chcę stracić tego, co dotąd zdobyłem i na co zasługuję. Jak mówi wasze przysłowie, łaska pańska na pstrym koniu jeździ. Moment nieuwagi i stracę wszystko, na co tak ciężko przez lata pracowałem.

– A wtedy marzenia o Waszyngtonie rozwieją się we mgle.

– Tego bym nie zniósł i mógłbym dotkliwie pogryźć swego pana. Wolę tego uniknąć. Jak widzisz, moje intencje są czyste. Dzięki tobie będę miał szansę uwolnić się ze smyczy i zacząć zbierać plony z mojej pracy. Kluczem do tego jest archiwum Anny Wermer. Poza tym jesteśmy sojusznikami, a ja chcę bardzo poważnie traktować to słowo. No i podobnie patrzymy na świat, a to wszystko jest dobrym kapitałem na przyszłość.

– Więc jeśli wszystko pójdzie po twojej myśli...

– Oraz twojej...

– Zwycięzysz z Primusem i dostaniesz swoją nagrodę.

– Ty również będziesz wygranym. Wiedza o prawdziwych intencjach mojej agencji wobec twojej osoby będzie bezcenna. I oczywiście o

pieniądzach, które wpłynęły i jeszcze wpłyną na twoje konta. Znam sposoby ich namierzania przez naszych ludzi, zatem z moją pomocą twoja forsa stanie się niewidzialna.

– To wszystko na razie są puste słowa. Przydałby się jakiś dowód.

– Kiedy Konarski otrzyma od ciebie mikrofiszę archiwum SB, te zostaną przez nas skopiowane. W końcu wiedza to władza.

Andrzej skrzywił ironicznie usta.

– To ja byłbym idiotą, gdybym nie wziął pod uwagę tej ewentualności. Masz coś oryginalniejszego w zanadrzu?

– Anna Wermer mieszka w domu razem z dwiema przyjaciółkami. Poznały się w Polsce, razem pracowały w Hotelu Grand jako call girls. Czwarą z tego grona, Elwira Sas–Konecka, została zastrzelona w willi w Montevideo.

– Co w tych informacjach jest takiego, czego bym nie wiedział?

– Helena, Olga i Anna są objęte przez nas dwudziestoczerogodzinną inwigilacją. W ich domu technicy zainstalowali podsłuch i ukryte kamery. Olga donosi naszemu człowiekowi na koleżanki. Woli w przyszłości być baronessą de la Gardeur niż burdelmama. Prócz tego Helenie Wolińskiej podsunęliśmy agentkę, która ma zapewnić im bezpieczeństwo. Dziewczyna ma na imię Ronnie i ma doskonałe rozeznanie w paryskim świecie alfonsów i prostytutek. Całkowicie kontrolujemy też Grega MacCoina. Jego irlandzka dziewczyna, Alice dla nas pracuje. Jak widzisz, zostałeś dokładnie obstawiony. Po wylocie Schneidera w dużej mierze ode mnie zależy ruch i ustawienie tych pionów na szachownicy. Zatem... korzyści płynące z naszej przyjaźni powinny być dla ciebie oczywiste.

## Rozdział 6

Przez okna do pokoju wpadało obezwładniające południowe słońce. Z ulicy dochodził odgłos trąbiących samochodów i krzyki kłócących się ludzi. Jednak żadnemu z nich nie chciało się wstać, żeby zamknąć odchylone skrzydło i zaciągnąć żaluzje przeciwsłoneczne.

Marc bawił się plastikową butelką po pepsi. Jean wystukiwał coś na klawiaturze niedawno zainstalowanego u nich w pokoju komputera. Bawiły go migający kursor i pojawiające się nad nim litery.

Kiedy ustawiono im w pokoju nowy nabytek, przez pierwsze dni obchodzili maszynę z lekceważącą wyższością. Potem jednak musieli iść na kurs, który nauczył ich podstaw korzystania z pamięci elektronicznej i banków danych tworzonych ostatnio w największych jednostkach.

– Już nie będziecie musieli dzwonić do wydziału daktyloskopii, mechanoskopii czy fizyko–chemii, żeby sprawdzić czy w danej sprawie występuje poszukiwany delikwent – tłumaczył specjalista–prelegent. – Wciśnięcie odpowiednią kombinację klawiszy, wpisze hasło dostępne i voilà. Szybko dowiedziecie się, że na przykład monsieur Vidoque został zatrzymany w Tuluzie na podstawie odcisku obuwia, które zidentyfikowano na miejscu przestępstwa. Potem ślad został potwierdzony w czasie badań porównawczych z podeszwą obuwia, które znaleziono w szafie podejrzanego. Prócz tego w swej karierze monsieur Vidoque popełnił następujące przestępstwa, i na ekranie pojawi się szczegółowa lista.

Może i rzeczywiście przed maszynami była przyszłość, ale Marc i Jean doszli do wniosku, że już w samym słowie „przyszłość” mowa jest o tak odległych czasach, że te z pewnością ich nie dotyczą.

– Sto franków, że nie trafisz – Jean odsunął się od komputera i odchylił na krześle, żeby lepiej widzieć lot butelki przez pokój.

– Dwieście – odpowiedział Marc.

– Co dwieście? – spytał Jean.

– Że trafię.

- Podnosisz stawkę?
- Dzisiaj wyplata – rzucił kusząco Marc.
- Niech będzie dwieście.

Marc przez ostatnie kilkanaście minut obliczał w myślach tor lotu. Rzucona za płasko – mogła odbić się od brzegu kosza. Zbyt wysoko – lot mógł zakończyć się klęską na skutek podmuchu powietrza pracującego pod sufitem wiatraka. Należało rzucić nie za nisko i nie za wysoko. Zamachnął się. Butelka wyleciała niezbyt wysokim łukiem. Potem uderzyła o brzeg kosza, odbiła się od niego, poleciała w stronę boku biurka, przy którym siedział Jean. Odskoczyła od niego i wpadła do drugiego kosza. Marc zaczął bić sam sobie brawo.

- To się nie liczy. – Jean poderwał się z miejsca.
- Wpadła?
- Ale nie do tego co trzeba – zaprotestował Jean
- A skąd wiesz, do którego celowałem?
- Jesteś oszustem.
- Powtarzasz to od godziny – Marc wzruszył ramionami.
- Więc najwidoczniej mam rację.

Zadzwonił telefon. Z niechęcią sięgnął po słuchawkę.

– Marc, słucham. – Kiwnął kilka razy głową, że rozumie, choć dzwoniący nie mógł tego zobaczyć. – W porządku. Dzięki za informacje.

Odłożył słuchawkę z równie znudzoną miną, co poprzednio.

- Co jest?
- Pamiętasz Dalmatyńczyka?
- Co z nim?
- Kazałem naszemu praktykantowi rozesłać po kraju jego rysopis.
- Jakiemu praktykantowi?
- Był tu dwa tygodnie temu – przypomniał Marc. – Próbował nauczyć cię wywoływania zawartości dysku C. Pamiętasz dos-ową



komendę? „C” dwukropek backslash i słowo „dir”.

– Co z rozesłaną wiadomością – Jean skrzywił się. Nie lubił, jak mu przypominano o jego klęskach.

– Jest odpowiedź z Paryża. W hotelu Mercure mieszka facet, który odpowiada podanemu rysopisowi.

– Trzeba to sprawdzić – stwierdził Jean, ale na owym stwierdzeniu jego aktywność się skończyła.

– Ja na dzisiejszy wieczór jestem umówiony – Marc rozłożył bezradnie ręce. – Od dawna mi się podobała i udało mi się wreszcie ją wyhaczyć.

– Kogo?

– Tę rudą z drogówki.

– Niemożliwe.

– Dlaczego? – Marc zerknął niespokojnie w lusterko leżące na biurku.

– Ja również mam dziś z nią randkę – Jean stwierdził pewnym głosem.

Mina Marca wyrażała totalne zaskoczenie.

– Umówiła się z tobą?

– A co, jestem mniej przystojny? – Obruszył się Jean, słysząc w głosie kolegi niedowierzenie.

– Nie w tym rzecz. Wychodzi, że... wystawiła nas obu do wiatru. – Jean zmarkotniał, jakby wreszcie dotarł do niego sens słów Marca.

– Nawet byłem trochę zdziwiony, że za pierwszym podejściem dała się poderwać – mruknął Jean.

– Szkoda, mogło być fajnie.

– Ma fajny tyłek.

– To co z tym Paryżem? – Jean westchnął głośno.

– Wieczór mam wolny – Marc wstał, przeszedł przez pokój, wyjął butelkę po pepsi. Postawił na biurku Jeana i wrócił na swoje miejsce.

Spojrzał na zegarek. – TGV odjeżdża koło piętnastej. Jazda do hotelu i... wieczór mamy dla siebie. A jutro... – Zerknął na kumpla spod oka. – Sto franków, że ty nie trafisz.

– Znowu zaczynasz? – Jean odwrócił się w stronę kosza.

– Chciałem dać ci szansę – Marc nie przestawał prowokować.

– Dwieście.

– Niech będzie dwieście.

Jean zamachnął się. Niestety, nie wziął pod uwagę pracującego pod sufitem wentylatora. Butelka odbiła się od ściany pokoju i upadła obok kosza na podłogę.

– Jesteś mi winien czterysta franków – zawyrokował Marc.

– Trzysta, że nie trafisz – Jean wsunął nogą jeden z koszy pod biurko.

– Co z Paryżem?

– Zaraz zamówię nam hotel... – rzucił butelką i znowu trafił.

MAURICE POKWITOWAŁ listonoszowi odebranie przesyłki. Co mogło być w środku? Nacisnął papier palcami, wyczuwając zapakowane wewnątrz pudełko.

Był zły, że przerwano mu pisanie artykułu z ostatniej filmowej premiery. Już zaczynało mu iść dobrze, gdy zadzwieczał dzwonek u drzwi. Przyszło mu do głowy, że jeśli już odłożył pisanie, mógłby przygotować obiad. Margot miała dziś wcześniej wrócić z biura.

Podrzucił w dłoni niewielką paczkę. Ostatnio coraz częściej dostawał do obejrzenia przedpremierowe filmy, które w większości były najzwyklejszymi knotami. Jeśli panowała moda na wampiry, przez następne pół roku widzowie pływali we krwi, która wylewała się z ekranu. Jeśli wyścigi samochodowe, to bohaterzy nie wychodzili z aut, które rozbijali z taką beztroską, jakby byli właścicielami fabryk, które je produkowały.

Przeszedł do kuchni i wyjął z zamrażalnika dwa gotowe dania. Położył w zlewie na suszarce, żeby odtajały. Nie znosił twardych jarzyn.

Te zaś, jeśli nie rozmroziło się ich wcześniej, wyjmował z mikrofali półsurowe.

Maurice ponownie skierował wzrok na paczkę. Sięgnął po nóż. Rozciął brzeg papieru i zerwał opakowanie. Wewnątrz znalazł kasetę VHS. Na białej naklejce ktoś napisał czarnym flamastrem: „Czas już się bać”.

Czyżby ktoś z redakcji chciał go uprzedzić, że przesyła horror? Przeszedł do gabinetu i wsunął w kieszeń odtwarzacza kasetę. Wcisnął klawisz „Start”. Rozsiadł się wygodnie w fotelu.

Na ekranie pojawiła się twarz zakneblowanego mężczyzny, ale zaraz znikła. Potem znowu znalazła się w kadrze, co sugerowało, że film jest amatorski i ktoś filmował, trzymając kamerę w ręku. Początkowo nic się nie działo. Zakneblowany i najprawdopodobniej związany facet patrzył w obiektyw, a jego wściekłe spojrzenie zdawało się mówić, żeby patrzący miał się na baczności.

Maurice przesunął taśmę do przodu. Początkowo miał zamiar wyłączyć nagranie. Kogo mogło interesować gapienie się na niezbyt sympatyczną gębę. Coś go jednak powstrzymało.

Oczy. Nieoczekiwanie dostrzegł w nich niepokój. W pewnym momencie zmrużone powieki rozszerzyły się i źrenicach zobaczył zaskoczenie przemieszane z przerażeniem. Przeszedł mu lodowaty dreszcz po plecach. Mężczyzna zsiniał na twarzy, jakby próbował coś wykrzyczeć. Choć nagranie było pozbawione dźwięku, to zarazem pełne było zwierzęcego wrzasku. Najbardziej przykuwały wzrok przerażone oczy zakneblowanego nieszczęśnika. Ten gość autentycznie wariował ze strachu, a on nigdy nie widział, żeby ktoś tak autentycznie grał przerażenie.

Grał?

W pierwszych minutach był przekonany, że to fabuła. W końcu reżyserzy wpadali na dziwne pomysły, żeby tylko przyciągnąć uwagę widza. Potem doszedł do przekonania, że to kino amatorskie. W końcu był już pewien, że obraz nie ma nic wspólnego z fikcją.

Filmowany mężczyzna zaczął połykać ze strachu knebel. Dławił się. Organizm próbował wypchnąć kaszlem szmatę z tchawicy. Tamten

jednak przemocą pakował ją w siebie wymuszonymi przełknięciami. Choć oczy wyszły mu niemal z orbit, twarz napuchła z braku powietrza i pulsująca pod skórą krew groziła rozsądzeniem policzków, nieszczęśnik nadal pakował w siebie szmatę konwulsyjnymi przełknięciami.

Maurice patrzył na ekran jak zahipnotyzowany. Zrobiło mu się niedobrze, ale nie mógł oderwać wzroku. Skądś znał twarz tego człowieka. Zaczął gorączkowo szukać w pamięci nazwiska nieszczęśnika.

– „Bebe”! To Gilles Cardusse! – w końcu krzyknął głośno.

Dwa dni temu Cardusse uciekł z aresztu po tym, jak został aresztowany razem z Gaspardem Lombardim, księgowym Kardynała. Gilles Cardusse, prawa ręka Richelieu. Policja nigdy nie mogła znaleźć wystarczających dowodów, które potwierdziłyby jego przestępczą działalność.

Gangster wciąż się dławił. Tym razem spazmatycznymi odruchami wymiotnymi próbował wyrzucić wepchniętą do tchawicy szmatę.

Maurice nie miał odwagi zatrzymać kasety. Wszystko jeszcze trwało sześć minut zanim nieszczęśnik skonał. Wreszcie ostatni skurcz mięśni szyi „Bebe” poderwał ją do góry. Na martwej twarzy pojawił się bezradny wyraz zmęczenia.

Nagranie dobiegło końca. Sekundę później Maurice gwałtownie odwrócił się i wyrzygał śniadanie na podłogę.

SUNNY SIEDZIAŁA w skórzanym fotelu w hotelowym lobby i przeglądała wydanie Le Figaro. Z łatwością znalazła artykuł, którego szukała. Śmierć Gillesa Cardusse’a, o pseudonimie „Bebe”, była na nagłówkach wszystkich gazet. Dziennikarz, który opisywał znalezienie ciała, co raz się zastrzegał, że jeszcze nigdy nie widział tak okrutnej zbrodni. Oto przywiązany do dentystycznego fotela gangster był świadkiem, jak ktoś po kolei mordował jego trzech synów. *Przerażony Cardusse prawdopodobnie próbował krzyczeć, albo też uwolnić się od zamykającego usta knebla. Zamiast tego, zadławił się nim i udusił –* przeczytała pod koniec artykułu.

Zerknęła znad gazety w stronę recepcji. Za kontuarem stała ładna dwudziestoparoletnia dziewczyna o urodzie przypominającej gwiazdy kina niemego z lat dwudziestych. Gdyby jeszcze ująć w karby jej niesforne włosy, przyczesać i porobić na przylizane fale, byłaby idealnym wzorem piękności z tamtych lat. Wtedy mężczyźni by za nią szaleli. A dziś? Jej urodę z pewnością uważano za przeciętną i gdyby nie młody wiek, zdrowa cera i sterczące do przodu piersi, żaden z mężczyzn nie zwróciłby na nią uwagi.

Sunny przyszło do głowy, że recepcjonistka z pewnością spodobałaby się Hawele. On gustował w takim typie urody. A może Sunny zwróciła uwagę na dziewczynę dlatego, że sama była niegdyś do niej podobna?

Dokładnie z wybiciem godziny jedenastej w drzwiach hotelu pojawił się niezbyt wysoki mężczyzna. Miał na sobie w miarę elegancki garnitur o stonowanych barwach. Bez wyrazu koszula, buty, kapelusz. Nijakość była wręcz jego wizytówką. Wszystko po to, żeby nikt nie zwrócił na niego uwagi. Wyróżniały go jedynie jaśniejsze plamy na karku i dłoniach, których mimo maskujących tonerów nie dało się do końca ukryć.

Dlaczego chciała zobaczyć Daar Geena? Uparła się w rozmowie z Berią, że osobiście przekaże mu pieniądze.

– Wiesz, że to on zabił Hawele?

Kiwnęła głową, że „tak”.

– To była klasyczna rozgrywka.

Ponowne skinienie głowy.

– Bracia wzajemnie się ubezpieczali, a Hawele zastrzelił jednego z nich.

Skinienie.

– Wiesz, kto go wynajął do tej roboty?

– Obaj byli wolnymi strzelcami, ale szukamy. Chcesz tylko wręczyć mu pieniądze?

– Nie zamierzam mu ich dawać – Sunny wykrzywiła pogardliwie usta. – Zostawię je w hotelowej recepcji. Chcę go tylko zobaczyć.

- Nie sędzę, żeby miało to sens.
- To twoje zdanie.
- Daar Geen nadal jest nam potrzebny.

– Wiem, zanim pojedzie z ciałem brata, żeby pogrzebać go w rodzinnej wiosce, wykona dla nas jeszcze jedno zlecenie. – Beria przytaknął jej słowom. – Chcę go tylko zobaczyć. Nic poza tym.

Początkowo widziała tylko plecy mężczyzny wchodzącego do hotelowego holu. To plamy na szyi i dłoniach powiedziały jej, kim jest. Sunny uniosła nieznacznie gazetę. Chciała widzieć, ale nie być widzianą.

Daar Geen podszedł do recepcji.

- Dostałem informację, że wasz gość coś dla mnie zostawił.
- Pańskie nazwisko?
- Papadopoulos. Daar Geen Papadopoulos.

Dziewczyna wyszła do przyległego do recepcji pomieszczenia. Kiedy wróciła, trzymała w dłoni niewielki pakunek.

- Mam coś pokwitować? – Spytał.
- Nie trzeba. Życzę miłego dnia.

DAAR GEEN wziął paczuszkę z kontuaru. W środku znajdowało się pięćdziesiąt tysięcy dolarów za wykonanie kontraktu na głowę Kardynała i Cardusse'a. Nie musiał sprawdzać. Był pewien, że jest tam cała suma.

Odwrócił się i ruszył w stronę wyjścia.

Kiedy wchodził do hotelu, kątem oka dostrzegł samotną kobietę, która siedziała w holu w skórzanym fotelu i trzymała w dłoni gazetę. Nie czytała jej, tylko zamyślona, patrzyła gdzieś przed siebie. Kilka metrów dalej w holu kręcił się jakiś boy, który wnosił do windy walizki gości.

Kiedy odwrócił się od stojącej w recepcji dziewczyny i ruszył w stronę drzwi wyjściowych, jego i oczy tamtej kobiety spotkały się na sekundę. Daar Geen odnalazł w jej spojrzeniu jedynie znużenie i obojętność.

Wyszedł przed hotel i przywołał nadjeżdżającą taksówkę.

Wsiadł do środka. Zatrzasnął za sobą drzwi i podał kierowcy adres zakładu pogrzebowego.

Poprawił na prawej dłoni opatrunek. Krojąc jednego z synów Cardusse'a, skaleczył się skalpelem. Wokół było tyle krwi, że nie zwrócił uwagi na przeciętą skórę. Dopiero gdy mył dłonie zauważył ranę. Niewrażliwość na ból – to była jedyna rzecz, która różniła go od brata. Kiedyś dowiedział się, że zmianom genetycznym winne jest złe przewodnictwo impulsów elektrycznych w neuronach. Podobno tego typu przypadki najczęściej połączone są z anhydrozą, czyli brakiem pocenia się. On tylko nie czuł bólu. Najwidoczniej los w jakiś sposób próbował ich odróżnić, gdyż w przeciwieństwie do niego brat był nadwrażliwcem.

Samochód zatrzymał się pod wskazanym adresem. Właściciel zakładu pogrzebowego czekał już w gabinecie. Dzisiejszego dnia był bardziej nerwowy niż poprzednio.

Daar Geen dostrzegł na biurku rozłożoną gazetę z artykułem o Bebe. Grek już przeglądał to wydanie Le Parisien. Autor artykułu lubował się w makabrycznych opisach, a redaktor wydania najwyraźniej uznał, że czytelnicy będą zachwyceni tak daleko posuniętą plastycznością opisu.

– Wspomniał pan telefonicznie – balsamiarz uśmiechnął się sztucznie – że zamierza przesunąć termin odebrania zwłok.

– Pogrzeb w Grecji opóźni się o tydzień – Daar Geen skłamał z obojętną miną. – Czy to stanowi dla was jakiś problem?

– Oczywiście, że nie. Jedynie trochę zmieni się cena usługi.

– To dla mnie bez znaczenia.

– Świetnie. Czy chciałby pan teraz zobaczyć szanownego brata?

Grek skinął głową.

Pan Śmierć przeprowadził go do pomieszczenia prosektoryjnego, gdzie temperatura wynosiła zaledwie kilka stopni. Balsamiarz podszedł do jednej z szuflad, która znajdowała się w ścianie na wprost wejścia. Wyciągnął ją lekkim szarpnięciem. Odsłonił prześcieradło. Chociaż

Geen Daar miał odstrzelone niemal pół twarzy, balsamiarz idealnie odtworzył rysy twarzy nieboszczyka.

Daar Geen podszedł do zwłok. Przez jakiś czas przyglądał się bratu w bezruchu.

– Wygląda, jakby spał.

– Dziękuję panu. – Pan Śmierć potraktował uwagę klienta jako pochwałę.

– Rozumiem, że wszystko jest przygotowane do przewiezienia zwłok.

Właściciel zakładu pogrzebowego poprawił nerwowo soczewkowane okulary. Przypomniała mu się tamta straszna kobieta, która kazała mu zaszyć w ciele nieboszczyka pakunek. Nie musiała sprawdzać, czy dobrze wykonał zleconą pracę. Kiedy wychodziła z jego zakładu, odwróciła się w drzwiach i oświadczyła zimnym głosem, z którego przebijała obietnica: „Jeśli moje zlecenie wykona pan źle, wtedy wrócę i każę pana żywcem zabalsamować.”

Trumniarz poprawił nerwowo okulary, gdy jego oczy spotkały się z oczami klienta.

– Oczywiście, dopilnujemy, żeby ciało zostało przewieziono we wskazane miejsce.

DO SANT–MALO Jean i Marc dojechali po ośmiu godzinach pędzenia samochodem w poprzek Francji. Mimo że obaj byli wykończeni, pojechali prosto do kostnicy, gdzie zwieziono wszystkie ciała. Jedyne, które można było zidentyfikować, były zwłoki uduszonego Gillesa Cardusse’a.

– I pomyśleć, że planowaliśmy wypad do Paryża. – Westchnął Jean.

– Dostałem informację na pagera z hotelu Mercure. Może chodzi o Dalmatyńczyka.

– Zadzwoń, to będziesz wiedział.

Jean zastanawiał się, czy nie zmusić Marca, by zszedł z nim do podziemi i obejrzał zmasakrowane zwłoki. Bawiło go obserwowanie, jak



Marc, udając bohatera, zarazem walczy z przemożną chęcią ucieczki. Postanowił, że tym razem mu daruje.

Patolog czekał na policjantów w swoim biurze.

– Wy rozmawiajcie, a ja wykręcę numer do Mercure – Marc wskazał na pagera.

– Telefon jest w sąsiednim pokoju – patolog wskazał drzwi.

Marc wyszedł, a Jean wyjął notatnik.

– Jakies nowe ustalenia w sprawie synów Cardusse’a? – zapytał gliniarz.

– Pocięto ich na paski, dosłownie.

– A tamten, znaczy się ojciec, to wszystko widział? – upewnił się Jean.

– Morderca posadził go na fotelu dentystycznym.

– Fotelu?

– Znaleziono ich w nieczynnej od lat przychodni lekarskiej na przedmieściach Sant-Molo.

Jean skrzywił się na myśl, że istnieją ludzie, którzy mogą zrobić coś tak makabrycznego.

– Tu ma pan dokładne raporty z każdej sekcji. – Lekarz podał Jeanowi skoroszyt. – Gdyby coś jeszcze, to jestem po drugiej stronie korytarza w kuchni. Chciałbym coś zjeść. Od rana nic nie miałem w ustach.

Jean chciał powiedzieć, że on również rano zjadł tylko croissanta w przydrożnych barze, ale zrezygnował.

Wrócił Marc.

– Sprawdzili hotel, ale już nie znaleźli sto drugiego Dalmatyńczyka.

– Masz jeszcze ochotę na żarty? – Jean sięgnął po raport posekcyjny.  
– Cholera, z chęcią rzuciłbym się na jakiś tapczan.

– Przecież spałeś całą drogę – zdziwił się Marc.

– Raczej pilnowałem, żebyś ty nie usnął.

- Nie mam siły na kłótnie z tobą.
  - W takim razie bierz się za czytanie tego gówna z krwawej jatki – Jean pchnął w stronę kumpla raport.
  - Rozumiesz coś z tego? – Marc uderzył dłonią w zdjęcia zwłok gangstera. – Według mnie zabił go psychol.
  - Ja bym raczej obstawiał wersję, że ktoś celowo zamówił taki rodzaj pozbycia się Cardusse’a i jego synów. Ta śmierć ma przerazić innych.
- Marc czytał raport patologa i pogryzał paznokcie kciuka.
- Facet nie zostawił po sobie najmniejszych śladów, po których można byłoby go zidentyfikować. Ani odcisków palców, śliny na niedopałku papierosa, czy włosa... nic, żadnych śladów biologicznych. Zawodowiec.
  - Modus operandi podobne do sprawy Richelieu – odparł z namysłem Jean. – Pomysłowo, okrutnie i z dopracowaniem najdrobniejszych szczegółów. Myślisz, że to może być sto drugi?
  - Może – zgodził się Marc. – Ci, którzy wiedzą, kto wysłał killera, doskonale zrozumieją przekaz: bójcie się, bo wkrótce ten pojeb zapuka i do waszych drzwi.

ANNA ZATRZYMAŁA samochód przy krawężniku nieopodal głównego wejścia do klasztoru. Zgasła silnik. Zerknęła w lusterko wsteczne i sprawdziła makijaż – był stonowany. Wbrew przyzwyczajeniom uczesała włosy na gładko. Miała na sobie ciemnogrnatową garsonkę i buty na płaskim obcasie. Nigdy nie nosiła podobnych ubrań, więc wczoraj musiała specjalnie pojechać po zakupy.

- Żadnej ekstrawagancji – pouczyła ją Ronnie.

To właśnie ona, na polecenie Heleny znalazła klasztor Urszulanek, który zajmował się wychowaniem panienek z dobrych domów.

- Nie radzę targować się o czesne – podpowiedziała Ronnie.
- Czy ja wyglądam na przekupkę? – zdziwiła się Anna.

– Świetnie. Siostry zakonne może i biorą dużo pieniędzy, ale rzeczywiście dbają o dzieciaki.

Anna dla pewności ponownie zerknęła w lusterko i wysiadła. Podeszła do drzwi klasztoru i zadzwoniła. Rozległ się trzask zamka i w szparze ograniczonej zaciągniętym łańcuchem ukazała się twarz młodej siostrzyczki.

– Niech będzie pochwalony. Nazywam się Anna Wermer...

– Matka przełożona już na panią czeka.

Siostra otworzyła szerzej drzwi i przepuściła ją obok siebie. Ruszyły przez długi ciemny podwórzec. Podobny wiódł do klatki schodowej kamienicy, w której Anna mieszkała, gdy była mała. Po chwili stanęły przed solidnymi dębowymi drzwiami.

– To gabinet matki przełożonej – powiedziała zakonnica i nacisnęła klamkę. Przepuściła ją obok i zamknęła za nią drzwi. Anna spodziewała się, że zobaczy starą purchawkę w wykrochmalonym habicie, który przy każdy gwałtowniejszym ruchu wydawałby odgłosy niczym pękające na rzece kry lodu. W rzeczywistości za biurkiem siedziała trzydziestoletnia kobieta ubrana w skromną sukienkę zakonną.

Siostrzyczka uśmiechnęła się szeroko i wskazała krzesło obok.

– Jak mała ma na imię?

– Monika.

– Ładnie – zakonnica kiwnęła głową.

– Owszem.

– Lat?

– Osiem. Rok chodziła do szkoły z językiem hiszpańskim – dopowiedziała Anna.

– Wcześniejsze umieszczenie w internacie może być dla małej... jakby to powiedzieć... nieco stresujące. Większość dzieci jest teraz z rodzicami na wakacjach. Obecnie w klasztorze mamy tylko dwanaście wychowanek.

– Nic nie szkodzi.

- Rozumiem, że dziewczynka jest Polką.
- Tak.
- Wspomniała pani o hiszpańskim. Zna jeszcze jakiś język?
- Złapała sporo słówek po francusku. To zdolny dzieciak.

Kilkanaście minut później zakonnica pokazała Annie pokój, w którym Monika mogłaby spać z koleżanką. Jej rodzice też byli Polakami, co dobrze wróżyło przyszłej zażyłości.

– Jej ojciec prowadzi w Paryżu jakieś interesy. Jest wdowcem. Armanda to bardzo miła i roztropna dziewczynka.

Siostrzyczka pokazała Annie basen, salę sportową, park i bibliotekę – jak zaznaczyła z dumą – z komputerami, które miały już od roku.

– Jak czytam, nie wszyscy pedagodzy są przekonani do tego elektronicznego novum, ale według mnie do tych maszyn należy nasza przyszłość.

Anna była zadowolona. Szkoła wydawała się porządna, siostrzyczki miłe. Jej córeczka powinna się tu dobrze poczuć. Zresztą miała tu trafić tylko na kilka miesięcy. Potem już zawsze będą razem.

Wróciły do gabinetu. Anna wypisała czek na sumę sześciu tysięcy franków i podała zakonnicy. Matka przełożona poinformowała ją, że do każdego piątego następnego miesiąca należało przesłać podobną sumę.

W tym momencie wzrok Anny padł na stojącą na biurku szklaną kulę, w której był zatopiony stary dom przysypany śniegiem. Gdy była dzieckiem, miała taką samą. Kiedy potrząsnęło się kulą, w powietrze podrywały się białe płatki, a z pozytywki dochodziły dźwięki cesarskiego walca Straussa. Kulę dostała od ukochanego dziadka niedługo przed jego śmiercią, i był to jej największy skarb. Pewnego dnia zapragnęła pokazać go koleżankom ze szkoły. W czasie drogi kula wypadła jej z tornistra, potoczyła się po obsypanym jesiennymi liśćmi zboczku pagórka i przepadła na dobre. Długo nie mogła sobie tego darować, płakała wieczorami i przez kilka lat śniła jej się niekiedy maszerująca ośnieżonymi ulicami miasteczka orkiestra wojskowa, która grała walca Straussa. Na jej przodzie zawsze szedł jej dziadek.

– Mogę? – spytała cicho.

– Ależ proszę.

Anna wzięła do ręki kulę. Kiedy nią potrząsnęła, śnieg zawirował w powietrzu. W tej samej sekundzie pozytywka zaczęła cicho wygrywać walc cesarski, Johanna Straussa.

– Piękna. Kiedy byłam małą dziewczynką, taką właśnie zgubiłam.

– A ja kupiłam ją wiele lat temu w pewnej wiosce w Burgundii – powiedziała zakonnica.

– To chyba nie moja.

– Kto wie, może zawieruszyła się w czasie i przestrzeni. Niezbadane są wyroki Pana naszego. Proszę, może ją pani sobie wziąć.

– Nie, w żadnym wypadku – Anna niechętnie odstawiła kulę na blat biurka.

– Ależ nalegam – matka przełożona położyła dłoń na jej dłoni. – Zrobi mi tym pani ogromną przyjemność.

– Zapłacę...

– W żadnym wypadku. To prezent.

– Dziękuję.

Kilkanaście minut później pędziła w stronę Paryża. Co raz to zerkała na leżącą na siedzeniu obok kulę. W jej szklanym świecie stale padał śnieg, a jego mieszkańcy z pewnością wypatrywali już przez okna nadejścia Wigilii.

Wzięła ją do ręki. Potrząsnęła mocniej. Pozytywka zaczęła wydzwaniać cesarski walc. Może ona, Anna, również zagubiła się w czasie i przestrzeni. Prawdę mówiąc, nigdy nie chciała życia, które przyszło jej prowadzić. Pragnęła mieć dom i pewność, że jest kochana.

Dosyć rozczulania się.

Sięgnęła po listę zakupów, która leżała na siedzeniu obok. Musi jeszcze kupić karton białego wina, ostrygi i kilka rodzajów serów. Dziś imieniny Heleny.

O GODZINIE DWUDZIESTEJ zebrały się wszystkie trzy w dużym salonie. Imieniny Heleny postanowiły świętować tylko we trójkę. Zaplanowały sobie, że będzie to ciche i kameralne przyjęcie. Zamiast szampana Helena otworzyła butelkę wódki Extra Żytnej Wyborowej, którą niedawno znajomi przywieźli z Polski. Rozlała alkohol do kieliszków. Wypiły. Chwilę potem powtórzyły na drugą nogę .

– Od razu czuć swojski zajzajer – gospodyni głośno wyraziła uznanie.

Olga i Anna uniosły szkło w dłoniach, żeby wypić na trzecią nogę. Stuknęły się kieliszkami z Heleną i zapiszczały jak tylko mogły najgłośniej.

– *Niech jej fiutek pomyślności nigdy nie zagaśnie. A kto z nami nie wypije, niech pod stołem zaśnie. A kto z nami nie wypije, niech pod stołem zaśnie...*

– Pamiętam jeszcze, jak taka flaszką kosztowała sto dwadzieścia złotych – powiedziała Helena. – I nie jakiejś berbeluchy z proszku, ale wódki pędzonej z prawdziwych swojskich ziemniaków.

– Kiedy tyle kosztowała? – spytała Olga.

– W 1980 roku – odparła Helena. – Schyłkowy towarzysz Gierek. Potem, jak skoczyła inflacja, to przed wyjazdem płaciłam już ponad trzydzieści pięć tysięcy wróbli.

– Jakich wróbli?

– Złociszów z orzełkiem bez korony, czyli ludowych wróbli.

– Już o tym zapomniałam – Anka zrzuciła z nóg szpilki i zaczęła chodzić na bosaka. Pozostałe również poszły w jej ślady, rozkopując buty po całym pokoju. – Chryste, jak ten czas zapierdziela.

– Wyobrażacie sobie – Helena dla odmiany naląła sobie do kieliszka wina – że za Gierka kilo cukru kosztowało dwa złote i siedemdziesiąt groszy, a kilo schabu sześćdziesiąt sześć złotych. Kurwa, żyć nie umierać. Czasem tęsknię do tamtych lat. Może żyje się w tej Francji szybciej, lepiej i ciekawiej. Może w Polsce jest kołtuństwo, tradycja, ksiądz proboszcz i zadupie. Ale przyjazne, swojskie takie, no i takie, co

każda z nas między cyckami nosi i może poczuć jak bije w jej piersi. Bo to Polska właśnie.

– Gadasz jak panna młoda z *Wesela* Wyspiańskiego – Anna również sięgnęła po wino.

– Co z tego, że masło tyle kosztowało, jak w sklepach można było kupić tylko ocet? – zaperzyła się Olga. – A we wrześniu, jak w lasach pokazywały się grzyby, to nawet i octu nie można było dostać. A tu, proszę – wskazała na okno. – Tylko brać i wybierać.

– A tej, co się stało? – Anna dostrzegła, że z oczu Heleny płyną łzy. – Co ci jest, malutka? – przysunęła się bliżej i zaczęła głaskać przyjaciółkę po głowie.

Helena wysmarkała nos w podaną chusteczkę.

– Ano, jakoś tak mi się zrobiło na sercu. Pamiętam, jak obchodziliśmy u mnie imieniny... Niedługo przed twoim wyjazdem z Polski. – Znowu chlipnęła nosem.

– Będzie już ze dwa lata – Olga poprawiła biust. – Mógłby ten czas ociupinę zwolnić. – Wychyliła kieliszek i otworzyła drugą butelkę wódki. – Ale, ni kuta.

– Szkoda, że nie ma z nami Elwiry – Anna również popadła w refleksyjny nastrój. – Wszystko kiedyś się kończy, albo parszywieje.

– Myślisz o tym twoim? – Olga sięgnęła po kieliszek. – Szkoda czaszki na takiego gamonia. No, dziewczyny – stanęła na nogach. – Zdrowie wszystkich uczciwych dziwek, co dyplomy pochowały do szaf, mają nerwy ze stali i dupy z rzemienia.

Ponieważ żadna się nie przyłączyła do toastu, wypiła sama i siadła na kanapie.

– A może on nie jest wcale taki zły?

Olga i Anna spojrzały zaskoczone na Helenę, która patrzyła gdzieś przed siebie, niewidzącym wzrokiem.

– O czym mówisz? – Olga sięgnęła po krewetkę. Chwilę ją oglądała, by odłożyć na poprzednie miejsce. – Jak to, nie jest taki zły?

– Tak sobie myślę i myślę i wychodzi mi, że... No, niekoniecznie.

– Niekoniecznie co...? – Anna próbowała wcelować szyjką od butelki w obręb koła kieliszka.

– Mógł okraść cię z forsy, ale sama mówiłaś, że nie tknął pieniędzy, tylko zabrał jakieś klisze. A przecież...

Olga nie dała jej dokończyć.

– Myślisz, że te dokumenty są mniej warte? Dam głowę, że zbije na nich majątek.

– Może i tak, ale on nie z tych, co to od razu lecą na kasę – mruknęła Helena.

– Inteligencik – Olga zaczęła przedrzeźniać Helenę. – Wie, co skubnąć, a czego nie tykać.

– Co żeś się go tak czepiła? – Helena zmarszczyła brwi.

– A ty co go tak bronisz? – odpysknęła Olga.

– Same tylko pomyślcie. Gdyby był taki drań, to już dawno nie byłoby go w Paryżu.

– On jest w Paryżu? – Annę prawie замуrowało. – I dopiero teraz mi o tym mówisz?

– Mam takie przeczucie – stwierdziła Helena. – A poza tym... Ronnie rozpuściła po mieście wici. Któraś jej powiedziała, że widziała podobnego faceta. Nie chciałam cię niepotrzebnie denerwować.

– Podobnego? – Z Anki uszło trochę powietrza.

– A jeśli to on? – Olga cicho czknęła.

– To wezmę pistolet, pojedę do drania – Anna zacisnęła usta w podkówkę – i odstrzelę mu łeb.

– Otóż to. – Olga przytaknęła akceptująco.

Helena uniosła rękę, żeby uciszyć dziewczyny.

– Jeśli tu został, to znaczy, że nie wrócił do kraju, gdzie zaraz by mu przypięli medal budowniczego zasranego ustroju powszechnej szczęśliwości i sojuszu robotniczo chłopskiego.

– To chyba dwa medale – bąknęła niepewnie Olga.



– Jakie dwa? – spytała Helena

– Najpierw medal sojuszu chłopskiego, a drugi robotniczego.

Helena i Anna zapiszczały ze śmiechu.

Kiedy się uspokoiły, Anna usiadła przy stoliku, podpierając piąstką policzek.

– Mówcie co chcecie – czknęła – ale i tak odstrzele mu głupi łeb.

Helena nie była tak pijana jak pozostałe i w głosie Anny usłyszała coś miękkiego. Sekundę później Anna poderwała się z miejsca i pobiegła do toalety. Olga wstała i poszła za nią chwiejnym krokiem. Wkrótce wróciła.

– Co jest?

– Rzyga. – Olga spojrzała na ostrygi i zaczęła masować się po żołądku. – Mnie też zaczyna coś kręcić.

NASTĘPNEGO DNIA rano Olga obudziła się w swoim mieszkaniu. Otworzyła oczy. Poznała rozetę rozpiętą na środku sufitu sypialni. Nie pamiętała, jak wróciła. Wsunęła rękę pod kołdrę. Była naga. Ktoś ją rozebrał? Usłyszała ciche pochrapywanie, które dochodziło z prawej strony. Czyżby Jean? Przypomniała sobie, że niedługo ma zostać dwudziestą trzecią baronessą de la Gardeur. Cholera, jak wróci do swojego rodzinnego miasteczka, to pan Lucek, który, gdy była mała, nigdy nie chciał dać jej oranżady na kredyt, schowa się pod tą swoją odrapaną ladę, kiedy ona wysypie na nią górę centymów.

Ale w jaki sposób Jean znalazł się z nią w łóżku? Przecież umówili się, że poharcują dopiero po ślubie. Chociaż pracowała w wiadomym narzeczonemu biznesie, w jego oczach uchodziła za porządną panienkę.

Uniosła się lekko na łokciu. Odetchnęła z ulgą. Obok spała Anna, a w nogach wielkiego łóżka Helena. Z ich grona Olga najszybciej odjeżdżała w alkoholowy niebyt i dziewczyny zawsze odholowały ją do domu. Tak było i teraz.

Na wspomnienie wczorajszego pijaństwa obudził się kac. Zamknęła szybko oczy, czując, że zaczyna boleć ją głowa. I ta suchość w ustach.

Nie wiedzieć dlaczego przypomniła się jej twarz Siejki, kiedy tamtego dnia w Warszawie chwycił ją za włosy i wywłókł z kawiarni. Kilka kroków i znaleźli się na zapleczu. Tam pchnął ją pod ścianę. Wyszarpnął z kabury pistolet i niemal całą lufę wcisnął w jej usta. Jeszcze dziś brzmiał jej w uszach głos tego drania. Najpierw uderzył ją na odlew z otwartej ręki. Upadła na bruk. Bała się, Chryste jak bardzo się wtedy bała. On zobaczył to w jej oczach. Mógł z nią zrobić wszystko, co chciał. Przykucnął obok i z udaną troską zaczął poprawiać jej włosy. „Muszę wiedzieć o twojej przyjaciółce wszystko. Rozumiesz?” Znow się zamierzył. Zaciśnęła mocno powieki, ale cios nie spadł. „Pytałem, czy mnie rozumiesz?” Kiwnęła głową, że „tak”.

Jakiś czas później powiedziała o wszystkim Ance, a ona jej wybaczyła. Teraz też się bała, ale nie mogła znowu zrobić z siebie szmaty. Tym razem grała o własną przyszłość.

Tamten facet zaczepił ją na ulicy przed dwoma miesiącami. Podjechała wówczas samochodem pod urząd pocztowy. Po obu stronach ulicy nie było gdzie zaparkować. Zatrzymała auto na środku uliczki, mimo że jechało za nią kilka samochodów. Wysiadła i rozłożyła bezradnie ręce. Potem uśmiechnęła się czarująco do kierowców. Pobiegła szybko do urzędu. Miała szczęście. Przy okienku nie było nikogo. Odebrała list i w trzy minuty była z powrotem. Usiadła za kierownicą. Kiedy zapuszczała silnik, otworzyły się boczne drzwi i do środka wszedł mężczyzna. Na pierwszy rzut oka elegancko ubrany, o wysportowanej sylwetce, jednak w oczach miał coś zimnego, jakiś stalowy błysk. Wystraszona przypomniła sobie wówczas Siejkę.

– Jedź – nakazał, a ona potulnie posłuchała polecenia.

Kilka przecznic dalej nakazał, żeby zjechała na bok i zaparkowała przy krawężniku na pierwszym wolnym miejscu.

– Kim pan jest?

– Powiedzmy przyjacielem.

Sięgnęła do torebki, gdzie miała gaz paraliżujący. Szybko jednak uświadomiła sobie, że używając go, ona również będzie ofiarą. Olga specjalnie zaparkowała nieopodal kawiarni. Przy stolikach siedziało kilku młodych ludzi. Gdyby coś jej groziło, zacznie trąbić.

– Nie bądź naiwna, tamci nie pomogą. Możesz naciskać klakson, ale oni nie ruszą się od swoich kufla z piwem.

– Dlaczego chcesz mnie nastraszyć?

– Nastraszyć? – Nieznajomy zrobił niewinna minę. – Ależ skąd. Chciałbym tylko, żebyś dokładnie posłuchała tego, co mam ci do powiedzenia. Wolałbym nie powtarzać dwa razy.

– Kim jesteś? – Olga nie ustępowała.

– Facetem, który potrzebuje twojej pomocy.

– W każdy czwartek, na Placu Inwalidów, niedaleko ulicy Saint-Dominique od trzynastej możesz dostać miskę zupy, kielbasę i pół bagietki.

– Czy ja wyglądam na potrzebującego wsparcia? Ja tylko chcę wiedzieć wszystko, co dzieje się z Anną Wermer i Heleną Sawicką.

– Nie jesteś Francuzem – stwierdziła pewnie. Była też pewna, że, choć nieźle akcentowany, to polski nie był rodzimym językiem intruza.

– Ustalmy, że to ja będę mówił, a ty będziesz słuchać.

– A jeśli tego nie zrobię?

– Zostaniesz deportowana z Francji. No i na pewno nie zostaniesz baronessą de la Gardeur.

– ZGODZIŁAŚ SIĘ?

Olga kiwnęła głową, a Helena zacisnęła usta w podkówki, co nie wróżyło niczego dobrego. Godzinę temu wstały z łóżka. Zjadły lekkie śniadanie i napiły się po odrobinie koniaku. Na szczęście kac obszedł się nimi łaskawie i mogły włączyć wyższy bieg w myśleniu.

– Pytał o Andrzeja? – Anna naląła sobie do szklanki wody.

Olga pokręciła przecząco głową.

– Chce tylko wiedzieć, co się u nas dzieje. Popatrz, tyle lat się znamy – Olga nieoczekiwanie spojrzała na Helenę – a dopiero od tamtego dowiedziałam się, że masz na nazwisko Sawicka.

– Wolę nowe, Helene Mancini. Więc się zgodziłaś, i co dalej?

– Nie za frajer, ale dwa tysiące dolarów. – Sięgnęła do torebki i rzuciła na stół pieniądze. – Dziś rano przyszły na moje konto. Z jednej strony pomyślałam sobie, że jak powiem, żeby spierdalał, to spełni groźbę, a przynajmniej wyrządzi nam jakieś przykrości.

– A z drugiej? – Helenę również zaczęło suszyć.

– Zadałam sobie pytanie, dlaczego trzy dziewczyny mogą interesować takiego smutnego zwisa? On nie chce przejąć naszego interesu, nie ma też ochoty za darmo się pukać w zboczonym trójkącie. To dziany gość. Pomyślałam, że kiedy jemu będzie się wydawało, że nas kontroluje, my przez niego możemy dowiedzieć się, co w trawie piszczy.

– Kontrolować? Nas? Po kiego wała? – Helena nie bardzo rozumiała, o co w tym wszystkim chodzi.

– O co teraz wszyscy się biją? – Olga powoli zaczęła opadać z sił. – O to cholerne archiwum. Może boją się, że wystawiona do wiatru Anka zechce Andrzejowi odstrzelić łeb.

– Myślisz, że tamci go chronią? – Helena wypila duszkiem pełną szklanekę herbaty i zaczęła płuć fusami.

– Najwidoczniej coś planują w mieście i nie chcą, żeby dziewczyna z pistoletem – Olga wskazała na Annę – weszła im w drogę.

Anna obracała w zamyśleni w dłoni szklanekę.

– Więc to pewne – powiedziała powoli – że on nadal jest w Paryżu.

– I nie poleciał z dokumentami do Polski – dodała tym samym tonem Helena. – Może zatem wczoraj nie byłam taka narąbana i nie przesadziłam z tym, że nie jest do końca takim skurwielem?

– I tak naszpikuję go ołowiem. – Anna zacisnęła usta w podkówkę.

– Ale co z tym gościem, co mnie.... – Olga chciała konkretnej odpowiedzi.

Helena uniosła dłoń do góry niczym nauczycielka, która próbuje uciszyć klasę, żeby zebrać rozproszone myśli.

– Od dziś na nas kapujesz... Okej?...

Olga kiwnęła głową na zgodę.

– Na następne spotkanie napuścimy na niego Ronnie – dokończyła Helena.

– Czy ty nie za bardzo jej ufasz? – Anna nieco się skrzywiła.

– Znacie historię tej dziewczyny?

Olga i Anna pokręciły przecząco głowami.

– Jej alfons odkrył, że pracowała w policji jako agentka.

– Osz w mordę – syknęła Olga.

– Miała za zadanie rozgryźć interes handlu dziewczynami. Z zemsty drań pochłastał jej twarz nożem, zawiózł pod najbliższą komendę i wyrzucił na chodnik. Kiedy Ronnie wyszła ze szpitala, zwolniła się z policji i kupiła sobie brzytwę. Poszła do domu niedawnego kochanka. Zakradła się do wyra, w którym spał z pijaną dziwką i dała mu strzykawką dużą działkę narkotyku. Potem dupencję pogoniła, a jemu zakneblowała usta. Parę minut później powiesiła go za rękę na ścianie. Oszczędzę szczegółów, ale obrabiała go trzy dni, a facet błagał, żeby poderżnęła mu gardło – nie zrobiła tego. Potem miała nieciekawą przygodę i ja przypadkowo i bezinteresownie jej pomogłam. Od dwóch lat jest jedną z najbardziej poszukiwanych dziewczyn we Francji, a mimo to spokojnie sobie żyje w centrum Paryża. Wszystko dzięki innym pracującym na ulicach dziewczynom, które w porę ostrzegają ją przed niebezpieczeństwem. Wszystkie są dumne, że jedna z nich pokazała, że kobieta nie da sobą pomiatać. Kilku przyjaciół dawnego amanta próbowało ją namierzyć. Dziewczyny, które przystały do Ronnie oprawiły tamtych w podobny sposób. Od tej pory wszyscy udają, że ktoś taki jak Ronnie nigdy nie istniał.

– Ckliwa historyjka – oceniła Anna. – Dla mnie to ta Ronnie nadal pracuje dla glin i dlatego mundurowi jej nie zauważają.

– My też nie byliśmy święte – rzuciła Olga.

– Być może z Ronnie masz rację, ale kilku alfonsów, którzy podnieśli rękę na swoje dziwki, owych rąk już nie ma. W efekcie inni już tak nie objają swoich haremów. Dziewczyny zaś wiedzą, że współdziałanie się opłaca, więc żadna nie wzrusza ramionami, jak któraś prosi o

informacje, zwrócenie na coś uwagi, przejrzenie portfela któregoś z klientów lub pociągnięcia za język w czasie nocnych igraszek.

– Mnie się to podoba – Olga poprawiła biust. – Szkoda, że takiej Ronnie nie mieliśmy w Warszawie, może pogoniłaby kota esbekom?

Anna chciała coś odpowiedzieć, ale machnęła tylko lekceważąco ręką.

– No co? – Olga żartobliwie nadała się. – Pomarzyć już nie można?

PO POWROCIE do domu Anna wreszcie postanowiła dokończyć pisanie wspomnień. Czas już był ku temu najwyższy. Otworzyła teczkę z dotychczasowymi zapiskami. Sporo już ich się uzbierało. Sięgnęła po kartkę i długopis:

*Anna Wermer. Zapis czternasty. 26 lipca 1991 roku*

*Jestem w pułapce. A może powinnam napisać, „oku cyklony”? Niemal widzę okręcający się wokół mnie wir. Tkwię w jego centrum i jeszcze jestem bezpieczna. Wystarczy jednak sekunda i cały mój świat wywróci się do góry nogami, a najbliżsi znajdą się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.*

*O moim losie już nie decydują poszczególni ludzie, którzy chcą zdobyć lub zachować dotychczasową władzę, więcej pieniędzy, czy tylko się zemścić. Tocząca się gra, już dawno przerosła pierwotne założenia tych, którzy siadali do rozgrywki. Pierwsi rozdający karty już nie decydują o niczym. Staliśmy się pionami w grze kogoś bardziej od nas silniejszego. Moje życie i mojego dziecka jest tylko wynikiem zimnej kalkulacji – co bardziej się opłaci.*

*W takich chwilach często nachodzi nas refleksja, czy żałuję to, co zrobiłam? Czy chciałabym cofnąć czas i nadal złudnie wierzyć, że wszystko zależy tylko ode mnie?*

*Część mnie chyba chciałaby powrotu bezrefleksyjnego trwania i codziennych oszustw, którymi każdego dnia się karmiłam, żeby w spokoju dotrzeć do kolejnego świtu. Ale to tylko drobna i mało istotna część mojej dawnej ja.*

*Nie, nie żałuję niczego i zrobiłabym wszystko tak samo raz jeszcze.*

*To prawda, że o decyzji kradzieży części akt dawnej SB w dużej mierze decydowała miłość. Z czasem jednak zdałam sobie sprawę, że w była w tym również chęć wyrażenia własnej niezgody na marazm i głupotę dnia codziennego. Niezgody na oszustwa komunistów, ich manipulację, a na koniec próbę ucieczki od kary tych, którzy powinni zapłacić za życiowe draństwo. Kary za lata upodlenia zwykłych ludzi, dla których rzekomo budowano ustrój powszechnej szczęśliwości, którzy chcieli tylko kochać, śmiać się, cieszyć i mieć pewność, że jutro będzie równie słoneczne, co dziś.*

Odłożyła długopis i przeczytała zanotowane zdania. Podsumowanie wypadło trochę górnolotnie, ale tak właśnie to czuła.

Pobieżnie przejrzała dotychczasowe notatki. Zawarła w nich wszystkie ważniejsze wydarzenia od chwili pierwszego spotkania z Andrzejem Leszczyńskim, aż po dzień dzisiejszy.

Zebrała wszystkie kartki i wsunęła je do dużej szarej koperty. Na koniec dokładnie ją zakleiła.

ARSEN WSZEDŁ do Ogrodów Tuileries. Obszedł fontannę i ruszył w stronę Café Renard. Przy wystawionych na zewnątrz stolikach nie dostrzegł Sunny. Spojrzał na zegarek. Przyszedł kilka minut za wcześnie. Obejrzał się, gdy usłyszał za sobą śmiech. Dwóch ciemnoskórych facetów pospiesznie przeliczało pieniądze. Kilka drobniaków wypadło na ścieżkę, ale oni nie raczyli się nawet po nie schylić. Interesowały ich tylko banknoty, które wyciągali z kartonowych puszek na datki.

W Arsenie wezbrała złość. Kilka minut temu, gdy wchodził na teren ogrodów, tych dwóch do niego doskoczyło. Nie rozumiał, co mówią, ale ponieważ pokazywali fotografie małych czarnoskórych dzieci ze spuchniętymi z głodu brzuskami, załapał, że zbierają datki na dożywienie głodujących w Afryce. Wyjął pięćdziesiąt franków, ale spojrzawszy na ich proszące miny, ostatecznie dał sto.

Teraz z narastającym wzburzeniem patrzył na rzekomych wolontariuszy. Sięgnął po serwetkę i napisał na niej kilka zdań.

Wreszcie nadeszła Sunny.

– Co masz tak ponurą minę? – Spytała.

– Zapłaciłem mandat – skłamał.

Sunny zamówiła kawę, a on wodę niegazowaną.

– Możesz się już skupić na tym, co mam do powiedzenia? – Głos Sunny był lekko drwiący. Była w dobrym humorze i najwyraźniej ponura mina Arsena wprowadziła ją w jeszcze pogodniejszy nastrój.

– Cały czas jestem skupiony – odwrócił wzrok od wielkiego diabelskiego młyna, który kilkadziesiąt metrów dalej unosił do góry roześmiane dzieciaki wraz z rodzicami. Wszyscy byli dobrze ubrani, najedzeni, a maluchy trzymały dumnie w dłoniach patyki z kolorową watą cukrową.

– Musisz zintensyfikować poszukiwania.

– Już go znalazłem, ale Leszczyńskiego chronią Amerykanie.

– Jesteś pewien?

Wzruszył ramionami. On nigdy nie mówił czegoś, czego wcześniej dokładnie nie sprawdził. I Sunny doskonale o tym wiedziała.

– Oczywiście można go wyciągnąć z talii, ale z twojej miny wnioskuję, że może być rozróżba.

– Francuzi idą ręką w rękę z Jankesami – stwierdził Arsen – więc może dojść do strzelaniny.

– W jaki sposób się dowiedziałeś?

– Wynająłem paru detektywów. Powiedziałem, że facet uwiódł mi żonę i chcę mieć dowody zdrady.

– Pomysłowe.

– Najpierw moja sfora przeczesła hotele. Przez ostatnie dwa tygodnie mieszkał w trzech. Zmienia je co trzy, cztery dni. Ostatni adres był w hotelu Ibis w Wersalu. Zameldował się na trzy noce. W hotelu San Régis mieszkał najdłużej, prawie tydzień. Nadal też wynajmuje tam pokój, który opłacił z góry na trzy miesiące. Być może ma jeszcze gdzieś



kolejną dziuplę, ale musiał się w niej zameldować pod innym nazwiskiem.

– Mówisz, że mieszkał tydzień pod własnym nazwiskiem? – spytała Sunny.

– Następnego dnia po wydarzeniach na dworcu Gare de Lyon zameldował się w San Régis pod zmienionym nazwiskiem.

– Co z Polką?

– Zgodnie z pani poleceniem w domu, gdzie zamieszkała, zainstalowałem podsłuch – powiedział Arsen.

– Ekipa malarska?

– Właśnie odnawiali elewację domu, w którym wynajęła z koleżankami mieszkanie.

– Dowiedziałeś się czegoś ciekawego?

– Tylko tyle, że Anna zamierza wysłać córkę do podparyskiego klasztoru Urszulanek.

– Mądre posunięcie – Sonny kiwnęła z uznaniem głową. – A teraz przejdźmy do towarzysza Mikunina.

– Na obrzeżach Paryża jest duża posiadłość. Należy do naszej ambasady, którą on zawiaduje – Arsen mówił jakby znudzonym głosem. – Niestety, nie można dostać się do środka. Całości strzeże zintegrowany system ochrony. Ale mógłbym spróbować.

– Odpuść to sobie. Właśnie dostałam tam zaproszenie.

– Jeśli chodzi o paryskie lokum Mikunina, założyliśmy podsłuch na domowym telefonie. Ale on nigdy z niego nie korzysta. Wydzwania z ulicznych budek telefonicznych. Poza tym ma zajoba na punkcie komputera. Jeśli nie ma nic w planach, całymi dniami siedzi przed monitorem. Mogę o coś spytać?

– Tak?

– Dowiedziałem się, że Mikunin jest matematykiem. Co taki facet robi w KGB?

– Ty kształciłeś się na popa, więc dlaczego trafiłeś do GRU?

Arsen spojrział lekko zaskoczony na Sunny.

– No niby tak, to w sumie bez znaczenia.

Sunny usłyszała dochodzące z boku radosne pokrzykiwania. Wiele lat temu śmiała się podobnie, gdy Hawele biegał za nią alejkami i polewał wodą z butelki. Tęskniła za kochankiem. Od czasu jego śmierci coś w niej zgasło. Nie chciała już żyć. Nie miała dla kogo.

– Mam prośbę. – Mina Arsena była niepewna.

– Mów.

– Nie znam tak dobrze francuskiego, a pewien przyjaciel chciałby przekazać wiadomość właścicielom mieszkania, które wynajmuje.

Arsen sięgnął po serwetkę.

– Napisać tłumaczenie na serwetce? – spytała Sunny.

– Jeśli byłaby pani tak uprzejma.

Sunny przeczytała tekst.

– Twój przyjaciel chce mieć kłopoty?

– Raczej dzięki temu wróci mu dawna pogoda ducha.

– Nie moja sprawa.

Szybko przetłumaczyła kilka zdań. Kiedy wróci do domu zadzwoni do Mikunina z informacją, gdzie może znaleźć Andrzeja.

– Zapłać za mnie.

– Oczywiście. – Wstał z miejsca i ukłonił się Sunny na pożegnanie.

Wziął serwetkę z tłumaczeniem i schował do kieszeni. Potem zostawił dla kelnera pod spodeczkiem banknot pięćdziesięciofrankowy.

Pogwizdując, ruszył w stronę wyjścia z ogrodów. Przy bramie trafił na dwóch ciemnoskórych. Najwidoczniej go nie poznali, bo jak poprzednio obskoczyli z obu stron i pokazując legitymacje wolontariuszy, wyciągnęli przed siebie tekturową puszkę na datki i zdjęcia głodujących dzieci w Afryce.

Arsen wyjął z kieszeni serwetkę i podetknął ją pod nos najbliższemu. Zarazem odsłonił połą marynarki, ukazując kolbę tkwiącego w kaburze

pistolet. Oszust mógł przeczytać: *Nie chcę was tutaj nigdy więcej widzieć. Jesteście ostatnimi skurwysynami. Teraz oddaj mi wszystkie wasze pieniądze. Jeśli spróbujesz uciec albo wzywać pomocy, odstrzelę tobie i temu drugiemu frędzlowi kurewskie łby i kopnę je aż do Afryki.*

## Rozdział 7

Kobieta, którą nazywał matką, była doskonałą przykrywką do jego spotkań w domu opieki z oficerem. Artur był policyjnym agentem, a lekarz, choć rzeczywiście leczył starych ludzi, jego prowadzącym w stopniu podinspektora. Artur przekazywał mu informacje o rozpracowywanym Jensen–Drzyckim, a w drugą stronę dostawał kolejne zadania.

Starą kobietę znaleziono zagubioną na ulicy. Nikt jej nie szukał, a chora na Alzheimera nie wiedziała o sobie nic. Nie mogła zatem zaprzeczyć, że uśmiechający się do niej mężczyzna jest jej synem.

Pół roku wcześniej Artur stanął przed Centralną Komisją Weryfikacyjną MSW, która po zbadaniu jego akt personalnych wyrzuciła go z pracy. W wydanej opinii podkreślono, że pracował w pionie, który zwalczał opozycję demokratyczną i był aktywnym członkiem podstawowej organizacji partyjnej. W rzeczywistości jego rzekoma praca w MSW i przynależność do PZPR były tylko przykrywką. W czasach reorganizacyjnego chaosu praktycznie nie dawało się zweryfikować prawdy.

W dniu, w którym komisja zatwierdziła jego wyrzucenie z firmy, wyreżyserowany przypadek zderzył go z ludźmi, którzy podobnie jak on, z dnia na dzień, stracili pracę w służbie bezpieczeństwa. Wraz z nimi wylądował na stołkach w restauracji Polonia, gdzie wszyscy zalewali wkurw i rozżalenie wódką. Jego celem był Leszek. Dzięki niemu miał przeniknąć w pobliże Jensen–Drzyckiego.

Nowego kumpla również wywalono z resortu na bruk, tylko że kilka miesięcy wcześniej. Tamtego dnia wśród pijących Leszek szukał ludzi, którzy byliby skłonni pracować dla jego nowego bossa. Artur wyraził zainteresowanie nową pracą, zwłaszcza że przecież miał starą matkę, na której utrzymanie w domu opieki co miesiąc musiał płacić niemal dwa tysiące. Od Leszka dowiedział się, że mógłby się zatrudnić jako kierowca TIR–a. Musiał jedynie wznowić uprawnienia i przejść dodatkowe kursy specjalistyczne. Firmę prowadził Jensen–Drzycki, który jeszcze rok wcześniej, w stopniu inspektora, był zastępcą generała

Sulimowicza. Kiedy Mazowiecki został pierwszym niekomunistycznym premierem, to właśnie jego w pierwszej kolejności wyrzucono z MSW. Podobno walnie przyczynił się do tego nie kto inny, ale właśnie Sulimowicz.

Artur został partnerem Leszka i wraz z nim, co dwa tygodnie, ruszał ciężarówką w trasę do magazynów na przedmieściach Arnheim. Interes wydawał się kręcić na najwyższych obrotach. Co tydzień w stronę Holandii jechały cztery konwoje. Drugim kierunkiem była podmonachijska miejscowość Hohenlinden.

W czasie ostatniego pobytu w Arnheim zakradł się nocą na strzeżony przez wartowników teren składowiska. W hali otworzył jedną przywiezionych poprzedniego dnia palet i dobrał się do ułożonych w środku paczek. W pierwszej i kolejnych dwóch znalazł porcelanowe talerze. Były jeszcze surowe, bez naniesionego wzoru oraz szklistej polewy. Obejrzał je dokładnie. Zbadał paznokciem, opukał. Był nieco zaskoczony tym, co znalazł. Chyba wyobrażał sobie, że odkryje narkotyki, może broń, ale na pewno nie zastawę stołową.

Wsunął jeden talerz za T-shirta. Zasłonił tekturą rozciętą wierzch palety. Przez dach wy dostał się na zewnątrz. Przeczłogał się pod siatką, która ogradzała magazyny. Potem przywiózł talerz do Polski i przekazał go oficerowi prowadzącemu. Dzisiaj miał się dowiedzieć, co tak naprawdę znalazł.

– Mówisz, że to zwykły fajans? – Artur spojrzał ze zdziwieniem na lekarza, który strząsnął popiół z papierosa za barierkę tarasu, na który wyszli kilka minut wcześniej.

Obejrzał się na siedzącą na łóżku w pokoju matkę, która patrzyła na niego pustym wzrokiem.

– Zawiedziony? – Lekarz zaciągnął się głęboko.

– A ty nie? Naprawdę wierzysz, że samochody Jensen–Drzyckiego rozwożą po Europie badziewną porcelanę?

– Co chcesz zrobić?

– Za tydzień mam kolejny kurs. Jeszcze raz zajrzę do magazynu. Może otworzyłem nie tę co trzeba paletę?

- Skąd będziesz wiedział, która jest właściwa?
- Mam trochę czasu, żeby się nad tym zastanowić.

ANDRZEJ LESZCZYŃSKI zerknął w lusterko wsteczne. Po raz trzeci wjechał w tę samą uliczkę. Zrobił rundę wokół taniego pensjonatu, w którym zamieszkał przed dwoma dniami. Czysto, nikt nie siedział mu na ogonie.

Po kolejnych minutach kręcenia się po jednokierunkowych uliczkach wreszcie zajechał na parking i ustawił auto w cieniu z dala od latarni. Wysiadł. Zamknął drzwi na kluczyk i ruszył w stronę wejścia.

W hotelowym holu podszedł do aparatu telefonicznego. Z kieszeni marynarki wyjął notatnik, w którym zapisał numer do warsztatu samochodowego. Niedawno znalazł go w książce telefonicznej. Warsztat prowadził także wypożyczalnię samochodów i znajdował się kilka uliczek dalej. Wykręcił numer. Tym razem czekał nieco krócej, aż ktoś zdecyduje się odebrać.

- AutoSol, słucham.
- Chciałem coś naprawić w samochodzie.
- Coś brzmi mało konkretnie.
- Urywa mi się zamocowanie rury wydechowej.
- Jest pan tego pewien, czy tylko tak mu się wydaje?

Mówiący miał katar i niekoniecznie był Francuzem. Andrzej musiał domyślać się niektórych słów.

- Pewien. Zapłacę gotówką.
- Jesteśmy bardzo obciążeni pracą.
- Chciałbym zostawić samochód dzisiejszego wieczora. Zarazem chcę wziąć z waszej wypożyczalni samochód. Powiedzmy na tydzień.

Odbierający telefon najwyraźniej zaczął kalkulować opłacalność transakcji wiązanej. W końcu sapnął głośno, jakby robił Andrzejowi łaskę.

– Dobra, niech pan przyjedzie. Najlepiej między ósmą a dziewiątą wieczorem, wtedy mogę przyjąć auto do naprawy. Wypożyczalnia jest do dwudziestej drugiej.

– W porządku.

*Andrzej Leszczyński. Zapis piętnasty. 28 lipca 1991 roku*

*Amerykanie kontrolują każdy mój krok. Nie mam już co do tego najmniejszych wątpliwości. Dowód znalazłem dzisiaj poranka, gdy golarzka wypadła mi z rąk, uderzyła o posadzkę i pękła na pół. Ze środka wypadł cienki chip, który nie był częścią urządzenia. Przypomniałem sobie, jak na zajęciach w szkole wywiadu pokazano nam na slajdach niektóre z nowinek amerykańskiego przemysłu elektronicznego. Według opinii wykładowcy, kontrola elektroniczna była pieśnią dalekiej przyszłości. A tu proszę, trzymałem w dłoni to, co niedawno wydawało się produktem futurystycznym.*

*Byłem przekonany, że nie tylko w golarce umieszczono podobne wynalazki, więc*

*poranek spędziłem na dokładnym zbadaniu każdego centymetra ubrań, przyborów toaletowych, walizki i torby podróżnej. Trzy podobne chipy znalazłem w watowanych ramionach marynarek, jeden w kołnierzu płaszcza, dwa kolejne w obcasach butów. Na koniec zająłem się zegarkiem, który stale nosiłem na ręku. W środku również było urządzenie namierzające. Prawdę mówiąc, zgłupiałem. Kiedy to wszystko umieszczono w moich rzeczach?*

*Wtedy przypomniałem sobie dzień, gdy przyleciałem z Anną Wermer do Paryża. Nie wiedzieć czemu poproszono mnie o zdjęcie marynarki i wyjęcie na przygotowaną tacę wszystkich metalowych przedmiotów. Po drobiazgowej kontroli osobistej, która trwała co najmniej pół godziny, grzecznie mi podziękowano i na powrót wręczono drobiazgi. Wśród nich, prócz portfela i kluczy, był właśnie zegarek, zapalniczka i długopis. A to może tylko wskazywać, że Francuzi grają z Amerykanami w jednej drużynie.*

*Jak przewidywałem, w długopisie i zapalniczce również trafiłem na identyczne chipy Made in USA.*

*Miałem dowód, że Secundus kłamał, zapewniając, że gra do własnej bramki. To pewne, że owa próba usamodzielnienia się jest zasłoną dymną, która ma wprowadzić mnie w błąd. Ufając Secundusowi, położę głowę pod topór. Ale skoro są pewni, że jestem w ich rękach bezwolną kukłą, nie zamierzam wyprowadzać ich z tego błędu. Secundus, a za nim Schneider, muszą być pewni, że mają mnie na smyczy. Tylko wtedy wygram.*

ANNA WRÓCIŁA do domu kilkanaście minut przed piątą. Na piętrze przywitał ją Skurwiel. Otarł się o jej nogę, gdy otwierała drzwi wejściowe. Anna mogłaby przysiąc, że zostawiła kota w domu. Otwarte okno na klatce schodowej powiedziało jej wszystko. Na pewno drań wywedrował od Heleny przez balkon i po parapecie dostał się przed jej drzwi wejściowe.

Weszła do mieszkania. Potem odwróciła się do kota.

– Posłuchaj mnie uważnie – pochyliła się w stronę siedzącego na posadzce zwierzaka. – Już raz, łajdaku, dałeś nogę od swojej pani. Nie wiem dlaczego wybrałeś sobie akurat mnie. Jeśli dziś masz jeszcze zamiar iść gdzieś dalej, to proszę, nie krępuj się. Powiem jej, że nie ma co żałować takiego drania. – Otworzyła szerzej drzwi, jakby chciała powiedzieć: „Wolna droga”.

W progu ukazała się Helena, która na widok kota sapnęła zła.

– To ja szukam skurwiela nawet w śmietniku, a ten najspokojniej w świecie z tobą gada?

– Jak to szukasz?

– Miałam zamiar wyjść na zakupy. Otworzyła drzwi, a ten sru... i tyle go widziałam.

– Uciekł?

– Przecież mówię. Więc tylko poprawiłam usta, bo coś mi nie pasowało – wskazała na lustro wiszące przy drzwiach – i poleciałam za sierściuchem. Chodzę, wołam, zaglądam między kwietniki... Nic. A ten, proszę...

Helena wzięła kota na ręce. Ten ziewnął z cichym miauknięciem, jakby chciał powiedzieć: „Przecież nic się nie stało”. Helena cmoknęła



go w ucho i opuściła na podłogę. Spojrzała na Annę pytająco.

– Co z pensjonatem dla małej?

Przeszły do pokoju.

– Załatwiłam. Siostrzyczki wydają się w porządku – stwierdziła Anna.

– Stare klepy?

– Właśnie że młode, i to jest pierwszy plus. Drugi, że nie wzdychają co chwilę do Pana Boga.

– A trzeci? – zaciekawiła się Helena.

– Dwa ci nie wystarczą?

Anna dopiero teraz dostrzegła w ręku Heleny złożoną torbę.

– A zakupy?

– Mam już lecieć, czy jaśnie pani da mi odsapnąć po poszukiwaniach mojego ulubieńca?

– Czyli przejęłaś się, że Skurwiel mógłby uciec?

– Prawdę mówiąc, mam to gdzieś. Wyobraziłam sobie jednak, że z żalu dostałabym kota. Doszłam zatem do wniosku, że z dwojga złego wolę już jego kłaki na swoim ubraniu. – Podniosła się z miejsca. – Wracam za godzinę.

Wyszła, trzaskając za sobą drzwiami wyjściowymi.

ANDRZEJ WSIADŁ do auta i przekreślił kluczyk w stacyjce. Włączył światła i wyjechał z parkingu, który znajdował się nieopodal pensjonatu. Wkrótce w lusterku wstecznym zobaczył szarego opla. A jednak Secundus odkrył pensjonat i doczepił mu ogon, jakby do końca nie wierzył w elektroniczne cudeńka. Andrzej wziął tę ewentualność pod uwagę. Auto jechało za nim w pewnej odległości, więc można je było wziąć za przypadkowy samochód. Ale nie na tyle daleko, żeby jadący z tyłu przypadkiem go zgubił.

Nie zamierzał nigdzie uciekać, chociaż przed wyjściem przebrał się w kupione dzisiaj nowe ubranie: letni garnitur, T-shirt i tanie sandały. Z

hotelu zabrał jedynie zegarek, w którym znajdował się namierzający go chip. Przez jakiś czas jeździł po sąsiednich ulicach. Czasami przystawał i pytał o coś idących chodnikiem. Chciał, żeby śledzący nabrał przekonania, że czegoś szuka. Wkrótce okazało się, że owym czymś jest warsztat samochodowy.

Nim Andrzej wysiadł z auta, zdjął z ręki zegarek i wrzucił go do samochodowego schowka. Wszedł do zakładu, żeby oddać kluczyki do auta. Śledzący go agent nie miał pojęcia, że warsztat ma przejście do znajdującej się na sąsiedniej ulicy wypożyczalni samochodów.

Dwadzieścia minut później, po wypełnieniu stosownych dokumentów, wyjechał z garażu przedsiębiorstwa i ruszył w stronę centrum Paryża. Nieświadomy podstępny agent warował przy warsztacie.

Andrzej wysiadł z taksówki przed pensjonatem. Dwie godziny wcześniej zaryzykował spotkanie, które mogło wywrócić do góry nogami część legendy, którą wokół siebie stworzył. Świadomie podjął to ryzyko. Miał nadzieję, że druga strona to doceni.

Nogi nieco mu się plątały i co jakiś czas wybuchał wesołym śmiechem. Wyglądał jak przeciętny facet, który wypił nieco za dużo. Obok stanęła na chodniku trzydziestoletnia kobieta. Miała na sobie krzykliwo-czerwoną sukienkę i fioletowy sweterek z krótkimi rękawami, przez który prześwitywał biały stanik. Jeśli dodać do tego karminowe botki, to wszyscy znali już profesję dziewczyny.

– Tu mieszkasz? – Viviane rzuciła krytycznym okiem na fronton pensjonatu.

– Nie podoba ci się? – Zapłacił kierowcy i klepnął otwartą dłonią w dach, że może odjeżdżać.

– Ujdzie.

Andrzej dostrzegł zaparkowanego w głębi ulicy szarego opla. Był ciekaw, jak bardzo siedzący za kierownicą denerwował się jego zniknięciem. No cóż, tak bywa, gdy nie zna się terenu, na którym prowadzi się działania. Tę prawdę wbijano mu do głowy w szkole wywiadu.

– Idziemy, czy wybieramy sobie miejsce na parking? – Dziewczyna wypluła żutą gumę i sięgnęła do torebki po nową.

– Jasne, że idziemy.

Andrzej objął ją za szyję i pociągnął w stronę wejścia. W holu właściciel pensjonatu obrzucił ich nieprzychylnym spojrzeniem, ale Andrzej miał to gdzieś. Niech lepiej zajmie się przeciekającą w łazience umywalką.

Wjechali ciasną windą na górę. Weszli do pokoju. Początkowo dziewczyna nie dostrzegła zmiany, która zaszła w Andrzeju. Jego luzacki nastrój gdzieś przysł, a płaczący się po pijanemu w ustach język odnalazł swoje miejsce.

Dziewczyna zajrzała do łazienki, skrzywiła się i wróciła do pokoju. Zaczęła rozpinać sweterek. Nie trwało to długo. Trzy guziki. Zdjęła okrycie i rzuciła je na oparcie fotela. Sięgnęła dłońmi na plecy, żeby rozpiąć biustonosz.

– A ty co? – Spojrzała zdziwiona na Andrzeja, który usiadł przy niewielkim biurku i coś pisał w notesie. – Nie ściągasz spodni?

– Możesz zacząć się ubierać.

– Nie masz już na mnie ochoty? – W głosie Viviane dał się słyszeć zawód.

– Siadaj – rzucił rozkazująco i wskazał na najbliższy fotel. Posłuchała. – A teraz nie otwieraj ust, dopóki nie skończę pisać.

Piętnaście minut później odłożył długopis.

– Chcesz teraz? – Wskazała wzrokiem na łóżko.

– Jesteś fajna, ale innym razem. Ach, prawda. Sorry. – Uniósł do góry dłoń w przeproszającym geście. Sięgnął do kieszeni i odliczył czterysta franków. – Zadowolona?

– Naprawdę nie masz ochoty? – W jej głosie usłyszał niedowierzenie. – Jeszcze dzisiaj nie miałam żadnego klienta.

– Innym razem.

Wstał z miejsca i wcisnął dziewczynie do ręki pieniądze. Potem dołożył jeszcze sto franków.

- Za ten zawód, który ci sprawiłem.
- Nie możesz? – Dziewczyna nie dawała za wygraną.
- Mogę, ale nie mam ochoty.
- Jestem brzydka?

Andrzej powoli zaczął tracić cierpliwość.

– Jesteś ładna. Masz ładne piersi, ładny tyłek, zgrabne nogi. Fajnie się czujesz. A jeśli chodzi o ubranie to...

- Co?
- Dla mnie trochę zbyt krzykliwe.
- Dlatego zwróciłeś na mnie uwagę – nadała się.
- Fakt.
- Ale zaraz je z siebie zdejmę. Więc co ci nie pasuje?
- Czy każdy facet, który zabrał cię z ulicy, potem cię przeleciał?
- Każdy.
- Więc kiedyś musi być ten pierwszy raz.

Dziewczyna sięgnęła po sweterek i nałożyła go szybkim ruchem. Schowała pieniądze do torebki.

- To wszystko? – spytała, jakby chciała się upewnić.

Andrzej pokręcił głową.

- Może rzeczywiście mogłabyś coś dla mnie zrobić.

Uśmiechnęła się, wyjmując z ust gumę do życiu.

- Szybkiego lodu?
- Jesteś monotematyczna.

Włożył kartkę do koperty. Zakleił ją i napisał na niej adres.

– Pójdiesz pod ten numer, zadzwonisz i powiesz do domofonu, że przysłała cię Andrea. Wówczas wyjdzie do ciebie facet. Dasz mu tę

kopertę.

– Chyba pomyliłeś mnie z listonoszem – dziewczyna wydeła kpiąco wargi.

– W liście napisałem, żeby dał ci pięćset franków.

Twarz dziewczyny wypogodniała.

– Jak chcesz – wyjęła mu z ręki kopertę i ruszyła w stronę drzwi. Odwróciła się do Andrzeja, kładąc rękę na klamce. – Żałuj, że nie spróbowałeś. Na pewno ugotowałabym twoje jajka na twardo.

– Już mi o tym mówiłaś w taksówce – mruknął Andrzej.

– Więc jakby co wiesz, gdzie mnie szukać.

Kiwnął głową, że wie.

Viviane wyszła na korytarz i spojrzała na kopertę. Odniesie ją i zainkasuje pięć setek. Wtedy wróci do Jasmine. Córeczka od dwóch dni gorączkowała. Co prawda dała jej proszki przed snem, ale będzie lepiej, jak tej nocy wróci do małej.

Ponownie zerknęła na kopertę, potem spojrzała za siebie, na zamknięte drzwi do pokoju. Jeden pedał umawia się listownie z drugim, a gościem jest dziwka. Co za świat.

Na ulicy złapała taksówkę. Podała adres i przez dwadzieścia minut gapiała się przez okno. Miała dzisiaj sporo szczęścia. Ledwo wyszła na ulicę, a zatrzymał się przy niej Andrea. Przez ostatni tydzień nie wziął jej żaden klient. W ogóle na ulicach zrobiła się bryndza. Chociaż niektórym dziewczynom dopisywało szczęście. Na przykład taka Tereza. Ile mogła mieć lat? Dziewczyny dawały jej sześćdziesiątkę. Nieźle utrzymana, ładnie ubrana, ale czas już zrobił swoje. Jeśli do tego dodać osiemdziesiąt kilo wagi i widoczne pod bluzką zwały tłuszczu, to dziwne, że w ogóle zarabiała. Najczęściej Tereza stała z nimi na ulicy do północy. Raz w miesiącu trafiał się jej pijany amant, który ledwo widział na oczy. Ona jednak się tym nie przejmowała.

– Jeden woli niedawno tłoczone beaujolais, inny starego merlota – mawiała. – Jeden od przodu, inny od tyłu. A ja mam frajdę, jak mrok nasuwa się na ulice i człowieka ogarnia dreszcz emocji. Może ostatnio

mam pecha, ale nie ma się czym przejmować. Ten drań, jak liszaj, łązi z jednego na drugiego, więc i ze mnie pewnego dnia zejdzie.

Dreszcz emocji? Od stania na ulicy? Odbiło jej, czy co? Cóż to niby za frajda rozkładać nogi przed byle kim? Viviane nie bardzo mogła zrozumieć, o co tamtej chodzi. W efekcie uznała Terezę za nieco walniętą.

No i z tym swoim pechem do facetów to nieco przesadziła. Dwa miesiące temu Tereza złamała nogę. Zrobiła to tak nieszczęśliwie, że włożono jej całą kończynę w gips – od uda po palce stóp. Kilka nocy później pojawiła się na chodniku o kulach. Wyjaśniła, że chciała tylko postać z dziewczynami, bo samej nudzi jej się w mieszkaniu. Jednak nic z tego nie wyszło. Pierwszy facet w samochodzie, którym zatrzymał się obok, zaprosił Terezę do auta. A jaką przy tym miał frajdę, żeby zapakować jej sztywną nogę do środka! Kiedy wróciła, zaraz zabrał ją następny. I tak do rana obróciła pięć razy. Podobnie było nocy następnej i kolejnej. Cholera wie dlaczego wszyscy wybierali akurat grubaskę z nogą usztywnioną gipsem. Po sześciu tygodniach wróciła normalność. Zdjęli jej gips i znowu nikt jej nie chciał. Aż pewnej nocy Tereza przykuśtykała z usztywnioną nogą. I znowu zaczęły się amory. Inne dziewczyny poszły po rozum do głowy i również unieruchomiły sobie ręce lub nogi, ale Terezie szło najlepiej.

Kiedy innym się powodziło, Viviane poczuła, że teraz ją dopadł cholerny pech. Córeczka zaczęła chorować, a klientów z dnia na dzień ubywało. Może od dzisiejszego wieczora wróci dawny fart, a liszaj przelezie na kogoś innego?

Taksówka zatrzymała się pod wskazanym adresem. Zapłaciła.

Kiedy samochód odjechał podeszła do budki telefonicznej, żeby zadzwonić do Ronnie. Po wykręceniu numeru usłyszała jej głos w słuchawce. Powiedziała, że Polak jej nie przeleciał, ale skierował ją do innego klienta.

– Co to za gość?

– Nie wiem. Po wszystkim zadzwonię.

Odwiesiła słuchawkę. Na początku bała się dziewczyny pociętej na twarzy nożem. Ale kiedy ta przekonała kilku alfonsów, że zabierają

dziewczynom za dużo kasy... Fakt, jednego kosztowało to utratę obciętych dłoni, ale najważniejsze, że reszta zbastowała z ich okradaniem.

Podeszła do domofonu i nacisnęła przycisk interkomu.

Secundus był zaskoczony widokiem dziewczyny i wiadomością, którą mu przekazała. Wziął list i chciał odejść, ale Viviane przytrzymała go za ramię.

– Tamten mówił, że dostanę pięć stów.

Otworzył kopertę i przebiegł oczami treść listu.

– Na górze dam ci pieniądze.

Wjechali windą.

Weszli do mieszkania. Secundus poszedł do salonu. Sięgnął do kieszeni marynarki. Wyliczył pięćset franków. Viviane schowała pieniądze.

– Spieszysz się gdzieś? – Uśmiechnął się do niej znacząco.

Pokręciła przecząco głową i zaczęła zdejmować sweterek. Więc jednak coś zaczyna iść ku dobremu. Może wreszcie pech Terezy zlezie z Viviane i oblepi kogoś innego? Zerknęła na uśmiechającego się faceta, któremu najwyraźniej podobały się jej nagie piersi.

A może liszaj przeskoczy na niego? Może. Ale jakoś nie bardzo w to wierzyła – podobnie jak z syfem. Lekarz twierdzi, że można się z niego wyleczyć, chociaż od pół roku nie bardzo jej się to udawało.

## Rozdział 8

Artur Nojmann przywitał się z Leszkiem. Umówili się w kawiarni na Marszałkowskiej.

– Co pijemy? – Artur spojrzał pytająco. – Piwo?

– Duże – Lech rzucił z mroczną miną.

Kiedy nadeszła kelnerka, Artur zamówił dwa browary.

– Coś się stało? Masz taki wyraz twarzy... Przyspieszyli nam wyjazd?

– Ktoś nas zdradził – padła krótka odpowiedź.

Początkowo Artur nie zrozumiał. Na jego twarzy musiało się odmalować zdezorientowanie, które Leszek zapewne wziął za obawę, gdyż klepnął pocieszająco kumpla w ramię.

– Ja też wywaliłem gały.

– Od kogo się dowiedziałeś? – Spytał Artur.

– Od Markiza.

– Skąd Jensen–Drzycki wie?

– Dostał cynk z Arnhem. Ochrona przeglądała taśmy z kamer przemysłowych i znalazła na nich intruza.

– O kurwa – Artur znowu się zapowietrzył.

– Powiedziałem to samo.

W pierwszej sekundzie Artur pomyślał, że Leszek bawi się z nim w kotka i myszkę i zaraz rzuci mu w twarz oskarżenie. Nic takiego się nie stało. Najwyraźniej nikt o nim nie wiedział. Jeszcze.

– Wiecie, kto zdradził? – spytał Artur.

Leszek poczekał, aż kelnerka z piwem przejdzie dalej.

– Drań przyjechał z transportem dzień przed nami. Jego kierowca ma niepodważalne alibi, jednak tamten nie potrafił wytłumaczyć się ze swojego czasu.



Leszek sięgnął do kieszeni i położył przed Arturem zdjęcie. Czterdziestoletni mężczyzna właśnie otwierał ramiona, żeby złapać w nie nadbiegające dzieci.

– Co o nim jeszcze wiadomo? – Dopytywał Artur.

– Weryfikujemy wszystkie informacje, które zebrano, gdy Jensen przyjmował go do roboty. W końcu policja mogła nam kogoś podstawić. No wiesz, stworzyć o nim legendę, o pracy w resorcie, której nigdy nie wykonywał.

– Aż tak?

– To kret – Leszek najwyraźniej miał ochotę splunąć.

– Co dalej?

– Nie martw się, damy sobie z nim radę – Lech klepnął go w ramię, żeby się nie łamał. – Markiz już rozwiązał ten problem.

– Czyli?

– Zdrajcy idą do piachu – Leszek zaśmiał się krótko. – Gdzie to piwo – obejrzał się na kelnerkę. – Zaczęli dopiero je warzyć?

MAURICE WSZEDŁ na trybunę, na której za kilka godzin mieli zasiąść oficjale Międzynarodowego Wyścigu Paryż Dakar. W niewielkim miasteczku Cabriès kończył się jego pierwszy etap, po starcie z Paryża. Potem samochody miały zostać załadowane na statek i przepłynąć na drugą stronę Morza Śródziemnego, do Trypolisu.

Prawdę mówiąc, Maurice miał gdzieś rajd i cały ten szum, który z roku na rok stawał się coraz głośniejszy. Jego interesował tylko monsieur Philip Arnauld.

Zgodnie z planem, boss miał zająć miejsce koło mera miasteczka, w pierwszym rzędzie trybuny honorowej. A ponieważ Maurice był specem od broni palnej, do jego zadań należała ocena ryzyka, na jaką monsieur Arnauld mógł się narazić po tym, jak usiądzie w odsłoniętym miejscu.

Przez dwa ostatnie dni jego ludzie rozpatrzyli każdą możliwość, kto, kiedy i w jaki sposób mógłby dokonać zamachu. Wszystkie zagrożenia zostały wyeliminowane, a dachy najbliższych domów obsadzone

snajperami, których zadaniem było kontrolowanie okien domów znajdujących się po przeciwnej, do trybuny, stronie placu. Jedyne wysoki budynek w okolicy, który znajdował się na wprost trybuny, na której mieli zasiąść oficjele, był oddalony o kilometr. I mieściła się w nim komenda policji. Jednak należało dmuchać na zimne i Maurice wymógł na organizatorach zmianę krzesła, które miał zająć monsieur Arnauld. Ustawiono je na wprost wieży kościelnej, która stała pomiędzy komendą a trybuną honorową. W ten sposób kolejne miejsce, z którego można byłoby oddać strzał z karabinu snajperskiego zostało wyeliminowane.

Praktycznie przygotowania zostały zakończone. Przynajmniej Maurice chciał w to wierzyć. Coś jednak nie dawało mu spokoju i szeptało, że jeszcze nie zrobił wszystkiego. Właśnie dlatego na kilka godzin przed rozpoczęciem imprezy przyjechał po raz kolejny na trybunę, żeby wszystko sprawdzić. Maurice usiadł na miejscu Arnaulda. Jedyne punkty, który był poza zasięgiem ich kontroli, to był czteropiętrowy budynek policji na wzgórzu, który królował nad miasteczkiem.

Spojrzał na wieżę kościelną. Niemożliwe, żeby z tamtej strony nadeszło jakiegokolwiek zagrożenie. Ten kierunek można było już sobie darować. Największe niebezpieczeństwo mogło nadejść z pobliskich miejsc dla publiczności. Nie można ich było całkowicie kontrolować. Co prawda nakazał, żeby w tłum włączali się detektywi, ale... No właśnie, zawsze było jakieś „ale”.

Zapisała cicho radiostacja. Wyciągnął ją zza paska spodni.

– Maurice, słucham.

– Gdzie jesteś?

– Musiałem jeszcze raz wszystko sprawdzić.

– Jak na placu?

– Od rana schodzą się ludzie, żeby zająć lepsze miejsca. Jest już około tysiąca osób. Za godzinę będzie tu tłoczniej niż w supermarkecie na wyprzedaży.

– Zostań i czekaj na monsieur Arnaulda.

– W porządku. Bez odbioru.

Sięgnął po lornetkę, którą przewiesił przez szyję. Jeszcze do niedawna podobne środki ostrożności wywołałyby u monsieur Arnaulda wybuch wściekłości. Od dwudziestu lat boss konsekwentnie kreował swój wizerunek pogodnego starszego pana, który nie musi obawiać się nikogo i niczego. Chociaż to, że decydował o handlu narkotykami w północno–zachodniej Francji było tajemnicą poliszynela. Oficjalnie należał do najbogatszych właścicieli ziemskich w okolicach Cabriès. Jego winnice Arnauld–Medoc były uznawane wśród smakoszy za jedne z najlepszych.

Maurice przesunął okular lornetki na dachy domów rynku miasteczka. Celowo nakazał, żeby snajperzy byli dla wszystkich widoczni. To miał być jeden z elementów działań prewencyjnych. Dopiero na sygnał dany przez radiostację mieli zająć pozycje.

DAAR GEEN odjął od oczu lornetkę. Miał na sobie ciemnogrnatowy mundur policjanta. Kiedy przed godziną wszedł do gmachu komendy w Cabriès, właśnie wybiegali z niego funkcjonariusze, którzy mieli obstawić rynek miasteczka. Tak przynajmniej wynikało z okrzyków dowódców, którzy przeklinali upał i małą miejscinę.

Do Cabriès dodatkowe posiłki stróżów prawa zostały przerzucone w ramach zabezpieczenia logistycznego trasy przejazdu wyścigu samochodowego. Impreza z pewnością potrwa do późnych godzin nocnych. Najpierw na mecie miały zameldować się motocykle, potem samochody, a na koniec ciężarówki. Cholerna i niewdzięczna służba.

Ponieważ w budynku policji znajdowało się zbyt wielu nowych, nikt nie zwrócił uwagi na funkcjonariusza, który wszedł do komendy i skierował się na schody. Jednak chwilę potem musiał się cofnąć, gdyż z góry schodził pluton mundurowych.

– Hej, kolego – sierżant Luis Gelando, który tego dnia pełnił dyżur, machnął z okienka ręką do policjanta. – Nie spiesz się za bardzo. Zaraz z góry będzie zbiegać kolejna grupa.

– Urwanie głowy z tym wyścigiem – skrzywił się Daar Geen.

– Jakbyś zgadł. Nie wiem, dlaczego ludzie pasjonują się takimi rzeczami. Nie lepiej to posiedzieć z przyjaciółmi w restauracyjce ze szklaneczką dobrego wina w ręku?

– Ja też o tym marzę, ale... służba nie drużba.

– Z daleka was ściągnęli? – Zainteresował się Gelando.

– Z Bordeaux.

– Kawał drogi.

– Cóż robić... – Daar Geen wskazał na ostatniego policjanta, który przeskakiwał po dwa stopnie. – Idę, to chyba już wszyscy.

Ruszył na górę. Kiedy znalazł się na ostatnim piętrze, wspiał się na dach po metalowej drabince.

Przed trzema dniami dostroił się do kanału radiostacji ludzi, których zadaniem było zabezpieczenie pobytu monsieur Arnaulda w miasteczku. To miało być pierwsze publiczne pokazanie się starego od czasu śmierci Kardynała i „Bebe” Gillesa Cardusse’a. Prasa nadal o nich pisała. Wyciągała przy tym na światło dzienne coraz to ich nowe przestępstwa, które wcześniej nie były znane opinii publicznej.

Daar Geen spokojnie czekał, aż spece od ochrony znajdą bossowi najbezpieczniejsze miejsce. Kiedy wybór został dokonany, przysłała kolej na niego. Wszystkie z upatrywanych przez niego miejsc zostały obsadzone agentami policji, lub też pokryte polem obserwacji wynajętych agentów. Wszystkie, prócz jednego.

Grek zdjął z ramienia dużą torbę z grubego plastiku z policyjnymi znakami drogówki. Można było sądzić, że znajdują się w nim znaki, które szybko można było ustawić na jezdni. Rozpoczął składanie karabinu snajperskiego. Najpierw sięgnął po mechanizm zamka. Przełożył rygiel i wsunął w prowadnicę długą lufę. Wystarczyło przekręcić ją o dziewięćdziesiąt stopni, żeby automatyczne zatrzaski unieruchomiły ją w stalowym łożu. Potem domontował kolbę. Dopiął pod lufę trójnóg. Na koniec pozostało już tylko zamocowanie przyrządów celowniczych i tłumika.

Z wyliczeń dalmierza wynikało, że odległość, która dzieliła go od fotela monsieur Arnaulda wynosiła dokładnie 1068 metrów.

Daar Geen przeszedł na brzeg dachu, gdzie umieścił przyrząd do rejestrowania zmiennych wiatru. Włączył przełącznik. Nałożył na przegub prawej dłoni elektroniczny czytnik, który wyświetlał na ekranie siłę oraz kierunek wiatru. Jedna chwila i miał je przeliczone na średnią, która pozwalała dostroić dalmierz.

Położył się w cieniu wysokiego komina. Wyzerował przyrządy celownicze i rozpoczął namierzanie celu. Stojąca między nim a trybuną honorową wieża kościelna nie zasłaniała jedynie foteli brzegowych. Z dokonanych szybko wyliczeń wynikało, że poprawka, którą musi wziąć w czasie strzału, będzie wynosić dwa i pół stopnia.

PÓŁ GODZINY później plac całkowicie zapełnił się publicznością, którą zgrupowano w strefach bezpieczeństwa. Oficjele wreszcie zajęli miejsca, a orkiestra z Cabriès zaczęła grać skoczne kawałki. Monsieur Arnauld miał tego dnia wyśmienity humor. Zaczął opowiadać żonie mera, która siedziała obok, zabawną historyjkę.

– Wpada mysz z Paryża do zamiejscowego baru, siada na stołku i wydziera się do barmana: „Migiem dawaj dużą lampę Chateau...” „Mogę ci nalać”, mówi barman, który poleruje kieliszki... „ale pod barem śpi kot”. A na to wystraszona mysz, „To poproszę pół lampeczki oranżadki i znikam”.

Kiedy żona mera zaczęła udawać rozbawienie, u wylotu rynku pojawił się pierwszy zawodnik na motorze Yamacha. Rozległy się brawa i głośne okrzyki. Wraz z nadejściem godziny dziewiętnastej uderzył dzwon na wieży kościelnej. Przypominał wiernym, że czas porzucić doczesne uciechy i udać się na ostatnią tego dnia mszę wieczorną.

Dwie minuty wcześniej automat otworzył okna na szczycie wieży kościelnej, żeby dzwon zabrzmiał pełniejszym dźwiękiem. Nikt nie zwrócił na to uwagi prócz Maurice'a. Już wiedział, jaki popełnił błąd... Rzucił się biegiem przez tłum gości. Ale było za późno.

W PRZEŚWICIE, który odsłaniał wahający się dzwon, Daar Geen zobaczył fotel z siedzącym na nim monsieur Arnauldem. Wyliczenie siły, kierunku wiatru oraz dostrojenie urządzeń celowniczych trwało sześć

sekund. Celowanie zajęło niecałe pięć. Należało wybrać moment, gdy wychylający się kielich dzwonu całkowicie odsłaniał siedzącego na krześle Arnaulda.

Palec Greka zgniótł język spustowy.

Pierwsza kula uderzyła Arnaulda w pierś w okolicach mostka. Przebiła koszulę i zmiażdżyła sternum – nieparzystą płaską kość, która stanowiła środkową część przedniej ściany klatki piersiowej. Jedną tysięczną sekundy później rozerwała górny prawy płat płuca i poszarpała lewą aortę wraz z przedsionkiem serca. W jednym z kilkunastu ostatnich jego skurczów krew rzuciła się dziurą w piersiach, rozbryzgując się na boki w krwawym wytrysku.

Kiedy cztery sekundy później kielich dzwonu odchylił się w przeciwną stronę, druga kula zmiażdżyło staremu nos i wepchnęło w głąb czaszki lewe oko. Arnauld jeszcze próbował chwycić się za gardło. Palce zakrzywiły się w szpony, jakby chciały rozerwać stalową obręcz, która zatrzasnęła się na szyi. Po siedmiu sekundach daremnej walki, dłonie bezwładnie odpadły od ciała, które kilka razy poderwały drgawki.

Arnauld przekrzywił głowę, jakby po raz ostatni chciał spojrzeć na twarz żony mera, do której wreszcie dotarł sens wydarzenia. Konającemu popłynęły z jedyne go oka krwawe łzy. W jednej dwudziestej sekundy od uderzenia drugiego pocisku tężejące mięśnie wypchnęły lewą gałkę z oczodołu. Pękająca galareta chlupnęła na jasny zakiet żony mera. Kobieta zaczęła histerycznie krzyczeć. Strach sparaliżował jej mięśnie. Potrafiła jedynie wrzeszczeć i robiła to tak skutecznie, że niemal zagłuszyła grającą orkiestrę.

Arnauld zwiotczał. Z kącików ust pociekła strużka żółtej śliny. Potem przechylił się na bok i niczym manekin, powoli osunął się na kolana mdlejącej żony mera Cabriès. Wtedy ta ostatecznie się zsikała.

W DNIU, W KTÓRYM Anna przywiozła Monikę do internatu, w klasztorze odbywała się uroczystość. Na parkingu stało mnóstwo samochodów i dla ich auta nie było już miejsca. Musiały zaparkować kilkadziesiąt metrów od wejścia do klasztornych zabudowań.

Siostra Adriana wzięła od Anny walizkę.

– Zaprowadzę małą do pokoju. A w tym czasie – wskazała na widoczne w końcu holu drzwi – zapraszam do auli. Z pewnością słyszała pani o monsieur Damazym Lepszyckim.

Anna uśmiechnęła się, co niekoniecznie musiało znaczyć potwierdzenie.

– Rok temu – kontynuowała siostrzyczka – tragicznie zginął. Dziś nasza szkoła przyjmie jego imię jako honorowego patrona.

Anna zawahała się.

– Ależ ja jestem osobą z zewnątrz.

– Już nie, pani Anno, już nie. Do auli zostali zaproszeni rodzice naszych uczniów i przedstawiciele organizacji i stowarzyszeń polonijnych. A przecież Monika od dziś jest naszą uczennicą.

Potem Anna dowiedziała się, że imprezę planowano od niemal sześciu miesięcy. Pierwszy pomysł uczynienia z Damazego Lepszyckiego patrona placówki dydaktycznej rzucił ktoś z redakcji, w której pracował. Jednak szkoły francuskie nie były skłonne przyjąć za patrona nieznanego Polaka, który mimo walki z komunizmem był dla przeciętnego Francuza osobą nieznaną. Po paru tygodniach projekt być może zostałby odłożony do lamusa, gdyby po siedmiomiesięcznym śledztwie nie okazało się, że Damazy Lepszycki zginął z rąk zawodowego mordercy. Kim był zabójca?

W polonijnym świątku zawrzało. Ktoś w jednej z rozmów rzucił: „Mord na zlecenie”. Inny dodał: „Komunistyczni siepacze”. Trzeci: „Odwieczna walka dobra ze złem”. Ostatni zaś dopowiedział coś o heroizmie, bezkompromisowości i poświęceniu życia dla zniewolonej Ojczyzny. W efekcie parę tygodni później wszyscy byli pewni, że monsieur Damazy uciekł z Polski, wywożąc stalinowskie tajemnice, a generałowie z KGB wysłali jego śladem zawodowych morderców. Zatem czyż taki człowiek nie zasługiwał na wszelkiego rodzaju honory? W końcu, nomen omen, na kilka godzin przed tragiczną śmiercią burmistrz Paryża wręczył monsieur Damazemu statuetkę Ikara, którego polonia francuska przyznawała: „*Za szczególne zasługi w walce o demokratyczne wartości*”.

Anna zajęła miejsce na wypełnionej po brzegi sali. Właśnie ktoś wchodził na trybunę, żeby wygłosić laudację nieżyjącego. Siedzący przed nią dwaj mężczyźni zaczęli rozmawiać ze sobą półgłosem. Mogli mieć około siedemdziesiątki. Nieskazitelnie ubrani, pachnący doskonałą wodą kolońską, wzbudzali wyglądem sympatię.

– Wiesz, Patryku – mężczyzna w jasnym garniturze nachylił się do ucha przyjaciela. – Nigdy nie sądziłem, że wezmę udział w podobnej uroczystości.

– Cóż chcesz. Damazy Lepszycki stał się naszym emigracyjnym bohaterem.

– I to mnie martwi.

– Z jakiego powodu?

– Podobno urodził się jako Lipszyc. Potwierdził to dokument, którego odpis dostałem wczoraj w południe od znajomego.

– Lipszyc?... O jakim dokumencie mówisz?

– Komunistycznej lojalce, którą podpisał przed wyjazdem z kraju. Wyjazdem, a nie ucieczką. Zresztą, przeczytaj sam

– Nie wziąłem okularów.

– Więc posłuchaj – zaczął czytać ściszym głosem: *Ja, Damazy Lepszycki... I tak dalej... Biorąc pod uwagę zaostojającą się walkę klasową w Polsce Ludowej i mając na uwadze to, że wrogie ośrodki imperialistyczne za granicą z coraz większą siłą i bardziej zakonspirowane starają się nam przeszkodzić w budownictwie socjalizmu, zobowiązuję się dobrowolnie współpracować z wywiadem Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej, i po wyjeździe na Zachód, jako żydowski emigrant, informować o wszelkiej wiadomej mi wrogiej i nielegalnej działalności skierowanej przeciw władzy ludowej w Polsce... I tak dalej... O, tu jest ciekawe. Jednocześnie zobowiązuje się do zachowania w ścisłej tajemnicy faktu współpracy z wywiadem PRL. Nadmieniam, że jestem świadomy, jak również zostałem uprzedzony, że za zdradzenie powyższej tajemnicy będę pociągnięty do odpowiedzialności karnej przed Sądem Wojskowym.*

Czytający spojrział znacząco na siedzącego obok.



– I co ty na to? Nie Polak, ale żydowski emigrant. A te jego zasługi w obronie demokracji to tylko wielka prowokacja.

– Znam ten tekst.

– Znasz?

– Pokazał mi go Damazy. Mówił, że zmuszono go do podpisania lojalki.

– Każdy mówi, co ślina na język przyniesie, byle tylko po latach wybielić własną przeszłość.

Płynący z głośników głos laudatora przytłumił ostatnie słowa.

– Dlatego też wiernego syna narodu polskiego pragniemy uhonorować tym właśnie wysokim wyróżnieniem, a polskiej szkole podziękować, że wzięła za patrona człowieka, który poświęcił życie w obronie prawdy i demokracji.

Siedzący przed Anną mężczyźni zaczęli bić głośno brawo. Na koniec podnieśli się z miejsc, jakby chcieli tym podkreślić aprobatę wobec usłyszanych słów.

Anna wyszła na korytarz. Przez dobrych parę minut miała nudności. Spróbowała oddychać głęboko, czując, jak kręci się jej w głowie. Podeszła do pobliskich krzeseł i ciężko na nich usiadła. Może jest chora? Dotknęła czoła, ale nie poczuła, żeby miała gorączkę. Musi zacząć o siebie dbać. I przede wszystkim jak najmniej się denerwować.

JENSEN–DRZYCKI stanął w progu sali restauracyjnej hotelu Polonia. Kiedy przechodził między stolikami, usłyszał rozmowę jakiegoś nerwusa z kelnerem, który sprawiał wrażenie, jakby było mu obojętne, co gość do niego mówi.

– Te ziemniaki – klient dźgnął widelcem w papkę – są rozgotowane.  
– Obsługujący zerknął w talerz i zrobił jeszcze bardziej zaciętą minę. – A kotlet? No niech pan sam zobaczy – podeszwa. I ja mam za to płacić?

– Jak się zamówiło, trzeba zapłacić – kelner przybrał minę nauczyciela, który tępemu uczniowi, mimo wielu lat nauki, nadal stara się uświadomić, że dwa plus dwa musi się równać cztery.

– Ale ja nic nie zjadłem.

– Ale zamówienie jest? Jest. Więc trzeba płacić. A nie – głos przybrał groźne tony – to na zmywak.

Jensen przeszedł wąskim korytarzem do wydzielonej salki. Usiadł przy stoliku, na którym stał piękny bukiet świeżych goździków. Zerknął na stojący w rogu stylowy zegar. Przyjechał kilkanaście minut za wcześnie. Zjawił się kelner, który moment wcześniej straszył klienta odpracowaniem należności.

– Czym mógłbym służyć wielce szanownemu panu? Zanim nadejdzie pan generał, może coś podać? Przekąseczka? A może od razu obiadek?

Jensen pomyślał o bezradnym kliencie i rozgotowanych ziemniakach.

– A jest coś dobrego do jedzenia?

– Wszystko. Szczególnie polecam cynaderki. Poezja.

Pokręcił przecząco głową.

– To nie na mój żołądek.

– Więc może tradycyjny schabowy z buraczkami i ziemniaczkami? Do tego poleciłbym suróweczkę z marchewki ze śmietaną i chrzanem. Zapewniam, że będzie pan zadowolony.

Zaryzykował.

– Niech będzie.

Nie czekał nawet dziesięciu minut. Kelner nadal był uśmiechnięty, danie ładnie zaaranżowane, ziemniaki sypkie, posypane świeżym koperkiem, kotlet chrupiący i pachnący. I ten smak mięsa. Z pewnością musiano go moczyć w czerwonym winie.

Kiedy kończył jedzenie, w progu drzwi salki zjawił się Sulimowicz. Jensen chciał wstać, ale wchodzący powstrzymał go ruchem dłoni.

Uścisnęli sobie dłonie. Generał zamówił cynaderki. Zjadł szybko, jakby nie miał nic w ustach od rana. Potem wskazał na pusty talerz.

– Próbowałeś?

Pokręcił przecząco głową.

– Od pana Sławeczka możesz brać wszystko. To poeta nie kucharz. Chciałem zabrać go do ośrodka rządowego, ale się zaparł. Szkoda takiego talentu dla prostych obiadowych dobiegaczy.

Przyniesiono kawę.

– Pamiętasz – generał sięgnął po cukiernicę – że za cztery dni w Gdyni cumuje statek z kolejnym transportem? – Odsunął cukiernicę i zaczął mieszać kawę łyżeczką. – Jest bardzo ważny. Tym razem towar nie trafia do magazynów pod Warszawę, ale od razu rozwieziecie go po Europie.

Jensen bez słowa położył przed Sulimowiczem wczorajsze wydanie Le Parisien. Na szóstej stronie widniało duże zdjęcie starego człowieka ze zdeformowaną od postrzału twarzą.

– Arnauld. – Jensen uderzył palcem w fotografię.

Generał kiwnął z uznaniem głową.

– Grek zasługuje na swoje pieniądze.

– Pozostało jeszcze dwóch, Włoch i ten Holender – stwierdził Jensen–Drzycki.

– Oni już praktycznie są martwi.

– Grek?

– Nie ma takiej potrzeby – generał zaprzeczył. – Tę robotę można wykonać za mniejsze pieniądze.

Przez następną godzinę omówili wszystkie sprawy, w których generał musiał podjąć decyzje.

– Co z pieniędzmi? – zapytał Sulimowicz.

– Jutro przeleję całą sumę na podane konto. Pięć milionów. Sporo będzie to nas kosztować

– Wydam nawet dziesięć, bo mikrofisze są tego warte. Kiedy je odzyskamy, wydane pieniądze zaprocentują stukrotnie.

– Ale zanim forsa się rozmnoży – zauważył Jensen – musimy już ją wydać.

– Chytry dwa razy traci. – Generał sięgnął do kieszeni. – Tu masz numer szwajcarskiego konta, które dostałem od Jego Eminencji. Jeszcze dziś wieczorem przelej całą sumę.

– Biskup sądzi, że pieniądze wyłoży resort?

– Tak myślę.

– Nie będzie chciał poznać źródła dolarów? – Jensen–Drzycki zmarszczył brwi.

– Nie sądzę, żeby kiedykolwiek zaprzątnęło to jego uwagę. Przecież Kościół nigdy nie interesował się przyziemnymi sprawami tego świata. – Zadrwił generał.

– Rzeczywiście, jak mogłem o tym zapomnieć. – Jensen przybrał podobny ton.

Sulimowicz roześmiał się głośno, jakby opowiedział dobry żart.

– W ciągu tygodnia akta wrócą do Polski. Myślę, że kolejny tydzień zajmie naszym pasterzom zrobienie ich dokładnej kopii.

– Tydzień? Ty kopiowałeś je przez pół roku.

– Tylko że ja miałem do dyspozycji jedną osobę, która wykonywała całą robotę po godzinach. Oni mają od cholery rąk, które tym razem zamiast złożyć się do modlitwy, rozłożą się do pracy.

– Wczoraj zaczęły wpływać pierwsze pieniądze za dostarczony towar z Francji, Hiszpanii oraz Niemiec.

– Ile?

– Jak na razie sto osiemnaście milionów dolarów, ale to początek – stwierdził Jensen–Drzycki. – Zgodnie z twoim poleceniem, przelałem je na konto w banku w Lozannie.

Generałowi przyszło na myśl, że usłyszana niegdyś od don Ramira kwota pół miliarda nie była fantazją.

Jensen przerzucał na dnie filiżanki fusy po kawie. Wreszcie, po dłuższym milczeniu, spojrzął Sulimowiczowi w oczy.

– Myślisz, że to wszystko się uda?

- Masz wątpliwości?
- Bez nich nie dostrzeżesz pojawiających się zagrożeń.
- Jeszcze tylko tydzień... – rzucił generał – góra dwa i poznasz odpowiedź na swoje pytanie.
- Chciałem wiedzieć, co ty myślisz.
- Gdybym nie wierzył, że wygramy – Sulimowicz prychnął głośno – już dawno miałbym spakowane walizki.

KELNER SPRZĄTNAŁ ze stołu talerze. Jensen chciał zapłacić, ale Sulimowicz powstrzymał go ruchem dłoni. Potem poprosił, żeby wszystko dopisano do jego rachunku. Na koniec wręczył obsługującemu pięćset tysięcy złotych napiwku.

- Długo jeszcze wszyscy Polacy będą milionerami? – zażartował Jensen.
- Balcerowicz podobno już coś kombinuje, ale to na razie tajemnica, której nie chce mi się szczególnie poznawać.
- Będzie denominacja złotego?
- Musi być, inaczej gospodarka dostanie cholernej zadyszki, a przy jej kondycji finansowej... Dlatego nie warto trzymać kasy w śmieciowej złotówce. – Rozłożył bezradnie dłonie, jakby nie było już co dodawać.

Wyszli przed hotel. Na Poznańskiej, uliczce obok, czekały samochody. Kiedy Sulimowicz i Jensen–Drzycki podawali sobie dłonie na pożegnanie, obaj mieli świadomość, że zaczynają ostatnie i najważniejsze rozdanie w tej rozgrywce.

Generał wsiadł do czekającego auta.

- Wracamy do firmy?– Kierowca obejrzał się na Sulimowicza.
- Pokręcimy się, Władeczku, po mieście. Chcę nad czymś podumać. W ciszy. Więc nie klnij głośno na przechodniów, których miałbyś ochotę przejechać.
- Tak jest.

Ruszyli.

Przez jakiś czas Sulimowicz zerkał przez okno i przyglądał się migającym za szybą obrazom. Musiał przyznać, że Warszawa wreszcie zaczęła się zmieniać. Ale najważniejsza zmiana zaszła w ludziach. Niegdyś niezbyt często można było zobaczyć przechodniów z pogodnymi, roześmianymi twarzami – zwłaszcza tych młodych. Przed laty nastolatek pokazywał światu twarz zamyśloną, na której często malowało się dramatyczne rozdarcie. Można było odnieść wrażenie, że jej właściciel za moment wdrapie się na cokół pomnika Mickiewicza i zastąpi wieszczka w jego zadumaniu i tragicznym osamotnieniu.

Chociaż, skorygował myśl, młodzi nie zawsze chodzili z przyczesaną czupryną i internacjonalistycznym cierpieniem w oczach. Lata osiemdziesiąte były najgorszą dekadą smutnego i śmiertelnie poważnego socjalizmu. On sam był wtedy w pełni sił. Przypomniawszy sobie koniec 1986 roku, kiedy wydawało się, że jego kariera zmierza ku rychłemu zakończeniu. Został wysłany w ostatnią podróż służbową. W ramach obowiązków miał sprawdzić zabezpieczenie kontrwywiadowcze polskich placówek dyplomatycznych. Był jednak przekonany, że wyniki jego pracy nikogo nie będą obchodziły. Jego nieobecność w kraju miała tylko dać czas konkurentom na przeprowadzenie zmian, których on już nie będzie mógł cofnąć. Te zaś miały wykluczyć go z nomenklaturowego obiegu obejmowania kolejnych służbowych stanowisk w resorcie. Najważniejsze zaś ukryto najgłębiej, pod papierkowym śmieciem partyjnych dyrektyw i ministerialnych rozkazów. Jego odejście ze służby miało być wyraźnym sygnałem dla opozycji, że władza zaczyna pozbywać się ludzi, którzy przez lata byli najbardziej zaangażowani w zwalczanie dysydentów.

W Montevideo miał przebywać trzy dni. Wcześniej odwiedził ambasady w Argentynie, Argentyny i Chile – miesięczne wakacje na koszt państwa. Jednego z pierwszych wieczorów po przyjeździe ambasador zaprosił go na raut. Miał na nim wystąpić jako przedstawiciel ministerstwa kultury, który pragnie nawiązać bliższe kontakty z podobnymi instytucjami krajów Ameryki Południowej. Przyjęcie było nudne, kobiety towarzyszące mężom brzydkie, a wino cierpkie. A może tylko on miał tak podły nastrój?

Jensen–Drzycki kiedyś miał rację, gdy zdefiniował internacjonalistyczną wrażliwość, z którą towarzysze obnosili się na

pokaz: Kiedy wszyscy wokół gadają o rewolucji i socjalistycznej uczciwości, przytakujesz. Robisz to tym bardziej ochoczo, jeśli żaden z interlokutorów nie zamierza wkładać ci łap do kieszeni i ograniczać wydawanych państwowych pieniędzy. Kiedy jednak chcą cię odciąć od kasy, przestajesz kiwać łbem i zapominasz o głodujących dzieciach w Afryce. Odkładasz wtedy internacjonalizm na bok, zaciskasz dłonie w pięści, i walisz w ryj tego, kto penetruje zakamarki twojego portfela.

Gdy wśród gości chodził z kieliszkiem w dłoni, uśmiechał się lub dołączał do rozmów, przez cały czas się zastanawiał, jaki pretekst znajdą towarzysze, żeby wysłać go na przedwczesną emeryturę. Nie miałyby do nich żalu. Na ich miejscu zrobiłby to samo. A że dużo wiedział, więc wcześniej posmarowałby takiemu dupę miodem.

Pod koniec dyplomatycznego rautu podszedł do niego mężczyzna w średnim wieku. Przedstawił się jako Ramir Mondego, biznesmen, który szuka miejsca do ulokowania kapitału. Sulimowicz za długo pracował w służbach, żeby nie wyczuć, że gość nie jest tym, za kogo się podaje. Generał nie miał również wątpliwością, że nie został przypadkowo wybrany z licznego grona snujących się po sali. Wiedział o wszystkich gościach, w tym również o Urugwajczyku. Mondego niedawno skończył pięćdziesiąt osiem lat, był pięciokrotnie żonaty. Ostatnia kochanka, z którą przed rokiem wziął huczny ślub miała na imię... To akurat wyleciało mu z głowy.

Pod koniec rozmowy, kiedy stukali się kieliszkami, Mondego zaprosił Sulimowicza do swojej willi na przedmieściach Montevideo, gdzie mogliby swobodnie porozmawiać o interesach. Jakich? Don Ramir ponownie podkreślił, że ma sporo gotówki, którą chciałby ulokować w pewnym interesie.

- Takim właśnie niedługo będzie wasza gospodarka.
- O jakich pieniądzach rozmawiamy?
- Na początek dziesięć milionów dolarów. Kolejna transza mogłaby sięgnąć sumy nawet pięćdziesięciu.
- A potem?
- Zobaczymy, jak będzie rozkręcał się biznes. Ale myślę, że pół miliarda jest realnie możliwe.

Obaj umówili się na dzień przed wylotem generała z Urugwaju. Jeszcze tej samej nocy, na polecenie Sulimowicza, rozesłano kanałami wywiadowczymi pytania o Mondego, chciał o nim wiedzieć więcej. Coś na kilometr śmierdziało, kiedy nikomu nieznany biznesmen zamierzał zainwestować miliony w upadającą polską gospodarkę. Nim poszedł spać, ostatecznie wykluczył prowokację. Towarzysze postawili już na nim krzyżyk. Więc to nie było sprawdzanie jego lojalności.

Kiedy pod koniec lat sześćdziesiątych przełożeni dowiedzieli się, że jego ojciec służył w Armii Krajowej i po wojnie został zesłany do obozu karnego za Kołem Polarnym, zrobiło się wokół niego gorąco. Ktoś nawet poradził, by nie czekając na wydalenie ze służby, napisał raport o zwolnienie. Miał fart, kilka miesięcy potem Gomułka stracił władzę. Przyszły czas Gierka i otwarcia na Zachód. Zaczęto się nawet głośno chwalić takimi jak on. Właśnie za sprawą AK-owskiego rodowodu mógł być stawiany za wzór nowego pokolenia, które bez względu na rodzinną przeszłość wiernie służy socjalistycznej ojczyźnie. Jego awans na pełnego pułkownika miał właśnie ten propagandowy wydźwięk.

Choć Stanisław Sulimowicz starał się, by zawsze uważano go za najwierniejszego z wiernych, to w głębi duszy gardził hołotą, która go otaczała. Jednocześnie hołubił w sobie myśl, że przyjdzie dzień, gdy odpłaci za wszystkie upokorzenia, których jego ojciec doświadczył od czerwonych, gdy wyrąbywał sobie kilofem grób w skutej lodem ziemi.

Dotąd jeszcze śniły mu się po nocach wrzaski frontowego wychowawcy. Tak kazał się nazywać dzieciakom nauczyciel z sierocińca – frontowy wychowawca. Ten kuternoga, któremu pocisk urwał stopę, wyżywał się na oddanych pod jego opiekę smarkaczach. Głodził ich, bił i wyżywał od akowskich pluskiew, które on bez litości wytępi i wydusi.

Pewnej nocy, kiedy miotał na nich kolejne przekleństwa i wywlekał każdego z łóżka, nagle powalił go atak serca. Sulimowicz do dziś pamięta, jak frontowy wychowawca leżał na podłodze. Otaczała go grupa kilkunastu dzieciaków w wieku od pięciu do siedmiu lat. Patrzyły nieruchomo, jak mężczyzna błaga ich, by wezwali lekarza. Kiedy wreszcie konał, dzieci rozeszły się w milczeniu do łóżek. Ktoś zgasił światło. Zapadła cisza, jakiej Sulimowicz ani przedtem, ani potem już



nigdy nie usłyszał. Wtedy obiecał sobie, że prócz frontowego wychowawcy ktoś jeszcze musi zapłacić za wszystko, co go spotkało.

Najpierw chciałby się dowiedzieć, kim byli mocodawcy don Ramira. Amerykanie, Anglicy? A może Izraelczycy? Po dłuższym zastanowieniu ostatecznie tych ostatnich wykluczył – przede wszystkim interesowali się Bliskim Wschodem.

Rosjanie? Niemożliwe. Od lat między służbami wywiadowczymi Układu Warszawskiego istniała formalna i co najważniejsze, nieformalna umowa, która zabraniała tego typu prowokacji. I wszyscy jej przestrzegali. Anglicy lub Amerykanie, zdecydował przed zaśnięciem.

Pierwsze informacje o Mondego nadesłano z centrali już przed południem następnego dnia. Były więcej niż skąpe, podobnie było z następnymi, a to już coś znaczyło. Poczł zapomniany już przez lata dreszczyk emocji. A może wyczuł przez skórę, że właśnie przyszedł moment, na który czekał od chwili pożegnania z ojcem? Jeden jedyny i niepowtarzalny, gdzie nie ma czasu na wahanie lub oglądanie się za siebie, który należy w porę wykorzystać, inaczej bezpowrotnie zniknie za horyzontem. Gdyby do tego dodać rosnącą złość, że w wieku niespełna czterdziestu lat towarzysze zamierzali wysłać go na zieloną trawkę...

Było coś jeszcze. Objeżdżając ambasady oraz biorąc udział w rautach, dyplomatycznych przyjęciach i five o'clockach wreszcie zrozumiał, że to, co dotąd uważał w Polsce za luksus, było tylko marną namiastką czegoś, o czym dotąd nie miał zielonego pojęcia. Wreszcie do niego dotarło, że posiadanie trzech par butów, kilku garniturów i samochodu w Polsce świadczyło o zamożności, na Zachodzie zaś było dowodem na czyjąś przeciętną bylejakość.

Kiedy dobierał krawat do koszul, Sulimowiczowi wydało się, że czuje drażniący zapach papierosów marki „Sport”, które bez opamiętania ćmił jego naczelnik. Odnosił wrażenie, że pułkownik Rulski nawet go lubi. Jeśli w pracy gdzieś popełniał błąd, pułkownik życzliwie podpowiadał rozwiązanie. Tak jak wtedy, gdy przerabiali procedury przesłuchań. „Pamiętaj Stasiu – powiedział wtedy przełożony – możesz takiego łobuza przepytować dniami i nocami, możesz go nawet tłuc cegłą w pusty łeb, ale nic od niego nie usłyszysz, prócz lamentu i tego

ich ‘Ojciec nasz...’ Ale każdy człowiek w swoim życiu ma taką jedną, jedyną chwilę słabości. Przychodzi nieoczekiwanie i dopada niczym stróż, co to chce zarobić złotówkę za otwarcie bramy, gdy wracamy nocą do kamienicy. Wtedy, jak przyciśniesz takiego szabrownika, kułaka czy też inną antysocjalistyczną swolocz, to bydle od razu puści parę z gęby. Bez pytania wyśpiewa nie tylko litanie na siebie samego, ale i opowie grzechy własnej mamusi, córki dziwki i złodziejskiego sąsiada”.

Może właśnie nadeszła godzina jego własnej słabości, do której bał się sam przed sobą przyznać?

Na dzień przed wylotem wsiadł do samochodu, za którego kierownicą siedział Borys, miejscowy rezydent, który tego dnia miał robić za jego kierowcę. Z Montevideo wyjechali przed południem. Na dwieście dwudziestym kilometrze skręcił w boczną drogę. Po przejechaniu kilometra zatrzymali się przed wysoką stalową bramą, nad którą kręciły się na boki owadzie głowy kamer. Od bramy, na prawo i lewo ciągnęła się aż po horyzont wysoka trzymetrowa stalowa siatka.

Przez furtkę wyszedł strażnik, uzbrojony w pistolet, którego rękojeść wystawała z kabury podobnej do tej, jaką nosili kowboje na Dzikim Zachodzie. Nie był to jednak colt, a najnowszy model austriackiego glocka. Tę broń Borys widział jedynie w katalogach najnowszego uzbrojenia wprowadzanego na stan policji i wojska państw NATO.

Strażnik nie zadał żadnego pytania. Obejrzał samochód, siedzących w nim pasażerów i podniósł dłoń do góry, w stronę jednej z kamer. Moment później oba skrzydła bramy otworzył automat.

Wkrótce trafili po drodze na patrol. Szybkie samochody zrównały się z nimi na pustej autostradzie. Kierowcy zlustrowali ich uważnymi spojrzeniami i mówiąc coś do radiostacji zwolnili gazu, zostając w tyle.

Po przejechaniu dwudziestu kilometrów Borys zobaczył szklaną bryłą wieżowca. Dwadzieścia minut później wjechali do podziemnego garażu. Czekał na nich mężczyzna w eleganckim garniturze.

– Zostań w samochodzie – Sulimowicz wysiadł z auta i ruszył za przewodnikiem, który na przywitanie nie powiedział nawet: „Buenos días”.

Gospodarz przyjął go w salonie praktycznie pozbawionym mebli. W olbrzymim pustym pomieszczeniu stały tylko dwa fotele. Wzdłuż jednej ze ścian, długości ponad dziesięciu metrów, rozwieszony był szeroki zwój materiału.

– To kodeks Jakuteków, którzy z Meksyku dotarli przez Nikaragwę, Gwatemalę aż tutaj – pochwalił się gospodarz.

– Interesujące.

Usiedli twarzami do kolorowych rysunków, które przykrywała szklana osłona.

– Lubię spoglądać na mój skarb – stwierdził Mondego. – Za każdym razem znajduję w nim potwierdzenie prawdy, że zdobywcy są ludźmi odważnymi i ciekawymi świata.

– Być może. Chociaż dość często bywają nieszczęśliwi, gdy świat ma za nic to, co dla nich było i jest sensem życia.

Podczas następnych minut rozmowy Sulimowicz doświadczył czegoś, co nie mieściło się w żadnych kanonach wiedzy i taktyki wywiadowczej. Mondego nie zamierzał bawić się w półsłówka, podwójne znaczenia i dwuznaczności.

– Panie generale – gospodarz zaczął bez wcześniejszego zaoferowania lampki koniaku czy filiżanki kawy. – Za dwa lata UniFruit Corporation, firma, którą kieruję, będzie największym współwłaścicielem nieużytków rolnych w Urugwaju, Paragwaju, a może nawet i Argentynie.

– Życzę powodzenia w realizacji tak śmiałego planu. Hm... Myślę, że nieużytki rolne rzeczywiście mogą być dobrą inwestycją. – Nie mógł powstrzymać się od uszczypliwości, zadając sobie równocześnie w duchu pytanie, co to może mieć z nim wspólnego.

– Będzie to dobry interes tylko wtedy, gdy posadzi się na nich krzewy koki.

To było pierwsze uchylenie drzwi i zaproszenie do właściwego tematu. Przypomniał sobie pułkownika Rulskiego i bez wahania skorzystał z zaproszenia.

– Największy właściciel plantacji w Urugwaju, Paragwaju, a może i nawet w Argentynie – Sulimowicz kiwnął z uznaniem głową. – Brzmi dość intrygująco.

– Nie zamierzam kupować ziemi od rolników. Chcę jedynie zostać współwłaścicielem, solidnie płacąc za dzierżawę. Choć jest pan z kraju, gdzie wszystko jest wspólne, z pewnością zdaje pan sobie sprawę z tego, że naprawdę dba się jedynie o swoją własność. Kiedy zatem za pole, którego nadal jest pan posiadaczem, będzie dodatkowo dostawał pieniądze za dzierżawę, z możliwością uzyskania satysfakcjonującej dopłaty za określony rodzaj uprawy...

– Może rzeczywiście zrobi pan dobry biznes – w głosie Sulimowicza nie było już śladu kpiny.

Rozluźnił się. W otrzymanych przed południem informacji jedna była istotna. Nie stwierdzono, żeby któraś z zachodnich służb wywiadowczych interesowała się osobą gospodarza. Jedynie Drug Enforcement Administration, amerykańska agencja antynarkotykowa, zaczęła przyglądać się mu z uwagą. To było TO.

– Za pięć lat – kontynuował Mondego – mój zysk netto oceniam na trzysta milionów dolarów. Po dziesięciu powinienem przekroczyć pół miliarda.

– Dlaczego pan mi to mówi?

– Interesuję się ekonomią krajów Europy Wschodniej. Ostatnie zestawienia wskazują, że Polska znajduje się na równi pochyłej.

– Jest aż tak źle? – Sulimowicz udał zaskoczonego.

– Zgodnie z opiniami liczących się na świecie ekspertów, za sześć, góra osiem lat staniecie na skraju kryzysu, który ostatecznie was dobije.

– Zdarzają się cuda.

– Komunizm w swoich założeniach wyklucza coś takiego. Więc Pan Bóg nie ma interesu, żeby miały one u was miejsce – roześmiał się Mondego.

– Może ma pan rację. Ale koki pan u nas nie sprzeda. Moim rodakom obecnie zależy na czymś bardziej przyziemnym, mięsie, serze, cukrze.

– Wiem – Mondego skinął głową.

Mondego chwilę przyglądał mu się z uwagą. Sulimowicz zorientował się, że od podejmowanych w głowie tamtego decyzji zależy coś ważnego. A on akurat nie miał nic do stracenia i był ciekaw oferty Urugwajczyka.

– Niegdyś Cezar, który stanął nad brzegiem Rubikonu – zaczął swobodnie generał – również zadał sobie to pytanie. Jak wiemy, dokonał właściwego wyboru.

– Jeśli dobrze opamiętam z historii – Mondego przyjął jego niefrasobliwy ton – Cezar został zamordowany.

– Myślę, że po tylu latach każdy z nas jest już na tyle roztropny, że nie ufa w przyjaźń Brutusa, ale pokłada pewność w rozsądku, który wymusza ekonomia i wynikający z niej zysk. Jeśli chodzi o mnie, jest to jedyny sensowny wyznacznik możliwych relacji partnerskich.

– Chyba mnie pan przekonał.

– Do czego?

– Chodzi mi o to, żeby Polska stała się drzwiami, przez które wejść na rynki europejskie, a stamtąd dotrzeć do Stanów Zjednoczonych. Zainwestuję spore pieniądze w stworzenie przedsiębiorstwa transportowego, z sześcioma filiami w różnych rejonach kraju. Na jego rozkręcenie daję pańskim ludziom trzy lata. Wszystko ma być zgodnie z prawem. Do połowy 1990 roku chcę mieć dobrze prosperujący biznes przewozu towarów między Wschodem i Zachodem. Będziecie przewozić porcelanę, którą będzie przysyłać do Polski urugwajska firma „Santa Corona Co.” Z badań rynku wynika, że na Zachodzie jest ogromne zapotrzebowanie na dobrą i taną porcelanę – bez pośredników, od producenta wprost do odbiorcy. Dzięki temu realnie obniżymy koszty finalnego produktu, a w Paryżu, Berlinie czy Madrycie potrafią kalkulować. Przez dwa lata firma musi wyrobić sobie solidną markę. Dopiero wtedy wśród ciężarówek, które pod koniec 1990 roku ruszą ze Wschodu, znajdą się i te z narkotykami.

– Co będzie, jak taki transport namierzy policja Niemiec, Francji, czy innego diabła? Taki interes padnie w ciągu dwudziestu czterech godzin.

– Musimy mieć pół roku, żeby skutecznie przejąć tamtejsze rynki konsumenta. Mam niezawodny sposób przetrzutu towaru, który gwarantuje stuprocentowe bezpieczeństwo. – Chwilę potem Mondego zdradził mu szczegóły. Od tego momentu Sulimowicz był już pewny, że los właśnie wsunął mu w rękę klucz do skarbcza, który był wypchany pod sufit paczkami pieniędzy.

– Myślę, że może pan wygrać ... – zreflektował się i niemo przytaknął własnym myślom. – A raczej to bardziej niż pewne, że tak właśnie się stanie.

– Pana zadaniem będzie przypilnowanie, żeby samochody nie miały problemów z wyjazdem z Polski. No i żeby w każdej bazie, a także za kierownicami TIR-ów znaleźli się ludzie, którzy potrafią trzymać język za zębami. A gdyby ktoś próbował narazić na szwank biznes, żeby wiedzieli, jak zlikwidować przeciek.

Żegnając się z don Ramirem, Sulimowicz nie powiedział: „Tak”, ale też nie powiedział „Nie”. Zresztą Urugwajczyk nie oczekiwał podobnych deklaracji. Kilka lat później Sulimowicz wreszcie zrozumiał, że Don Ramir doskonale orientował się, w kogo chce zainwestować. Chyba tamten wiedział o nim więcej, niż on o Mondego.

Dwie godziny potem ruszył samochodem w drogę powrotną do Montevideo. Kiedy dojeżdżali do ambasady, generał przerwał milczenie.

– Z pewnością myślałeś o tym, że kolejna czteroletnia tura w ambasadzie da ci wystarczająco dużo czasu, żeby dowiedzieć się, kim jest don Ramir. Mam rację?

Borys kiwnął potwierdzająco głową.

– Nie marnuj na to energii. Być może za pół roku, kiedy wprowadzę cię we wszystkie sprawy, dojdiesz do wniosku, że dla ciebie byłoby lepiej, gdybyś o tym facecie nigdy nic nie wiedział.

Trzy tygodnie po tamtej rozmowie Sulimowicz wrócił do Polski z podpisanym kontraktem na joint-venture z firmą UniFruit Corporation na sumę trzydziestu milionów dolarów, z listem intencyjnym na zainwestowanie w Polsce kolejnych sześćdziesięciu i dwoma biznesmenami, którzy w imieniu don Ramira mieli podpisać stosowne

umowy handlowe. Kiedy samolot lądował na Okęciu, do Narodowego Banku Polskiego wpłynęła pierwsza dziesięciomilionowa rata.

W sumie do kraju generał przywiózł dziewięćdziesiąt milionów. Jak się potem dowiedział, tamtego dnia wysłannicy Jaruzelskiego właśnie negocjowali z Międzynarodowym Funduszem Walutowym uruchomienie szybkiej linii kredytowej na sumę stu milionów dolarów.

Jakiś czas później na trzeciej stronie „Trybuny Ludu” dziennikarz napisał o wizycie urugwajskiego biznesmena, który zamierzał w Polsce zainwestować kilka milionów dolarów. Już wtedy nikt nie chciał afiszować się z informacjami, że zaczynamy żyć na koszt innych.

Po powrocie Sulimowicza z zagranicy, niedawni wrogowie, niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zmienili się w serdecznych przyjaciół. Naszykowane medale z pompą zostały mu przypięte do piersi, lecz zamiast wymówienia dostał awans na wyższy stopień generalski.

Przez następne miesiące Sulimowicz kilka razy nakazał ambasadom w Ameryce Południowej zbieranie informacji o don Ramirze. Nie dowiedział się wiele. Majątek Urugwajczyka szacowany był na kilkaset milionów dolarów. Źródło jego pochodzenia dla wszystkich stanowiło zagadkę. Oficjalnie mówiło się o zyskowej grze na giełdzie. Prawdopodobnie, na początku lat siedemdziesiątych, Mondego otworzył wiele lokat u maklerów. Niektórzy nawet sugerowali, że był jednym z beneficjentów afery określanej mianem „Srebrnego przekreślenia”. Chodziło o spekulacyjny skup, a następnie sprzedaż srebra na giełdach światowych. Oficjalnie nic nie można było mu zarzucić. W Brazylii był właścicielem kilku rancz o powierzchni setek tysięcy hektarów. W Boliwii don Ramir miał znaczące udziały w przemyśle gazowym i naftowym. W Urugwaju, Paragwaju i Argentynie w ciągu zaledwie kilku lat stał się współdziałowcem setek tysięcy hektarów nieużytków rolnych.

Kiedy samolot Sulimowicza lądował na Okęciu, generał postanowił, że zwolni swojego zastępcę, Jensen-Drzyckiego. Opozycji spodoba się to posunięcie, a on w zamian zyska jedyne człowieka, który mógł rozkręcić biznes dla Mondego i któremu mógł ufać. Postanowił też zabezpieczyć się na przyszłość i skopiować teczkę wybranych

opozycjonistów. W wielu znajdowały się przydatne haki, które Jensen przez lata skrupulatnie zbierał. W przypadku czystego dossier był jeszcze czas, żeby spreparować odpowiednio śmierdzące gówno.

Sulimowicz poprawił się na fotelu samochodowym. Rozgrywka dobiegała końca, a czas biegł coraz szybciej. Kiedyś nie miał wątpliwości, że uda mu się dobiec do mety zanim sędziowie odgwiżdżą koniec wyścigu. Ale potem ta dziwka, Anna Wermer, ukradła mu archiwum. Przyjdzie dzień, że ją odnajdzie. Nie ma się co spieszyć. Wszystko w swoim czasie.

Pochylił się do przodu i położył dłoń na ramieniu kierowcy.

- Jedziemy, Władziu, do domu.
- Jak pan generał sobie życzy.
- Jutro wpadnij po mnie koło dziesiątej rano.
- Jutro jest niedziela – przypomniał kierowca.
- Dlatego należy mi się nieco wypoczynku.
- Rozumiem.

Piętnaście minut później zatrzymali się przed jego willą. Wysiadł.

- Spokojnej nocy, Władziu.
- Spokojnej, panie generale.

Sulimowicz ruszył w stronę furtki. Zza otwartego okna sąsiedniej willi napłynął sygnał dziennika telewizyjnego. Wciągnął w nozdrza rześkie wieczorne powietrze. Wokół panowała cisza i spokój. Usłyszał głos spikera, który informował, że minister rynku wewnętrznego zapowiedział, że już wkrótce nie będzie brakować artykułów pierwszej potrzeby: oleju i cukru. Z danych statystycznych GUS zaś wynikało, że w 1991 roku miesięcznie na obywatela przypadały średnio dwie rolki papieru toaletowego.

I czym tu się przejmować?



## Rozdział 9

Marc podszedł na skraj dachu komendy policji w Cabriès i spojrzął w dół.

– Tylko cztery piętra – zawołał, nie oglądając się za siebie – ale przez to wzniesienie, na którym stoimy wydaje się, jakby człowiek był na czterdziestym piętrze.

Marc drażnił się z Jeanem, który jakiś czas temu nieopatrznie przyznał się przy piwie, że cierpi na lęk wysokości. Podskoczył kilka razy, jakby chciał sprawdzić solidność dekarńskiej obróbki. Jean zacisnął zęby i nie pokazał po sobie, że ogarnia go lęk. Owszem, rozumowo wiedział, że jest bezpiecznie, ale jego podświadomość była przekonana, że po którymś z podskoków debila budynek zawali się z hukiem. Od ponad godziny trzymał nerwy na wodzy, uśmiechał się. Kiedy jednak wyszedł przez właz na szczyt budynku, nogi stały się niczym z ołowiu. I pomyśleć, że jeszcze niedawno on oszczędził Marca i nie zaciągnął go do sali sekcyjnej, żeby, choć pobieżnie, skonfrontowali protokoły badań Cardusse'a i jego zamordowanych synów z leżącymi w chłodniach ciałami. Nigdy więcej litości.

– Piękny widok – Marc jeszcze raz podskoczył. – Szkoda, że tego nie widzisz. – Odwrócił się w jego stronę z niewinną miną. – Byłbyś zachwycony.

Chryste, jak Jean go w tym momencie nienawidził.

– Idę na trybunę – rzucił.

Wiedział, że jeśli za chwilę się stąd nie wydostanie, to zacznie przeraźliwie krzyczeć. Podszedł do otwartego włazu. Przykucnął i, nie patrząc za siebie, odnalazł nogą stopień. Niżej wymacał następny. Na szczęście w pobliżu nie było nikogo, kto by zauważył jego nienaturalną sztywność. Mocno zacisnął powieki i zszedł po metalowej drabince osiem stopni. Odetchnął z ulgą, gdy dotknął nogą posadzki.

Do Cabriès przyjechali wczorajszego wieczora. Dzisiejszego zaś ranka w samo południe zarządzili przeprowadzenie eksperymentu

kryminalistycznego. Miejscowy komendant najwyraźniej nie zrozumiał, o czym mówią.

- Po co eksperymentować, przecież facet nie żyje.
- Jak zginął? – Jean miał znudzony głos wykładowcy.
- Jak to jak? Zastrzelił go jakiś drań i tyle.
- Skąd strzelano? – Tym razem do przepytywania włączył się Marc.
- Wszyscy mówią, że z dachu naszej komendy.
- Policja jest od zbierania plotek czy od ustalania faktów?
- No... – zjeżył się komendant – rzecz jasna, że ustalania.

– Rozumiem, że pan jest pewien, że zabójca strzelał z dachu... – Jean spojrzał na rozpartego na krześle partnera. – W takim razie piszemy raport.

Marc dosunął krzesło do biurka i usiadł za maszyną do pisania. Sięgnął po kartkę papieru i wkręcił ją w wałek.

- Co mam pisać?
- Że mimo naszych sugestii komendant jest przekonany...
- Ależ ja nic nie powiedziałem...

Od tej pory już nikt nie zadawał im głupich pytań i nie przeszkadzał w pracy. Co więcej, godzinę później przeprowadzili się z obskurnego pensjonatu do ładnego dwupokojowego mieszkania służbowego, które szef jednostki trzymał dla specjalnych gości. Ponieważ w trakcie przeprowadzki Marc zaczął narzekać na żołądek, rzekomo po przekąsce zjedzonej w policyjnej kantynie, kucharka dostała stanowcze przykazanie gotowania dla gości lekkostrawnych, acz pożywnych posiłków.

KIEDY JEAN dotarł na trybunę, zobaczył skupionych za barierkami gapiów, których pilnowało dwóch policjantów. Mieszkańcy szeptali coś między sobą i nieufnie zerkali na przyjezdnego.

- A ten to kto? – Stary Cognac trącił laską żandarma.

– Z policji.

– A ty to niby co, z Księżycą?

– Przyjechał pomóc nam w śledztwie – stwierdził młody, starając się tym dodać sobie znaczenia.

Stary Cognac, którego nazywano tak od trunku, który uznawał za lekarstwo i nakazywał pić każdemu z rodziny (przynajmniej kieliszeczek dziennie), machnął obojętnie ręką. Smarknął na ziemię, odwrócił się do synów i nakazał, żeby zawieźli go na wózku do domu.

Jean w tym czasie wszedł na podest. Na jednym z krzeseł i na podłodze podestu brązowiały wielkie plamy krwi. Odpiął radiostację od paska.

– Marc – zawołał w eter.

– Czego?

– Jesteś pewien, że przeprowadzono już oględziny miejsca zastrzelenia starego drania?

– Jakieś wątpliwości? – spytał Marc.

– Chciałem się upewnić, żeby czegoś nie ruszać.

– Komendant twierdzi, że technicy zebrali już wszystkie ślady.

– W porządku. – Jean wyłączył radiostację.

Odsunął zalane krwią krzesło i wziął czyste z drugiego rzędu. Usiadł. Na wprost siebie miał wieżę kościelną, która niemal całkowicie zasłaniała budynek komendy.

– Jean? – Z głośnika nadpłynął głos Marca.

– Czego?

– Siedzisz już?

– Taa.

– Więc się nie ruszaj. Zaraz cię rozwalę. – Marc przełączył kanał.

– Ktoś mnie słyszy?

– Ja.

- Co za ja?
- Kościelny. – Mówiący jąkał się z przejęcia. – Dano mi radiostację, żeby...
- W porządku. Może pan otwierać – Marc wydał polecenie.
- Mam dzwonić?
- A wtedy pan dzwonił?
- A jakżeby inaczej – zapewnił kościelny.
- Więc teraz też niech pan dzwoni.

Marc położył się na rozpostartym na dachu kocu i przyłożył policzek do kolby karabinu snajperskiego. Co prawda model był sprzed dziesięciu lat, a odnalezienie go w magazynie żandarmerii zabrało dobre pół godziny. Nieważne. Zerknął przez okular. Nakierował broń na wieżę kościelną. Podostrzył obraz.

Rozległy się dzwony i okienka na szczycie dzwonnicy zostały otwarte. Między kołyszącym się kielichem dzwonu Marc zobaczył siedzącego na krześle Jeana. Podregulował okular. Głowa partnera znalazła się w krzyżaku celownika.

Pół godziny później Marc dojechał na rynek. Poszli z Jeanem do jedynej kawiarni, „Mademoiselle Margo”. Zamówili kawę i jabłecznik na gorąco. Jean dodatkowo wziął bułkę z szynką i serem.

– Przecież niedawno jedliśmy obiad. – Marc głośno mlasnął i zrobił rozanieloną minę. – Dotąd czuję smak tej surówki z porów. A brokuły? No, palce lizać – Jakby sobie przypomniął, jak to w rzeczywistości było. – Prawda. – udał współczucie. – Po tych swoich lękach dziobałeś te wszystkie pyszności niczym kura.

– Co z twoimi wyliczeniami? – Jean zmienił temat rozmowy.

Marc wyjął notatnik. Przerzucił kilkanaście kartek i znalazł właściwą.

– Jak myślisz, ile osób zdolnych jest celnie strzelić z odległości ponad tysiąc metrów?

– Dokładnie?

- No, ile?
- Skąd mogę wiedzieć? – Jean wzruszył ramionami.
- Spytałem inaczej. Ile osób celnie strzeli z tysiąca metrów, biorąc poprawkę na wiatr? Ale to jeszcze nie wszystko. Do tej wyliczanki należy jeszcze dodać dzwon, wahający się na drodze lecącego pocisku. Dla snajpera to nie był problem. Strzelił dwa razy, a każdy pocisk trafił w cel.
- Fachowiec.
- Były żołnierz? – odpowiedział Marc.
- Może być również ktoś z oddziałów antyterrorystycznych. – Jean zaczął jeść przyniesioną przez właścicielkę kawiarni szarlotkę.
- Czyli fachowiec. – Zdecydował Marc. – No to wiemy, co robić.
- Co?
- Rozesłać przez Interpol pytanie o osoby, które nabyły w wojsku lub oddziałach specjalnych podobne umiejętności i obecnie nie bardzo wiadomo co porabiają.
- Stawiam na Dalmatyńczyka.
- Niekoniecznie. Zadzwoiłem do hotelu, gdzie mieszkał. Powiedziano mi, że posługiwał się norweskim paszportem na nazwisko Daar Geen. Dla świętego spokoju wrzuciłem dane do policyjnej przeglądarki. I co znalazłem? Zgadniesz? – Marc zachichotał i odkroił sobie łyżeczką duży kawał ciasta.
- Nie wiem.
- Kilka tygodni temu w Paryżu na dworcu Gare de Lyon ktoś zastrzelił faceta o prawie tym samym nazwisku. Geen Daar.
- Chcesz powiedzieć, że do starego strzelał nieboszczyk? – Jean wskazał łyżeczką w stronę rynku, na odległy podest z krzesłami, gdzie zginął Arnauld.
- Nie mam zielonego pojęcia, kto, chociaż... – Marc zamyslił się, rozgrzebując łyżeczką mus jabłkowy.
- Chociaż co?

– To jest logiczne!

–...?

– Pomyśl sam. Czujesz, że policja siedzi ci na karku.

– Nie tylko policja, ale i gangi, którym rozwalili Kardynała i Cardusse’a.

– No i gangi. – Marc wbił łyżeczkę w ciasto na sztorc. – A jeszcze masz zlecenie na Arnaulda. Co byś zrobił na jego miejscu?

– Próbowałbym zmylić ślady.

– Brawo. Najlepiej wmówić wszystkim, że nie żyjesz.

– Zaraz, zaraz, ale on najpierw zginął, a dopiero potem rozpoczęła się jatka.

– Ile osób wie, że na dworcu Gare de Lyon zginął jakiś tam Geen Daar, czy też na odwrót jakiś tam?

– Policja... – Jean zmarszczył czoło. – Ci z pogotowia... W sumie niewiele.

– Dlaczego zatem prawdziwy morderca, który się o tym dowiedział, miałby nie skorzystać z okazji i nie skierować podejrzania idących jego tropem gangsterów na kogoś, kto w rzeczywistości nie żyje?

– Sądzisz, że plamy na ciele...?

– Wystarczy wejść do pierwszego z brzegu sklepu z kosmetykami, a zrobisz sobie na twarzy nie tylko białe plamy.

– Brzmi logicznie.

Obaj spojrzeli na siebie, jakby równocześnie spłynęło na nich objawienie. Poderwali się z miejsca. Marc wyciągnął z kieszeni pięćdziesiąt franków i rzucił na blat stolika. Wybiegli na rynek, gdzie stało wypożyczony im radiowóz.

– Dawaj na sygnale – Marc zatarł uradowany dłonie. – Tylko dlatego zostałem gliniarzem.

Ruszyli z piskiem opon i z jęklwym zawodzeniem syreny.

– Zostałeś gliniarzem dla syreny? Mogłeś sobie taką kupić w pierwszym lepszym sklepie i puszczać w domu ile dusza zapagnie.

– To nie to samo.

Dziesięć minut później z piskiem opon zaparkowali przed wejściem do budynku komendy. Mieli szczęście, dyżurnym był sierżant Gelando, którego zeznanie czytali zaraz po przyjeździe. Potem zamienili z nim kilka słów i gdyby nie rozmowa w kawiarni prawdopodobnie już więcej by się nie spotkali.

– Kiedy go pan zobaczył? – Marc wyciągnął notatnik.

– Jak wychodził pododdział na obstawienie trasy dojazdowej do rynku.

– Wpuścił go pan tak bez niczego?

– Był w mundurze żandarmerii. Jedni wchodzili, drudzy wychodzili... Nie sposób było każdego sprawdzać. – Gelando zawiesił głos i spojrzał wystraszony na przesłuchujących. – Myślicie, że mogę mieć z tego powodu nieprzyjemności? Mam chorą żonę. Gdyby zabrali mi premię, byłoby ciężko.

– Nikt nic ci nie zabierze – Jean poklepał policjanta pocieszająco po dłoni. – No więc, kiedy go zobaczyłeś?

– Jak wchodził do komendy. Miał na sobie mundur żandarma. Zwróciłem na niego uwagę, bo twarz miał w plamach. Cera opalona i na niej białe plamy. Mój szwagier ma coś takiego. To się nazywa bielactwo i nie ma na to lekarstwa.

– Wokół urwanie jaj. Jedni wchodzą, drudzy przychodzą – Marc zmarszczył brwi. – Wszyscy są w mundurach, więc nie zapamiętasz niczyjej twarzy, gdyż te po pewnym czasie zlewają się przed oczyma w jedną nierozpoznawalną plamę. Chcąc wtopić się w tłum, mógł użyć podkładów maskujących, które ukryłyby defekt urody. On jednak tego nie zrobił, jakby chciał, żeby go zapamiętano. Na bank, ktoś się podszywa pod Dalmatyńczyka.

– No chyba, że było ich dwóch – Jean uniósł brwi. – I jeden został odstrzelony.

– Dwóch Dalmatyńczyków? – Prychnął Marc. – I może zleceniodawcą była Cruella De Mon?

PO ODEJŚCIU KOMISARZY sierżant Luis Gelando pomyślał, że przepowiednia ojca, że nigdzie nie zagrzeje dłużej miejsca, po raz kolejny może się sprawdzić. Sierżant–Szef go nie lubił. Kilka razy próbował, niby to w ramach odpoczynku, naciągnąć go na udział w rozpoczynających się w jego winnicy zbiorach. Od chłopaków wiedział, że kutas wykorzystywał stanowisko i traktował ludzi jak parobków. Sierżant miał gdzieś obowiązki wynikające ze służby. Dla niego liczyły się zbiory, przerób winogron, proces leżakowania i cena, którą uzyskiwał za ohydny sikacza. Jak takie wino w ogóle można było brać do ust? Zwykle szczynty, które doprawiano spirytusem.

Kiedy wyszło na jaw, że Gelando wpuścił do budynku zabójcę, dostrzegł mściwy uśmiech na twarzy przełożonego. Jedyna nadzieja w tym, że będzie ściśle współpracował z marsylskimi policjantami. Może szepną o nim komendantowi przychylnie słowo?

Tak, to była dobra myśl.

– Długo będziesz się zastanawiał? – Głos technika go otrzeźwił.

Ponownie zerknął na ekran komputera, który niedawno zainstalowano w tutejszym wydziale kryminalistyki. Stare folie i rysownicy poszli w odstawkę. Wystarczało kilka razy przycisnąć coś na klawiaturze, a na ekranie pojawiały się już dziesiątki wykrojów ust, owalów oczu czy setki nosów, od najbardziej wielkich i garbatych po małe i kształtne. Kiedyś przynajmniej z rysownikiem można było pogadać, pójść na kawę. A teraz tylko gap się w ekran i wybieraj. Jak nic świat schodzi na psy.

– Może ten? – Gelando wskazał na jedną z kart.

Technik przesunął myszką wybrany fragment na owal twarzy.

– Na pewno?

Luis Gelando zdecydowanie przytaknął ruchem głowy.

W rzeczywistości policjant nie miał zielonego pojęcia, jak wygląda zabójca, gdyż plamy na szyi i policzkach żandarma na tyle przyciągały



jego uwagę, że nie zwrócił uwagi na rysy twarzy.

To jednak było za mało, żeby stworzyć portret pamięciowy. A mimo to zdecydowanie oświadczył komisarzom, że twarz zabójcy wręcz stoi mu przed oczyma. Mówiąc to, widział twarz mężczyzny, który kilka tygodni temu zderzył się z nim na dworcu Gare de Lyon. To niedozwolone wpadać na ludzi i miażdżyć ich bolące odciski. Nie tylko to. Już trzymał tamtego bydlaka za klapy, gdy dostał cios w szczękę. Drań złamał mu wtedy ząb. Kiedy zatem mówił, że doskonale pamięta twarz zabójcy, czuł mściwą satysfakcję, gdy opisywał kogoś zupełnie innego: kolor oczu – niebieski, włosów – brunet, rysunek nosa – lekko spiczasty u nasady, usta – pełne, kształt podbródka – męski, owal twarzy – regularny...

Sierżant miał cichą nadzieję, że facet z Gare de Lyon zapłaci za jego krzywdę i odpokutuje pięćset dwadzieścia sześć franków i trzydzieści centymów, które musiał wydać na protezę nowego zęba, plus znieczulenie.

– To właściwie mamy już wszystko – godzinę później technik spojrział na ekran. Wystarczyło jeszcze wcisnąć „retusz”, a maszyna już sama naniosła na policzkach, brodzie i nosie stosowne cienie.

– Wyszedł jak żywy – Sierżant Luis Gelando ucieszył się szczerze.

Technik sięgnął po telefon i wykręcił numer do wydziału kryminalnego.

– Podobno są u was policjanci z Marsylii. Powiedz im, że portret jest już gotowy...

Dziesięć minut później do pokoju weszli Marsylczycy. Gelando wskazał leżące na stole odbitki kserograficzne twarzy, która widniała na komputerowym ekranie.

– Miał pan z tym jakieś problemy? – Marc wziął do ręki kopię bardziej pro forma.

– Ależ skąd, poszło jak z płotka. Wystarczy, że raz na kogoś spojrzę i już nie zapomnę jego twarzy do końca życia.

– Co o tym myślisz? – Marc przez dłuższy czas przyglądał się rysunkowi.

– Wygląda na czterdzieści lat... – Jean zwrócił się do technika kryminalistyki. – Można usunąć plamy na twarzy. Chodzi o to, żeby odcień skóry był jednorodny.

– Nie ma problemu – technik wcisnął jakąś kombinację klawiszy, zaznaczył myszą wybrane obszary.

Marc był pod wrażeniem szybkości i efektywności pracy maszyny. Przyszło mu więc do głowy, że komputerowa przyszłość, która miała nadejść dla nich kiedyś tam, stała już za progiem drzwi.

Ponieważ jeszcze nie wszystkie jednostki były zintegrowane z jednolitym systemem komputerowym, Jean polecił oficerowi dyżurnemu nadanie portretu faksem do wszystkich komend w całej Francji. U dołu dopisał, żeby każda z jednostek policji przesłała podobiznę do hoteli oraz pensjonatów, które znajdowały się na terenie działania danej jednostki. Po wszystkim Jean i Marc zeszli do czekającego na ulicy samochodu.

– No to jeszcze pozostało nam miejscowe prosektorium – Jean klepnął kierowcę w ramię i udał, że nie zauważa, że Marc poruszył się niespokojnie na swoim miejscu. Żadnej litości. Zerknął na zegarek. – Zdążymy na czas. Zwłoki Arnaulda przygotowano nam na dwudziestą.

Zgodnie z oczekiwaniami Jeana, w prosektorium śmierdziało ostrymi środkami dezynfekującymi, które jednak nie mogły zabić trupiego odoru. Twarz Marca poszarzała.

Zeszli schodami do piwnicy i przeszli korytarzem do dużej sali wyłożonej od podłogi po sufit białymi kafelkami. W jednej ze ścian znajdowało się kilkanaście szuflad z komorami chłodniczymi. Kierownik prosektorium wyciągnął jedną i odsłonił prześcieradło, którym był zakryty monsieur Arnauld. Jean dostrzegł kątem oka, jak Marc bezradnie szuka dłonią oparcia. Nadszedł czas zemsty za drwiny, których doświadczył na dachu komendy.

Wyciągnął z kieszeni kanapkę. Odwinał ją z papieru.

– Chce pan jeść? – Zdziwił się patolog.

– Nie jadłem obiadu. – Jean ugryzł duży kęs i wyjął spomiędzy warg skórkę od kiełbasy.

Marc tego już nie wytrzymał. Zatykając usta i starając się opanować skaczący do gardła żołądek, wybiegł na korytarz i zwymiotował do wiadra.

## Rozdział 10

– Mamy skurwiela – krzyknęła Helena, stając w otwartych drzwiach do salonu.

– Znowu uciekł? – Spytała Olga, która siedziała obok Anny.

– Kto? – zdziwiła się Helena.

– Skurwiel. Sama powiedziałaś – Olga uniosła brwi.

Helena parsknęła.

– Chodzi o Andrzeja – wyjaśniła.

Łyżeczka wysunęła się Annie z dłoni i spadła z brzękiem na spodeczek. Helena zajęła miejsce na kanapie na wprost dziewczyn.

– Skąd wiadomość? – Olga poprawiła biust.

– Wziął sobie do hotelu prostytutkę.

– To skurwiel. – Anna o mało nie cisnęła filiżanką o stolik.

Na szczęście Helena w porę wyjęła jej porcelanę z dłoni. Ten miśnieński serwis do kawy kosztował ją niemal siedem tysięcy franków.

– Już wiesz, że nie mówimy o kocie? – Helena mruknęła do Olgi i ponownie odwróciła twarz do Anny. – Ale podobno nie przeleciał jej.

– To skurwiel – Anna zacisnęła dłonie w pięści.

Olga kompletnie straciła rozeznanie, kto, o kim i w jaki sposób mówi.

– Dlaczego skurwiel? – Bąknęła. – Przecież nie poszli do łóżka.

– Ale mogli.

– Co teraz? – Helena spojrzała pytająco na Annę.

– Mam pistolet. Gdzie się zatrzymał?

– W pensjonacie La Bourge, w VI dzielnicy. Pokój sto czterdzieści dwa.

– To pewne? – Anna zacisnęła dłonie w pięści.

– Wiem od Ronnie, a ta rozmawiała z dziewczyną, którą Andrzej wziął na noc.

Anna poczuła, jak zakręciło się jej w głowie. Poderwała się z miejsca i wybiegła do toalety. Helena poszła za nią. Kiedy wróciła, Olga spojrzała na nią pytająco.

– Co jest?

– Rzyga – powiedziała Helena z zastanowieniem.

– Widocznie coś zjadła – Olga wzruszyła ramionami.

– Nie uważasz, że ostatnio za często jej się to zdarza? Wczoraj też było jej niedobrze.

– Myślisz, że jestem w ciąży? – Zza pleców Heleny dobiegło pytanie Anny. – Jeśli tak, to chyba od zapylenia wiatrem.

– Okej, nic nie mówiłam. – Helena uniosła do góry dłonie w geście poddania się.

– Chcę to zrobić dziś w nocy – Anna usiadła na poprzednim miejscu.

– Załatwić go? – Olgę niemal zatkało.

Anna bez słowa kiwnęła głową.

– A jeśli chodzi o tę zdzirę – sapnęła gniewnie – to drań ją wziął i... co?

– Kazał jej usiąść i poczekać. Coś napisał na kartce i dał pięćset franków. Potem wysłał do jakiegoś Amerykanina.

– A tamten...?

– Ją przeleciał.

– Nic z tego nie rozumiem – Anna miała niepewną minę.

– Ja również, ale jakie ma to znaczenie? – stwierdziła Helena. – W końcu już wiesz.

Olga wstała z miejsca.

– Wy już lepiej ze sobą pogadajcie, co i jak. Idę do firmy. Trzeba sprawdzić rachunki, rozdzielić łapówki. Same wiecie, co wam będę tłumaczyć. – Ruszyła w stronę drzwi.

– Tylko wróc za dwie godziny – krzyknęła za nią Helena. –  
Pójdziemy wynająć samochód.

– Dobra.

Olga trzasnęła za sobą drzwiami wejściowymi.

– Do wieczora jest jeszcze dużo czasu – zaczęła Helena. – Może  
warto jeszcze się nad tym zastanowić?

– Na moim miejscu byś mu darowała?

Po chwili zastanowienia Helena pokręciła przecząco głową. Anna zaś  
ponownie dotknęła czoła. Znowu poczuła lekki zawrót głowy.

– Pójdę się przejść. Spacer dobrze mi zrobi.

– Jakby co... gdzie cię szukać? – w głosie Heleny można było  
wyczuć nutę niepokoju.

– Wrócę za godzinę i się położę.

Anna ruszyła do wyjścia. Zeszła schodami na parter. Na ulicy  
owionął ją lekki ciepły wiatr. Przywołała taksówkę. Dwadzieścia minut  
później wysiadła nieopodal Parku Manceau. W głębi ulicy dostrzegła  
szyld apteczny. Pomyślała, że nie zaszkodzi sprawdzić. Poszła spacerem  
w stronę apteki. Dwadzieścia minut później, zmęczona, usiadła na ławce  
w cieniu rozłożystego drzewa. Zamknęła oczy i przez kilka minut  
pozwoliła sobie nie myśleć o niczym.

Wróciła do domu taksówką. Nikogo nie zastała. Podeszła do komódki  
i wyjęła z kieszeni kamizelki kluczyk. Otworzyła jedną z szuflad. Pod  
swetrami leżał pistolet. Dostała go od Sunny.

Wróciła Helena z zakupami.

– Pomożesz mi przy kolacji?

Zamknęła szafkę.

– Jasne.

Zaczęły rozpakowywać torby.

– Na pewno chcesz dziś jechać? – Helena spojrzała na Annę  
niepewnie.

– Mogłabym nawet teraz.

– Teraz niekoniecznie – Helena zmarszczyła brwi. – Wysłałam przed hotel dziewczynę, która była z tobą w kawiarni na Gare de Lyon i pamięta Andrzeja. Zresztą takiego przystojniaka trudno zapomnieć. Kiedy będzie pewne, że jest w pensjonacie, wtedy pojedziesz. Lepiej denerwować się tu, niż gdzieś na ulicy.

– Nie denerwuję się.

– Pokaż dłonie – zarządziła Helena.

Anna wyciągnęła przed siebie ramiona i wyprostowała palce. Przez chwilę trzymała je w powietrzu. Nie drżały.

– Co potem? – Pytanie Anny zawisło w powietrzu.

– Potem? – Helena zawahała się. – Zaczyniesz znowu pić, dasz się zerznąć jakiemuś facetowi, albo zaczniesz chodzić do psychiatry... jak wszystkie normalne kobiety.

Anna nie słuchała. Nie mogła oderwać wzroku od broni. Była dziwnie podekscytowana. Podobnie jak przed dwoma laty, kiedy Andrzej ukradł dla niej pierścionek u jubilera.

OLGA WESZŁA do biura. Zamknęła za sobą dokładnie drzwi gabinetu. Podeszła do fotela. Przysunęła do siebie telefon i dłuższy czas patrzyła nieruchomo na aparat.

W końcu przyznała się dziewczynom, że ma donosić na Annę. Ale nie powiedziała wszystkiego. Facet zagroził, że jeśli będzie próbowała go wykiwać, wówczas doniesie gdzie trzeba i deportują ją do Polski. Cholera wie, co z tą nową demokracją w kraju. A może czegoś się dopatrzą i już nie pozwolą jej więcej wyjechać na Zachód? Z władzą nigdy nic nie wiadomo. A wtedy jej marzenia o spokojnym życiu przepadną. Przecież już wybrała suknię ślubną. Miała to wszystko stracić?

Sięgnęła po słuchawkę. W końcu powie tylko, że Anna zamierza pojechać do Andrzeja.

Przypomniała sobie Siejkę. Zdjęła dłoń z słuchawki telefonicznej.

Podczas ostatniego spotkania mężczyzna powiedział, że nie interesuje go Andrzej, a jedynie Anna. Olga odniosła nawet wrażenie, że nieznajomy wie, gdzie mieszka Leszczyński. Najwyraźniej chciał się tylko upewnić, czy one również wiedzą. Cholera, jeśli coś namieszała, nie wybaczy sobie tego do końca życia.

Ale przecież z własnej woli nie pchała nosa w problemy. To ją zmusza się do czegoś, na co nie ma najmniejszej ochoty. Z tym tylko, że jej chęci wszyscy w koło mają głęboko w dupie.

Uderzyła pięścią w stół. Czy ona szukała kłopotów? Czy zaglądała tam, gdzie lepiej nie patrzeć? Nie, te cholerne zmartwienia same ją odnajdywały – najpierw w Polsce, a teraz w Paryżu.

– Merde.

Odsunęła od siebie aparat telefoniczny. Niech się dzieje co chce, ale ona już dalej się nie zeszmaci.

Wybiegła z gabinetu, pośpiesznie zamykając drzwi. Klucz oddała na dole portierowi.

– Ale dziś panna Aleksandra zdenerwowana.

– Kłopoty.

– A któż ich nie ma? – Portier rzucił za wychodzącą.

Olga wybiegła na ulicę, gdzie zaparkowała samochód. Kiedy wróciła do mieszkania, było w nim cicho i pusto. Dopiero po dłuższej chwili usłyszała niewyraźne rozmowy dochodzące z głębi. Przeszła przez długi hol i zobaczyła uchylone drzwi do sypialni. Zajrzała do środka.

Przed lustrem siedziała Anna. Obok, na dosuniętym krześle, Helena.

– Co myślisz o różu na policzkach? – Anna spytała przyjaciółkę, nie odwracając głowy.

Helena machnęła lekceważąco ręką.

– Kto wieczorem będzie zwracał uwagę na róż na policzkach? Przecież idziesz go zabić.

– Ale nie zaszkodzi?

– Jasne, że nie.



– O CZYM MYŚLISZ? – Głos Heleny przywrócił ją do rzeczywistości.

– O pewnym wieczorze, od którego chyba wszystko się zaczęło. – Sięgnęła po karminową szminkę. Pokazała ją Helenie, ale ta pokręciła głową z dezaprobatą.

– Ja bym wzięła ciemny granat – w kwadracie lustra pokazała się twarz Olgi.

– Będzie wyglądać jak wampirzyca, a powinna jak grzeczna panienska.

Wreszcie wszystkie trzy zgodziły się na pastelową czerwień.

– Kredka do powiek?

– Bez rewolucji – zdecydowała za wszystkie Helena. – Zwykła prosta linia, bez upiększeń.

Kiedy skończyły z makijażem, przyszedł czas na wybór sukienki. Kiedy Anna odrzuciła piątą z rzędu, Helena usiadła zrezygnowana na krześle.

– O co chodzi? – Anna spojrzała na nią zaskoczona.

– No właśnie? – Olga też miała zdziwiony wyraz twarzy.

– Czy ty przypadkiem nie pomyliłaś imprezy? – Helena sapnęła gniewnie.

– O co ci chodzi? – powtórzyła Anna.

– No właśnie?... – przytaknęła Olga.

– Zamiast zastanawiać się nad sukienką, kolorem dodatków i butów, powinnaś wybrać płaszcz przeciwdeszczowy. W końcu padnie kilka strzałów, chlapienie jakaś krew, a raczej nie „jakaś” tylko prawdziwa i na pewno będzie jej dużo. Więc zamiast tych zamyszowych pantofelków, bardziej przydałyby ci się kalosze.

Anną pokręciła głową.

– Mów, co chcesz, kobieta w każdej sytuacji powinna wyglądać elegancko.

Kiedy Anna wybierała kolejną sukienkę, zadzwonił telefon. Odebrała Olga.

– Słucham... Tak?... Dobrze... Dziękuję. – Odwróciła się do dziewczyn. – Wrócił do hotelu.

Godzinę później Anna była już prawie gotowa. Pozostawała jeszcze kwestia butów. Doszła do wniosku, że zamszowe jednak nie do końca pasowały do sukienki. Wybrała inne. Nim wyjechały Olga doszła do wniosku, że bez tłumika Anna nie powinna ryzykować.

– Huk wystrzału z pewnością usłyszysz ktoś z sąsiednich pokoi, albo z recepcji. Zadzwonią po policję i umarł w butach.

– Więc co? – Anna spojrzała bezradnie na trzymany w dłoni pistolet. – Skąd ja teraz wezmę tłumik?

– Mam. – Helena głośno klasnęła uradowana w dłonie. Nawet śpiący dotąd na sofie Skurwiel spojrzał na nią zaciekawiony. – Pamiętacie „Ojca Chrzestnego”.

– Film? – Upewniła się Olga.

– Aha.

– Co z nim? – Zainteresowała się Anna.

– Jest tam scena, kiedy młody Vito Corleone zamierza zabić don Massimo Fanucciego.

– Fanucciego? Nie pamiętam – Olga zmarszczyła brwi.

– To był ten gość ubrany w biały garnitur, który Vita Corleone, Tessia i Clemenę chciał opodatkować za okradzenie transportu z sukienkami.

– Masz niezłą pamięć. Można pozazdrościć – Olga pokiwała z uznaniem głową. – Ja ledwo wyjdę z kina i już niewiele pamiętam.

– Bo chodzisz tam się obściskować z tym twoim belmondziakiem – rzuciła Helena

– Nie zawsze.

– Ale prawie...

– Więc co z tym młodym chrzestnym? – przerwała im Anna.

– On też nie miał tłumika – Helena przeszła do meritum.

– Fakt – Olga przytaknęła. – Już sobie przypomniałam.

– Wtedy Corleone posłużył się ręcznikiem. – Helena wybiegła z pokoju i zaraz wróciła. – Owinął go wokół lufy – wzięła od Anny pistolet i okręciła dłoń frottem – i trach, rozwalił Fanucciego, kiedy ten wrócił wieczorem do domu.

– JESTEŚMY NA MIEJSCU – Helena trąciła siedzącą obok Annę.

Olga zjechała do krawężnika i zatrzymała się kilkadziesiąt metrów od hotelu.

– Dlaczego nie jedziesz na parking?

– A jak zapamiętają samochód? – Olga miała wystraszony głos.

– Przecież to wypożyczone auto.

– No, niby tak.

– Więc co się przejmujesz?

Olga włączyła silnik i wjechała w wąski dojazd. Wkrótce zatrzymała się przed budynkiem. Dochodziła dwudziesta trzecia. Helena sięgnęła po plecak, w który przed wyjściem włożyła ręcznik. Podała go Annie.

– Pamiętasz, jak cię uczyłam?

– Dzięki.

– Na pewno chcesz tam iść? – Olga sapnęła niepewnie i przytrzymała Annę za rękę, gdy ta zamierzała nacisnąć klamkę.

Zamiast odpowiedzieć, Anna zacisnęła mocno usta i kiwnęła głową. Wsiadła. Olga i Helena patrzyły, jak idzie pewnym krokiem w stronę wejścia do pensjonatu.

– Myślisz, że go zastrzeli? – Olga niemal chlipnęła nosem.

– Na to wygląda.

– Ale przecież...

– Co? – Helena spojrzała na przyjaciółkę.

- Mówiłaś, że ona go wciąż kocha.
  - Ano tak mówiłam.
  - To jak to? – Olga chlipnęła po raz drugi.
  - Może jeszcze o tym nie wie.
  - Pobiegnę za nią i jej powiem.
- Helena przytrzymała ją za rękę.
- Za późno.

KIEDY ANNA doszła do drzwi wejściowych pensjonatu, miała zamiar się obejrzeć.

Tylko co wtedy? Pomacha dłonią do przyjaciółek? Nie miała w tym wszystkim wprawy. Przecież jeszcze nigdy w życiu nikogo nie zabiła.

Pchnęła drzwi zdecydowanym ruchem.

W recepcji siedział młody chłopak, który gapił się w telewizor. Przeszła pewnym krokiem przez hol i od razu skierowała się na schody. Recepcjonista nie zareagował, zapewne przekonany, że jest nowym gościem, zameldowanym na poprzedniej zmianie.

Weszła na pierwsze piętro. Po strzałkach i numerach zorientowała się, że do pokoju sto czterdzieści dwa powinna skręcić w korytarz na prawo.

HELENA WYGLĄDAŁA przez okno samochodu i rozglądała się po okolicy. Nieopodal znajdował się blok mieszkalny. Parę starszych osób siedziało na ławce pod rachitycznym drzewem. Kilka metrów dalej mulat rozłożył się ze swoim harleyem–davidsonem. Coś majstrował przy silniku, odpowiadając na docinki starszych sąsiadów.

Minęło piętnaście minut. Helena spodziewała się, że Anna wybiegnie z pensjonatu co sił w nogach. Wtedy Olga miała ruszyć z kopyta. Wypożyczony na fałszywe nazwisko samochód zamierzały porzucić na jednej z ulic śródmieścia, a potem rozbiec się każda w swoją stronę. Punktem ponownego spotkania miał być ich dom. Plan wymyśliła

Helena i wszystkie trzy uznały go za całkiem sprytny. Gdyby policja pytała o auto miały mówić, że zostało im ukradzione.

W pewnym momencie mulat skończył przy harleyu. Wsiadł na niego i odpalił. W gaźniku strzeliła benzyna. Huknęło raz i drugi. Motocyklista dodał gazu i motor potoczył się z warkotem w głąb ulicy.

– Co dalej? – Olga pokazała Helenie zegarek. – Niedługo minie druga godzina.

Helena zmarszczyła brwi i podjęła decyzję.

– Przez dwie godziny można wystrzelać tuzin takich jak on.  
Wracamy do domu.

TOWARZYSZ MIKUNIN patrzył z okien willi na otaczający ją kilkuhektarowy park w stylu francuskim. Biegąca na wprost główna aleja miała symetrię dwuboczną z regularnymi kompozycjami krzewów, fontann i rabat kwiatowych po obu stronach. W północnej części parku znajdował się labirynt ukształtowany z żywopłotów. Choć Mikunin rezydował w tym miejscu od trzech lat, to jeszcze nie był w tamtych rejonach i prawdę powiedziawszy, zupełnie go one nie interesowały. Był tylko ciekaw, czy Amerykanie mogliby pochwalić się tak piękną rezydencją. Tak, piękną, a zarazem na wskroś nowoczesną. Co prawda słyszał o ich ośrodku, ukrytym w dzielnicy La Défense, lecz z pewnością nie mógł on równać się z pałacykiem schowanym przed oczami ciekawskich w głębi parku. Jego alejami, świątyniami dumania i ławkami ustawionymi w cieniu drzew przy szemrzących fontannach niepodzielnie władał Geniack – skomputeryzowany system ochrony, który z powodzeniem stosował techniki defensywne i w razie skrajnego zagrożenia mógł również zaatakować.

Amerykanie od lat uważali, że naród rosyjski jest pośledniejszego gatunku. Zabawne było widzieć ich zaskoczone miny, kiedy okazało się, że to lud radziecki pierwszy wysłał w kosmos sputnika. I to przecież z Bajkonuru, a nie Cape Canaveral na Florydzie wystartował na orbitę okołozemską Jurij Gagarin. To prawda, jego rodacy spóźnili się z bombą atomową, ale już wodorowa rzuciła Amerykę na kolana na samym początku wyścigu zbrojeń.

Towarzysz Mikunin był pewien, że gdyby Jankesi poznali możliwości Geniacka, z zachwytem otworzyliby kwadratowe szczęki. Było mu jednak zupełnie obojętne, że wróg miał o nich pogardliwe mniemanie. Istniała nawet stosowna dyrektywa, która nakazywała utrzymywać przeciwnika w owym przeświadczeniu. Łatwiej go wówczas można było wywieść w pole.

Tym jednak razem uwagę Mikunina zaprzętało co innego. Z szyfrówek, które co dnia napływały do ambasady można było wnioskować, że pucz Janajewa się nie powiodł. Niemniej burza, która rozpetała się w służbach specjalnych nie wygasła, a wszystko wskazywało, że może się tylko wzmóc. Tu już nie chodziło o wewnętrzne rozgrywki. Zmiany szły z samej góry.

Gdy Gorbaczow wrócił z aresztu domowego na Krymie, w Moskwie zastał nowego pretendenta do władzy – Jelcyna. Obaj wzięli się za łby, a czystki, procesy i rebelie na dole były odległym echem walki o Kreml.

Za Jelcynem opowiedziało się wiele dywizji z moskiewskiego okręgu wojskowego. Początkowo, gdy parlament bronił się przed Janajewem, to wystarczyło. Teraz doszło do konfrontacji na większą skalę. Jelcyn już posmakował władzy, a że był dobrym trybunem, zdołał porwać za sobą mieszkańców Moskwy. On miał gdzieś wielki Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich i Partię, która wyniosła go na szczyty władzy. Miał też gdzieś socjalizm, który z kołchoźnika zrobił przywódcę atomowego supermocarstwa. Jelcynowi wystarczyła Rosja, a nie związek republik. Nie zamierzał też oddawać jej Gorbaczowowi.

Pozostawała jeszcze niejasna odpowiedź, za kim opowiedzą się cywilne i wojskowe służby specjalne. Kogo wesprze KGB i GRU, a na kim położy krzyżyk. W efekcie rozgorzała walka o wpływy i stanowiska. Która frakcja ostatecznie zwycięży?

Wszystko rozstrzygnie się w ciągu najbliższych dni. Potem machina, której bieg gwałtownie zwolniono, będzie musiała nabrać poprzedniego rozpędu. To dawało wystarczająco dużo czasu, żeby zrealizować wymyślony przez Mikunina plan. Za dwa, trzy miesiące ruszą staro–nowe tryby. Na początek zakręcą się szybciej, żeby nadgonić stracony czas. Tam, gdzie nie będzie możliwe jego odrobienie, dowódcy nakażą

przerwanie akcji, które budowano z mozołem niekiedy przez całe lata. Jednak na ich miejsce pojawiają się nowe.

Choć wywiad rządził się własnymi, wewnętrznymi prawami, to i jemu nie był obcy biurokratyczny bezwład i morze mniej lub bardziej niepotrzebnych dokumentów. Jego papierowe fale, poupychane w segregatorach i odsyłane zgodnie z rozdzielnikami do archiwów, tonęły w mroku pod warstwami kurzy. Towarzysz Mikunin właśnie na coś takiego liczył – zwłaszcza że o całej akcji nikt już nie wiedział. Wszystkie zaangażowane w nią osoby, prócz niego, nie żyły. Ostatni z krótkiej listy, dyrektor Apraksin, zginął w bramie domu od noża nieznanego mężczyzny. No cóż, w Moskwie zastosowano szybki sposób odsyłania zasłużonych towarzyszy na emeryturę.

Mikunin pomyślał o Hawele. Dlaczego zastrzelili go na dworcu Gare de Lyon? Z pewnością w GRU od początku zakładano jego likwidację, planując zwalenie winy na kontrwywiad francuski, który miał opinię najbrutalniejszego w Europie Zachodniej. Zamiast Hawele z KGB, to Sunny, agentka GRU, miała przejąć dokumenty polskiego wywiadu.

To, co w tym momencie przyszło Mikuninowi do głowy, na sekundę go zmroziło. A jeśli gra toczy się w taki sposób, żeby on był przekonany, że zdobył wpływ na Sunny, a w rzeczywistości stał się nieświadomym pionkiem w rękach GRU? Musiał to sprawdzić, a mógł to zrobić tylko w jeden sposób.

Od lat w otoczeniu Sunny tkwił agent Mikunina. Nigdy wcześniej nie narażał Arsena na zdemaskowanie. Nie zlecał mu zadań, które mogłyby choćby rzucić cień podejrzenia, że służy innemu panu. Zamrożony agent czekał na ostateczną rozgrywkę. Był asem, po którego nigdy się nie sięgało, jeśli nie było ostatecznej potrzeby. Czy podobnego śpiocha Sunny miała i w jego otoczeniu?

W przeciwieństwie do niej, Mikunin nie był skazany na współpracowników. Mógł ich sobie dobierać i wymieniać. No i robił to bardzo często. Natomiast Sunny stworzyła organizację, która była tym mocniejsza, im jej struktury były bardziej stabilne i niepodatne na wstrząsy zewnętrzne.

Gwałtowniejszy podmuch wiatru poruszył firankę. Wpadł do pokoju, zaszeleścił na stole gazetą i gdzieś przepadł pod barokowym biurkiem.

Dosyć tego kombinowania. Zachowywał się niczym bracia Strugaccy, jego ulubieni pisarze science-fiction. W jednym z wywiadów opowiadali, że nigdy nie są zadowoleni z ukończonej książki. Kiedyś ciągłymi poprawkami omal nie zabili dobrze wymyślonej historii. Towarzysz Mikunin również miał wiele wątpliwości, ale nie było już czasu na korekty. Pierwszy kamień został strącony i lawina zaczęła staczać się w dół.

Wszedł z pokoju. Zszedł schodami na dół. Przed biblioteką siedział ochroniarz, którego ze względu na fizjonomię nazywał w myślach Lisią Twarzą. Na klawiaturze przy drzwiach, które prowadziły do elektronicznej centrali, wpisał szyfr, który odblokował zamek. Wszedł do sali operacyjnej. Usiadł przed monitorem, na którym godzinę wcześniej napisał równanie, które dał Geniackowi. Teraz znalazł gotowe rozwiązanie.

Zadziwiające, przebiegło mu przez głowę, że maszyna może myśleć jak człowiek, a przynajmniej jej rozumowanie było tożsame z procesem myślowym towarzysza Mikunina. Kiedy przeglądał zapis poszczególnych faz rozwiązania, uznał, że taką właśnie drogę należało uznać za najbardziej optymalną.

Ponownie wrócił myślami do Sunny i GRU. Sunny była mu jeszcze potrzebna, żeby sfinansować najbliższe plany. Ich organizacje zawsze ze sobą konkurowały i zazdrośnie strzegły swoich obszarów działania. Ale śmierć Hawele, a przede wszystkim pucz Janajewa, zmieniły wszystko i Sunny zgodziła się wesprzeć działania konkurencyjnej służby. Po raz kolejny potwierdzało się, że uczucia powinny być zakazane w pracy wywiadowczej na wrogim terenie.

Jeszcze raz spojrzął na ekran i pokiwał z uznaniem głową.

Przysunął sobie klawiaturę i napisał: „Jesteś geniuszem”.

Na ekranie wyskoczyła odpowiedź Geniacka.

*Wiem o tym. Zagramy, towarzyszu, w szachy?*

„Nie nudzą cię?”



*To królewska gra.*

„Masz rację”.

*Czy to znaczy, że grają w nią tylko królowie?*

„Najlepsi stają się jej królami. My jesteśmy najlepsi.”.

*Bardziej podoba mi się słowo „Ja” niż „My”.*

NA PARYŻ NASUNAŁ się mrok. Noc pozapalała uliczne latarnie, które zaczęły się przeglądać w ulicznych kałużach po niedawnych deszczu.

Helena siedziała na tarasie w głębokim fotelu. Piła sok z wysokiej szklanki i spoglądała na rzesiste światła migającego w oddali centrum miasta. Olga niedługo wyjdzie za mąż. Anka mocowała się z cieniami przeszłości i nie było jak jej pomóc. A ona? Co z nią? Przecież też marzyła o tym, żeby spotkać kogoś... Ech.

Kogoś... Nigdy się nie zastanawiała, jak ma wyglądać ów Ktoś. Przystojny?

A jaki miałby być? Czy dziewczyny marzą o kulawych, garbatych i gnomach, którym cieknie ślina po brodzie?

No więc przystojny. Ona też niebrzydka, więc byłaby z nich dobrana para.

Mądry?

No właśnie, tu miała pewne wątpliwości. Na cholerę jej mądrała. Żeby potem jej wytykał, że czyta pisma kobiece, a nie podręcznik do ekonomii?

No, ale żeby nie był głupi. Niech swoje wie, niech będzie życiowo zaradny, ale nie musi być z niego żaden Einstein. Zwłaszcza że ten podobno lał swoją żonę. Co to, to nie. Niech tylko spróbuje podnieść na nią rękę, a już ona mu wytłumaczy, że to wielki błąd.

Była nerwowa, to fakt. Ale czy to jej wina, że czasami coś doprowadzało ją do szału? Nie była raptuską. W żadnym wypadku. Na przykład, jej pierwszy ślubny palił w toalecie. Przez dłuższy czas grzecznie prosiła, żeby więcej tego nie robił. Mówiła, że nienawidzi jak

śmierdzi w kiblu. Poza tym zawsze wtedy przypominał się jej ojczym, który wracał zalany po robocie i tłukł matkę. Prosiła więc grzecznie, by małżonek miał wzgląd na jej skrzywione dzieciństwo. A ten nic. Gadał tylko: „Kruszynko, nie denerwuj się” i nadal robił swoje. Prócz tej jednej wady miał sporo zalet, więc była cierpliwa. Ale w rok po ślubie miarka się przebrała. Tamtego dnia kupiła wielką żeliwną patelnię. Kiedy ślubny dostał jej kantem w jaja, złożył się jak scyzoryk. Po pierwszym ciosie wzięła rozmach z obu rąk i... trach go backhandem. Pacan wyleciał przez kuchenne drzwi aż do przedpokoju.

Złamany nos, pęknięta szczeka. Lekarz pogotowia najpierw zajął się szlochającą nerwowo Heleną, wystraszonym puszkim-okruszkiem, zamiast jęczącym delikwentem.

Dawne czasy, uśmiechnęła się do wspomnień.

Przypomniał się jej inny wieczór, kiedy siedziała z Olgą w restauracji Hotelu Europejskiego. Komuna zawałiła się z hukiem, klienci poznikali. Zaczęła więc przekonywać przyjaciółkę do wyjazdu do Lublina.

– Nikt tam o nas nic nie wie. Założymy zakład fryzjerski i będziemy wiodły ciche i spokojne życie.

– Ciche i spokojne życie... – Olga westchnęła głośno. – Już zapomniałam jak to jest.

– Na pewno się przyzwyczaisz.

– A faceci?

– Co? – spytała Helena.

– Koniec z nimi?

– Ee tam, koniec. Znajdzie się jakiś dobiegacz – Helena pocieszyła przyjaciółkę.

– W Lublinie? – Olga miała niepewną minę, jakby wymieniła nazwę nikomu nieznaną wioską.

– Czemu nie? Weźmiemy cichy ślub.

– Ciche życie, cichy ślub. Układasz scenariusz dla głuchego?

Helena nie zwróciła uwagi na te słowa. Wsparta na kontuarze baru widziała we wspomnieniach pewną uliczkę, wybrukowaną kocimi łbami, którą matka raz w miesiącu prowadziła ją do zakładu fryzjerskiego. Zawsze wtedy słyszała, w jakim to Stachurska żyje dobrobycie. „I z czego? Żeby z jakiej uczciwej i ciężkiej pracy. Ale nie, ino z obcinania włosów...” Dlaczego matka uważała, że uczciwa praca musi być ciężka, do tej pory nie rozumiała.

– Ja bym wołała – Olga również się rozmarzyła – żeby na moim ślubie było głośno, a wszyscy goście mieli kaca jeszcze przez następny rok.

– Może uda mi się urodzić dziecko... – Helena westchnęła zrezygnowana. Najwyraźniej nie słuchała przyjaciółki. – Chociaż po tylu skrobankach to może być trudno. Ale w sumie bez dzieciaka to nawet może być lepiej. Spokój i cisza w domu.

Helena mówiła coraz wolniej, widząc nieruchomy wzrok spoglądającej na nią Olgi.

– Mówisz na poważnie?

Helena zdziwiła się.

– A co ci w tym nie pasuje?

– Szczerze?

– Aha.

– Wszystko – Olga podciągnęła cycki piętro wyżej.

– Masz rację – Helena przywołała wtedy kelnera i zamówiła butelkę szampana. – Pieprzyć panięskie marzenia. Dom, kupę bachorów i snującego się po mieszkaniu faceta w gaciach.

– Gaciach i siatkowej podkoszulce... Brrr.

Helen otrząsnęła się ze wspomnień.

Dlaczego wtedy Olga zaczęła mówić o tej siatkowej podkoszulce? Czyżby jej widok miała prześladować Helenę do końca życia? Oto kilka dni temu jedna z pracujących u nich dziewczyn zaczęła ją namawiać na wizytę u Madame. Tak ją nazwała – „Madame”. Mocno przy tym

zachwalała, że nikt inny w świecie nie wyklada z takim znanstwem kart Tarota.

Początkowo opierała się namowom. Matka ją napominała, żeby zawsze jak najdalej trzymała się od kart. „Kto gra w karty, ten ma łeb obdarty”, ale przecież ona nie zamierzała siadać do żadnej gry.

Dała się zatem zaprowadzić do Madame. Wróżka już przy pierwszym rozłożeniu Wielkich Arkanów stwierdziła, że Helena niedługo spotka mężczyznę swojego życia. Kawaler, zaradny, obdarzony inteligencją, choć bez przesady. W wieku czterdziestu lat. Helena wolałaby młodszego, ale w końcu stolik z kartami to nie sklep, gdzie można przebierać i grymasić.

– Spotkasz go na pewno – utwierdziła ją Madame, spoglądając na kolejną z wykładanych kart. – Niedługo, moja kochana. Już niedługo.

– Kiedy?

– Niedługo.

– To nie jest precyzyjne określenie.

– Może za siedem godzin, siedem dni, siedem tygodni lub siedem lat...

– Siedem lat? Wtedy już będę miała prawie... – Ugryzła się w język.

– Tak mówią karty. O, tu jest siedem pucharów.

– A skąd będę wiedziała, że to on?

Madame kazała jej wyciągnąć następną kartę.

– Dłonią od serca – poinstruowała.

– Niech będzie od serca – Helena zmieniła dłonie.

– Co my tu mamy? – Kobieta podniosła zakrytą kartę. – On będzie jakości dziwnie ubrany.

– Tak go poznam? Że będzie dziwnie ubrany?

– Nie, on będzie miał na sobie... Jakby siatkową koszulkę, albo nawet... podkoszulkę.

Helena nie chciała dalej słuchać. Zapłaciła i wyszła zdenerwowana na ulicę.

Cholera, czyżby miał jej się trafić w Paryżu jakiś palant? Takiego wała. Mamusia bez wątpienia miała rację twierdząc, że karty to nic dobrego.

DAAR GEEN wyglądał przez samolotowe okno. Lecieli na wysokości kilku tysięcy metrów i niedługo mieli rozpocząć zniżanie, żeby wylądować w Salonikach.

Jedna z sióstr, z którą rozmawiał przez telefon, powiedziała, że ojciec będzie czekał na niego i ciało brata w domu. Na lotnisku miał zaś spotkać się z trzema szwagrami, dwoma wujami i czterema ciotkami, które uparły się jechać. W tym celu wyekspediowano w drogę wszystkie karawany, jakie znajdowały się w dyspozycji rodziny Papadopulosów.

Po wylądowaniu w Salonikach osobiście przypilnował, żeby trumna z ciałem brata została z szacunkiem wyjęta z luku bagażowego i umieszczona na specjalnie w tym celu podstawionym samochodzie. Kiedy po sprawdzeniu ważności zezwolenia na przewóz zwłok trumna została przepuszczona przez przejście graniczne, czekał na niego tłumek krewnych ubranych na czarno. Najpierw brały go w ramiona kobiety. Każda pocieszała, tuliła i na koniec poplukała za nim, dla odpędzenia złego uroku, który być może przyleciał jego śladem z wielkiego świata. Potem to samo zrobili wujowie i kilku szwagrów. Wreszcie Daar Geen poczuł się w domu.

SUNNY PRZESZŁA obok grupy żałobników i ruszyła do czekającego przed lotniskiem samochodu. Miała na głowie szeroką jasną chustę, a na nosie duże czarne okulary, które zakrywały pół twarzy. W Boeingu 747 wybrała pierwszą klasę i górny pokład. Daar Geen leciał klasą turystyczną.

Przez całą drogę zastanawiała się, czy po wszystkim, co zaplanowała, spełnią się jej kalkulacje i przewidywania. Nie chciała żyć dalej, gdy nie było przy niej Hawele. Niedługo odejdzie i nie będzie już miała wpływu

na nic, co wydarzy się potem. Dlatego wcześniej rozpatrywała każdą ewentualność, która mogła zburzyć jej plan.

Niegdyś KGB odebrało jej Hawele. Choć żyli w jednym mieście, nie widzieli się przez tyle lat. Wszystko przez tych drani z Łubianki. Musieli jej za to zapłacić, podobnie jak morderca ukochanego. Tak zdecydowała i nic nie mogło jej od tego odwieść.

Kiedy wyszła na dwór z klimatyzowanego wnętrza hali przylotów, poczuła na policzkach podmuch gorąca. W strefie przylotów czekał już Arsen, który zjawił się w Salonikach dwa dni wcześniej. Wziął od niej walizkę i poprowadził w stronę samochodu.

– Mam nadzieję, że miała pani przyjemny lot.

– Nie narzekam.

– W Kolchiko zarezerwowałem ładną willę pod miasteczkiem.

Kiedy doszli do samochodu, otworzył przed nią drzwi i pomógł wsiąść do środka. Następnie załadował walizkę do bagażnika. Usiadł za kierownicą.

– Jak daleko stąd do celu? – spytała Sunny.

– Trzy godziny jazdy. Chyba że trafimy przy wyjeździe z miasta na korek.

JAK CZUJE się ojciec? – spytał Daar Geen. Nie... Konstantis. Tu był po prostu Konstantisem – dla szwagra, który prowadził samochód, dla pozostałych krewnych. Dla ojca.

Zapytany zmarkotniał.

– Przez pierwsze dni po tej strasznej wieści nie wychodził z zakładu. Tak jak po śmierci twojego dziadka. No, ale wtedy pracował przy mumifikacji ciała starego. Dziadek wyszedł mu wtedy... – Szwagier zacmokał z zachwytu i próbował znaleźć odpowiednie słowo. – No, jakby miał być umieszczony na fotografiach tego tłustego Pentero, który dwa lata temu chciał nasze dzieci sfotografować do reklamy swojej mleczarni.

Konstantis nie odwracał twarzy od okna. Co powie ojciec? Obawiał się tego spotkania. Prawdę mówiąc, z chęcią zamieniłby się z bratem. Czy ojciec pamiętał równie mocno chwilę, kiedy się rozstali? Filion wyjechał z błogosławieństwem, on zaś, niczym wół roboczy, miał zostać w Kolchiko i pomagać rodzinie. Wtedy po raz pierwszy w życiu się zbuntował. Oświadczył, że nie będzie robił zamiast konia, którego ojciec oszczędzał do bryczki. Stary chwycił wówczas kij i zaczął go nim okładać. Konstantis stał w bezruchu. Krew ciekła mu z rozciętego czoła, ramion, pleców, ale on nawet nie drgnął. Stary połamał na nim jeden kij, potem drugi. Kiedy szukał trzeciego, wreszcie znieruchomiał. Obrócił się do niego, spojrzał, i powiedział, że może iść gdzie oczy poniosą. Ale tam, w szerokim świecie, musi zaopiekować się młodszym. Tydzień później wyjechał. Po spotkaniu z bratem postanowili przyjąć pseudonimy, on – Daar Geen, Filion – Geen Daar.

Teraz wracał z ciałem brata. Miał go pilnować. Stary mu tego nie daruje. Najmłodszy był jego oczkiem w głowie. A przecież byli bliźniakami. On urodził się tylko dziesięć minut wcześniej. Niewiele razy w życiu się bał. Teraz czuł, jak strach zaciska zimną dłoń na jego żołądku, tak mocno, że momentami tracił oddech.

Po dwóch godzinach i czterdziestu minutach skręcili z głównej szosy na drogę dojazdową do miasteczka. Szwagier poradził, żeby zakręcił okno. Nim to zrobił, pył zazgrzytał mu między zębami. Jadące za nimi samochody zginęły w białym тумanie wzbijanego kołami kurzu.

Wreszcie wjechali na podwórze dużego domu, który z trzech stron otaczał niewielki gaj oliwny. Konstantis siedział nieruchomo. Pył powoli opadał, a on nie potrafił przewyciężyć bezwładu.

Szwagier trącił go w ramię.

– Ojciec już wszedł z domu.

Sięgnął do klamki. Otworzył ją. Wysiadł.

Zobaczył drobnego mężczyznę, który przez te wszystkie lata jakby skurczył się jeszcze bardziej. Ruszył w jego stronę na sztywnych nogach. Stary tkwił nieruchomo na progu. Konstantis zatrzymał się przed ojcem. Wtedy dostał w twarz otwartą dłoń. Należało mu się. Nie upilnował młodszego. Potem stary przytulił się do jego piersi i zaczął cicho płakać.

## Rozdział 11

Anna otworzyła oczy. Chwilę spoglądała na zdobienia na suficie. Wreszcie usiadła na brzegu łóżka. Narzuciła na ramiona szlafrok. Czy Helena i Olga już wstały? Z pewnością słyszały, jak wróciła nad ranem do domu. Na dworze właśnie świtało. Będą oczekiwały, że opowie im wszystko.

Weszła do kuchni. Za stołem, również w szlafrokach, siedziały dziewczyny. Nim zdołała cokolwiek powiedzieć, zasypały ją pytaniami: dlaczego tak długo się nie odzywała, co się stało, czy strzelała, co z Andrzejem, dlaczego jest jakaś taka i tak w ogóle, mogłaby się wreszcie do niech odezwać, bo przecież...

– Zabiłaś go? – Helena w końcu nie wytrzymała.

Anna pokręciła głową.

– Może to i lepiej – Olga westchnęła z ulgą, odsuwając pustą filiżankę.

– Nie zabiłaś, ale się z nim spotkałaś. – Helena nie dawała spokoju.

Potwierdziła ruchem głowy.

– Wiedziałam, że tak się skończy – Helena podeszła i czule ją objęła.  
– Wiem, co czujesz. Nienawidzimy tych drani, planujemy, w jaki sposób wyrwiemy im jaja, ale jak przychodzi co do czego... Ech, szkoda gadać. Tylko dzięki naszym litościwym sercom nie wybiłyśmy na tej planecie drani do nogi.

Jednak Anna nie powiedziała dziewczynom wszystkiego...

KIEDY TAMTEGO późnego popołudnia wchodziła po schodach, słyszała w skroniach ogłuszający łomot własnego serca. Przeszła przez krótki korytarz i znalazła poszukiwany numer. Nacisnęła klamkę. Drzwi do pokoju były otwarte. Weszła. Wtedy nieoczekiwanie spłynął na nią spokój.

Przeszła przez niewielki przedpokój. Z łazienki dobiegał szum płynącej pod prysznicem wody. Andrzej brał kąpiel. Otworzyła drzwi. Z



wnętrza buchnęła para. W wodnej mgle dostrzegła niewyraźny zarys muskularnych ramion. W tym samym momencie Andrzej zakręcił wodę. Cofnęła się, przymykając ostrożnie drzwi.

Weszła do pokoju. Panował w nim półmrok, a światło palącego się nad łóżkiem kinkietu rozpraszało go w niewielkim stopniu. Na szafce obok łóżka leżała walizka ze spakowanymi już rzeczami. Czyżby zamierzał się wyprowadzić?

Usiadła w fotelu, w ciemnym kącie. Na blacie szafki nocnej leżał mechanizm wyrzutowy bagnetu, który Andrzej nosił przytwierdzony do prawego przedramienia. Wystarczyło gwałtownie odchylić dłoń do góry, a z rękawa wystrzeliwał z morderczą siłą stalowy kolec bagnetu. A więc był bezbronny.

Kilka minut później rozległ się odgłos otwieranych drzwi od łazienki. Zgasło w niej światło i Andrzej wszedł do pokoju. Miał na sobie jasny krótki szlafrok, spod którego wystawały zgrabne, mocne nogi.

Gwizdał znaną melodię – „Jestem zbyt seksy”. W połowie melodii przerwał, jakby wyczuł inny zapach.

– Daleko nie uciekłeś. – Miała nadzieję, że w jej głosie nie słychać było żadnych emocji.

Andrzej na moment zeszywniał. Dopiero gdy rozpoznał jej głos, westchnął głośno i odwrócił głowę w jej stronę.

– Seksownie wyglądasz z tym pistoletem.

– Zawsze wiedziałam, że podnieca cię niebezpieczeństwo.

Wstała z fotela. Podeszła. Przez chwilę stali na wprost siebie. Ona z przyciśniętym do jego brzucha pistoletem, a on z uniesionymi do góry ramionami, jakby się poddawał.

Wkrótce je opuścił, odsunął pistolet i przyciągnął ją ku sobie. Zaczęli się namiętnie całować. Kiedy pistolet zaczął jej niemiłosiernie ciążyć, odłożyła go na brzeg stolika. On już rozpinał guziki jej bluzki.

Świat wokół Anny zawirował.

– Tak długo na ciebie czekałam – szepnęła, gdy uwolnił jej piersi ze stanika. Jej sutki naprężyły się w oczekiwaniu pieszczoty. Zaczął je

delikatnie całować.

Zacisnęła mocno powieki. Przyciągnęła jego głowę ku sobie. Wszystko wokół niej wirowało coraz szybciej i szybciej. Dreszcze falami przepływały przez jej ciało.

Zerwała z niego szlafrok. Jego skóra pachniała jej ulubioną wodą kolońską. Nadal ją używał. Nie zapomniał. Nie zniósłaby myśli, że mógłby zapomnieć tego, co ona lubi.

Opadł na kolana, zerwał z niej figi i wtulił głowę w jej podbrzusze. Krzyknęła krótko, boleśnie. Nie mogła go stracić. Był tylko jej.

Na własność.

Na wyłączność.

Na wieczność...

Utonęli w falach pościeli.

Dotyk dłoni Andrzeja niemal sparzył jej biodra. Wargi pozostawiały gorejące ślady na udach.

Ale tego było mu mało. Gwałtownie wsunął dłonie pod jej pośladki i przyciągnął ku sobie.

Jego pocałunki pozbawiły ją tchu. Niczym tonąca, próbowała wychylić głowę znad poduszek. Chwycić szeroko otwartymi ustami powietrze. Znowu zapadła się w kolorową głębię narastającego do granic wytrzymałości pożądania.

Wszedł w nią gwałtownie. Nie pozwolił na chwilę otrzeźwienia, budząc w niej pragnienie ostatecznego spełnienia.

Trzymając za biodra, kołysał nią w przód i w tył. Chwyciła się jego napiętych ramion. Były kołami ratunkowymi, które nim utonie, pozwolą jej smakować każdy spazm.

– Nie chcę żyć bez ciebie. – Głos Andrzeja był chrapliwy, pełen napiętego oczekiwania.

– Umierałam, gdy nie było cię przy mnie.

– Jesteś tylko moja.

– Jesteś tylko mój.

Krzyknął krótko, kiedy wbiła mu w barki paznokcie. Sekundę później jego ciało wyprężyło się jak struna. Rozdarł go jasny płomień, który niczym elektryczny piorun wniknął w nią, spenetrował i wypełnił żarem.

Już nie chciała czekać. Była na szczycie i pragnęła już tylko skoczyć w otwierającą się przed nią złotą głębię. Poczwała w sobie wypływającą z niego falę ciepła. Złoto i błękit zwały się na nią, zdusiły w piersiach krzyk. Zatrzymały kolejne uderzenie serca.

W jej ciało wbiła się rozkosz. Rozlała się w niej. Wypełniła każdy zakamarek stęsknionego za ukochanym ciała. Poderwała się pod nim, jakby chciała się uwolnić, jakby już nie mogła znieść go w sobie. Zacisnęła mocno uda.

Gryząc poduszkę, krzyknęła rozdzierająco. Potem wtuliła się w Andrzeja, zaciskając paznokcie na jego napiętych pośladkach. Błagała, by przestał, by pozwolił nadejść aksamitnej ciszy. Pragnęła już tylko spokoju. Ale on był bezlitosny. Więc uciekła gdzieś w siebie, wijąc się pod falami spełnienia. Zaczęła drzeć pod wpływem przeszywającego jej ciało gorąca i tnących lodowych igiełek. Doszła do granicy, za którą najmniejszy ruch rozedrze ją i wtedy skona.

Znieruchomieli, jakby oboje zapomnieli, że aby dalej żyć, należy ponownie napełnić płuca zbawiennym haustem powietrza. Uszła z niej wszelka energia. Ogarnął ją błękitny spokój i totalny odlot w szeptane przez niego słowo: „Kocham”.

Godzinę później, po kąpieli, znowu siedziała w fotelu i usłyszała wychodzącego z łazienki Andrzeja. Znowu miał na sobie szlafrok.

– Co to była za kobieta?

W pierwszej chwili nie zrozumiał pytania. W oczach Anny zobaczył groźny błysk.

– Jaka kobieta?

– Sprowadziłeś sobie dziewczynę?

– Nie wiem o czym mówisz.

Huknął strzał. Jego odgłos był spłaszczony i przytłumiony. Dopiero teraz zorientował się, że Anna trzyma w dłoni pistolet, który okręciła ręcznikiem frotte.

– Chybiłaś. – Powiedział to bardziej z drwiną niż przestraczem.

– Celowałam w głowę muzy, która trzyma w dłoni elektryczną świecę lampki nocnej.

Pochylił się. Figurka nie miała głowy.

– Nic mnie z nią nie łączyło – przyłożył dłoń do serca, jakby składał przysięgę. – Nie poszliśmy do łóżka. Posłużyłem się nią tylko jako listonoszem.

Andrzej starał się dostrzec w półmroku rysy jej twarzy. Chryste, ileż to ostatnich nocy mu się śniła. Za każdym razem siedziała właśnie w tamtym fotelu. W czasie ostatniego majaku czesał włosy i czekał aż Anna przyjdzie. Zdziwiony dostrzegł wówczas, że połowa z nich mu wypadła. Przypomniał sobie słowa mamy, która w takich razach zawsze mówiła o nieuchronnie zbliżających się kłopotach.

To były tylko sny.

– Wierzę ci – odłożyła pistolet.

– Strzeliłabyś, gdyby...?

– A jak myślisz?

Zerknął w stronę osmalonego wylotu na ręczniku frotte. Czy byłaby zdolna go zabić? Gdyby ją zdradził, na pewno.

– Przyniosłaś swoją wersję?

Podniosła z podłogi plecak i wyjęła kilkanaście kartek zapisanych długopisem.

Wziął je do ręki i przebiegł wzrokiem. *„Anna Wermer. Zapis drugi. 11 lipca 1991 rok. Zostaliśmy kochankami. On Esbek, ja... hotelowa dziwka. Czy mógł ktoś wymyślić lepszą parę? ...*

– Masz talent – mruknął Andrzej – ale mam nadzieję, że te zapiski nigdy nie ujrzą światła dziennego.

– Dlaczego chcesz wysłać je do New York Timesa?

– To nasza polisa ubezpieczeniowa. Wcześniej trafią do skrytki w banku.

– Jest aż tak źle? – A gdy Andrzej zawahał się z odpowiedzią, powiedziała stanowczo: – Chcę wiedzieć. Wszystko. Już mnie nie oszukuj, proszę. Tym razem nie zniosę kłamstwa.

Skinął głową.

– Akta, które wykradłaś z Banku Koëniga, chcą mieć Amerykanie i Rosjanie. Naszym śladem idą też Urugwajczycy, z którymi współpracuje nasza dawna, komunistyczna esbecja. – Zapatrzył się w siebie tylko znany punkt. – Podobno do wszystkiego trzeba dorosnąć. Dzięki tobie przerobiłem ten kurs w przyspieszonym tempie. Do Montevideo przyjechałem z prostym planem: miałem skłonić cię do oddania archiwum za gwarancje bezpieczeństwa. Ale zginęła Elwira. Potem zaczęło się na ciebie polowanie. Uznałem, że Tomasz Szczegowski, który z ramienia MSW kierował akcją, chce przejąć archiwum, a ciebie wystawił do odstrzału. Pomogłem wam uciec z Urugwaju do Stanów Zjednoczonych. W Nowym Jorku Tomasz ponownie nawiązał ze mną kontakt. Byłem nieufny, ale zgodziłem się na spotkanie. Dostałem dowody, że grał z nami fair. Śmierć Elwiry to była robota Urugwajczyków.

Andrzej na chwilę zamilkł. Przebiegło mu przez głowę, że zbliża się do granicy, po której przekroczeniu Anna może go znienawidzić. Wielokrotnie już powtarzał w myślach historię, którą chciał jej opowiedzieć.

– Zastanawiasz się, jak powiedzieć prawdę, która jest inna od tej, którą dotąd słyszałam? – Spytała. Przytaknął bez słowa. – Niech będzie najgorsza, ale zanim mi ją wyznasz, muszę coś wiedzieć – spojrzała mu prosto w oczy. – Czy to, co za chwilę powiesz, zmieni coś między nami?

Wziął jej dłoń i delikatnie pocałował.

– Przysięgam, że nic.

– Więc już niczego się nie boję – nabrała w płuca głęboko powietrze. – Mów.

– W Nowym Jorku zgodziłem się z Tomaszem, że musimy poznać prawdę o kulisach kradzieży archiwum. Doszliśmy też do wniosku, że w tym wypadku nie chodziło tylko o zapewnienie bezpieczeństwa kilku komunistycznym dupkom. Za wszystkim musiało kryć się coś znacznie poważniejszego. Świadczyło o tym międzynarodowe zamieszanie. Postanowiliśmy zmontować grę operacyjną.

– Co to takiego?

– Gra w lustra i dym, prawdę i fałsz, pozorowane działania i podsuwanie fałszywych tropów. Wszystko po to, żeby poznać prawdziwe motywy działań wroga i zobaczyć ukryte w cieniu twarze przeciwników.

– Powiedziałeś, że Urugwajczycy pomagają Sulimowiczowi. Jak to możliwe?

– Czasami agencje wywiadowcze świadczą sobie wzajemnie usługi. Jednak z informacji Tomasza wynika, że za wszystkim w cieniu kryje się jakaś postać, która ma mocne powiązania z tamtejszym rządem.

– Po co Urugwajczykom nasze archiwum?

– Dobre pytanie, na które nie znam odpowiedzi.

– Może to sprawka Amerykanów?

– Schneider temu zaprzeczył.

– Nauczyłeś mnie, że w tej zabawie trzeba mieć ograniczone zaufanie nawet do przyjaciół – spojrzała wymownie na Andrzeja, jakby chciała przypomnieć, że przeszłość między nimi nie była różowa.

– Amerykanie przystąpili do gry, gdyż nasze archiwum mogło zdestabilizować nowy układ polityczny w Europie Środkowo–Wschodniej. Efekt domina miałby fatalny skutek dla młodych demokracji w dawnych państwach bloku posowieckiego. A to uniemożliwiłoby Jankesom objęcie dominującej pozycji w regionie.

– Ale coś się sypnęło?

– Niedawno dostrzegli za Sulimowiczem cień kogoś innego.

– Czyli potwierdzili wasze przypuszczenia. Wiadomo kim jest ten cień?

– To Ramir Mondego, jeden z najbogatszych właścicieli ziemskich w Ameryce Południowej. Gra toczy się o znacznie wyższą stawkę.

– Jaka?

– Wszyscy czują, że zbliżamy się do groźnego przełomu.

– Tylko nikt nie bardzo wie, co będzie oznaczał – spojrzała na Andrzeja, a ten przytaknął bez słowa. – Jak to wszystko ma się do naszej sytuacji?

– W Nowym Jorku, w trakcie jednego z ostatnich spotkań, przekazałem Tomaszowi oryginalne mikrofiszki. Dzięki takiemu posunięciu zabezpieczyliśmy się przed ich ewentualną utratą. W zamian dostałem bezwartościowe mikrofiszki.

– Mówisz o tej grze operacyjnej?

– Owszem. Tylko w ten sposób możemy dowiedzieć się, dlaczego zdecydowano się na kradzież części archiwum, bo mocodawcę już znamy – Ramir Mondego.

– Więc zrobiłeś z nas zajęcia, które dodatkowo mają doczepione do ogona grzechotki, żeby myśliwi łatwiej mogli nas namierzyć. – Zacisnęła dłonie w pięści.

– Nie było innego wyjścia – Andrzej poczuł za plecami ścianę. – Tylko w ten sposób stojący z boku obserwator może dostrzec szachrajstwa siedzących przy stoliku rozgrywających.

Anna była zdziwiona własnym spokojem i tym, że nie eksplodowała.

– Więc tam, w Nowym Jorku, i tu, w Paryżu, wszystko to był pieprzony teatr, choć w trakcie przedstawienia strzelano do nas prawdziwymi kulami.

– Tak było.

– Ale to nie koniec. Za moimi plecami pojawił się jakiś facet. Amerykanin? Ruski? Czy...?

– To człowiek Schneidera. Przed nami ostatni akt przedstawienia – Andrzej chyba odetchnął z ulgą, gdy nie rzuciła się na niego z pięściami. – Mikrofiszki, które dotąd ze sobą woziliśmy były kiepskiej jakości, ale nikt do nich nie zaglądał. Teraz trzeba zrobić z nich setki, które będą

robić za oryginały. Za parę dni wszystko poleci z Dublina do Warszawy, trafi do pewnego biskupa, a ten przekaże je Sulimowiczowi.

– Myślisz, że się nie zorientuje?

– Potwierdzenie Kościoła i zawiedzione miny Amerykanów będą dobrymi świadectwami ich oryginalności. Jeśli zaś chodzi o generała, to w ramach reorganizacji w MSW stracił dostęp do archiwum specjalnego i nie zweryfikuje akt.

– Co dalej?

– Będziemy musieli jeszcze jakiś czas poudawać, ale nie przewiduję już żadnej jazdy bez trzymanki.

– Wspomniałeś o Rosjanach.

– Siejka pracował dla KGB. To Moskwa miała dostać wykradzione przez ciebie mikrofiszki.

– Niewiele o nich mówiłeś.

– Myślę, że na razie mamy ich z głowy. W Rosji wszystkich obchodzi tylko jeden spektakl: pucz Janajewa i wojna Jelcyna z Gorbaczowem. Rosyjski wywiad praktycznie zamroził na Zachodzie swoją aktywność.

W ciszy nieoczekiwanie rozległo się pukanie do drzwi. Oboje spojrzeli po sobie zaskoczeni.

– Tak? – Andrzej odwrócił się w stronę przedpokoju.

– Mógłby pan otworzyć? – Pytanie dobiegło z korytarza.

– Już idę – zawołał. – Tylko nałożę szlafrok.

Przeszedł do niewielkiego przedpokoju. Nacisnął klamkę. Na korytarzu stał właściciel pensjonatu.

– W czym problem?

– Jeden z sąsiadów, z pokoju obok, zadzwonił do recepcji, że słyszał u pana odgłos wystrzału.

– Wystrzału? – Andrzej niemal zachłysnął się zaskoczony śliną.

– Właśnie.



– W moim pokoju? – Z miny Andrzeja można było wnioskować, że za moment wybuchnie śmiechem. – Jakiego typu?

– To ja przyszedłem pytać.

– Może komuś coś spadło na podłogę?

Nieoczekiwanie z oknem rozległ się głuchy huk. Sekundę potem odezwał się motocyklowy silnik. Znowu benzyna strzeliła w gaźnik. Motor zawarczał na wyższych obrotach i z terkotem odjechał.

– Ma pan swój wystrzał – Andrzej wzruszył ramionami. – Coś jeszcze?

Właściciel zrobił przeproszającą minę.

– Strasznie mi przykro, że niepokoiłem.

Chciał jeszcze coś dodać, ale Andrzej zatrzasnął mu drzwi przed nosem. Przekręcił w zamku klucz.

Wrócił do pokoju.

– Kiedy chcesz je wysłać? – Anna wskazała na kopertę i leżące na niej zapiski.

– Jutro rano.

– Wspomniałeś, że Amerykanie nas kontrolują.

– Wasze mieszkania są na całodobowym podsłuchu i podglądzie. Dlatego musisz nadal grać rolę oszukanej i gotowej się zemścić. Ja mam akta i wszyscy dokoła są pewni, że interesuje mnie tylko forsa.

– Coś jeszcze powinnam wiedzieć?

Sięgnął po długopis. Otworzył notes i wypisał na nim rząd cyfr. Potem drugi, kolejny, aż do szóstego. Każda z dwunastocyfrowych linijek była finezyjnymi wariacjami pierwszej.

– Pierwsza linijka – wskazał końcówką długopisu – jest hasłem do skrytki w znanym ci dobrze Banku Koëniga. Tam są mikrofiszki. Dlaczego tam? Pod latarnią jest zawsze najciemniej.

– Następne?

– To są konta, które otworzyłem w pięciu różnych oddziałach banków. Na każdym znajduje się zdeponowane od dwóch do trzech milionów dolarów amerykańskich. To nasze zabezpieczenie. Nie trzeba chodzić do banku. Możesz telefonicznie sprawdzić zawartość skrytek i dokonywać przelewów na wskazane konta.

– Jest coś takiego? – Była zaskoczona.

– Tu, na Zachodzie, owszem.

Wyjął z dłoni Anny kartkę i obok pięciu dwunastocyfrowych rzędów dopisał cztery cyfry.

– To hasło do sprawdzania stanu każdego konta.

Sięgnął po książkę telefoniczną. Wyrwał jedną ze stron i zakreślił na niej numery do pięciu banków.

– Wybierz, który chcesz. Zadzwoń. Chcę, żebyś umiała korzystać z tej usługi.

Wybrała Suisse Bank.

– Czym mogę pani służyć? – Głos mężczyzny był obojętno–  
uprzejmy.

– Chciałabym sprawdzić stan konta.

– Oczywiście. Proszę postępować zgodnie z usłyszonymi poleceniami automatu.

W słuchawce zapadła cisza. Odezwał się miły kobiecy głos automatycznego przewodnika.

– Wybierz na klawiaturze numerycznej telefonu pierwszą, trzecią i szóstą cyfrę telefonicznego hasła klienta.

Wcisnęła klawisze: osiem, cztery, osiem.

– Dziękuję. Wybierz na klawiaturze numerycznej telefonu czwartą, piątą, dziewiątą i dwunastą cyfrę numeru konta.

Na kilka sekund zapadła cisza.

– Dziękujemy za cierpliwość.

Kobięcy głos automatu poinformował, że zgromadziła na koncie milion dziewięćset tysięcy osiemset dwadzieścia jeden tysięcy trzysta osiemdziesiąt siedem dolarów i trzydzieści centów.

Anna odłożyła słuchawkę. Najwyraźniej coś przyszło jej do głowy.

– Chciałabym jeszcze spytać o tamtą kobietę.

– Jaka?

– Wziąłeś sobie do hotelu dziwkę – Anna powiedziała twardym głosem.

– Ty jeszcze o tym?

– Po co?

– Tamtego wieczora pojechałem do Tomasza, żeby powiedzieć o ustaleniach Secundusa. Musiałem stworzyć sensowny pretekst, na przykład, że znudziła mi się samotność.

– Dostałeś pochwałę z wpisem do akt? – Zadrwiła. A potem spoważniała. – Jakie to ustalenia?

– Okazuje się, że dawny zastępca Sulimowicza, Jensen–Drzycki, prowadzi firmę spedycyjną, której właścicielem jest... – uniósł brew i spojrzał na nią pytająco.

Anna szybko kojarzyła.

– Mondego. Facet z cienia.

– I to właśnie on zapłacił Siejce za wykradzione mikrofiszki. Przelew przyszedł z oddziału rosyjskiego Vostok Banku. Jak widzisz elementy układanki stopniowo łączą się w coraz bardziej czytelny obraz.

– Miejmy nadzieję, że ten obraz nas nie przerazi, gdy wszystkie puzzle wskoczą na swoje miejsca.

– I W KOŃCU na czym stanęło? – Helena dołała kawy z dzbanka. – Bo, mówiąc między nami, to ja już nic z tego nie rozumiem.

– Ja również – przytaknęła Olga. – Nienawidzisz go, ale nadal żyje.

– To będzie czysty interes – Anna podstawiała kubek. – Zwykły, najzwyczajniejszy w świecie biznes

– Możesz jaśniej?

Anna westchnęła.

– Zapłacił za to, że go nie zabiłam. – Anna przez chwilę patrzyła w oczy przyjaciółki. Potem zapatrzyła się w udany zamyśleniu w stronę rogu sufitu. Czy właśnie tam umieszczono podpatrującą ich kamerę? – Trzymając go na muszce i mogąc zabić, zrozumiałam, że już nic dla mnie nie znaczy.

– To już jest coś – sapnęła Olga.

– Jak to nic? – Helena spojrzała niedowierzająco.

– Nie pociągnęłam za spust, bo rozumiałam, że mogę go zabić.

– To dla mnie zbyt skomplikowane. Możesz dla mnie rozgarniętych umysłowo?

– Właśnie... – Przytaknęła Olga.

– Mogłam go zastrzelić. Nic nie czułam. Żadnego strachu, żalu i takich tam. Nie zadawałam sobie też pytań, w stylu: „A co potem?” Po prostu, kalkulowałam na zimno, co jest dla mnie najlepsze.

– I wymyśliłaś...?

– Coś mi się należy za te wszystkie miesiące. – Tupnęła gniewnie nogą. – Mam w dupie, co było i co mi zrobił. Teraz chcę tych pieniędzy. Należą mi się za to wszystko, przez co przeszłam. Ustaliliśmy, że potem rozjedziemy się w przeciwne strony świata.

– Super – Olga klasnęła w dłonie.

– Już wiecie, dlaczego on żyje? – A widząc nieprzekonaną minę Heleny zapytała. – Zastrzełiłabyś bankiera, wiedząc, że niedługo pomnoży twój majątek o dodatkowe dwa miliony?

– A w życiu – Helena stwierdziła pewnym głosem.

Anna wstała od stołu i wyszła z kuchni Olga zaczęła wkładać brudne talerze do zmywarki. Helena zaś podeszła do okna i zaczęła gapić się w niebo.

– Marnie to widzę.

Olga spojrzała na przyjaciółkę.

– Co takiego?

– Wierysz w to, co powiedziała Anka?

– Dlaczego pytasz?

Helena odwróciła się do przyjaciółki, trąc w zamyśleniu podbródek.

– Facet jest jak samochód. Chwila nieuwagi i już pod nim leżysz.

– Co to ma do rzeczy?

– Ona go kocha, to pewne, jak dwa razy dwa.

– Myślisz, że ją bzyknął?

– Na bank.

– No nie wiem – Olga miała wąpiący głos.

– Ślepa jesteś? Wyszła stąd zdeterminowana, by go zabić, a wróciła plotąc, że niby ubija z nim interes. I będzie się zapierała, że chodzi tylko o pieniądze, a nocami będzie ryczeć.

– Według mnie to...

Helena nie dała jej dokończyć.

– Mam już dosyć tego palanta i dosyć płaczu Anki. Jak znowu wywinie jej numer, to ja go rozwalę. I Bóg mi świadkiem, że pociągnę za spust bez względu na to, czy będzie stał pod prysznicem, czy siedział na kiblu.

– Co z Anką? – spytała Olga.

– Musimy poczekać. – stwierdziła zdecydowanie Helena.

– Na co?

– Aż wreszcie do niej dotrze, że nadal kocha drania.

– Długo to potrwa? – zapytała Olga.

Helena chciała odpowiedzieć, ale drzwi do kuchni nieoczekiwanie otworzyły się z impetem. Zatykając usta dłonią, Anna pobiegła do

toalety, skąd wkrótce dobiegł odgłos torsji.

Helena i Olga spojrzały na siebie znacząco.

PRZED WYLOTEM do Stanów Zjednoczonych Natan Beniamin Schneider nakazał, by pracownicy paryskiej agentury nie pozwolili Sulimowiczowi – który nadzorował rezydenturę we Francji – chociaż na minutę oddechu i chwilę namysłu. To nie generał miał wyznaczać reguły gry, tylko przyjmować narzucone mu warunki. Nie mając czasu na zastanowienie się, będąc stale punktowanym i zaskakiwanym coraz to nowym rozwojem sytuacji, pewnego dnia miał odkryć, że został zapędzony do narożnika ringu. Wtedy, nim zdoła unieść gardę, zostanie znokautowany.

Tomasz przyznał, że Schneider wymyślił to genialnie. Zwerbowany przez Amerykanów polski agent nawiązał kontakt ze wskazanym biskupem, przez którego zamierzano dostarczyć Sulimowiczowi całe dossier. Kościół miał być gwarantem, że wymiana będzie miała uczciwy przebieg. Generał z pewnością dowie się, kto nawiązał kontakt z Konarskim. Osoba Grega wprowadzała w grę dodatkowe zamieszanie. Sulimowicz dostanie do rozwiązania kolejną zagadkę, a jego czas na skupienie się na istotnych sprawach ponownie ulegnie skróceniu.

– Nadal jednak nie potrafimy określić celu, do którego zmierzają Amerykanie.

Podczas tej samej rozmowy Andrzej dowiedział się, że część funkcjonariuszy SB, którzy nie przeszli pomyślnie weryfikacji kadrowej, stworzyła własną organizację. Za jej powstaniem stoi nie kto inny tylko Jensen–Drzycki.

– Wychodzi na to – stwierdził Andrzej – że Sulimowicz wcale nie poświęcił zastępcy dla własnej kariery, lecz skierował tamtego do ważniejszej dla nich pracy.

– Oficjalnie nie ma mowy o żadnym stowarzyszeniu, czy czymś podobnym – zastrzegł – To przedsiębiorstwo transportowo–spedycyjne, które rozwozi towary po Europie. Powstało pod koniec 1986 roku, zaś pełna parą ruszyło siedem miesięcy później. Dotąd ustaliliśmy, że transporty trafiają do holenderskiego Arnhem, niemieckiego

Hohenlinden, Marsylii i Neapolu. Mamy niepotwierdzone jeszcze informacje, że samochody jeżdżą też do hiszpańskiego San Sebastian. Przyjrzelśmy się im dokładnie, ale są czyści jak łąza.

– Jaki towar wożą?

– Porcelanę stołową, która przy pływa do Gdyni statkami z Ameryki Południowej. Nadawcą jest urugwajska firma „Santa Corona Co.”

– To żart?

– Takie są ustalenia naszego agenta. Poleciliśmy, żeby spróbował je zweryfikować.

– Co z Konarskim?

Przez ostatnie dwa dni Andrzej zwodził Konarskiego co do czasu przekazania mikrofisz. Skłamał, że zatrul się ostrygami i musi zostać w domu, dlatego muszą przełożyć spotkanie na czas niedomagania. Samo życie, które potrafi pokrzyżować najmisterniejsze ludzkie plany. W rzeczywistości chodziło o to, że Warszawa nie mogła wyrobić się z wytworzeniem kompletu fałszywych mikrofisz.

– Wszystko już czeka w Dublinie. A co z nami? – zapytał na koniec Tomasz.

– Kiedy wyjadę z Anna i małą z Paryża, dostaniesz hasło do Banku Koëniga. Taka była umowa.

– Pamiętam.

– Co z paszportami? – spytał Andrzej.

– Czekają na ciebie w recepcji pensjonatu.

Odłożył słuchawkę i zszedł na dół. Recepcjonista podał mu szarą kopertę. Wrócił na górę do pokoju. Rozerwał paczkę. Z wnętrza wyleciało sześć paszportów. Po dwa na różne nazwiska dla Anny, Marty i niego.

SAMOLOT LINII British Airways wylądował na lotnisku w Dublinie. Pasażerowie ruszyli do przejść odprawy paszportowej. Nie trwało to długo i Andrzej wkrótce znalazł się przed drzwiami wyjścia na halę

przylotów. Miał ze sobą tylko bagaż podręczny, więc ruszył od razu do wyjścia. Za barierką stało kilkadziesiąt oczekujących osób. Nie zobaczył wśród nich Grega, jak się wcześniej umawiali.

Ruszył przez tłumek. Zrobiono mu przejście. Za oczekującymi osobami stało jeszcze kilkanaście innych, ale i wśród nich nie zobaczył znajomej twarzy.

Czyżby Greg zapomniał, że się umówili?

Ktoś klepnął go w plecy. Zaskoczony odwrócił się. Za nim stał mężczyzna o wygolonej na łyso czaszce, z gęstą rudą brodą zarastającą usta i policzki. Nieznajomy miał na sobie kraciatą koszulę, spodnie, które najprawdopodobniej uszyto z tego samego materiału, i pepegi na gołych stopach.

– Nie poznajesz starych przyjaciół? – Spytał ryży.

– Greg? – Andrzeja niemal zatkało z wrażenia.

Łysol uśmiechnął się szeroko.

– Tak bardzo się zmieniłem?

– Poprzednio, przynajmniej duchowo, byłeś statecznym Żydem.

– Nic się nie zmieniło.

– A ta koszula i spodnie? Nie wspominając o brodzie.

– Nie szata zdoła człowieka. Jeśli zaś chodzi o brodę? Alice zawsze chciała mieć faceta z brodą.

– Alice? – udał zdumienie.

– Moja kobieta.

Andrzej zrobił krok do tyłu, jakby chciał ocenić sylwetkę Grega.

– Wyglądasz kwitnąco.

– Bo jestem pierwszy raz w życiu zakochany – Greg uśmiechnął się szeroko.

– Zapomniałeś o Lei?

– To była zabłąkana miłość.



– Jak to zabłąkana?

– Nie mówiłem ci?

Andrzej pokręcił głową.

– Kiedyś wracałem z knajpki po kilku piwach i, jakby to powiedzieć, zagubiłem się w czasie i przestrzeni. Kiedy się wreszcie odnalazłem, wyszedłem zza rogu na Leię, która wyprowadzała w nocy chorego mopsa. Była w nocnej koszuli i szlafroku, bo myślała, że nikogo już nie spotka, a pies załatwi, co swoje. Ja narobiłem krzyku, ona też, a mops dał nogę do domu.

– Ona też krzyczała? – rzucił Greg.

– Byłem trochę utyłtany na twarzy, gdyż wcześniej pośliznąłem się w kałuży. Ale kiedy się okazało, że mieszkamy w tym samym domu, to się nawet polubiliśmy.

– Pamiętam, że byłeś w niej zakochany – Andrzej spojrzał pytająco.

– Niestety. Bo co to jest za szczęście, kiedy za każdym razem, gdy ją odwiedzałem, jej czteroletni Izaak, który raczkował po podłodze, gryzł mnie w jedną nogę, a to bydle, mops, w drugą.

– Rzeczywiście miałeś z tym... zgryzotę.

– Ab ovo usque ad mala. Dopiero teraz jest „teraz” – Sapnął Greg.

– Ładnie powiedziane – mruknął Andrzej.

– Nie, to: „Od jajek do jabłek”. Rozumiesz, Alice jest tym jabłkiem. Alice czeka w samochodzie. Skoczmy gdzieś na obiad? Chyba masz ze sobą forszę? – Greg spojrzał na niego pytająco. – Tylko mam prośbę.

– Tak?

Greg nachylił się i szepnął.

– Nie mów, że jestem Żydem.

– Alice jest bojowniczką Frontu Wyzwolenia Palestyny? – Andrzej uśmiechnął się zaskoczony.

– Nie żartuj. W domu wychowano ją w nienawiści do Żydów.

– Ale przecież ty jesteś Żydem.

– A czy ja się kiedykolwiek wypierałem przodków, którzy wywodzą się z rodu Abrahama? Nawet dziś zamierzam iść do bożnicy, żeby za pośrednictwem rabina podziękować Bogu za Alice. Oczywiście sam – dodał szybko.

– Nie wypierałeś – przyznał Andrzej.

– I oto właśnie chodzi. Ja wiem, że jestem wyznania mojżeszowego, ty wiesz, Pan Bóg wie i... wystarczy. Zaraz wszyscy muszą o tym gadać?

Wyszli przed budynek hali przylotów. Przeszli na parking, gdzie w jeepie siedziała ruda dziewczyna. Początkowo Andrzej był przekonany, że za kierownicą siedzi Leia. Ta sama twarz, szczupła budowa ciała, piegi i wyraz wiecznego nadąsania. Ale to nie była dawna narzeczona Grega.

– Andy zaprasza nas na obiad – Greg wskazał na Andrzeja, a jego słowa najwyraźniej miały być prezentacją jego osoby.

Pół godziny później, siedząc przy stoliku, Andrzej zadał sobie w duchu pytanie, jak wiele tak chuda i drobna osoba jak Alice, może w sobie zmieścić? Dotąd zjadła talerz spaghetti, połowę porcji z talerza Grega, oraz swoje ciastko i najwyraźniej nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa. Widząc jej głodne spojrzenia, podsunął kartę dań i zasugerował, żeby zamówiła sobie coś jeszcze.

Po raz pierwszy na twarzy dziewczyny pojawił się cień uśmiechu. Wkrótce kelner przyniósł zupę–krem z pomidorów, ziemniaki z befsztykiem, krewetki w cieście, ciastko drożdżowe, kawałek tortu czekoladowego i podwójną kawę latte.

Patrzenie, jak Alice systematycznie oczyszcza talerze z jedzenia mogło być niezapomnianym przeżyciem. Jednak kiedy doniesiono krewetki w cieście i dziewczyna wzięła do ręki widelec, zerknęła na Andrzeja.

– Trochę mnie krępuje, jak ktoś patrzy.

– Siedzimy przy tym samym stole.

– Więc idź z Gregiem na papierosa.

– Ty palisz? – Andrzej zdziwił się.

– Fajkę.

Wyszli przed restaurację.

– Jak ci się podoba? – Greg zerknął pytająco.

– Byliście u lekarza?

– Po co?

– Ona musi mieć tasiemca – Andrzej miał pewny głos.

– Myślałem już o tym.

– I co?

– To kwestia spalania. Dużo myślisz, dużo spalasz. A ty nawet nie wiesz, co tam buzuje pod jej czaszką.

– Nie wracasz do Stanów?

– Postanowiłem zostać przez jakiś czas w Dublinie. – Greg spojrzał uważniej na Andrzeja. – Nie powiesz, że przyleciałeś tu aż z Paryża, żeby mnie o to spytać?

Czas było przejść do interesów.

– Niezupełnie. – Sięgnął do portfela i wręczył Gregowi zapisaną kopertę. – Za cztery godziny na dublińskim lotnisku wylądował samolot z Paryża. Przyleci nim ten facet. – Wręczył Gregowi fotografię Konarskiego.

– Co to za gość?

– Ma to dla ciebie znaczenie?

– Tak tylko spytałem – Greg wzruszył ramionami.

Andrzej dał Gregowi zaklejoną kopertę.

– W zamian dostaniesz drugą, w której będzie pięć tysięcy banknotów z podobizną Benjamina Franklina.

– Same setki?

– Przeszkadza ci?

– Tak tylko spytałem. – Twarz Grega rozpromieniła się. – Co jest w kopercie? – Greg wyjął ją z rąk Andrzeja i obejrzał. – Chyba że to jakaś tajemnica.

– Wewnątrz jest hasło do skrytki na wiadomym paryskim dworcu kolejowy. Powiesz to, gdyby tamten zapytał.

– Jakim dworcem?

– Interesuje cię to? – Andrzej spojrzał w oczy przyjaciela.

– W sumie nie bardzo. Ja mu dam tę kopertę, a w zamian...

– Dostaniesz drugą z pieniędzmi.

– Nic trudnego. A ty? – Zaciekawiał się Greg.

– Ja w tym czasie będę wracał z Dublina do Paryża. Ale chyba nie masz nic przeciw temu?

– Nie, Alice również... – Greg zrobił markotną minę. – Chyba nie przypadłeś jej do gustu. – Poklepał go pocieszająco po ramieniu.

– A to po czymś widać?

– Kiedy doświadcza negatywnych emocji, wówczas dużo myśli. A jak dużo myśli...

– To ma wilczy apetyt. – Andrzej sięgnął do portfela i wyjął banknot stu funtów. – Więc nie będę przeszkadzał w trawieniu. Powiedz jej ode mnie: „Good bye”... Aha, jeszcze coś.

– ...?

– Nie wydaje ci się, że ona jest podobna... – Greg zawiesił głos, jakby nie chciał niczego sugerować.

– Do Lei? Rzeczywiście, Alice nie należy do zbyt obszernych osób. Według mnie wystarczy, że w naszym związku jedna osoba jest gruba. Dzięki temu w przeliczeniu na średnią wynika, że ważę o czterdzieści funtów mniej. Sam przyznasz, że dla mojego zdrowia to nie w kij dmuchał.

Andrzej zdusił śmiech.

– Nigdy bym na to nie wpadł.

– Dlatego ja prowadzę biznes i niedługo ustabilizuję swoje życie, a ciebie los rzuca po świecie, jakby cię dotknęło przekleństwo stu pałaców  
– Greg stwierdził pewnym głosem.

– Stu pałaców?

– Jak kogoś bardzo nie lubimy, to życzymy mu, żeby miał sto pałaców.

– Uroczo.

– Poczekaj z pochwałami... – Greg uśmiechnął się przewrotnie. – I po tych życzeniach dodajemy, żeby każdy pałac miał sto pięter. Na tych stu piętrach po sto pokoi, a w każdym po sto łóżek.

– To wszystko?

– I żeby cholera ciskała go z jednego na drugie i żeby nie mógł zdechnąć...

Andrzej chciał odejść. Zrobił kilka kroków, ale się cofnął.

– Aha, i nie otwieraj tej koperty. Za przeciętą lub rozklejoną nie dostaniesz nawet centa. Inna koperta również nic nie będzie dla tamtego warta.

Greg obejrzał kopertę i wygładził dłonią zgniecenie.

– Zobaczymy się jeszcze? – Greg podniósł na Andrzeja oczy.

– Dlaczego pytasz?

– Dzięki tobie mam za co żyć. Nawet nie wiesz, jak tu jest drogo.

## Rozdział 12

– Może to tylko niestrawność? – Helena spojrzała pytająco na Annę, która siedziała za kierownicą auta.

– Kupiłam w aptece test.

– I co?

– Nasikałam na niego i wyszło, że jestem w ciąży. Niech to szlag – uderzyła dłonią o drążek zmiany biegów.

– Trzeba było powtórzyć test.

– Zużyłam dwa opakowania, w każdym po dwa próbники. Mało?

– Pewniejsze jest badanie ambulatoryjne. Zbadaj się, wtedy będziesz wiedziała na sto, a nie siedemdziesiąt osiem procent.

Anna zatrzymała się przy krawężniku i wyłączyła silnik. Z leżącej na tylnym siedzeniu torebki wyjęła tester i podała Helenie.

– Tu jest napisane, że ten próbnik daje dziewięćdziesięcioprocentową pewność.

– Czyli zostaje dziesięć niepewności, albo, jak kto woli, nadziei. – Upierała się Helena.

Anna zadała sobie w duchu pytanie, co będzie, jak się okaże, że przyjaciółka ma rację? Doznałaby zawodu? Na zewnątrz może i była zła, ale gdzieś w głębi, gdzie tylko ona mogła zajrzeć, poczuła rozchodzące się w niej ciepło.

Mogła zostać matką. Kiedy kilka dni temu uświadomiła sobie ten fakt, posmutniała. Nigdy nie była prawdziwą matką. Martę wychowała mama. Ona tylko przynosiła pieniądze i uciekała, wystraszona małym berbeciem, który wyciągał do niej rączki z łóżeczka.

– Chcesz to dziecko? – Helena zawiesiła głos. – W końcu, jeśli już...

– To co?

– Możesz usunąć.

Nie zastanawiała się dotąd nad taką ewentualnością. Rzeczywiście mogła. Ale czy chciała?

– Ja chyba bym chciała – siedząca z tyłu Olga przytaknęła sama sobie.

– Chyba? – Helena obróciła się za siebie.

– W domu było nas ośmioro. Nie mam pojęcia jak matka sobie z nami radziła. Ja kilka razy miałam ochotę wymordować braci, to co mówić o niej?

– Miałaś strasznie kochliwą mamusię – Helena odwróciła się do siedzącej na tylnym siedzeniu.

– Ależ skąd. Wystarczyło, żeby chłop usiadł obok niej, a już była w ciąży. Wszystko od wiatru, który od portek do niej zawiewał. Przynajmniej tak nam tłumaczyła. Dlatego zawsze się od facetów trzymała z daleka i mnie z siostrami również przed nimi ostrzegała. Jako mała dziewczynka, która jeszcze nic z tego nie rozumie, byłam przerażona, kiedy w domu był przeciąg albo wiatr ze świstem jęczał w szparach pod drzwiami. Po takiej nocy byłam pewna, że za dziewięć miesięcy matka urodzi co najmniej sześcioraczki.

– Dobra – Anna zdecydowała się nagle i zapaliła silnik. – Gdzie jest najbliższa klinika?

NASTĘPNEGO DNIA Anna przeszła przez duży hal i stanęła przed kolistą ladą recepcji, za którą urzędowały przyjmujące zgłoszenia pielęgniarki.

– Chciałam odebrać wyniki testu ciążowego.

– Jak nazwisko?

– Anna Wermer.

Młoda dziewczyna uśmiechnęła się i zaczęła szukać jej nazwiska.

– Proszę – podała kartkę.

Zerknęła na wynik. Już nie miała wątpliwości. Spodziewała się dziecka.

KONARSKI WYSIADŁ z samolotu. Przeszedł przez przejście dla dyplomatów. W hali przylotów zobaczył swoje nazwisko na kawałku kartonu, który trzymał farbowany rudzielec o pucołowatej twarzy, w kraciastej koszuli i podobnych spodniach

– Mr Konarski? – Grubasek wyciągnął dłoń. – Greg MacCoin.

– Miło mi – wybąkał, nieprzyzwyczajony do tak ostentacyjnych przywitań.

Witający sprawiał wrażenie, jakby nie miał zielonego pojęcia, z kim ma do czynienia. A może rudzielec był aż tak dobrym aktorem? Konarski uznał, że ma do czynienia z drugą ewentualnością, bo pierwsza była nie do przyjęcia.

– Mam panu dać pewną kopertę, a w zamian dostać inną.

– Rzeczywiście.

– Pan wybaczy, że niedowierzam, ale biznes to biznes, więc wcześniej wolałbym przeliczyć pieniądze.

Konarski osłupiał. Tak nie powinien wyglądać profesjonalny kontakt. Rozejrzał się po hali przylotów, ale oczekujący już dawno rozeszli się w stronę wyjść. Nie dostrzegł żadnej obstawy, która chroniłaby ich spotkanie.

– Więc co z tą kopertą? – Niecierpliwił się MacCoin. – Alice już i tak była niezadowolona, że znowu jedziemy na lotnisko. No i rano spaghetti jej zaszkodziło, więc mam dzisiaj krzyż pański.

A może jednak to gra? Konarski automatycznie sięgnął po torbę podróżną. Otworzył i wyjął dużą szarą kopertę. Podał ją rudzielcowi.

Greg podszedł do najbliższej ławki. Usiadł. Rozerwał brzeg i zerknął do środka.

– Wydaje się, że wszystko w porządku.

Wyjął z kieszeni kopertę i wręczył Konarskiemu. Potem, nawet się nie zegnając, pobiegł do wyjścia. Polak nerwowo rozerwał kopertę, w obawie, że w środku nic nie znajdzie. Wyjął kartkę z numerem skrytki na Gare de Lyon.



– WASZA DOSTOJNOŚĆ – kleryk zajrzał do biblioteki, w której biskup modlił się na klęczniku. – Eminencja prosił, żebym...

– Mów.

– Poinformowano nas telefonicznie, że wiadoma przesyłka jest w dobrych rękach.

Biskup uśmiechnął się i skłonił głowę przed krucyfiksem, który wisiał na ścianie. Usłyszał za sobą odgłos zamykanych drzwi. Czy kleryk od razu pójdzie do telefonu i powiadomi Sulimowicza? Od kilku miesięcy wiedział, że generał umieścił w jego bezpośrednim otoczeniu dwóch szpiegów.

Wstał z klęczek i podszedł do telefonu. Wykręcił numer MSW.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Miło słyszeć księdza biskupa – w słuchawce rozległ się głos Sulimowicza.

– O tej porze jeszcze pan pracuje, generale,?

– Taka służba.

– Chciałem przekazać, że otrzymaliśmy w Dublinie przesyłkę.

– Kiedy my możemy ją dostać?

– Jak się umawialiśmy – za tydzień. Wcześniej nikt z naszych księży nie wybiera się do Polski.

– Mógłbym polecić skorzystanie z poczty dyplomatycznej – odpowiedział generał.

– Być może kiedyś przyjdzie taki czas... Na razie zostawmy wszystko oddanym sługom Kościoła i Bożej Opatrzności – stwierdził biskup.

– Amen.

– KIEDY NAKAZAŁEM Siejce kopiowanie mikrofilmów, wskazałem mu obszary moich zainteresowań: opozycja, partyjne sprzedawczyki, aktorzy, pisarze, aktywiści Solidarności... – Sulimowicz sięgnął po filiżankę z kawą. – Często major podsuwał mi do akceptacji wybrane

listy z nazwiskami. Ten szczur wiedział wszystko o wszystkich. A przynajmniej wszystko, co na każdą z tych osób doniesiono... lub co jej dopisano do akt osobowych. Myślisz, że byłbym w stanie zweryfikować, czy mikrofisz, które do nas wróca, są prawdziwe?

Jensen–Drzycki pokręcił przecząco głową

– Zrobi to za nas Kościół. Oni również mają zbierane przez lata zapiski, uwagi, obserwacje oraz profile osobowościowe interesujących ich ludzi. Z pewnością skonfrontują je z tym, co dostali w Dublinie.

– W takim razie, kiedy Jego Eminencja odda mikrofisz bez komentarza, będę pewien, że wszystkie karty są setkami – mruknął Sulimowicz.

JEGO EMINENCJA ksiądz biskup siadał do śniadania, gdy w drzwiach pojawiła się siostra Eufemia. Trzymała w ręku kopertę.

– Przyniesiono przed minutą. – Położyła ją na brzegu stołu. – Podobno to coś bardzo pilnego.

Biskup dostrzegł nadruk: „Kancelaria Prezesa Rady Ministrów”. Zainteresowany rozerwał brzeg i wyjął list, na którego dole widniał podpis Tadeusza Mazowieckiego. *Szanowny Księżu Biskupie. Bardzo proszę o przyjęcie pana Tomasza Szczęgowskiego w pilnej sprawie wagi państwowej.*

– Mężczyzna, który przyniósł ten list – poinformowała zakonnica – czeka na dole.

– Proszę zaprowadzić go do biblioteki i poczęstować kawą. Niech siostra mu powie, że zjawię się za kilkanaście minut.

Duchowny posmarował kromkę chleba masłem i nałożył plasterek białego sera. Ugryzł kęs i popił kawą.

Kim był gość? I dlaczego polecił go sam premier? Czyżby miało to związek z propozycją, którą niedawno wysunął Episkopat? Rzecz tyczyła zaproszenia papieża w 1983 roku do Polski w związku z 600–leciem obecności Maryi w Obrazie Jasnogórskim.

Dokończył kanapkę. Napił się jeszcze kawy. Wreszcie otarł usta i wstał od stołu.

Wyszedł z jadalni. Zszedł na parter i wkrótce pchnął drzwi biblioteki.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – rozłożył szeroko ramiona, jakby chciał w nie wziąć ponoszącego się od stolika mężczyznę.

Gość przyklęknął i pocałował pierścień biskupi.

– Dziękuję Waszej Eminencji za szybką reakcję na list pana premiera.

Gospodarz wskazał sofę nieopodal okna. Sam usiadł do światła tyłem, sadzając gościa w pełnym świetle padającego słońca. Duchowny przybrał pozę niemal identyczną jak na obrazie, który wisiał na wprost drzwi wejściowych do biblioteki.

– W czym mógłbym być pomocny naszemu rządowi? – Poprawił brzeg sutanny i złożył dłonie niczym do modlitwy.

Tomasz dziś rano przyleciał z Paryża. Przez całą drogę zastanawiał się nad reakcją gospodarza na jego ofertę. Czy kiedy Eminencja ją usłyszy, nadal będzie miał cukierkową minę? Z tego, co zdołał się dowiedzieć, biskup od lat zajmował się sprawami Kościoła, które z racji swej delikatności, a zwłaszcza poufności, jeśli nie pozostawały w mroku, to na pewno wymagały głębokiego cienia.

– Moja wizyta ma związek z problemami otaczającego nas świata – rozpoczął od nic nieznaczących ogólników, które miały przygotować grunt.

– Kościół właśnie jest od tego, żeby pomóc je rozwiązywać – westchnął duchowny.

– Nie ukrywam, że spodziewałem się takiej właśnie odpowiedzi – Tomasz uśmiechnął się z ulgą.

– Zatem?

– Za sześć godzin – spojrzął na zegarek – na warszawskim lotnisku Okęcie wylądował samolot rejsowy z Dublina. Przyleci nim ksiądz prałat Marcin Sokołowski, który wczorajszego dnia odebrał neseser od majora

Sylwestra Konarskiego, zastępcy attaché kulturalnego naszej ambasady w Paryżu.

Twarz biskupa na sekundę znieruchomiała, a oczy zwęziły się w kreski. Trwało to chwilę i znowu oblicze duchownego tchnęło życzliwą pogodą.

– Nie poinformowano mnie jeszcze o tym fakcie. Czy to coś istotnego?

– W przekazanym w Dublinie duchownemu neseserze znajdują się mikrofiszki, które nielegalnie skopiowano w archiwum MSW i wywieziono na Zachód.

– I twierdzi pan, że ksiądz prałat wszedł w ich posiadanie?

Tomaszowi przyszło do głowy, że biskup wybrał dla siebie dosyć niezręczną rolę osoby, która dopiero od niego dowiaduje się o całej sprawie. Będzie więc musiał sprowadzić duchownego na ziemię. Najwidoczniej Jego Eminencja wziął go za nic nieznaczącego gońca, który miał tylko przekazać jakąś tam wiadomość.

– Proszę wybaczyć słowa, które zaraz wypowiem.

Na twarzy duchownego pojawiło się skupienie.

– Chciałbym, żeby Jego Eminencja był świadomy tego, że my niczego się nie domyślamy, nie przypuszczamy lub też ewentualnie bierzemy coś pod uwagę. My wiemy.

Sięgnął do kieszeni po dyktafon. Położył go na okrągłym stoliku, gdzie stała filiżanka z kawą. Wcisnął klawisz odtwarzania. Rozległ się męski głos.

*Nazywam się Andrzej Leszczyński i od połowy maja 1978 roku do początku 1979 roku wraz z majorem Leonem Siejką, starszym archiwistą Działu Specjalnego Archiwum MSW, przygotowałem agentkę, która wykradła przerzucone na Zachód mikrofiszki z paryskiego oddziału Banku Koëniga.*

Tomasz włączył szybki przesuw kasety do przodu. Znowu wcisnął: „Play”

*General dobrał sobie do współpracy dwóch wysoko postawionych funkcjonariuszy państwowych, którzy z różnych stron zabezpieczali przeprowadzaną przez niego operację. Chodziło o zminimalizowanie ryzyka. Pierwszy miał na nazwisko Tabor i był zastępcą dyrektora Departamentu Drugiego Wojskowych Służb Informacyjnych. Do jego zadań należało sprawowanie pieczy nad ochroną kontrwywiadowczą kraju. Drugi, o nazwisku Jastrzębski, należał do kierownictwa Wydziału Czwartego Komitetu Centralnego PZPR, który nadzorował pracę Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.*

– Tylko oni? – padło pytanie z tła.

*– Tylko.... Kiedy dołączyłem do Siejki, połowa wytypowanych przez Sulimowicza teczek została już zmikrofilmowana i przerzucona do paryskiego Banku Koëniga. Kurierem była agentka o kryptonimie Josephine.*

Biskup słuchał nagrania z nieporuszoną twarzą, patrząc przez siebie w bezruchu. Wreszcie wcisnął przycisk: „Stop”.

– Myślę, że oszczędzimy sobie dalszego ciągu. Czy teraz ksiądz biskup wierzy w moje słowa?

– Że o wszystkim wiecie, niczego się nie domyślacie i tak dalej?...

– Właśnie – przytaknął Tomasz.

– Od początku byłem pewien, że nie przekroczył pan tego progu z błahą sprawą. Okazuje się, że słowo „błaha” nie oddaje jej wagi. Jest ona więcej niż istotna... – biskup wreszcie zdawał się uznać wysoką pozycję rozmówcy.

– Zwłaszcza dla bezpieczeństwa naszego kraju. – wpadł w słowo mówiącego. – Z pewnością ksiądz zdaje sobie sprawę, że wiemy o spotkaniach Jego Eminencji z generałem Sulimowiczem.

– Nic mi nie wiadomo, żeby była to osoba wyklęta i niegodna szacunku, a nasze rozmowy nosiły znamiona nielegalnego spiskowania.

Biskupa zaczynała denerwować pewność siebie gościa. Jak on właściwie ma na nazwisko? Ach tak, „Szczęgowski... Tomasz Szczęgowski”. Będzie musiał je zapamiętać.

– W świetle zeznania, którego fragmenty właśnie odsłuchaliśmy, może się wkrótce okazać, że generał Sulimowicz przestanie być osobą godną zaufania.

– W związku z tym, czego oczekuje pan ode mnie? – W głosie biskupa odezwała się jakby nuta zniecierpliwienia.

– Polski Kościół zawsze służył narodowi, jego poczuciu wolności i wspierał wszystkich ludzi Solidarności w dążeniu ku demokracji.

Biskup przytaknął głową, jednocześnie zastanawiając się, czy już może położyć krzyżyk na archiwum. Czuł narastającą irytację. Tak wiele osobistych planów wiązał z przejętymi w Dublinie mikrofiszami.

– Z pewnością Wasza Eminencja zdaje sobie sprawę, że na lotnisku możemy księdza prałata poprosić o pokazanie bagażu.

– Ale tego nie zrobicie, bo...?

– Cieszę się – udał zadowolonego – że wreszcie porozmawiamy ze sobą niczym dwaj fachowcy, którzy odkładają na bok nic nieznaczące ozdobniki, szanując wzajemnie swój czas.

– Zatem ad rem – stwierdził biskup.

– Z pewnością Wasza Przewielebność pomyślał o tym, czy nie znajdzie się dogodna pora, która pozwoliłaby zajrzeć do neseseru księdza prałata. Od razu powiem, że nie warto szukać takiej okazji, gdyż przewożone dokumenty zostały podrobione.

– Wszystkie są fałszywkami? – Duchowny nie zdołał ukryć w głosie zawodu.

– Jeśli ktoś o tym nie wie, z pewnością uzna je za prawdziwe. Jak Wasza Eminencja widzi, nie mam przed nim żadnych tajemnic.

– I pan chce, żeby Kościół, który będzie pośrednikiem w ich przekazaniu, stał się gwarantem ich autentyczności.

– Czy moja prośba zawiera w sobie coś grzesznego?

– Chce pan, żebyśmy poświadczyli nieprawdę, a to grzech.

– Mieliliśmy rozmawiać ze sobą jak fachowcy – twardy głos Tomasza sprowadził biskupa z nieba na ziemię.

– Co dostaniemy w zamian?

– Jestem upoważniony do zaproponowania episkopatowi finansowe wsparcie przy budowie Świątyni Opatrzności Bożej. Co prawda ksiądz metropolita mówi o konieczności wzniesienia jej ze składek wiernych, ale... bądźmy realistami, bez pomocy państwa ta budowla nigdy nie zostanie wzniesiona w takim kształcie, w jakim widzi ją ksiądz kardynał Józef Glemp.

Biskupowi przemknęło przez głowę, że mężczyzna go sonduje. W końcu próbował ofiarować coś, co Kościół i tak kiedyś dostanie.

W bibliotece zapadła cisza.

– Rzeczywiście – biskup przytaknął – pańska oferta jest bardzo hojna. Muszę jednak stwierdzić, że w świetle ostatnich ustaleń Konferencji Episkopatu Polski, Kościół zamierza polegać jedynie na szczodrobliwości wiernych, którą pan uznał za niewartą uwagi. Zapewniam, że się pan myli, a świątynia zostanie wzniesiona bez potrzeby angażowania w jej budowę tak potrzebne obywatelom w obecnym kryzysie środki publiczne.

Wydawał się przygotowany na takie odbicie piłeczki.

– To jeszcze nie wszystko. Wiem, że Jego Eminencja zajmuje się sprawami bezpieczeństwa wewnętrznego polskiego Kościoła.

– Zbyt przecenia pan moją osobę – duchowny uśmiechnął się z udawaną skromnością.

Tomasz odwzajemnił uśmiech.

– Co by ksiądz biskup powiedział na to, gdybyśmy pomogli mu zidentyfikować rosyjskiego agenta, który pracuje w bezpośredniej bliskości naszego papieża, Jana Pawła II?

Biskup był tak zaskoczony, że nie udało mu się ukryć tej emocji.

– Mielśmy tę informację przekazać papieżowi za pośrednictwem prezydenta Wałęsy, który wkrótce jedzie z wizytą do Watykanu – kontynuował Tomasz – ale pomyśleliśmy, że Jego Eminencja byłby najodpowiedniejszą osobą do poinformowania o tym Jego Świątobliwości. Ojciec Święty wysoko ceni ludzi skromnych i oddanych

sprawie Kościoła. Jeśli dobrze pamiętam, właśnie za podobne działania na początku lat osiemdziesiątych Jego Eminencja otrzymał kapelusz biskupi. Dlatego też upoważniono mnie do złożenia jeszcze dalej idącej propozycji. Moglibyśmy tak sprawić, że Jan Paweł II zyska pewność, że tylko oddana i uważna służba Waszej Eminencji doprowadziła do zdemaskowania kreta w Watykanie.

– W jaki sposób? – W głosie biskupa słychać było ostrożne zaciekawienie.

– Watykański agent KGB odbywa swoje spotkania z przełożonymi w Polsce i wiele z nich zostało przez nas zarejestrowanych na różnych nośnikach elektronicznych.

W ofercie krył się haczyk i obaj doskonale zdawali sobie tego sprawę. Jeśli biskup przyjmie propozycję Tomasza, wówczas założy sobie na szyję smycz, którą ktoś kiedyś być może będzie chciał użyć, by go zmusić do wyświadczenia niechcianej przysługi.

Z drugiej jednak strony, biskup zaczął sobie szybko kalkulować, oferty nie składali komuniści, ale przedstawiciel demokratycznie wybranego państwa, o które Kościół walczył od czasu wkroczenia do Polski wojsk sowieckich.

Jego Eminencja wstał ze swojego miejsca i zaczął spacerować po bibliotece.

– Proszę wybaczyć – zorientował się, że popełnił faux pas – ale kiedy coś bardzo zaprzęta moją uwagę, wtedy mam zwyczaj...

– Ależ proszę bardzo. – Odwrócił się twarzą do spacerującego.

– I sugeruje pan, że...

– Oczywiście, sprawa nominacji kardynalskich jest niepodważalną domeną Watykanu i urzędującego w nim Ojca Świętego. Jednak państwo, rozumiane jako twór polityczny, ma różne możliwości podpowiedzenia naszemu papieżowi nazwisk wiernych synów Kościoła oddanych również tak bliskiej jego sercu ojczyźnie.

– Próbuje mnie pan przekupić?



– Ależ skąd. Za komuny miałem zakaz pracy naukowej i przez dłuższy czas byłem wartownikiem, który otwierał szlaban na bramie Uniwersytetu Warszawskiego. Moje zasługi dla kraju nie zostały jednak zapomniane i dziś mam zaszczyt rozmawiać z Jego Eminencją dzięki odręcznemu listowi polecającemu od premiera Rzeczypospolitej Polskiej.

– Czego zatem oczekuje pan po mojej skromnej osobie? – Biskup podjął decyzję.

– Żeby w czasie przekazania dokumentów generałowi Sulimowiczowi potwierdził ksiądz, powagą instytucji, którą reprezentuje, że przywiezione z Dublina archiwum jest autentyczne.

– Zgoda.

Tomasz sięgnął po stojący obok krzesła na podłodze neseser. Otworzył go i wyjął dosyć grube akta sprawy.

– To jest kopia teczki operacyjnej o kryptonimie „Illuminatio”. Dotyczy rosyjskiego agenta wpływu, który znalazł się w bezpośrednim otoczeniu naszego papieża

– Illuminatio, to... objawienie? – stwierdził duchowny.

– Czyż po wyjaśnieniach Waszej Eminencji nie stanie się ono takim dla papieża?

DOCHODZIŁA GODZINA szósta rano. Sunny wstała z łóżka. Zagotowała w czajniku wodę. Zrobiła kawę i wyszła z filiżanką na taras. Za dwie godziny na wieży autokefalicznego kościółka w Kolchiko rozkołysze się stary dzwon. Zwoła wiernych na mszę żałobną, która zostanie odprawiona w intencji spokoju duszy jednego ze swoich synów, który w południe zostanie pochowany na miejscowym cmentarzu.

Spojrzała w niebo. Nie było na nim ani jednej chmurki. Dzień zapowiadał się gorący.

Do Kolchiko przyjechała poprzedniego dnia. Przed zachodem słońca był jeszcze czas, żeby Arsen zawiózł ją na okoliczne wzgórza, gdzie mogła rozkoszować się pięknem krajobrazu. Sunny nie była jedyną osobą zauroczoną wapiennymi rzeźbami skał, zdobiących setki okolicznych wzniesień. Słońce i deszcz kształtowały je przez tysiące lat.

Kilka kilometrów dalej znajdował się zespół hotelowo–wypoczynkowy, skąd turyści ruszali na spacer po okolicy. Wszystkie zaś z owych tras kończyły się w Kolchiko. Turystów pełno było w niewielkich tawernach. Ludzie spacerowali wąskimi uliczkami, zaglądali do sklepików z pamiątkami lub siedzieli na murkach i popijali wodę, piwo lub miejscowe schłodzone wino.

Z ogłoszenia wywieszonego przed wejściem do kościoła Sunny dowiedziała się, że nabożeństwo żałobne odbędzie się dzisiejszego przedpołudnia. Początek mszy wyznaczono na dziesiątą. Pod koniec nabożeństwa rodzina ma pożegnać zmarłego na niewielkim placu przed świątynią. Następnie ciało zostanie przewiezione konnym karawanem na miejscowy cmentarz i złożone do ziemi.

Sunny ubrana w przewiewna czarna sukienkę przeszła przez niewielki rynek wypalony słońcem. O tej porze dnia okiennice były już zamknięte. Ulice wydawały się puste, a miasteczko wymarłe. Chyba że weszłoby się do którejs z tawern, które skryły się w chłodnych wnętrzach budynków. Dopiero gdy nadchodziło późne popołudnie wystawiano krzesła i stoliki na zewnątrz.

Szła wolnym krokiem i wkrótce znalazła się przy murze, który okalał świątynię. Wykuta w brązie brama otwarta była na oścież. Weszła do środka. Najwidoczniej niektórzy turyści uznali, że pogrzeb może być jedną z atrakcji, stąd kilka młodych osób zajęło miejsca w tylnych ławkach. Otwarta trumna stała już przed miejscem do modlitwy. Ostatni żałobnicy siadali w ławkach.

Sunny siedziała w ostatnim rzędzie najbliżej wyjścia. Turyści byli jej obojętni, podobnie jak wszyscy, którzy zgromadzili się wokół trumny.

Na kościelnej wieży uderzył dzwon, który obwieścił rozpoczęcie mszy żałobnej. Wkrótce turyści, znudzeni monotonią obrządku, po cichu wycofali się z kościoła. Została tylko Sunny. Ukryta w głębokim cieniu, wsłuchiwała się w niezrozumiałe słowa modlitw i psalmów. Przez cały czas miała wrażenie, że w ławce obok siedzi Hawele. Kiedyś oboje planowali wyrwać się na kilka dni do Grecji. „Piękne okolice, przyjaźni ludzie i cudowne morze”, mówił slogan w jednym z przewodników turystycznych.

Sunny wyrwał ze wspomnień podniesiony gwar rozmów i szuranie odstawianych na boki ławek.

MŁODZI MĘŻCZYŹNI wzięli otwartą trumnę na ramiona i ruszyli do wyjścia. Reszta żałobników poszła ich śladem. Na zewnątrz trumna stanęła na niskim katafalku. Wokół rozstawiono krzesła, na których usiadła rodzina. Konstantis zajął miejsce obok ojca.

Niemal całe miasteczko ustawiło się w czarnym korowodzie do trumny. Każdy podchodził i skłaniał głowę przed nieżyjącym. Całowali leżącą na jego piersiach ikonę i odchodzili z twarzami równie nieruchomymi, co oblicze nieboszczyka. Stary Grek spoglądał na twarze ludzi, którzy podchodzili do trumny, żeby oddać hołd jego synowi. Nieruchomy, sztywny, być może zapatrzony w przeszłość, gdy jeszcze obaj synowie byli przy nim.

Na koniec Konstantis podprowadził do trumny ojca. Czuł jak stary drży, jakby za sekundę miał wybuchnąć głośnym i niepohamowanym szlochem. Jednak z jego ust nie padła ani jedna skarga. Potem przyszła kolej na niego. Kiedy pochylał się nad ciałem brata, przypomniał sobie, gdzie widział kobietę, która siedziała samotnie w ostatnim rzędzie kościoła. To ona wtedy tak głośno krzyczała na dworcu Gare de Lyon, gdy zastrzelił tamtego Żyda.

## Rozdział 13

Sunny dostrzegła utkwione w sobie oczy greckiego zabójcy. Wyłapała moment, w którym zastanowienie zmieniło się w zrozumienie.

Poznał ją.

Wiedział, kim jest.

Domyślił się, dlaczego się spotkali.

Usta Sunny wygięły się w wyraźnym uśmiechu. Było lepiej, niż to sobie wymyśliła. Nawet nie marzyła o tym, że będzie umierał, wiedząc, z czyjej ręki ginie i z jakiego powodu.

Zacisnęła mocno powieki, wypowiadając cicho: *Requiem aeternam dona eis Domine*. Tym razem jej modlitwa zabrzmiała szczerze i była pełna bólu. Uniosła dłoń z detonatorem. Widziała, jak zabójca odwraca się w stronę siedzącego sztywno starca.

Za późno.

Nacisnęła guzik.

Kilogram semtexu, który Pan Śmierć zaszył w ciele nieboszczyka zamiast jego wnętrza eksplodował. Fala uderzeniowa wyrwała drzwi kościoła z zawiasów i cisnęła nimi nad dachem najbliższego domu. Coś mokrego pacnęło Sunny w policzek. Dotknęła twarzy palcami. To było kilka kropel krwi, która z dziesiątków rozerwanych ciał żałobników rozbryznięta się kropidłem na wszystkie strony.

Widziała plac przed cerkwią i jej walący się fronton. Wszystko rozgrywało się przed jej oczyma niczym na zwolnionym filmie, którego bieg ktoś dodatkowo podzielił kilkusekundowymi stopklatkami.

Sunny zobaczyła, jak eksplozja rozrywa ciało leżące w trumnie, odrzuca do tyłu pochylonego nad bratem zabójcę Hawele. W zaledwie jednej dziesięciotysięcznej części sekundy podmuch skrzył mu kark. Rozprężające się gazy w jednej dwutysięcznej części sekundy uniosły go metr w górę. Tu sięgnął go jęzor płomienia, który rozplątał mu pierś ognistym skalpelem i odrzucił kilkadziesiąt metrów dalej.

Długa szczapa z rozrywanej trumny przebiła krtań siedzącego nieopodal starca. Wraz z nim przeleciała dziesięć metrów i przyszpiliła go do okiennicy kościoła na wysokości kilku metrów nad ziemią. Przybity starzec patrzył przed siebie wybałuszonymi oczyma. Dyndał przy tym śmiesznie niczym pajac z podrywającymi się do góry stopami w czarnych trzewikach.

Ci, którzy siedzieli wokół trumny zostali zmiażdżeni kafarem podmuchu, jakby w każdego, w tym samym ułamku sekundy, uderzył stutonowy młot.

Kiedy Sunny wychodziła z kościoła na ulicę, doleciał do niej histeryczny krzyk jakiejś kobiety. Na zewnątrz świat był zbryzgany czerwonymi plamami, lecz nie czuła ulgi, że pomściła ukochanego.

Miała nadzieję, że przyśni się jej tej nocy.

Niestety, nadzieja się nie spełniła. Dopiero nad ranem miała wrażenie, że coś ją obudziło. Nadal śniąc, dostrzegła, jak Hawele wyszedł z mroku otwartych drzwi do sypialni.

- Nie mogę jeszcze odejść. – z ust Sunny padło ciche stwierdzenie.
- Chciałbym tylko, żebyś była pewna, że na ciebie czekam.
- Spróbowałbyś znaleźć sobie inną – zagroziła.
- Zawsze byłaś dla mnie najważniejsza – odparła Hawele.
- Dlaczego to nas spotkało?

NASTĘPNEGO DNIA Sunny wyjechała z Kolchiko. Arsen wcześniej spakował wszystkie rzeczy i schował walizki do bagażnika samochodu. Policjanci, którzy zatrzymali ich na rogatkach, ze zrozumieniem kiwnęli głowami nad tym, że kolejny turysta opuszcza w popłochu miasteczko.

Wkrótce samochód dojechał do trasy szybkiego ruchu. Sunny wyglądała przez okno, obojętna na przesuwający się za szybą krajobraz. Na trzydziestym kilometrze przed Salonikami zjechali w boczną drogę i po kilku minutach zatrzymali się przed bramą podmiejskiej posiadłości. Arsen wysiadł z auta i otworzył wjazd. Samochód zaparkował nieopodal ganku parterowej willi. Sunny weszła do środka. W salonie podeszła do

okna i zapatrzyła się na widniejące w oddali góry. Zamyślona, nie usłyszała, jak Arsen do niej podszedł. Nim odwróciła się w jego stronę, przyłożył jej do skroni pistolet i pociągnął za spust.

Ciało Sunny wstrząsnął elektryczny dreszcz. Krwawa miazga wystrzeliła z boku głowy i obryzgała pobliską szafę z książkami. Ciało zważyło się bezwładne na podłogę, a spod sukienki wyciekła struga rzadkiego kału.

Arsen wyszedł, by chwilę potem wrócić z siekierą w rękę.

**POLICJANT WYCIĄGNAŁ** z dłoni recepcjonisty portret pamięciowy poszukiwanego.

– Widział pan kiedyś tego mężczyznę?

– Kto to?

– Widział pan? – Gliniarz powtórzył sucho pytanie.

Właściciel pensjonatu jeszcze parę sekund przyglądał się kopii listu gończego.

– Gość z drugiego piętra.

Policjant zaczął zadawać kolejne pytania. Czy ktoś do tego gościa przychodził, co robił. Właściciel pensjonatu upierał się, że nie może powiedzieć, bo zmarnuje dobrą opinie hotelu.

– A to, że wynajmuje pan pokój płatnemu zabójcy nie zniszczy dobrej opinii? – W końcu zniecierpliwił się policjant.

Właściciel parsknął.

– Płatny zabójca u mnie? Niemożliwe, tacy ludzie wolą drogie hotele.

– Skąd pewność? – Policjant był rozbawiony.

– Czytałem w kilku książkach, oglądałem w paru filmach...

– Literacka fikcja to nie jest realne życie. No, co pan wie?

Mężczyzna nagle zrozumiał, że policjant nie żartuje. Zbladł. I poszedł na pełną współpracę. Przyznał roztrzęsiony, że przypadkiem podsłuchał połączenie telefoniczne, które wykonano z pokoju monsieur

Leszczyńskiego. Oto kobieta, która odwiedziła go trzy dni temu połączyła się z bankiem. Okazało się, że na koncie ma prawie dwa miliony dolarów.

– No i jeden z gości z piętra zadzwonił do mnie – recepcjonista nadawał z przejęciem – że w pokoju obok ktoś strzelał. Poszedłem sprawdzić... Matko Święta – przestraszył się nie na żarty. – Przecież on mógł mnie wtedy kropnąć. I pies z kulawą nogą nie przyszedłby mi z pomocą.

Otarł rękawem marynarki pot, który pojawił się na czole.

– Ano mógł – przytaknął policjant.

MARC I JEAN dotarli do Marsylii o pierwszej w nocy. W komendzie czekał już na nich szef wydziału i trzech facetów w ciemnych garniturach. Jeden był z Centralnej Dyrekcji Policji Sądowej, drugi z Grupy Interwencyjnej Policji Narodowej, a trzeci z Centralnej Dyrekcji Bezpieczeństwa Publicznego.

– Same figury z Paryża – Marc szepnął do siadającego obok Jeana.

– Mówiłeś coś? – Szef skrzywił się kwaśno.

– Że chyba coś ważnego musiało ściągnąć tutaj takich gości.

Najstarszy, o siwej czuprynie, odpowiedział swobodnie z lekką ironią:

– Cóż, zabójstwa wszystkich bossów, którzy w tej części Europy mieli coś do powiedzenia w sprawie narkotyków, są dość ważne. Wy badaliście trzy zabójstwa. Chcemy znać wasze opinie i wnioski. Może macie też jakieś spostrzeżenia.

Jean sięgnął do torby z notatkami. Marc powoli skinął głową.

– Owszem – powiedział. – Mamy nawet podejrzanego. W czasie przesłuchań świadków za każdym razem przewijała się postać, którą ochrzciliśmy mianem Dalmatyńczyka, bo facet miał na twarzy charakterystyczne plamy, które występują u osób cierpiących na bielactwo. Podobne do plam na futrze Dalmatyńczyków. Stąd ksywa.

– Skąd przypuszczenie, że jest zabójcą? – Białowłosy przysunął się bliżej z krzesłem do stołu.

– Dzięki pomocy pewnego spostrzegawczego policjanta z komendy z Cabriès mamy portret pamięciowy zabójcy Philipa Arnaulda, Kardynała i Carduse’a. Rozesłaliśmy już za nim po kraju list gończy z prośbą, żeby zainteresowano nim między innymi hotelarzy.

– Trafiliście?

Obaj przytaknęli głowami.

– Dziś rano, z jednego z pensjonatów w Paryżu, nadeszła informacja, że mężczyzna podobny do tego z portretu pamięciowego mieszka w nim od tygodnia i nazywa się... – Jean zmarszczył czoło, jakby próbował przypomnieć sobie nazwisko. – Andrzej Lescen... Lescyn... No. Wiadomo...

MINĘŁO POŁUDNIE, gdy Pietro Montelini wszedł do domku myśliwskiego. Zamierzał sprawdzić broń przed jutrzejszym polowaniem.

Przed wylotem na wieś dostał telefon z Hagi od Van der Welda, który namawiał go na pilne spotkanie z Grossem z Bawarii. Po ostatnich spektakularnych morderstwach we Francji biznes wymagał pilnego omówienia. Nie lubił Kardynała, ale jego śmierć nie sprawiła mu satysfakcji, którą sądził, że odczuje. No i te ceny narkotyków, które kompletnie zwariowały. Holender nalegał na dzisiejsze popołudnie, ale on miał już umówione polowanie. Nic się nie stanie, jak spotkają się dzień później.

Pchnął dłonią okiennicę. Salonik myśliwski zalało światło słoneczne. Jego promienie zaczęły mienić się różnokolorowymi refleksami w szybach ściennych szaf, za którymi stały poustawiane rzędami strzelby i sztucery. Prócz nich jedynymi meblami były tu wielki skórzany fotel i stojący przy nim prostokątny stół.

Montelini wciągnął w płuca świeże powietrze. O tej porze w Palermo zawiązywałyby pod szyją krawat, łykał proszek pobudzający i marzył, żeby nadszedł wreszcie wieczór. Teraz przez kilka dni może o wszystkim zapomnieć.



Usiadł w fotelu. Przymknął oczy, zasłuchany w szum wiatru chyboczących się za oknem cyprysów. Kochał Toskanię i nie wyobrażał sobie, że mogło być inne piękniejsze miejsce na świecie.

Niejednokrotnie podczas długich konferencji biznesowych starał się przenieść myślami na taras swojego domu z przepięknym widokiem na najwyższy szczyt w Alpach Apuańskich, Monte Pisanino.

Wcisnął przycisk telekomu.

– Angelo, przynieś kawę.

Wstał, podszedł do jednej z szaf. Otworzył drzwiczki. Przesunął palcami po kolbie sztucera. Nie miał ochoty na jutrzejszy dzień. W głębi duszy gardził polowaniami na dzikie kozice, których stada można było napotkać w okolicy. Wówczas czuł, że z myśliwego zmienia się w rzeźnika. Ale cóż robić, ostatnio zwierzęta dokonały dużych zniszczeń na polach.

Wszedł służący i postawił na stoliku tacę z termosem i filiżanką.

– Nie odchodź, pomożesz mi czyścić broń.

Neapolitańczyk schylił głowę w ukłonie i stanął za fotelem.

Wziął do ręki karabin. A jednak jutro pojedzie na polowanie. Nie mógł stracić szansy goszczenia najbogatszych. W dużej mierze to oni byli jego kapitałem. To ich przyjaźń oferował politykom, którzy potem służyli jego interesom.

Kiedy jutro wystrzelają wszystkie pociski, odjadą samochodami, pozostawiając w pyle konające zwierzęta. W parę godzin później przy drinkach będzie musiał słuchać, jak mężczyźni, jeden przez drugiego, będą się przechwalać celnymi strzałami do zwierząt, które nie miały żadnych szans ucieczki. W tym czasie ranne kozice zostaną dobite, potem ciężarówkami przewiezione do fabryki, gdzie zrobią z nich konserwy dla psów.

– Podaj mi sztucer. Ten ze srebrnymi okuciami.

Rok temu w Nigerii ustrzelił z niego nosorożca, który prawie go stratował. To była ucziwa walka.

Służący podszedł do szafy. Sięgnął po broń i podał szefowi. Montelini zaczął ją rozbierać. Nie musiał tego robić. Wszystko było w najlepszym porządku. Mimo to, stojąc przy stoliku, rozłożył sztucer i naoliwił starannie jego części. Złożył zamek. Przyłożył broń do ramienia, celując w niewidzialny punkt. Palec zgniół język spustowy. W ciszy rozległ się suchy trzask iglicy.

Montelini sięgnął po wycior i zaczął starannie czyścić lufę. Zajęty pracą nie zauważył, kiedy stanął przed nim służący. Kiedy podniósł wzrok, zobaczył wycelowany w siebie sztucer. Poderwał się na nogi, widząc rozbłyskujący wylot lufy.

Pocisk przeleciał dwa metry w ciągu 0.022 sekundy. Montelini mógł jedynie dostrzec rozbłysk, na inną reakcję nie miał szans. W następnej dziesięciotysięcznej części sekundy pocisk znalazł się o milimetr od czoła gangstera, który nawet nie poczuł jak pęka mu skóra. Po upływie 0.028 części sekundy rozleciał się na kawałki przedni płat puszeki mózgowej. Pocisk o wadze trzech i jednej dwudziestej grama oraz temperaturze osiemdziesięciu dwóch stopni Celsjusza przebił się przez galaretowatą masę i rozwalil dziurę wielkości pięści w tyle głowy. Po upływie 0.035 części sekundy brunatna mielonka, porwana siłą przelatującego ołowiu rzygnęła na dywan.

Montelini chciał zmrużyć oczy. Wydawało się, że paląca się na biurku lampka eksplodowała z siłą tysiąca słońc. Rozbłysk wypalił mu źrenice.

Po dwóch sekundach od wystrzału załamały się pod nim kolana. Po dwóch następnych stawy biodrowe rozjechały się na boki. Uderzona kulą głowa została odrzucona do tyłu. W piątej sekundzie ciało runęło na plecy. Po upływie szóstej i pół sekundy rozległo się ostatnie westchnienie z ust konającego.

Angelo wziął sztucer ze stolika. Schował go do ściennej szafy. Potem ukląkł nad trupem i położył obok na podłodze sztucer, z którego wcześniej sam wypalił.

Sięgnął po tacę. Wychodząc z domku myśliwskiego, zamknął za sobą cicho drzwi i ruszył w kierunku domu.

Śledztwo, które prowadzono przez następne trzy tygodnie, wykazało ponad wszelką wątpliwość, że Pietro Montelini na skutek zbiegu

nieszczęśliwych okoliczności postrzelił się, gdy czyścił broń myśliwską.

ANDRZEJ PRZYWOŁAŁ gestem kelnera do stolika.

– Jeszcze raz to samo – wskazał na nalepkę czerwonego wina Prince Noir du Château de Camarsac.

– Ten sam 2006 rok?

– Tak, poproszę.

Kiedy kelner odszedł, położył serwetę na blacie stołu i odsunął krzesło.

– Wybacz – spojrzał na Secundusa i wstał z miejsca. – Zaraz wracam.

Ruszył w stronę toalety.

Amerikanin patrzył za odchodzącym, potem zaczął bawić się resztką wina na dnie kieliszka. Zerknął na zegarek. Za dziesięć minut ktoś z personelu restauracji powinien poprosić go do telefonu. Schneider miał rację – jednym z najistotniejszych elementów, które zmuszają przeciwnika do robienia tego, co chcemy, jest pozbawienie go czasu.

Taką radę Schneider podsunął Andrzejowi co do Sulimowicza. Polak pojął w lot, w czym rzecz. W efekcie od kilkunastu dni generał był już tylko biernym obserwatorem wydarzeń, które toczyły się wokół niego pod dyktando zupełnie kogoś innego.

Secundus uśmiechnął się do siebie.

To posunięcie, którego istotnym elementem była dzisiejsza kolacja, wymyślił sam, nazywając je podwójnym Nelsonem. Jak szybko Andrzej odkryje, że wydarzenia, co do których przypuszczał, że podlegają jego woli, toczą się wbrew jego oczekiwaniom? Jak szybko się zorientuje, że nieświadomie zaczął szturczy bieg w poszukiwaniu wyjścia z labiryntu, do którego został zagoniony? Jeśli nie odnajdzie w nim prawidłowej drogi, zginie.

Schneider wpadł na genialny pomysł. Secundus miał zagrać rolę renegata, który chce uwolnić się od drańskiego szefa. Andrzej z pewnością domyśliłby się, że obstawiono go agentami. Należało zatem

mu o tym powiedzieć w ramach uprawdopodobnienia przedstawianej przez Secundusa legendy.

Uśmiechnął się na wspomnienie ostatniej wideokonferencji. Przekazał Schneiderowi raport swoich agentów o spotkaniu Leszczyńskiego z warszawskim wysłannikiem, Tomaszem Szczęgowskim.

Co dalej z Leszczyńskim, zadał sobie w duchu pytanie. Polak z pewnością był przekonany, że jego „przygoda” dobiega końca i wreszcie będzie mógł cieszyć się pieniędzmi Amerykanów. Miał pecha. Do pokerowego stolika dosiadła się francuska policja. Ten zbieg okoliczności działał na korzyść Amerykanów. Zagoniony przez żabojadów do narożnika, Leszczyński będzie potrzebował pomocy. Było więcej niż pewne, że zginie, jeśli Amerykanie mu nie pomogą. Oczywiście Secundus wyciągnie do niego pomocną dłoń, ale tylko wtedy, gdy Polak odda im oryginalne mikrofiszki i... wszystkie pieniądze.

SEKUNDUS NIE spodziewał się, że jego człowiek z prefektury tak szybko zadzwoni. Pensjonat, w którym mieszkał Leszczyński miał być obstawiony już za godzinę. I tak oto niedługo Polak będzie mógł liczyć już tylko na prawdziwego amerykańskiego przyjaciela. Kiedy wznosił niemy toast za własne zdrowie, z toalety wrócił Andrzej.

– Mówiłeś, że wiesz coś o Sunny – powiedział i usiadł przy stoliku.

– Jej ciało zostało znalezione w jednej z willi pod Salonikami. Morderca okaleczył je, odrąbując prawą dłoń.

Wiadomość ta zaskoczyła Andrzeja.

– Myślisz, że to może być powiązane z tym, co teraz dzieje się w Związku Sowieckim?

– W tej chwili to mało istotna sprawa.

– Dlaczego? – Andrzej uniósł brwi pytająco.

– W twoim pensjonacie jest policja.

– Co to ma wspólnego ze mną?

– W prefekturze podejrzewają, że możesz być zawodowym mordercą, który od pewnego czasu wykańcza narkotykowych bossów Europy.

– To idiotyczne. – Andrzej próbował się uśmiechnąć, ale, zaskoczony wiadomością, niemal zeszywniał. – To cholernie idiotyczne.

– Zawsze możesz zgłosić się na pierwszy lepszy posterunek policji i powiedzieć: „To cholernie idiotyczne”. – Secundus dostrzegł drzenie dłoni Polaka, które ten bezskutecznie próbował opanować.

ANDRZEJOWI ZACZĘŁY przebiegać przez głowę dziesiątki myśli: A jeśli Amerykanie próbują mieszać w kotle?

Może to sprawka Szczęgowskiego?

Czyżby ktoś w Irlandii przycisnął Grega?

Popełnił nieostrożny ruch?

Tylko jaki?

Misternie ułożony plan zachwiał się w posadach. Jeszcze tylko kilka dni, krzyknął w myślach. Cholera, jeszcze tylko kilkadziesiąt godzin...

Napinając mięśnie, opanował drzenie dłoni. Musiał spokojnie nad wszystkim się zastanowić. Jeszcze go nie aresztowano.

Najpierw trzeba wybać Secundusa. Może to sprawka Schneidera? A jeśli on, Andrzej, coś przeoczył? Tylko co? Pół godziny później, bez zbędnego pośpiechu, wyliczył kelnerowi osiemset franków i dodał stosowny napiwek.

Wyszedł z Secundusem na ulicę. Ruszyli w stronę samochodu, Secundus sięgnął do kieszeni i wyjął jakieś klucze.

– Otwierają drzwi do mojego mieszkania w Noisy le Sec. – Położył je Andrzejowi na dłoni. – To gmina na granicy wielkiego Paryża. Zapamiętasz adres? Ulica Victora Hugo. Numer szesnaście. Łatwo poznasz, elewacja jest z nieotynkowanej cegły. Pierwsze piętro. Dwa pokoje z kuchnią i łazienką. Wszystko w nim jest gotowe do zamieszkania, poczynając od sztukców, a na pościeli kończąc. Nawet w lodówce znajdziesz jakieś puszki i suchary.

– Co to za lokal?

– Awaryjny. Chyba nie sądzisz, że w tym mieście mam tylko jedno mieszkanie?

– Jeszcze coś – rzucił Andrzej.

– Tak?

– Zostawisz mi samochód?

Secundus wręczył mu kluczyki: – Zadzwoń, jak już ochłoniesz.

Pożegnali się. Secundus wyszedł na brzeg chodnika i machnął ręką w stronę nadjeżdżającej taksówki.

ADWOKAT VAN der Welde położył na biurku aluminiowy neseser. Otworzył go. Rozpiął koszulę i plastrami przymocował elektrody w okolicy serca. Następnie elastycz-nymi paskami opasał przeguby rąk i wsunął pod nie elektrody. Ich końcówki włożył do gniazdek analizatora w neseserze.

Wykręcił numer elektronicznego centrum medycznego w Amsterdamie. W słuchawce odezwał się głos dyżurnego lekarza. Adwokat podał numer identyfikacyjny i położył słuchawkę we wgłębieniu analizatora. Podniósł ją po trzydziestu sekundach.

– Pana serce, mecenasie, funkcjonuje doskonale – usłyszał. – Tętno jak u trzydziestolatka.

– Dziękuję, doktorze.

Van der Welde złożył neseser i sięgnął po kieliszek koniaku.

– Twoje zdrowie. – Zerknął na wiszące z boku na ścianie lustro. Wypił koniak.

Tętno jak u trzydziestolatka – uśmiechnął się do swoich myśli. Niestety, stuknęła mu już siedemdziesiątka. Mimo to jego trzydziestoletnia żona nie miała powodów do narzekań. Van der Welde był pewien, że nikt nigdy jej tak nie kochał jak on i z pewnością nigdy nie pokocha. Ta kobieta odebrała mu duszę i gdyby odeszła, straciłby również rozum. Na to jednak nigdy by jej nie pozwolił.

Po pierwszych dwóch latach małżeństwa Gina zaczęła nieco kaprysić. Pewnego dnia doniesiono mu, że nie tylko spędziła wieczór w towarzystwie znanego w dyskotekach stolicy playboya, ale się z nim całowała. Nie zareagował na ten wybryk ani jednym słowem, choć zabolalo go serce. Następnego tygodnia Gina miała urodziny. Van der Welde zamówił organizację wieczoru w najlepszym hotelu Hagi, swojego rodzinnego miasta. Zebrała się ponad setka gości. W połowie zabawy wniesiono prezenty, które chciał wręczyć żonie.

Dostała piękną kolbę z pereł. Kluczyki do najnowszego Lamborghini Diabło, cudownego psa yorka z dwudziestokaratowym brylantem wpiętym w ufryzowany czubek głowy, i setki czerwonych róż, którymi kazał wysypać drogę do ich sypialni.

– Musisz jeszcze iść na górę – szepnął jej do ucha. – Znajdziesz tam jeszcze jeden prezent.

– Cóż takiego?

– Niespodzianka. Ale zdradzę ci, że to mój najważniejszy podarunek. Wiesz przecież, jak mocno cię kocham.

– Wiem, kogutku. Twoja kurka też ciebie bardzo, bardzo... – Cmoknęła go w czubek łysej czaszki i pobiegła na górę.

Kilka minut później doleciał stamtąd jej rozdzierający krzyk. Goście, którzy ruszyli na piętro, znaleźli zemdloną Ginę i rozbity na środku sypialni słoik. Na podłodze, wśród szklanych ułamków, leżały zbielałe już od formaliny odcięte męskie jądra wraz z penisem. Od tego czasu ich małżeństwo nabrało bardziej intensywnego smaku. Gina stała się znowu kochającą żoną, a on wciąż miał ochotę uchylić jej rąbek nieba.

Tak więc zdrowie mu dopisywało, kochał i był kochany. Można byłoby powiedzieć, że niczego już nie może mu brakować. A jednak...

Pół roku temu w biurze odwiedził go nieznany mu mężczyzna. Rekomendowali go Urugwajczycy, więc zgodził się na spotkanie. Przedstawił się jako Jensen–Drzycki. Według jego słów dotychczasowe ustalenia biznesowe na dostawy i zapłatę za narkotyki miały ulec zmianie. Za reprezentowanie interesów don Ramira na terenie krajów Beneluksu, Van der Velde miał zadowolić się dziesięcioprocentowym zyskiem, czyli dobrowolnie zrezygnować z sześćdziesięcioprocentowych

udziałów. Oferta była równie nieprawdopodobna, co bezczelna. Podziękował grzecznie i poprosił o czas na zastanowienie. Miał na tyle rozsądku, że nie uniósł się gniewem, choć powinien kazać złapać kitajca i wyrwać mu język, którym ośmielił się złożyć taką propozycję.

Kiedy facet odjechał kazał swoim ludziom sprawdzić kim był jego gość. Dopiero po miesiącu zdołano ustalić, że jest narodowości Polskiej.

Tak, to było bardzo rozsądne posunięcie z jego strony, zważywszy na ostatnie doniesienia prasowe o śmierci Kardynała i monsieur Arnaulda. Ci dwaj, plus Van der Welde, Montelini i Franz Gross z Bawarii dotąd niepodzielnie rządzili Europą. Miał nadzieję, że jego Włoch, jak i Niemiec wzięli sobie do serca jego niedawne ostrzeżenie. Lepiej dmuchać na zimne dwa razy. O siebie również dobrze zadbał.

Dni i tygodnie mijały, ale od wizyty Japończyka nic się nie wydarzyło. Szef jego osobistej ochrony zapewnił go, że tak wyszkolonych agentów jak on nie ma nawet prezydent Stanów Zjednoczonych.

Nie powinien się martwić na zapas. Już nie raz udawało mu się przeczekać złe czasy. Kardynał i Arnauld zlekceważyli niebezpieczeństwo. Świeć Panie nad ich duszami.

Pół godziny później sekretarka van der Welda wcisnęła przycisk interkomu.

– Mecenasiu, przypominam, że za trzy kwadransy ma pan spotkanie z panem Stenwardem, deputowanym do parlamentu.

Czekała, lecz odpowiedzi nie było.

Wstała zza biurka i podeszła do drzwi gabinetu. Zapukała. Kiedy za trzecim razem nie usłyszała odpowiedzi, nacisnęła kłamekę.

Van der Welde siedział nieruchomo w fotelu z twarzą obróconą w bok, jakby spoglądał na swoje lustrzane odbicie. Można było odnieść wrażenie, że przegląda się, sprawdzając, czy ze śmiercią mu do twarzy. Jego prawa ręka zwisała bezwładnie. Na dywanie leżał pusty kieliszek.

Lekarz, którego natychmiast wezwano, stwierdził zgon w następstwie zawału serca.



## Rozdział 14

Andrzej podniósł oczy na pierwsze piętro kamienicy. W oknach paliło się światło.

Czy zastanie Annę?

Pchnął drzwi wejściowe. W dużym oszklonym holu rezydował portier, ubrany w bordowy garnitur, ze złotymi lampasami na zewnętrznych szwach spodni. Szyk i elegancja. Starszy pan był w pewien sposób podobny do pana Tadeusza, który w warszawskim Hotelu Europejskim otwierał drzwi przed gośćmi.

– W czym mógłbym pomóc? – Mężczyzna wstał na widok gościa. Jego twarz wyrażała życzliwość i troskę.

– Chciałbym rozmawiać z madame Wermer.

– Jak godność?

– Leszczyński... Chociaż, proszę powiedzieć, że przyszedł esbek z Hotelu Grand.

– Rozumiem, esbek z Hotelu Grand.

Mimo pewności w głosie, widać było, że portier nic nie rozumie. Ale w końcu był Francuzem. Wykręcił dwucyfrowy numer telefonu i powtórzył słowa Andrzeja do słuchawki.

– Tak, esbek.

Helena, która odebrała interkom, na sekundę osłupiała.

– Proszę poprosić gościa do słuchawki.

Po drugiej stronie odezwał się głos Andrzeja.

– Pamiętasz mnie?

Oczywiście, że nigdy nie zapomniała jego głosu. Niski, trochę nosowy. Jego tembr powodował, że dziewczynom miękły kolana. Hm... Jej również.

– Jedna z nas na pewno nie może o tobie zapomnieć.

– Muszę się z nią zobaczyć jak najszybciej.

– Chcesz wejść na górę?

– Nie ma jej? – Spytał Andrzej.

– Powiedziała, że idzie się przejść, więc możesz ją szukać po ulicach do upojenia. Więc? Powiedzieć, żeby cię wpuszczono?

– Okej.

Portier otworzył drzwi wewnętrzne na klatkę schodową. Szerokimi marmurowymi schodami wbiegł na pierwsze piętro. W otwartych, pięknie rzeźbionych drzwiach stała Helena. Zlustrowała go szybkim wzrokiem.

– Nic się nie zmieniłeś. No, może nieco schudłeś.

– Ty też świetnie się trzymasz. – Nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć.

– Zapraszam – Helena otworzyła szerzej drzwi.

Wszedł do długiego przedpokoju urządzonego w stylu klasycystycznym. Helena poprowadziła go do niewielkiego saloniku. Być może niegdyś był tu kobiecy buduar. Wskazywały na to kwiatowe motywy, stanowiące elementy rokokowych zdobień.

– Ładnie mieszkanie – próbował powiedzieć coś z sensem.

– Nie narzekamy. Chcesz się czegoś napić?

Pokręcił przecząco głową. Usiadł na wskazanym miejscu.

– Co teraz? – spojrzał na Helenę. – Pogadamy o starych czasach?

Patrzyła na niego z zastanowieniem.

– Nowe są bardziej interesujące. Zwłaszcza pewne ich elementy. Na przykład Anna. Co o niej wiesz?

Zmarszczył brwi. Coś w tonie Heleny go zastanowiło.

– O co ci chodzi? To jakiś quiz?

– Coś w ten deseń – Helena usiadła na poręczy sofy i przechyliła głowę na bok, wpatrując się w niego przenikliwie.

Miał ochotę pokręcić się na siedzeniu jak niesforny uczeń pod strofującym wzrokiem nauczycielki. Poczł irytację.

– A jaka będzie nagroda?

Na ustach Heleny pojawił się cień smutnego uśmiechu.

– Dowiesz się. Więc, co wiesz o Annie?

Poczł ciekawość. Helena nigdy nic nie robiła bez powodu. Dobra, zagra. Zobacz, co z tego wyniknie.

– Wiem dużo – odparł i odchylił się na oparcie krzesła.

– Och, ten wszechwiedzący wyraz twarzy. Faceci są jednak – chciała powiedzieć „palantami”, ale w porę ugryzła się w język.

– Są...? – Andrzej chciał, żeby dokończyła.

– Niereformowalni.

– Jeszcze nie zaczęliśmy quizu, a już mnie oceniasz?

– Jakie lubi potrawy? Kwaśne, słone, a może ostatnio coś się zmieniło w tym względzie?

Zaskoczyła go. Trudno powiedzieć, ostatnio raczej nie myśleli o jedzeniu. Helena jednak nie czekała, aż się zastanowi. Zrzuciła go kolejnymi pytaniami.

– Kiedyś wołała nosić sukienki, spódnice, czy spodnie? A teraz, co najchętniej na siebie wkłada?

– Nie wiem. Co za kretyńskie pytania...

– Jaki ma numer stanika?

– Trójkę – uśmiechnął się triumfalnie, bo to wiedział na pewno, ale na twarzy Heleny zobaczył jedynie pogardliwy uśmiech. Czyżby i w tym wypadku się pomylił? A przecież dałby sobie uciąć głowę, że...

– Ma okres regularnie, a może zdarzały się jej wahania?

– Cholera, nie jestem jej lekarzem.

– Rzeczywiście – westchnęła ciężko – jesteś tylko typowym facetem.

Nie miał teraz głowy do jakichś babskich fanaberii. Co on wie o Annie? Wszystko, co wiedzieć powinien o kobiecie, bez której nie może żyć.

– Chyba lepiej będzie, jak poczekam na nią przed domem – wstał z krzesła.

– Coś jej powtórzyć, gdybyś jej nie spotkał?

– Dzięki, ale to nie będzie potrzebne.

Odprowadziła go do drzwi. Pożegnali się chłodno.

– Zastanów się nad moimi pytaniami – Helena na moment przytrzymała drzwi.

– Są takie ważne? – spytał machinalnie. Miał inne sprawy na głowie. Jak na przykład ułożenie planu na wydostanie się z niespodziewanej pułapki.

– Dla ciebie tak. Już czas, żebyś przestał być typowym facetem. Wtedy znajdziesz dobrą odpowiedź. Poza tym, ona nie lubi typowych facetów.

Babskie majaczenia. Ona nie ma pojęcia... I dobrze. Zszedł schodami. Na dole kiwnął portierowi na pożegnanie głową. Ale kiedy twarz owionął mu chłodny podmuch wieczornego wiatru, poczuł niepokój. O co Helenie chodziło?

Ulica już dawno opustoszała. Usiadł za kierownicą samochodu i włączył radio. Poznał głos Edith Piaff. Uśmiechnął się, wspominając wczorajszy wieczór.

Szedł niedaleko Opery. Siedzący na chodniku ślepiec grał na harmonii *L' Accordéoniste*. Przystanął. Muzyk był świetny. Potem wysłuchał *Tu es partout* i *Le Fanion de la Légion*. Nim ruszył w dalszą drogę, wrzucił grajkowi do kapelusza pięćdziesiąt franków. Ślepiec zdjął okulary i spojrzał na banknot. „Za taki koncert tylko pięćdziesiątaka?” Śmiejąc się, dorzucił jeszcze stówę.

Kilkanaście minut później przez szybę auta dostrzegł sylwetkę Anny. Podjechał w jej kierunku. Zatrzymał i otworzył drzwi. Zobaczyła jego ściągnięte napięciem brwi. Wsiadła bez słowa.

MARC I JEAN siedzieli w samochodzie i przeglądali zeznania właściciela pensjonatu.

– Nie sądzisz, że gość był przerażony? – Jean oderwał kawałek bagietki i wsunął ją do ust.

– Ty byś się nie bał, gdyby powiedziano ci, że mieszkał pod twoim dachem zawodowy morderca?

– Cholera wie, nigdy nie miałem pensjonatu.

Marc spojrział na przeżuwającego bułkę partnera z ironią, jakby oczekiwał inteligentniejszej odpowiedzi. Sam jednak nie był w najlepszej kondycji fizycznej. Ledwo przylecieli helikopterem do Paryża, a już z marszu włączono ich do grupy śledczej, poszukującej zabójcy. Nie pozwolono nawet odsapnąć, tylko prosto z lotniska powieziono do pensjonatu.

– W pokoju znaleźliśmy kulę pistoletową – rzucił Jean. – To raz. Podszuchana rozmowa z bankiem o milionach, które znajdują się na koncie, to dwa. Gość z recepcji zapisał numer bankowego hasła. Sprawdzono informację. Wyobraź sobie, że forsa jest, ale źródło jej pochodzenia nie daje się ustalić.

– Jak to?

– Zanim forsa trafiła na konto Suisse Bank, przeszła przez kilkanaście oddziałów innych banków, gdzie za każdym razem było zakładane fikcyjne konto. Sumę księgowano, leżała na koncie godzinę i frunęła dalej. Taka operacja zakładania i dalszego transferowania podobno trwa około pół godziny. Jednak żeby odnaleźć drogę do danego konta i uzyskać stosowne nakazy zajrzenia, w jaki sposób i skąd się ono wzięło...

– Trzeba poświęcić tydzień uganiania się za samymi papierkami – obojętnie stwierdził Marc.

– Zgadłeś. Poza tym owe dwa miliony przepuszczono przez bank szwajcarski. A jak wiesz, tamtejsze instytucje finansowe nie współpracują z policją w sprawach prywatnych kont klientów.

– Więc co robimy?

– Nie wiem jak ty, ale jeśli chodzi o mnie to jadę do motelu. – Jean spojrział na zegarek. – Naradę mamy o dziesiątej wieczorem, więc złapiemy jeszcze pięć godzin snu.

ARSEN WCISNAŁ pilota. Jednocześnie opuścił przednią szybę auta, żeby kamera mogła sfilmować jego twarz.

Identyfikacja metryczna. Zabawne, w XIX wieku na podstawie rozstawienia i rozmiarów różnych elementów twarzy próbowano identyfikować przestępców. Jeśli dobrze pamiętał z jednej z książek, to ową metodę wymyślił Francuz, Alfons Bertillon. Niestety, odciski palców stały się skuteczniejszą bronią w ściganiu przestępców. A teraz proszę. Maszyna bez najmniejszego błędu mogła zidentyfikować, czy o wejście ubiega się swój czy też intruz. Bertillon byłby zachwycony.

Oba skrzydła bramy odchyliły się na boki.

Za jadącym wewnętrzną drogą autem co raz to obracało się kolejne owadzie oko kamery. Choć po drugiej stronie okalającego posiadłość wysokiego muru płynęło intensywne życie ruchliwego miasta, tu panowała cisza, przerywana jedynie świergotem ptaków i szumem wody tryskającej z mijanych po drodze marmurowych fontann.

Kilku ogrodników spacerowało po alejkach, przycinając krzewy i równając kwiatowe klomby. Każdy miał przy sobie mikro nadajnik. Dzięki temu w każdej chwili mógł być zidentyfikowany jako „swój”. Gdyby kod nie został potwierdzony, sterujący wszystkim Geniak mógłby uznać ogrodnika za intruza. To był jeden z elementów działania zintegrowanego systemu bezpieczeństwa, o którym kiedyś opowiedział Arsenowi Mikunin.

Towarzysz Mikunin, który siedział przed komputerowym monitorem, zrobił zbliżenie zatrzymującego się przed gankiem samochodu.

– Chyba przywiózł.

Jeden z monitorów zgasł i pojawił się napis. Pytanie Geniacka.

*Nie jesteś pewien?*

– Jestem.

*Jaka jest twoja stawka?*

– Dziewięćdziesiąt do dziesięciu, że zastrzelił tę sukę.

*Ja dam osiemdziesiąt do dwudziestu, że tego nie zrobił.*

– Dlaczego? – zdziwił się Mikunin.

*Taki jest wynik moich testów i obserwacji Arsena.*

– A jeśli przegrasz?

*Otrzymasz możliwość wykonania sześciu dodatkowych ruchów w najbliższej partii szachów.*

– Zgoda.

Mikunin wstał i ruszył do salonu. Arsen czekał już w środku.

– I jak?

Arsen bez słowa skinął głową.

– Wszystko zgodnie z pańskim poleceniem.

– Pokaż.

Arsen wskazał na pojemnik, stojący na stoliku. Mikunin podszedł i otworzył wieko. W środku, między kawałkami lodu, leżała odcięta prawa dłoń Sunny.

Triumfalnie obejrzał się na jedną z kamer w rogu pokoju pod sufitem i zadał nieme pytanie: „I co, mądrało?” Jednak obiektyw nawet nie drgnął.

– Jak podróż? – Mikunin powrócił spojrzeniem do na Arsena.

– Trochę męcząca, ale jeśli ma pan dla mnie zlecenie...

– Dzisiaj odpocznij. Wskocz na miasto. Lubisz dziewczyny?

– Jasne.

– Idź do burdelu. Na przykład do tego, który prowadzą dwie Polki. Trzecia niedawno przyleciała do nich ze Stanów Zjednoczonych. Nazywa się Anna Wermer. Podobno ma córkę. Dowiedz się przy okazji, gdzie umieszczono dziewczynkę.

– Już to zrobiłem.

Mikunin kiwnął z uznaniem głową.

– Jestem pewien, że będzie nam się dobrze współpracowało.

– Cieszę się, że ma pan o mnie takie mniemanie – Arsen uśmiechnął się z wyraźnym zadowoleniem.

– Nie ukrywam, że jestem pod wrażeniem sposobu, w jaki załatwiłeś Van der Weldego i Monteliniego.

– To nie było trudne zadanie.

– Do kolekcji brakuje Gasparda Lombardi.

– Zajmę się nim – Arsen stwierdził krótko.

– Tylko szybko.

– Jeszcze dziś wieczorem wydam odpowiednie polecenia.

Towarzysz Mikunin klepnął porozumiewawczo Arsena w ramię. Był już pewien, że to będzie jeden z jego najlepszych werbunków w ostatnich latach.

NA OLBRZYMIM statku–barce zacumowanej pod mostem w Arnhem mieścił się ośrodek, w którym ludzie próbujący wyjść z narkotykowego nałogu mogli znaleźć fachową pomoc. Statek był wybawieniem i ostatnią przystanią dla narkotykowych rozbitków. Jeśli kogoś nie stać już było na kupno towaru, jeśli znalazł się na dnie i ból wrywał mu z piersi serce i deformował stawy, zawsze mógł podjąć leczenie na Statku.

Jedni mówili na barkę The Boat – Statek, inni określali to miejsce „Szczurzym targiem”, do którego zbiegali się narkomani z miasta i okolic. Słowo „targ” używano w znaczeniu przehandlowywania własnego nałogu za możliwość powrotu do społeczeństwa. Tak mówili o Statku szacowni mieszkańcy Arnhem. Z pewnością niektórzy z nich zdawali sobie sprawę z tego, że za pieniądze wydatkowane na utrzymanie Statku kupowali sobie zwyczajny spokój.

To na pokładzie barki Artur Nojman postanowił zniknąć ze świata, kiedy poprzedniego dnia dowiedział się, że jest spalony. Miejsce wybrał



w czasie jednej z pierwszych wizyt, kiedy zajechał TIR-em do ulokowanych pod miastem magazynów. Musiał tylko udać, że jest narkomanem. Ale co to dla agenta, który ciągle udaje kogoś, kim nie jest.

Artur był pewien, że Leszkowi nie przyjdzie do głowy, żeby go szukać na łajbie pełnej narkomanów.

TOMASZ SIEDZIAŁ w samochodzie przed pensjonatem, w którym niedawno mieszkał Andrzej. Jak wynikało z nasłuchu policyjnych kanałów łączności, Francuzi trafili na ślad mordercy, który w ostatnich tygodniach zabił niemal wszystkich najważniejszych bossów kierujących w Europie dystrybucją i handlem narkotykami. Wreszcie dzisiejszego ranka do jego rąk trafiła podobizna poszukiwanego. Zabójca na zlecenie miał twarz Andrzeja. Nie wierzył w to. Czyżby Francuzi dołączyli do pogoni za archiwum?

Przyszło mu do głowy, że Leszczyńskiego z pewnością zainteresowałaby wiadomość, która nadeszła szyfrówką z Warszawy. Kolejny talerz wykradzony z magazynów w Arnheim okazał się ulepiony z pasty kokainowej. Po uformowaniu w zastawę stołową i pokryciu imitacji powłoką imitującą porcelanę, narkotyki były transportowane statkami z Urugwaju do Polski. Stąd TIR-ami rozwożono go po Europie. Po rozbiciu fałszywej porcelany i zmieleniu jej na mączkę, wystarczyło dodać odpowiednie rozpuszczalniki chemiczne, by odzyskać czystą pastę kokainową. Z niej już bez problemu można było wytworzyć właściwy narkotyk, pozbawiony zanieczyszczeń.

Powód, dla którego Sulimowicz wszedł w ten interes był oczywisty. Pieniądze. Góra pieniędzy. Skopionane przez niego akta służby bezpieczeństwa, pełne haków, miały nową władzę trzymać z daleka od interesów Mondego. A ten właśnie rozpętał kosmiczną burzę, która zaczynała uderzać w Europę Zachodnią.

Należało zatem dać na sto mszy dziękczynnych i uderzyć w Dzwon Zygmunta na Wawelu, że wywiezione na Zachód archiwum ukradła Anna Wermer.

## Rozdział 15

Anna złamała ze złością niezapalonego papierosa. Od godziny siedziała zamknięta w małej klitce na zapleczu jakiegoś antykwariatu. Jego ściany, od podłogi po sufit, były zavalone książkami i paczkami pożółkłych gazet. Wszystko wokół okrywała szara warstwa kurzu. Jedyne okno wychodzące na podwórze nie było myte od lat. Dzielne światło z trudem przedostawało się przez brudne szyby.

Stopniowo zapadał coraz głębszy mrok. Siedziała prawie po ciemku. Ostatnią puszkę coli wypila kilkanaście minut temu. Znowu poczuła pragnienie, ale z mosiężnego kranu, wystającego wprost ze ściany leciała jedynie brązowa ciecz. Przez dwa dni ukrywali się w ładnym mieszkaniu na Victora Hugo. Ale Andrzej wpadł w paranoję i stwierdził, że muszą znaleźć coś innego, coś takiego, że ci, którzy ich szukają, nawet nie pomyślą, że mogą się tam ukrywać.

Zacisnęła dłonie w pięści, z trudem hamując wzbierającą złość. Miała wrażenie, że powietrze, którym oddycha, jest ciężkie od zalegającego wszędzie kurzu i przesycone stęchlizną bijącą z książek. W końcu złapała się na tym, że co jakiś czas, odruchowo strzepuje z rękawów płaszcza niewidzialny pył, jakby w obawie, że za moment będzie podobna do bezkształtnych stert paczek oplecionych szarą pajęczyną.

ANDRZEJ ZJADŁ ostatnią frytkę, zgniótł papierową torbę. Cisnął nią przez okno samochodu do stojącego na chodniku kosza. Dochodziła dwudziesta pierwsza. Płynąca z radia muzyka umilkła. Była pora wieczornych wiadomości.

Nużyło go słuchanie w kółko tego samego. Spojrzał na budkę telefoniczną, przy której parkował. Czekał godzinę i rosła w nim coraz większa irytacja.

Zaraz po przyjeździe do Paryża znalazł w XIV dzielnicy niewielkie mieszkanie na poddaszu. Nikt o nim nie wiedział. Nie powiedział o nim również Annie. Cena wydawała się niezbyt wygórowana. Właścicielka, zwana Dorodną Emmą, która wyglądała jak matka wszystkich okolicznych dziwek, pokazała ładnie wymalowany pokój, skromnie

urządzony z wyposażonym aneksem kuchennym. Nie potrzebował niczego więcej. To było trzy miesiące temu.

Kiedy dzisiejszego poranka pojechał do mieszkania, otworzyła podpita dziewczyna. W środku pałętał się grubas w samych gaciach, który na widok Andrzeja kwiknął i schował się w łazience. Dziewczyna okazała się przyjaciółką Emmy, która pod nieobecność lokatora postanowiła urządzić sobie w środku „pokój przyjęć”. Zadzwoił do właścicielki i nakazał posprzątać ten cały syf.

Otrząsnął się ze wspomnień, słysząc uderzenie o karoserię samochodu. O maskę z przodu opierał się pijany mężczyzna. Gość stał niepewnie na słabo podtrzymujących go nogach. Bezskutecznie starał się zapiąć płaszcz. W końcu zrezygnował z daremnych wysiłków odnalezienia guzika. Odepchnął się od wozu i próbował iść dalej.

Jedna z dziewczyn, która stała przed jasno oświetlonym wejściem do nocnego kina, podeszła do pijanego. Wzięła delikwenta pod ramię i położyła głowę na jego ramieniu. Zaczęła coś szeptać przez rondo przekrzywionego kapelusza.

Kiedy Andrzej oderwał wzrok od odchodzącej pary, zadzwonił telefon. Wysiadł z samochodu. Podniósł słuchawkę.

– I jak?

– Prawie skończyłam sprzątanie. Daj mi jeszcze pół godziny.

– Będę za trzydzieści minut. Weź pod uwagę to, że jestem strasznie wkurwiony, a moja dama, która jest ze mną dodatkowo przyprawia mnie o wisielczy humor.

Wrócił do samochodu. Zapуścił silnik i ruszył wolno przed siebie. Na pierwszej przecznicy skręcił w prawo. Dostrzegł klęczącego na chodniku mężczyznę. To był ten pijak, który nie mógł zapiąć płaszcza. Teraz miał na sobie tylko spodnie i koszulę. Z nosa obficie płynęła krew, którą próbował wytrzeć chustką. Nie było już przy nim dziewczyny. Ludzie, którzy mijali nieszczęśnika, odwracali obojętnie głowy w przeciwną stronę.

Po kilku minutach jazdy zatrzymał samochód przed drzwiami antykwariatu. Wewnątrz było ciemno, a zaciągnięte kraty sugerowały, że

właściciel dawno nie odwiedzał lokalu. Wysiadł z samochodu. Podeszedł do drzwi i otworzył je kluczem. Przedarł się na zaplecze wąską ścieżką między stertami zakurzonych książek. Anna siedziała nieruchomo na krześle.

– Niezbyt ci się spieszyło – burknęła zła.

– Chcesz gumę?

– Mam ochotę się wykapać i położyć do własnego łóżka.

– Pysznic niedługo, a jeśli chodzi o łóżko... Cierpliwości.

Mieszkanie pucują służący.

– Dlatego wcześniej trafiliśmy do tego zagrzybionego lokum?

– Wyobraź sobie, że kiedyś w tej księgarni Balzak podpisywał swoją książkę.

Sięgnął do kieszeni kurtki. Z pozorną swobodą rozerwał opakowanie zębami i wsunął do ust miętową kulkę.

MARC PODNIÓSŁ wzrok znad rozłożonych na stole protokołów przesłuchania.

Od godziny biedził się nad dokumentami, do których notatki porobił Jean. Nigdy nie potrafił odcyfrować bazgrołów partnera.

Musi jakoś sobie poradzić. Po przybyciu do więzienia okazało się, że dokumenty, które w prefekturze wystawiono na Jeana, źle zostały wypełnione i do przesłuchania dopuszczono tylko Marca. Jean pozostał w samochodzie na parkingu przed więzieniem.

Wziął do ręki kolejną kartę. Niech to szlag, nie miał najmniejszego zamiaru pracować za kogoś, kto w zeszłym miesiącu dostał premię większą od niego o dwieście franków. Spojrzał na dwóch mężczyzn siedzących naprzeciw niego. Dwóch cholernie miłych staruszków, zgrzytnął w myślach zębami.

Gaspard Lombardi był starszym mężczyzną o posiwiałych skroniach, lekko przygarbiony, ze stale przyklejonym do warg uprzejmym uśmiechem. Od chwili, gdy został wprowadzony przez strażnika do rozmównicy, zachowywał się swobodnie, jakby został zaproszony na

przyjacielską pogawędkę. Jedyne zimne i uważne spojrzenie wodnistych oczu wskazywało na coś wręcz przeciwnego. Kiedy jechali do więzienia, Jean zasugerował, że to może Lombardi wydał polecenie zlikwidowania kumpli, którzy zostali na wolności. Nie można było tego wykluczyć.

Siedzący obok jego adwokat, Gilbert Nurro, sprawiał wrażenie manekina, ożywianego od czasu do czasu nieoczekiwanym impulsem. Przez całe przesłuchanie Lombardiego jego sucha twarz o ostrych rysach pozostawała nieruchoma. Siedział sztywno wyprostowany, co Marcowi nasuwało przypuszczenie, że pod staromodnie skrojonym garniturem nosi gorset. Adwokat od godziny trzymał nieporuszone dłonie o długich kościstych palcach na srebrnej ręczce laski, pozornie całą uwagę koncentrując na pożółkłych od tytoniu paznokciach. Jak dotąd nie wypowiedział ani jednego słowa. Nie musiał. Jego klient sam doskonale radził sobie z zadawanymi pytaniami.

– Powiedział pan tylko połowę prawdy.

Lombardi spojrzał z wyrzutem na policjanta, że ten nie uwierzył w jego wcześniejsze słowa.

– Dobrze, zacznijmy więc jeszcze raz od początku... – zaczął Marc. – Gaspard Lombardi, lat sześćdziesiąt, urodzony w Marsylii, właściciel restauracji „Laguna”... W rzeczywistości księgowy Kardynała.

– Jakiego Kardynała?

– Nicolasa Richelieu – Marc przypomniał gangsterowi.

– Zgadza się. Pracowałem u niego jako księgowy.

– Trzykrotnie oskarżony o malwersacje podatkowe. Za każdym razem zwalniany z braku dowodów winy.

– Dziwi to pana? – Na twarzy Lombardiego pojawił się grymas znudzenia. – Przecież w tym kraju nie karzą niewinnych.

– Pięć lat temu oskarżony o zaplanowanie i zlecenie morderstwa przywódców konkurencyjnego gangu, którzy postanowili rozpocząć działalność w Marsylii.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Nie przypomina pan sobie Antonia Benozza i Zurla Capece? – zapytał Marc. – Pierwszego zastrzelono, a drugiego, związanego drutem, spalono żywcem w fabrycznym piecu grzewczym.

– To potworne. Ja miałbym coś takiego zrobić?

Marc westchnął w duchu. Stary bandzior był kuty na cztery nogi. I wyjątkowo irytujący. Wolał już takich, którzy patrzyli ponuro i nie odpowiadali na pytania.

– Twierdzi pan, że nigdy nie wchodził w konflikt z prawem? A przecież jako trzydziestolatek otrzymał pan wyrok trzech lat za napad z bronią w rękę.

– To była tragiczna pomyłka. Na miejscu napadu znalazłem się przypadkowo. Pistolet został mi podrzucony. Wszystko to można wyczytać w aktach procesu. To nie moja wina, że sędzia dał wiarę przypadkowym świadkom.

Wyjątkowo irytujący.

– Urodził się pan w Marsylii?

– Owszem.

– Skąd włosko brzmiące nazwisko?

– Moi rodzice pochodzili z Neapolu.

– Czy należy pan do mafii? – Marc spytał wprost.

Gilbert Nurro drgnął, słysząc pytanie.

– Mafii? – Lombardi powtórzył wolno.

– Tak.

– Nie wiem, czy myślimy o tym samym – Lombardi zmarszczył brwi, jakby się nad czym zastanawiał.

– Tym razem ja nie rozumiem – Marc uniósł brwi.

– Dla ludzi z mojego pokolenia, którzy wychowali się na ulicach Marsylii, słowo „mafia” oznacza elegancję, dumę, rycerskość, poczucie własnej godności. Jeżeli to rozumie pan pod tym określeniem, a nie

jakieś tajemnicze stowarzyszenie do popełniania zbrodni, to mogę powiedzieć, że jestem mafioso.

GASPARD LOMBARDI podszedł do okna izolatki. Przez stalową siatkę i kraty spojrzął na plac. O tej porze część więźniów spacerowała po nagranych przez słońce betonowych płytach, w kwadracie wyznaczonym przez wysoki mur. Inni siedzieli na murkach i patrzyli przed siebie bezmyślnym wzrokiem.

Lombardi rozpiął guzik i rozchylił kołnierzyk koszuli. Było duszno. Wrócił do łóżka i usiadł. Wyjął wieczne pióro i na kalendarzu zakreślił w kółku kolejny dzień – czterysta osiemnasty - odkąd go tu przywieziono.

Dotąd nie potrafił zrozumieć, jak do tego mogło dojść? Jego oficjalne interesy zawsze były czyste. Regularnie płacił podatki. Prowadził jedną z najbardziej luk-susowych restauracji, a przychodzący biznesmeni stanowili o jego nieskazitelnym świadectwie moralności.

W innych interesach był wystarczająco sprytny, by zawsze pozostawać w cieniu wielkiego Kardynała. To mu wystarczyło. Małą łyżką przecież też można się dobrze najeść. Wydał drwiąco wargi, gdy przypomniał sobie zirytowane spojrzenie policjanta, który go przesłuchiwał. Teraz rozmawia z jego adwokatem, Gilbertem Nurro. Po co? To biedny dureń, wierzący w magiczne formułki paragrafów. Rzetelność, uczciwość i temu podobne bzdury to w dzisiejszych czasach towar niechodliwy.

Policjant przypomniał mu, że jest oskarżony. To skandal. Czyż dla tego prawa nie zrobił wystarczająco dużo? Jeszcze osiem lat temu na ulicach Marsylii znajdowano ludzi z przestrzelonymi głowami. Walka o dzielnice czy nawet kwartały ulic była bezpardonowa. Dopiero Syndykat, do którego stworzenia znacznie się przyczynił, zaprowadził ład i porządek. Potrzebujący narkotyku wiedzieli, gdzie i u kogo mają go szukać. Byli przy tym pewni, że cena nie skoczy do góry z dnia na dzień, i że przy transakcji nie zostaną oszukani. Policja знаła ulicznych handlarzy i ciągnęła z nich niezłe zyski, a będąc pewna, że w tym interesie obowiązują określone reguły gry, mogła, ku ogólnemu zadowoleniu, poświęcić energię na inne sprawy. Ulice były bezpieczniejsze. Czy to mało? Mimo to wycierający kościelne ławki

moralisci nie przestawali krzyczeć o wzrastającym zagrożeniu. Banda zakłamanych skurwysynów, którzy z braku innych zajęć wypełniali swój czas dydaktycznym wrzaskiem. Nie mogli pojąć, że narkotyki są największym interesem współczesnego świata. Że zawsze pojawią się producenci, którzy znajdą dystrybutorów, a ci klientów. Jeżeli jedni odchodzili, ich miejsce natychmiast zajmowali inni. Przesłuchujący policjant również nie potrafił tego zrozumieć. Ale czy była to jego wina?

Wyjął z pudełka cygaro, odciął starannie gilotyną kawałek na końcu i zapalił.

Mimo wysiłków, Nurro nie udało się spowodować, żeby odpowiadał z wolnej stopy. Lombardi nalał sobie wodę do szklanki i zaczął ją pić małymi łykami. Komu mogło zależeć na wykończeniu tylu szefów rodzin? Irlandczycy? To mało prawdopodobne. Urugwajczycy?... To prawda, dostawcy od dawna gotowi byli skoczyć im do gardła. Jednak nie byli na tyle głupi, by samemu kłaść nóż na swoich szyjach w procesie Syndykatu. Więc kto? Kto?...

Z korytarza dobiegł odgłos kroków zbliżającego się strażnika. Szczękniętą klucz w zamku. W progu stanął mundurowy.

– Pański adwokat skończył rozmowę z policjantem.

W głosie mówiącego wyraźnie czuło się unізoność. Gaspard mógł wrócić do rozmównicy. Nie gasząc cygara, minął strażnika i ruszył korytarzem. Gilbert Nurro już na niego czekał. Wycelowane w nich owadzie oko kamery, śledzące moment wejścia Marsylczyka, znieruchomiło, a paląca się przy obiektywie lampka kontrolna zgasła. Urządzenie zostało wyłączone. Strażnik, który wszedł za Lombardim do rozmównicy, wycofał się na korytarz i zamknął drzwi.

Adwokat odruchowo poprawił nieskazitelnie białe mankiety koszuli.

– Kardynała zabił Daar Geen.

– Mówiłeś, że policja jest na tropie zabójcy.

– Mam nadzieję, że nasi ludzie dopadną go szybciej.

– Co ze mną?

– Za dwa dni zostaniesz warunkowo zwolniony.



- To pewne?
- Przy mnie sędzia złożył podpis na stosownych dokumentach.

ANNA OTWORZYŁA oczy. Nie potrafiła przypomnieć sobie, gdzie jest. Podniosła się i oparła na łokciu. Rozejrzała. Leżała na tapczanie. Obok lekko pochrapywał Andrzej. Przez oszkloną ścianę, która stanowiła jeden bok pokoju–pracowni, wpadało pierwsze światło szarego poranka. Za szybami zobaczyła chmury – prawda, zamieszkali na poddaszu.

Oprócz tapczanu w pokoju stał jeszcze duży stół z trzema krzesłami. W rogu szafa. I drzwi z matową szybą, które prowadziły do łazienki.

Przesunęła dłonią po policzku. Mimo uchylonego okna w pokoju panował zaduch. Odsunęła kołdrę na bok. Odsłoniła bose stopy, które wystawały z nogawek spranej piżamy. Powinna sobie pomalować paznokcie. Lakier już z nich zszedł. Pomalować? Czym? W tej dziurze?

Usiadła na tapczanie. Miała ochotę na papierosa. To dziwne. Wcześniej, jeśli zapaliła, to jednego, i to od wielkiego dzwonu. Teraz, gdy była w ciąży... Musiała zapalić, tylko w ten sposób pozbywała się mdłości, które w innym wypadku męczyły ją do południa. Ale będzie musiała z tym skończyć. Zdrowie dziecka było ważniejsze niż fakt, że jeśli choć kilka razy się nie zaciągnęła, to rzygała dalej niż widziała.

Sięgnęła do leżącej nieopodal torebki. Znalazła puste pudełko chesterfieldów. Spojrzała na stół. Stała tam popielniczka z kilkoma wczorajszymi petami. Nie wyglądały zachęcająco, wręcz przeciwnie, ale czuła, że wkrótce znów zacznie ją mdlić. A jak będzie rzygać, to Andrzej zacznie ją wypytywać. Uczepi się jak buldog i będzie musiała powiedzieć. A jemu ta wiedza na razie tylko będzie mu przeszkadzać.

Fala mdłości podeszła do gardła i Anna zakryła usta dłonią. Rzuciła okiem na Andrzeja.

Wiedziała, że się martwił. Pojawiła się zmienna, której w swoim planie nie uwzględnił – francuska policja. A mimo to nie zamierzał się poddawać. Podziwiała go za to i kochała jeszcze bardziej, jeśli w ogóle było to możliwe.

– To mieszkanie wynajmuję od siedmiu tygodni – powiedział jej wczoraj wieczorem, kiedy weszła do pokoju i rozejrzała się wokół. – Na wypadek niebezpieczeństwa.

– Przezorny zawsze ubezpieczony? – uśmiechnęła się i przytuliła do niego.

– Właśnie – wymruczał w jej włosy. – Nikt o nim nie wie. Nikt nas nie znajdzie. Choć przez chwilę możemy się czuć bezpieczni.

– Jak to się stało? – Spytała. Jak to wszystko mogło się tak pochrzanić?

Odsunął się i podszedł do okna. Mięśnie pleców miał tak napięte, że rysowały się pod koszulą.

– Nie wiem – powiedział i potarł dłonią czoło. – Nie mam pojęcia, dlaczego policja francuska nas ściga. – Dopiero po chwili Anna zorientowała się, że choć mówił do niej, w rzeczywistości myśli na głos. – To na pewno nie jest sprawka Schneidera. Jemu to też skomplikuje życie... Secundus?... Niemożliwe. Chyba że...

– Co?

– Chyba że Francuzi dowiedzieli się o archiwum i też włączyli się do gry.

Anna otrząsnęła się z myśli. Od dłuższego czasu wpatrywała się w wypalone do połowy papierosy w popielniczce. Zawsze tak je gasiła. Do dzisiejszego ranka nie widziała potrzeby zmiany przyzwyczajień.

Ponownie spojrzała na Andrzeja. Chyba śpi. Podobno rozmawiał z Heleną. Miała nadzieję, że nie powiedziała mu o ciąży.

Wolno podniosła się z tapczanu i starając się czynić jak najmniej hałasu, podeszła do stołu.

ANDRZEJ USŁYSZAŁ skrzypienie parkietu. Nieznacznie rozchylił powieki. Zobaczył Annę pochylającą się nad popielniczką. Rozległo się pstryknięcie zapalniczki. Poczuł dym.

Dotąd nigdy tyle nie paliła. To stres? Niepotrzebnie mówił jej o Francuzach. Zobaczył wtedy w jej oczach lęk.

Kilkanaście minut później wstał. Schował pościel do tapczanu. I kiedy Anna była w łazience, wyszedł po zakupy. Zrobił je w pobliskim sklepiku i pół godziny później wrócił na poddasze. Kiedy Anna nakrywała stół do śniadania, Andrzej patrzył na nią i czuł, jak serce mu topnieje. Wreszcie są razem i tak już pozostanie. Była niesamowita. To ona podsunęła mu pomysł z oszustwem na dworcu Gare de Lyon. Dokonał kilku koniecznych przeróbek, ale idea była jej. Zgodziła się z modyfikacjami i wspaniale zagrała napisaną jej rolę – wściekłej kochanki, którą porzucił drań, a ona zamierza go odnaleźć i zabić. Zdziałało – wydawało się, że od tamtej chwili prócz rutynowej kontroli chodzących za nią łapsów z CIA nikt się Anną nie interesował.

Podeszła do Andrzeja i przytuliła się.

– Przepraszam za te dąsy. Jestem głupia. Nie wolno mi sprawiać ci kłopotów. Wybacz.

Wziął ją w ramiona i poważnie spojrzał w oczy.

– Nie muszę ci niczego wybaczać. Wystarczy, że wiem, że mnie kochasz. Reszta nie ma znaczenia. Razem wszystkiemu damy radę.

Wieczorem znowu zaczął szykować się do wyjścia.

– Długo cię nie będzie?

– Powinienem gdzieś zadzwonić.

Spojrzała pytająco, a on po chwili odpowiedział spokojnym głosem.

– Musimy wiedzieć, w jak szczelnej pułapce próbują nas zamknąć.

– Nie mówiłeś, że w nią wpadliśmy – Anna miała niepewny głos.

– Zawsze mnie uczono, że wchodząc do jakiegoś pomieszczenia powinienem mieć pewność, że jest z niego jeszcze jedno wyjście. Dlatego właśnie ukryliśmy się na tym poddaszu. Myślisz, że pozwolę komukolwiek, żeby mi ciebie odebrano?

Pocałował ją delikatnie w usta, potem uśmiechnął się z udanym optymizmem.

– Poradzę sobie.

– Wracaj szybko.

– Kocham cię.

Zbiegł na dół po skrzypiących drewnianych schodach. Przecznice dalej znalazł budkę telefoniczną. Zadzwoił do Secundusa.

– Słucham.

– Witaj.

Amerikanin był najwyraźniej zaskoczony.

– Myślałem, że coś ci się stało – Secundus powiedział ostrożnie.

– Dlaczego?

– Miałeś zamieszkać w moim mieszkaniu.

– Załatwiłem sobie coś innego. A teraz potrzebuję forsy – powiedział Andrzej z rozbijającą szczerością.

– Z tego, co wiem, masz kilka kont bankowych.

– Wolę nie ryzykować pokazywania się z czekiem w banku.

– Ile?

– Na razie pięć tysięcy franków wystarczy.

– Chcesz zamówić stolik w „Moulin Rouge”? – Zadrwił Secundus.

– Wtedy poprosiłbym o dziesięć.

Po drugiej stronie zapadło milczenie.

– Gdzie mam je dostarczyć?

– Umówmy się dzisiaj koło piątej po południu na Rue de Bercy – zaproponował Andrzej.

– Znowu dworzec Gare de Lyon?

– Mam sentyment do starych miejsc.

– Dobrze. Na Rogu Rue de Bercy i Boulevard Diderot znajdziesz zielonego opła z numerem rejestracyjnym... – W słuchawce na dłuższą chwilę zapadło milczenie. – TC-879-HN. Na tylnym siedzeniu będzie leżał numer „Newsweeka” z poprzedniego tygodnia, obok aktualnego numeru. Pod nimi znajdziesz pieniądze w torbie papierowej.

- W schowku zostaw kartę wozu. Być może skorzystam z auta.
- Zgoda. Jak ci się podobał antykwariat?
- Mógłbyś w nim posprzątać.
- Chciałem, ale konserwator nie pozwala – Secundus zachichotał. – Podobno kurz leży tam od XIX wieku.

Andrzej odłożył słuchawkę i spojrzał w stronę domu. Anna czekała na niego i wierzyła, że wyciągnie ich z tego bagna. Przypomniała mu się ostatnia rozmowa z Heleną. Dlaczego tak wypytywała, co wie o Annie? „Jakie lubi potrawy? Kiedyś wolała nosić sukienki, spódnice, czy spodnie? A teraz, co najchętniej na siebie wkłada? Jaki ma numer stanika?”

O co jej chodziło?

## Rozdział 16

Anna przyglądała się swojej twarzy, zdeformowanej przez pęknięcia, które znaczyły płaszczyznę wiszącego w łazience lustra. Marzyła tylko o gorącej kąpieli w białej, czystej wannie. Ta tutaj przypominała w kolorze starą muszlę klozetową.

Skończyła płukanie spodni. Wyżeła je najmocniej jak dała radę. Powąchała. Już nie śmierdziały. Zarzuciła nogawki na rozwieszony nad głową plastikowy sznurek.

Andrzej przyglądał się krzątającej po łazience dziewczynie przez uchylone drzwi. Nawet w rozciągniętym dresie była piękna. I te jej oczy. Nigdy nie widział, żeby były aż tak roziskrzane. Przez ostatnie wieczory opowiedział jej o wszystkim, od samego początku. Od momentu, kiedy spotkał Siejkę. Jak wybrali jej fotografię spośród wielu innych kandydatek. Jak ją zwerbował i uwiódł. Nie ukrywał niczego. Najpierw ją okłamywał, że kocha. Ale pewnego dnia zrozumiał, że słowa te są prawdą. Jak za nią tęsknił i przeklinał świat, gdy sądził, że już nigdy się nie zobaczą. Teraz ją odzyskał i zamierzał zrobić wszystko, żeby nie stracić.

Spojrzał na zegarek. Za godzinę przed Gare de Lyon powinien odnaleźć zielonego cadillaca, w którym Secundus zostawi pięć tysięcy. Sięgnął po skórzaną marynarkę.

– Znowu wychodzisz? – Anna była zaskoczona. Wyciągnęła dłoń po leżący na łóżku sweter. – Zamierzasz zostawić mnie samą?

– Na razie ten pokój jest najbezpieczniejszym miejscem w całym mieście.

– Masz mnie ochraniać, a nie urywać się na dziwki. – Choć w jej głosie pobrzmiwał ton drwiny, jednak jej twarz była napięta.

Wziął ją w ramiona i zmusił, żeby spojrzała mu w oczy.

– Najmilsza, nie chcę nikogo na świecie, prócz ciebie.

Pod wpływem jego dotyku napięcie minęło.

– Przepraszam – uśmiechnęła się smutno. – Nie bardzo wiem, co mam ze sobą zrobić.

– Chyba mam na to sposób.

Sięgnął pod leżącą na tapczanie poduszkę. Wręczył jej książkę.

– *La Dame aux camélias* – przeczytała półgłosem. – Dama Kameliowa?

– Mówiłaś, że lubisz melodramaty.

– Ale tylko w literaturze – zdecydowanie zastrzegła i pocałowała go namiętnie w usta. – Dziękuję.

Andrzej wyszedł na korytarz. Zszedł po schodach. Na dole drogę zastąpiła mu właścicielka domu. Kiedy Dorodna Emma była po paru głębszych, w przypiływie dobrego humoru kamienicę określała mianem pensjonatu. Kiedy była trzeźwa, co można było poznać po jej trzęsących się rękach, nazywała dom kurwidolem, który kiedyś spali razem z zamieszkującą go hołotą. Dziś była w doskonałym nastroju.

– Samotny mężczyzna, a noc już blisko – westchnęła z gardłowym przydechem. Wypięła przy tym brzuch, który nieco uniósł obwisłe piersi. – Nie będę dziś na noc zamykała drzwi, gdybyś wrócił wcześniej.

Przymknęła znacząco powiekę i przesunęła końcem języka po splekanych wargach, pociągniętych tanią szminką.

– Jeżeli wrócę wcześniej... – odsapnął.

Wyszedł na ulicę. Dwie przecznice dalej zszedł na peron metra. W jednym z przejść jakaś starsza kobieta siedziała zakopana w górze szmat i papieru. Przyjrzał się jej z uwagą. Wszystko ułożone było wokół niej w przemyślny sposób, szmata, papier, szmata, żeby czuła jak najmniej chłodu. Chyba się zdenerwowała jego zainteresowaniem, bo zaskrzeczała w jego stronę:

– Idź precz, bo poderżnę ci gardło.

Minął ją bokiem. Na tej stacji pociąg rozpoczynał trasę. Kilka oczekujących osób obrzucało się wzajemnie podejrzliwymi spojrzeniami i trzymało jeden od drugiego w bezpiecznej odległości. Na końcu peronu

jakiś zwariowany Arab klęczał na mod-litewnym dywaniku i wzywał gardłowym głosem Allacha.

Wjechały wagony. Wsiadł. Wraz z nim w środku znalazł się jeszcze tylko jeden pasażer. Usiadł w odległym końcu, na ławce przy oknie.

Kiedy wjechali w tunel, dostrzegł w szybie własną twarz. Przez wiele nocy próbował znaleźć klucz do łamigłówki, której hasłami wywoławczymi był on, Anna i archiwum MSW. Nic z tego. Intuicja podpowiadała jedynie, że główni gracze w rozgrywce zagrają każdą dostępną im kartą. Był dla nich figurą czy blotką, którą poświęca się bez żalu na początku rozdania? Najbezpieczniej powinien założyć, że blotką.

Po dwudziestu minutach przesiadł się na linię numer czternaście, na kierunek do dworca kolejowego. Kiedy wysiadł na stacji Gare de Lyon, zbliżała się siedemnasta. Wyjechał ruchomymi schodami na powierzchnię. Pięć minut później przeszedł obok zielonego opla z numerami rejestracyjnymi: TC-879-HN. Na tylnym siedzeniu leżały dwa Newsweeki.

Doszedł do pobliskiego ulicznego automatu. Sięgnął po słuchawkę. Wykręcił numer pomocy drogowej.

– Furgon Car Service, słucham.

– Rano dzwoniłem w sprawie opla. Moje nazwisko Ray. Arthur Ray. Chodziło o odholowanie samochodu.

– Sekundę.

Czekał przez dłuższą chwilę.

– Zgłoszenie zostało przyjęte.

– Prosiłem, żeby samochód zabrano o siedemnastej trzydzieści.

– Nasi ludzie są już w drodze, proszę się nie niepokoić. Zgodnie z poleceniem auto zostanie odtransportowane na nasz firmowy parking.

Odłożył słuchawkę.

O siedemnastej czterdzieści nadjechała pomoc drogowa. Andrzej zatrzymał nadjeżdżającą taksówkę.



– Za tym zielonym oplem – pokazał kierowcy wciągnięty na lawetę samochód. – Chcę zobaczyć, jak obchodzą się z moim autem. – Furgon pomocy drogowej wyjechał na ulicę, ciągnąc za sobą przyczepiony samochód. – Jeszcze chwila – powstrzymał kierowcę, który chciał włączyć się do ruchu.

Wyczekali kilka sekund. Z długiego rzędu stojących w głębi ulicy aut wyjechał odrapany citroen i ruszył za holującymi.

– No jak?

– Zmieniłem zdanie. Jedziemy za tą cytryną.

Początkowo nie miał pewności, czy citroen rzeczywiście śledzi opla. To, że wyjechał na ulicę w tym, a nie innym momencie mogło być zbiegiem okoliczności. Kiedy jednak przejechali kilka ulic, pokonali parę zakrętów, a citroen cały czas jechał z tyłu za holującymi, to już nie był przypadek.

Andrzej oparł się wygodniej na siedzeniu. Jego myśli zaczęły krążyć wokół Anny. Dlaczego stale po głowie chodziły mu pytania, które zadała Helena? Biust rzeczywiście się powiększył. Dawna trójka zamieniła się teraz w przepelnioną czwórkę. Czyniło to Annę jeszcze bardziej seksowną. Spodnie? Nosiła tylko luźne sukienki. Cóż, najwidoczniej zmienił się jej gust.

Skreścili. Ponownie skupił uwagę na citroenie. O tym, że zamierza wziąć auto wiedział tylko Secundus. Chyba że jego telefon był na podsłuchu. W takim przypadku jego i Anny przyszłość mogła niebezpiecznie się skurczyć do kilku najbliższych dni. Musi zwiększyć czujność.

– Ale to dopiero początek rozgrywki – powiedział półgłosem.

– Przepraszam, nie dosłyszałem – kierowca obrócił na chwilę ku niemu twarz.

– Niech pan skreści w najbliższą przecznicę – zdecydował Andrzej. – Jedziemy na Plac Inwalidów.

– Już nie interesuje pana samochód? – Zdziwił się taksówkarz.

– Doszedłem do wniosku, że powinienem kupić sobie nowy.

MINĘŁA PIĘTNASTA. O tej porze bar był jeszcze pusty. Ruch zaczynał się wieczorem, a kończył wówczas, gdy ostatni pijak został wyrzucony na chodnik. Choć wewnątrz siedziało zaledwie paru gości, było gęsto od dymu. Dorodna Emmy dłuższy czas wpatrywała się w kieliszek. Był pusty i, jak postanowiła przed wypiciem, tego wieczora ostatni. Przełknęła żytniówkę. Wreszcie zniknęło ssanie w żołądku.

Na wprost, przy drugim końcu kontuaru dostrzegła tlenioną blondynkę, która sprawdzała w lusterku makijaż. Gruba warstwa pudru nie potrafiła zakryć zmarszczek na wyschniętej twarzy. Zrobi to za nią wieczór i alkohol wypity przez klientów. Ile mogła mieć lat? Trzydzieści?

„W jej wieku”, pomyślała Emma pogardliwie, „byłam jeszcze zdrową dupą, a z ciebie za kilka lat pozostanie tylko utopiona w sraczu strzykawka.”

To już nie te czasy i nie ta dzielnica. Kiedyś jej ulicami spacerowali elegancko ubrani mężczyźni, piękne kobiety. Teraz biedacy i emigranci zalegli się we wszystkich domach jak wszy, wysysając z walących się budynków ostatnie soki. Kurewskie czasy.

Odsunęła kieliszek. Zsunęła się ze stołka. Nogi lekko się pod nią zachwiały. Odliczyła należność i położyła pieniądze na ladzie. Narzuciła na ramiona płaszcz. Sięgnęła po butelkę piwa i ruszyła do wyjścia. Na ulicy uderzył ją w twarz chłodny powiew wiatru. Zaczęła iść chodnikiem, przeklinając puchnące nogi. Minęła grupę dzieciaków, które skakały po dachu spalonego samochodu.

– Parszywe miasto. Kiedyś, gdy byłam młoda.... Ech, srać na tę młodość, która i tak już nie wróci.

Kiedy dochodziła do przecznicy, zahamował przy niej czarny ford. Wsiadło z niego dwóch mężczyzn. Chciała ich wyminąć, ale zatrzymali ją. Podniosła oczy. Ten, który stał najbliżej miał lisią twarz, a drugi na policzku szramę.

– Czego? – Burknęła Emma. Wiedziała, że jej świat już niedługo zasnują szare chmury i już teraz powoli traciła dobry humor.

– Musimy porozmawiać.

– W takim razie przyślijcie wezwanie do komisariatu – warknęła i chciała iść dalej.

Pchnęli ją w kierunku otwartych drzwi samochodu. Butelka wypadła jej z ręki i pękła z brzękiem na chodniku.

– I co zrobiłeś, skurwielu.? – Szarpnęła się do tyłu. – Jak cię jebnę...

Nim zdążyła dokrzyczeć zdanie do końca, dostała w twarz z otwartej ręki.

– Ty jebany gliniarzu, jak...

Nie dokończyła. Ten z lisią twarzą chwycił ją za włosy i zaciągnął w bramę.

– Jak się nazywasz? – Spytał.

– Śpiąca Królewna, gnido.

Lisia Twarz zaśmiał się, jakby usłyszał dobry kawał. Ponowne uderzenie odrzuciło jej głowę do tyłu. Walnęła potylicą o mur. Zakręciło jej się w głowie. Poczwała w ustach smak krwi.

– Jak? – Szrama spytał ponownie.

– Emma Bonet.

– To już brzmi lepiej.

– Złożę na was doniesienie.

Zignorowali jej słowa.

– Jesteś właścicielką domu przy...? – tym razem pytanie zadał Lisia Twarz.

– Rue de la Boulengerie.

Podsunał jej pod nos zdjęcie Anny.

– Znasz ją?

– Nigdy nie widziałam.

– A ten? – Lisia Twarz podsunał fotografię Andrzeja.

– Co od niego chcecie?

Obaj mężczyźni wymienili szybkie spojrzenia.

– Nu, charaszo – ten ze szramą cmoknął zachwycony.

Dopiero teraz Emma zrozumiała, z kim ma do czynienia. Poczła zimny dreszcz.

– Pod jakim numerem mieszka?

– Trzynastka.

– Nu, charaszo.

Znowu cmoknięcie, jakby kierujący obrabiał językiem landrynkę.

– Trzynastka? Więc masz pecha. – Zawtórował Lisia Twarz

– Wy nie jesteście z policji. – krzyknęła.

– A ty nie jesteś Śpiącą Królewną.

Szczęknięło ostrze sprężynowego noża. Lisia Twarz dźgnął ją w brzuch. W pierwszej chwili ogarnęła ją wściekłość. Będzie miała dziurę w nowiutkiej kretonowej sukience. Potem poczuła, jak w kiszkiach zapiekł rozpalony szpikulec.

Mężczyzna zajrzał w jej oczy, jakby zaciekawiony, co w nich zobaczy. Kiedy fałda tłuszczu zatrzymała się na krzyżaku noża, morderca mocniej zacisnął dłoń na rękojeści i pociągnął ostrze do góry. W ciszy rozległ się tylko odgłos dartej tkaniny. Lisia Twarz wyciągnął nóż i wytarł ostrze o jej pierś.

Emma chwyciła rozcapierzonymi palcami ramiona mordercy. Jej twarz spurpurowiała. Straciła czucie w nogach. Stęknęła. Puściła głośno wiatry. Mężczyzna odepchnął ją od siebie z obrzydzeniem. Upadła na chodnik. Uderzyła plecami o wystający rant muru. W świetle wiszącej pod sufitem lampy zobaczyła, jak żółte kwiaty na sukience nabierają karminowego koloru.

Samochód odjechał.

Nie czuła bólu. Krew płynęła ciepłą strugą po grubym udzie i rozlewała się bordową plamą na betonowych płytach chodnika. Ostra granica między światłem a mrokiem rozmazała się. Nie myślała, że to

już koniec. Było jej strasznie wstyd. Nigdy dotąd nie zdarzyło się jej, żeby w obecności mężczyzny pierdnęła. To było takie poniżające.

DOCHODZIŁA ÓSMA rano. Anna stała przy oknie ubrana w sprany szlafrok. Wyglądała na ulicę. Naprzeciw, jak co dnia, obok wejścia do pizzerii sprzedawca ryb rozkładał towar. Otworzyła okiennicę, żeby wpuścić do pokoju świeże powietrze. Doleciały ją przekleństwa handlarza, który wykopywał spod straganu zawiniętego w szmaty włóczęgę.

U wylotu ulicy pojawił się radiowóz. Jechał wolno, na najniższym biegu. Kilku czarnych wyrostków, siedzących na przewróconym wraku samochodu, zaczęło gwizdać za policjantami. Ci nie reagowali.

Anna wyjęła z kieszeni niedopałek i włożyła do ust. Zaczęła szukać zapalniczki. Kiedy błysnął płomień, odchyliła głowę na bok, żeby nie osmalić włosów. Zakaszła, czując drapanie w gardle. Zdjęła z krzesła koszulę i poszła do łazienki się przebrać.

– Chcesz, żebym kupił ci papierosy?

Pokręciła głową.

Andrzej ponownie skupił wzrok na ostrzu, które przeciągał po osełce. Wreszcie odłożył kamień. Umocował bagnet na prowadnicy przywiązanej rzemieniami do przedramienia prawej ręki. Naciągnął sprężynę. Szczęknęły zatrzaski i zacisnęły się na ostrzu. Zsunął rękaw koszuli na mechanizm wyrzutowy. Nałożył marynarkę.

Anna wyszła z łazienki w jasnej kretonowej sukience. Jak dla niego za jasnej, ale nie zamierzał jej o tym mówić.

– Chyba już najwyższy czas, żeby zmienić lokal – oznajmił. – Najlepiej będzie, jak zrobimy to jutro, zaraz po śniadaniu.

Anna poszła do kuchni. Z lodówki wyjęła karton mleka, masło i dwa kawałki pieczonego kurczaka. Zaniosiła wszystko do pokoju i postawiła na stole. Przysunęła sobie krzesło i usiadła.

Wkrótce z kuchni doleciał gwizd czajnika. Zgasiła gaz, pokroiła chleb. Kromki ułożyła na talerzu. Sięgnęła po puszkę mokki. Była pusta. W zlewie znalazła sącdek z parzoną wczoraj kawą. Włożyła go do

ekspresu. Do filiżanki spłynęła szara lura. Postanowiła dolać nieco mleka, by oszukać smak.

Kiedy wychodziła z kuchni, zobaczyła otwarte drzwi wejściowe. Czyżby Andrzej poszedł po papierosy? Przeklęty przeciąg. Już zamierzała pchnąć je nogą, gdy poczuła na szyi chłód stalowego ostrza.

– Wreszcie was spotkaliśmy.

Filiżanka wypadła jej z dłoni. Ze strachu nie poczuła wrzasku opryskującego stopy. Kątem oka zobaczyła mężczyznę o lisiej twarzy.

– Siadaj.

Pchnięta w plecy, o mało nie upadła.

– Gdzie twój opiekun?

Wszystko się w niej trzęsło. Skronie rozsadzało oszalałe dudnienie serca.

Dobiegły ich kroki z korytarza. Mężczyzna ze szramą na twarzy chwycił ją za włosy i wpakował do ust lufę pistoletu.

– Piśnij słowo – syknął – a wystrzelę twój mózg na sufit.

Lisia Twarz ukrył się za drzwiami. Na jego ustach pojawił się okrutny, lodowaty uśmiech. Anna zacisnęła mocno powieki. To już koniec.

– Kochanie, kupiłem ci chesterfieldy – doleciał głos Andrzeja.

Pierwsze co zobaczył, to kredowobiałą twarz Anny. Sekundę później usłyszał metalowy trzask odciąganego kurka pistoletu i poczuł przy skroni chłodny dotyk metalu.

– Jesteśmy w komplecie.

– Nu, charaszo.

Stojący obok Anny mężczyzna ze szramą zaśmiał się chrapliwie. Facet za Andrzejem zatrzasnął drzwi, a potem pchnął go na ścianę i dokładnie obszukał: ramiona, plecy, pod pachami, uda. Fachowiec.

– Czysty.

– Nu, charaszo.

Andrzej obrócił twarz w stronę pokoju.

– Co chcecie z nią zrobić? – Zapytał Lisia Twarz.

– Zgadnij? – Rosjanin podszedł do okna. – Niepotrzebnie uciekałeś. Ale i tak cię odnaleźliśmy.

Stojący obok Anny mężczyzna ze szramą na twarzy przyłożył jej pistolet do czoła.

– Żegnaj.

– Poczekaj – powiedział Lisia Twarz. – Przed pizzerią stoi radiowóz.

Szrama na sekundę odwrócił wzrok do okna

Andrzej wyrzucił przed siebie prawe ramię. Szczęknęła sprężyna. W kierunku stojącego przy oknie Lisiej Twarzy wystrzelił bagnet. Klinga błysnęła w powietrzu ze złowieszczym świstem. Uderzyła w krtań. W jednej setnej sekundy ostrze zagłębiło się w grdykę. W dwusetnej części sekundy przecięło chrząstki gardzieli. W czterasetnej rozkroiło struny głosowe, ścięło mięśnie szyjne i zatrzymało się na kręgosłupie.

W tej samej sekundzie Anna podbiła dłoń z bronią. Rozległ się strzał. Z sufitu posypał się tynk. Andrzej doskoczył do Szramy i jednym ciosem wbił mu nos w twarz. Drań zwałił się nieprzytomny na podłogę.

Lisia Twarz wypuścił z drętwiejących palców lugera. Broń upadła z głuchym łomotem na podłogę. Z rozplątanej krtani buchnął strumień krwi. Złapał za wbity w gardło stalowy brzeszczot i wyszarpnął go z szaleństwem w oczach. Podcięta tym ruchem głowa przekrzywiła się na bok i zawisła na krwawym płacie skóry. Bezgłowa postać zrobiła krok do tyłu. Sufit obryzgała krew strzelająca z otwartych tętnic. Lisia twarz wyciągnął przed siebie dłoń ruchem ślepego. Dyndająca z boku głowa wydawała się rozglądać wypełnionym bólem oczami.

Jeszcze kiedy luger wysuwał się ze sztywniejących palców umierającego, Andrzej był już za plecami Szramy. Jednym ramieniem unieruchomił jego barki. Drugą ręką złapał za podbródek. Przekręcił raptownie głowę trzymanego w kleszczach mężczyzny o dziewięćdziesiąt stopni. Chrupnęły pękające kręgi szyjne. Szrama westchnął boleśnie. Próbował dłońmi coś chwycić w powietrzu, ale tylko bezradnie nimi zatrzepotał. Potem, wstrząsany przedśmiertnymi

drgawkami osunął się na podłogę. Rozszedł się smród, gdy puściły mu zwieracze.

W tym samym czasie Lisia Twarz zatoczył się na okno. Pod jego ciężarem szyby rozprysnęły się na boki. Chwycił zasłonę. Próbował jeszcze złapać równowagę. Niedomknięta okiennica otworzyła się raptownie i ciało wypadło na zewnątrz. Zaciśnięta na materiale dłoń pociągnęła za sobą długi kawał materiału.

Andrzej skoczył do zemdłonej Anny.



## Rozdział 17

Sierżant Daniel Pernauld siedział w kawiarni, popijając gorącą czekoladę. Z radia płynęła piosenka La Bohème, Charlesa Aznavoura. Stolik stał nieopodal otwartych drzwi, przez które policjant obserwował ulicę. Pernauld właśnie odstawiał filiżankę, gdy usłyszał odgłos pistoletowego wystrzału. Z ulicy dobiegł przeraźliwy krzyk kobiety. Poderwał się na nogi. Coś plasnęło o beton. Rozległ się trzask łamanych kości. Kiedy sierżant stanął w progu kawiarni, zobaczył leżące na chodniku ciało mężczyzny. Pernauld miał ochotę biec do radiowozu i jak najszybciej stąd odjechać. Kiedy obejrzał się, zobaczył twarze przechodniów, którzy gapili się na niego, oczekując reakcji.

– Widział pan?

Z radiowozu wyjrzał posterunkowy Vilford i wskazał na trupa. Gdyby nie to nieme pytanie, sierżant nadal patrzyłby na ludzi i zastanawiał się, czego od niego chcą. Sięgnął do kabury po broń. Tylko po co? Nigdy nie była naładowana. Wybiegł na ulicę.

– Widział pan? Tam, sierżancie – ktoś wskazał leżącego na chodniku trupa bez głowy.

– Wiem. – Wrzasnął, nie odwracając głowy. Kiedy podszedł do ciała, zemdlilo go. – Jezu Chryste – wyszeptał ze zgrozą. – Wezwij sąsiednie patrole. – Krzyknął do Vilforda. – Niech natychmiast przyjeżdżają.

Głowa leżała z metr od ciała. Gapiła się na sierżanta wybałuszonymi oczami, a otwarte usta zdawały się pytać: „Widział pan?” Przerażony policjant spojrzął na budynek. Na poddaszu ujrzał wybite okno i szarpane przez wiatr resztki zasłon.

– Ale go urządzili – dobiegł doń podniecony głos młodego posterunkowego, który wyszedł z radiowozu i stanął mu za plecami. A potem ruszył biegiem w kierunku klatki schodowej, zanim sierżant zdołał go zatrzymać

Chciał krzyknąć, by wracał, ale idiota wbiegł już do budynku. Ruszył za nim tak szybko, jak pozwalał na to brzuch rozsadzający mundur.

– CO TERAZ? – Anna dostrzegła na ulicy pochylającego się nad ciałem policjanta. Cofnęła się, gdy tamten podnosił głowę.

– Poczekamy tu na nich. – Głos Andrzeja był dziwnie obojętny.

– Przecież... – Anna rozejrzała się przerażona dokoła.

– Stąd nie ma innego wyjścia.

Na schodach rozległ się tupot butów. Andrzej chwycił leżący na podłodze pistolet. Anna schowała się w kuchni.

Do pokoju pierwszy wdarł się młody posterunkowy.

– Stać, policja – krzyknął, omiatając pokój pistoletem.

Uderzony kolbą w głowę, upadł nieprzytomny na podłogę. Andrzej przyłożył pistolet do jego skroni. W progu stanął zasapany sierżant z opuszczoną bronią. Andrzej dostrzegł w jego oczach strach.

– Rzuć broń.

Andrzej akcentował każdą sylabę, wypowiadając słowa powoli i wyraźnie.

– Powiedziałem, rzuć. – Odcinając kurek, trącił końcem lufy skroń posterunkowego. – Chyba nie chcesz mieć na sumieniu tego dzieciaka?

Policjant posłuchał. Rewolwer prześliznął się po podłodze w jego stronę. Andrzej podniósł go i dopiero teraz dostrzegł, że w bębunku colta nie ma naboju.

– Zostańcie w tym pokoju – nakazał Andrzej.

Grubasek kiwnął szybko głową, że zrobi jak mu kazano.

Andrzej zawołał Annę, a potem pociągnął ją za sobą. Zamknął drzwi mieszkania na klucz. Zbiegli po schodach. Kiedy znaleźli się na dworze, usłyszeli odległe sygnały radiowozów policyjnych. Stojący na chodniku ludzie uciekli do kawiarni i najbliższej bramy.

Andrzej wskazał na citroena, z którego na chwilę wyszedł kierowca. Pociągnął za sobą Annę na drugą stronę jezdni. Wskoczył za kierownicę. A kiedy Anna usiadła obok, ruszył z piskiem opon.

PRZY PISUARACH stało kilku nieogolonych mężczyzn w poplamionych płaszczach, skulonych nad papierosami. Dym z marihuany mieszał się z przenikliwym zapachem moczu i środków dezynfekujących. Zza zamkniętych drzwi kabin dolatywała kłótnia na temat seksu.

Przy wejściu dwójka Murzynów wymieniała uściski dłoni z przychodzącymi klientami, przekazując w ten sposób fiolki z kokainą. Obok nich, nie zważając na przechodniów, stał nastolatek. Kłął na cały głos, gdyż poparzył sobie palce, próbując zapalić trawkę w szklanej fajce.

Za oknami dworca zapadał wieczór. W głównej hali strumień podróżnych omijał łukiem nieprzytomnego mężczyznę, który leżał w kałuży własnego moczu.

Andrzej szedł w kierunku ławek. Anna trzymała się tuż za nim. Była spięta. W pewnej chwili odskoczyła na bok przestraszona, gdy zza filaru wyszedł dwunastolatek i szeptem zaproponował usługi seksualne w zamian za sto franków.

– Gdzie jesteśmy? – Anna szarpnęła za rękaw idącego przodem.

– Międzynarodowy Dworzec Paris–Gellien. To schizofreniczny świat najruchliwszego przystanku autobusowego Europy. Mam nadzieję, że znajdziemy spokojne miejsce. Jestem zmęczony i chciałbym odpocząć.

Anna po raz kolejny rozejrzała się z uwagą. Dawna pewność siebie znikła z jej twarzy. Przez cały czas była spięta i gotowa, żeby rzucić się do ucieczki.

Choć dworzec zamykano za godzinę, na kilka minut przed dwudziestą drugą hala główna wciąż była pełna ludzi. Niezbyt jaskrawo oświetlone matowe posadzki, bary, kasy biletowe, kantor, prospekty reklamowe, wyjścia w kierunku autobusów, metra oraz taksówek i rozświetlone witryny sklepów powodowały, że wewnątrz gmachu przypominało olbrzymi kombinat handlowy. Kilkudziesięciu młodych mężczyzn, ubranych w czerwone kombinezony, mieszało się z podróżnymi, próbując utrzymać jako taki porządek.

Usiedli na ławce. Andrzej wyciągnął przed siebie zmęczone nogi. Spoglądał obojętnie na takich jak on obdartusów. Kilku z nich stało

przed sklepem Zaro's Baguette, gdzie kelnerka w kusym fartuszkę rozdawała gratisowe ciastka na spróbowanie. Promocja słodczy z pewnością miała sens, ale nie w takim miejscu. Ze sztucznego uśmiechu dziewczyny Andrzej wywnioskował, że najchętniej uciekłyby do domu i ukryła się w piwnicy.

Andrzej zamknął oczy. Próbował odgrodzić się myślami od otaczającego harmidru.

Ostatnie dwie noce spędzili w walących się ruderach, gdzie żyją pospół mużułmańscy i żydowski nędzarze. Dom, w którym się zatrzymali, podobnie jak sąsiednie budynki, znaczony był na murach śladami ognia. Przy wejściu na spaloną klatkę schodową przeczytali wymalowany na chodniku napis: „Budynek zagrożony. Zachowaj ostrożność podczas akcji przeciwpożarowej”.

Na parterze znaleźli ocalały pokój. Anna już nie pytała, dlaczego właśnie tu przyszli. Od momentu ucieczki z mieszkania, gdzie próbowano ich zabić, wypowiedziała zaledwie kilka słów. Ukradzionego citroena porzucili kilkanaście ulic dalej.

O północy do pokoju, w którym spali, wszedł włóczęga. Nie zważając na leżących pod ścianą, narzucił na siebie jutowe worki i zasnął.

O drugiej w nocy obudził ich sygnał straży pożarnej. Pokój, w którym spali, wypełniał dym. Palił się dom po przeciwnej stronie ulicy. Kiedy wybiegli na dwór, zobaczyli, jak strażacy wyciągają z ognia zwęglone zwłoki.

– Mówiłam staremu durniowi, żeby nie palił ogniska na klepce.

Stara tykowata Żydówka, okrecona w duży męski prochowiec, patrzyła obojętnie na trupa.

– On to zrobił celowo? – zagadnęła druga.

– Jesteś głupia. Wczoraj Lejzor dostał robotę. Obiecali mu piętnaście franków na godzinę. Po co miałyby podpalać chałupę?

Na odgłos nadjeżdżających radiowozów mieszkańcy zniknęli w ciemnych klatkach schodowych i na ulicy pozostali jedynie strażacy.

Tak było wczoraj.

Na dworcu autobusowym panował hałas. Ktoś kogoś wołał. Dziecko głośno płakało. Pijak wymyślał przekleństwa na cały świat i pustą butelkę.

Anna zerknęła na śpiącego obok Andrzeja. A może tylko udawał? Wsłuchiwała się w jego miarowy oddech. Nie, z pewnością spał. Wstała z miejsca i ruszyła przez halę w stronę znajdujących się po drugiej stronie automatów. Wrzuciła monetę i podniosła słuchawkę. Wykręciła numer telefonu domowego Heleny.

– Dzień dobry, czym mogę służyć?

Męski głos, który odezwał się w słuchawce był cukierkowato miły. Nie należał jednak do nikogo z ludzi bywających u Heleny.

– Chciałabym rozmawiać z Madame Helen – zdołała w końcu wydusić.

– Przepraszam, ale nie ma jej w domu. Z kim mam przyjemność rozmawiać?

– A ty kim jesteś?

Chciała jeszcze o coś spytać, ale przezornie rzuciła słuchawkę na widełki. Przypomniała sobie słowa Andrzeja o możliwości namierzenia przez telefon.

Dwa dni temu również zadzwoniła do Heleny. Odebrał inny mężczyzna o równie słodkim głosie. Czyżby z dziewczynami stało się coś niedobrego?

Zerknęła na starte noski niegdyś białych pantofli. Miała na sobie flanelową sukienkę, która przypominała rozciągnięty i sprany worek. Na ramiona zarzuciła kolorową chustę. Włosy spięła w niewielki kok. Nic, tylko wziąć do ręki karty i zacząć wróżyć.

Wróciła na ławkę, na której spał Andrzej. Kiedy siadała, mruknął coś niewyraźnie. Przymknęła powieki. Ona również była senna. Nie mogła jednak usnąć. Bała się, a jednocześnie od kilku godzin męczyły ją nudności. Papieros już nie pomógł. Co teraz? Czy powinna powiedzieć

Andrzejowi, że będzie ojcem? Cholera, dlaczego właśnie teraz wszystko musi wywracać się do góry nogami...

Andrzej otworzył oczy, czując, że ktoś kopnął go w podeszwę buta. Znowu był na dworcu autobusowym. Przed nim stał barczysty Latynos.

– To miejsce jest moje.

Przebudzony ze snu, dopiero po chwili jako tako doszedł do siebie, żeby zrozumieć, czego tamten od niego chce.

– Słyszałeś?

Chłopak musiał być na haju, gdyż wzrok miał mętny. Anna poderwała się z ławki, ustępując swojego miejsca.

– Ty siedz na dupie. Mówiłem do niego.

Tym razem kopnięcie było mocniejsze. Najwyraźniej młody szukał zaczepki.

Andrzej zwolnił sprężynę i bagnet skoczył do przodu. Nim wystrzelił w powietrze, Andrzej zacisnął na rękojeści bagnetu palce. Pochylony nad nim Latynos dostrzegł błysk ostrza, które dotykało jego krocza. Andrzej chwycił zwisającą tamtemu z szyi brudną chustkę.

– Chciałeś czegoś?

Młody odskoczył do tyłu, obrócił się na pięcie i przepadł w tłumie. Wystraszona Anna nadal stała przy ławce, nie bardzo wiedząc, co powinna zrobić.

– Nie stój tak, siadaj – klepnął otwartą dłońią w ławkę. – Odpocznij.

– Hej, wasze zdrowie – na ławce na wprost usiadł włóczęga, który pociągnął tęgi łyk z torby, z której wystawała szyjka butelki od wina. – Po raz pierwszy widzę, jak ktoś popędził kota temu skurwielowi. Chcecie coś na wzmocnienie? – Wyciągnął w ich kierunku drugą flaszkę. – Pijcie do dna.

Andrzej wziął butelkę i podał ją Annie.

– Łyknij, młode beaujolais dobrze ci zrobi. – Zerknął na włóczęgę. – Skąd jesteś?

– Z Reims.

– Co cię przygnało na dworzec?

– Czekam na autobus do domu.

W oczach Andrzeja błysnęło skupienie.

– O której odjazd?

Twarz włóczęgi również spoważniała.

– Myślałem o kursie na Thias. Nie chcę przegapić swojej kolejki.

– Tak ci tam spieszno?

Zapadła cisza, jakby nieznanomemu odechciało się rozmawiać.

– Znasz Thias?

Anna uczyniła przeczący ruch głową.

– Kiedyś spędziłem tam kilka dobrych lat. – Andrzej rzucił od niechcenia.

– Masz rację. Dają jeść. Praca jest na świeżym powietrzu. Życie nie umierać.

Anna nie piła. Andrzej pociągnął długi łyk z butelki.

– Kiedy będziesz w Thias – Andrzej nadal patrzył z uwagą na włóczęgę – zajmij jedno miejsce dla nas w Ogrodach Braterstwa. Na wschodnim krańcu.

– Wolę północny.

Hasło zostało dopowiedziane do końca.

– No, na mnie już pora. Nieźle się gawędziło. Może moglibyśmy nawet zostać kumplami? – Włóczęga sięgnął po parcianą torbę. – Macie. Wewnątrz są jeszcze dwie flaszki. Przydadzą się wam na noc.

Wstał i śmiesznie podrygując, odszedł. Przez cały czas Andrzej nie spuszczał z niego wzroku.

– To jakiś wariat. – Głos Anny był niepewny.

– Kto? – Andrzej wstał z ławki i pociągnął ją za sobą.

– Ten, z którym rozmawiałeś. O czym on bredził?

– Na podparyskim Thias, w zbiorowych mogiłach, chowani są bezdomni Paryża. Między czterdziestą ósmą a pięćdziesiątą piątą kwaterą władze utworzyły „Jardins de la Fraternite”.

– Ogrody Braterstwa.

– Właśnie – pociągnął ja za rękę.

Wyszli z dworca autobusowego i stanęli na ulicy. Andrzej otworzył torbę. Wyjął kilka zapisanych kartek papieru i gruby zwitek stufrankowych banknotów. Anna zrobiła duże oczy.

– Więc po to dzwoniłeś dzisiejszego ranka?

Andrzej spojrział na ciemną bryłę dworca.

– Ten facet naprawdę chciał się z nami zaprzyjaźnić. – Słowa te wypowiedział z wielką ulgą.

JEAN WSZEDŁ do pokoju i trzasnął za sobą drzwiami. Potem rzucił na biurko zdjęcie nieboszczyka, na którym było wyraźnie widać jego twarz. Maurice wychylił się zza ekranu komputerowego.

– Wygląda znajomo – mruknął.

– To nasz Dalmatyńczyk – Jean przysunął sobie nogą krzesło. – Dzisiaj rano Grecy wrzucili fotę do informacji dziennej o wydarzeniach kryminalnych w kraju z dnia poprzedniego.

– Gdzie zginął?

– W Kolchiko, na jakimś zadupiu. To na bank nasz Geen Daar. Wyobraź sobie, że truposz miał brata bliźniaka, który... , uwaga, zginął w Paryżu.

Marc wyprostował się na krześle.

– Nie pierdol.

– A jednak. Jest lepiej. Ten tu przywiózł w trumnie ciało brata. A na pogrzebie wybuchła bomba. Dosłownie. Rozniosło wszystkich. Stawiam flaszkę, że nie zgadniesz, gdzie był semtex.



Marc zmarszczył brwi.

– Nie mów, że w truposzu.

Jean prychnął.

– Farciarz. Tak. Z brata Dalmatyńczyka nic nie zostało. Wojna gangów w pełnym rozkwicie.

Przez chwilę milczeli.

– To znaczy – mruknął Marc – że sierżant wcisnął nam kit z tym portretem pamięciowym.

– Trzeba będzie z nim o tym pogadać – Jean zerknął na ekran komputera, na którym kumpel właśnie rozgrywał partię pokera. Chwilę przyglądał się rozdaniu i mruknął. – Ja to już bym nie dobierał więcej kart. I trzeba odwołać polowanie na tamtego faceta. Ciekawe, czym podpadł sierżantowi.

GILBERT NURRO usiadł za kierownicą i zatrzasnął za sobą drzwiczki forda. Z tyłu siedział Lombardi. Brama odchyliła stalowe skrzydło. Znaleźli się za murami więzienia.

– Chcesz coś posłuchać? – Adwokat spojrział w lusterko wsteczne, a potem na odtwarzacz. – Wziąłem twoją ukochaną Aidę.

– Chcę popatrzeć w spokoju przez okno.

– Nic się nie zmieniło.

– A mówiłeś – Lombardi wygiął drwiąco usta – że Kardynał i Arnauld nie żyją.

Dwadzieścia minut później dojechali na paryskie przedmieścia. Wykręcili w stronę 13 dzielnicy. Kiedy samochód skręcił w Avenue de Verdun, za autem pojawiły się dwa motocykle. Na każdym siedziało po dwóch mężczyzn, ubranych w ciemne kombinezony. Nałożone na głowy czarne kaski zakrywały twarze.

Gdy auto dojeżdżało do skrzyżowania z Rue Charles Leroy, motocykliści dodali gazu i po chwili oba jednoślady jechały po lewej stronie forda.

Nieoczekiwanie siedzący na tylnych siodełkach wyjęli z plecaków karabiny maszynowe. Zarepetowali Uzi i otworzyli ogień. W jednej sekundzie pociski strzaskały szyby. Kule rozwalily pół twarzy adwokata. Uderzona kilkudziesięcioma pociskami głowa rozprysnęła się na boki w krwawej miazdze. Martwy Nurro upadł na kierownicę. Wystrzeliła z niej poduszka powietrzna, która bezgłowy korpus docisnęła do fotela.

Lombardi próbował rzucić się między tylną kanapę a przednie fotele. Seria z automatu przecięła skórzane siedzenia. Jeden z pocisków przeorał mu plecy. Miał wrażenie, jakby oznakowano go rozpalonym żelazem. Drugi pocisk przeciął policzek i zmiażdżył żuchwę.

Samochodem zarzuciło na jezdni. Ford uderzył bokiem w jadącego po lewej stronie peugeotu. Siedząca za kierownicą kobieta nie zdążyła odbić. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Pozbawiony kierowcy samochód zatańczył na środku jezdni. Wystrzeliwując ostatnie kule z magazynków, motocykliści odskoczyli do przodu.

Auto raptownie skręciło i uderzyło w uliczną budkę telefoniczną. Wybuchł podziurawiony bak. W górę strzelił ognisty słup ognia.

## Rozdział 18

Anna stała w pustym pokoju. Usłyszała chlupot wody. Spojrzała na nogi. Tkwiły zagłębione po kolana w mętnym dymie. Plusk umilkł i zapadła absolutna cisza. Niemniej wszystko, co ją otaczało, tętniło utajnionym życiem. Gdzie jest?

Usłyszała kroki i głosy. Nadchodził ten lisią twarzą i jego kumpel. Tak, to oni. Więc żyją? Strach zjeżył jej włosy. Chciała zawołać Andrzeja, ale lepka cisza wlała jej się do gardła. Musi uciekać. Z trudem wyciągnęła prawą nogę z kleistego dymu. Zrobiła krok. Choć głosy były coraz wyraźniejsze, nie potrafiła rozróżnić, o czym mówią. Wyszarpując nogi z niewidzialnego błota, dotarła do drzwi. Otworzyła je, przekroczyła próg i zatrzasnęła za sobą.

– Ktoś tu jest?

Zimny pot spłynął jej wzdłuż kręgosłupa.

– Poświeć.

Anna obudziła się. Oslepił ją snop światła latarki. Kiedy osłoniła dłonią oczy, zobaczyła wycelowany w nią pistolet. Leżący obok na podłodze Andrzej sennie zaklął pod nosem. Czyjeś dłonie chwyciły ją za kurtkę. Poderwała się na nogi.

– Ruszaj się.

Policjant pchnął ją na ścianę i kazał podnieść ręce do góry. Senne majaki spotęgowały przerażenie. Została dokładnie przeszukana.

– Czysta.

Anna obróciła nieznacznie głowę w bok.

– Czego chcecie? – zdołała w końcu wydusić z siebie.

– Zamknij się.

Wyprowadzono ich na ulicę. Nad rozwalonymi ruderami unosiła się czerwona łuna. Tej nocy, jak każdej innej, płonął kolejny dom.

– Do środka.

Wepchnięto ich do radiowozu. Policjant usiadł za kierownicą i sięgnął po mikrofon radiostacji.

– Dwunastka do centrali.

– Słucham.

– Mamy dwoje włóczęgów. Może coś wiedzą o podpalaczach.

– Dawaj ich do komisariatu.

Anna wczepiła palce w dzielącą ich od policjantów siatkę.

– Nie jesteśmy żadnymi włóczęgami. To pomyłka.

– Stul pysk.

Kiedy radiowóz ruszył, Andrzej zamknął oczy. Co teraz powinien zrobić? Cały świat zwałił mu się na głowę. Przed Anną próbował grać rolę opanowanego, żeby uwierzyła, że jeszcze nad wszystkim panuje, wie, rozumie. Jakaś niewidzialna dłoń strąciła go w czarną dziurę, a widniejące w oddali wyjście zamykało się tym gwałtowniej, im szybciej biegł w jego kierunku.

Nie zamierzał Amerykanom oddawać archiwum. Chciał wykorzystać do końca istniejący między nimi układ – odegrać rolę kogoś zainteresowanego tylko pieniędzmi. Potem miała być rozprawa z Sulimowiczem. Za pieniądze, które dostał, zwłaszcza od Amerykanów, zamierzał z Anną pojechać w świat, gdzie nikt by ich nie znalazł. Wróc – gdzie nikt już nie chciałby ich szukać. Kiedy jednak policja francuska rozpoczęła na nich polowanie, wszystkie dotychczasowe plany zawaliły się.

Co się stało? Gdzie popełnił błąd? A może to po prostu jakiś cholerny pech? Sygnał od losu, że mu się nie należy? Że nie zasługuje na spokój i szczęście u boku kobiety? Jebać to. Nie zamierzał się poddać. Tylko, co teraz?

Nieoczekiwanie samochodem zarzuciło na mokrej nawierzchni. Kierowca jechał za szybko, a zarazem zbyt ciasno chciał ściąć łuk jezdni. Radiowóz zatańczył na ulicy, obrócił się wokół osi dwa razy i uderzył bokiem w latarnię.

Anna krzyknęła wystraszona. Przyciągnął ją do siebie, by chronić w chwili ewentualnej przewrotki na dach. Na szczęście pozostali na kołach. Auto poleciało na pojemniki ze śmieciami, oczekujące na skraju chodnika na śmieciarkę.

Zamek drzwi po stronie Andrzeja puścił z nieprzyjemnym zgrzytem. Kiedy radiowóz zatrzymał się, wyskoczył na zewnątrz. Otworzył drzwi od strony kierowcy i wyciągnął policjanta na jezdnię. Ten próbował sięgnąć do kabury, ale Andrzej był szybszy. Wyszarpnął glocka i uderzył rękojęścią pistoletu policjanta w skroń. Sekundę później poderwał się na nogi i wycelował w drugiego gliniarza. Ale ten, nieprzytomny, leżał na siedzeniu, z rozciętej skroni płynęła krew.

– Aniu – krzyknął, przerażony, widząc puste siedzenie z tyłu. – Aneczko, gdzie...

– Jestem – jej głos doleciał do niego zza pleców.

– DO WSZYSTKICH radiowozów operujących w sektorach dziewięć, osiem, siedem i dziesięć. Uwaga, załoga radiowozu sto siedemdziesiąt siedem miała wypadek. Policjanci przewozili świadków. Mamy informacje, że zatrzymani porwali inny samochód. Ford koloru bordo o numerach rejestracyjnych NAV 097K.

– Chciałbym tych włóczęgów dostać w swoje ręce – sapnął Długi Gaston.

Pięć minut później policjanci dostrzegli powoli jadącego ulicą bordowego forda, którego numery rejestracyjne były zgodne z podanymi przez radiostację.

– Powiadom sąsiednie patrole. – Patrick dodał gazu. Na dachu radiowozu zapłonęły pulsujące światła i zawyła policyjna syrena.

– Siódemka do centrali. Trafiliśmy na poszukiwane auto. Wewnątrz siedzi kobieta i mężczyzna. Podejmujemy pościg. Jedziemy w stronę Mostu Aleksandra.

– Kieruję w twój rejon wszystkie sąsiednie patrole. Nie podejmuj żadnych akcji. Uciekinierzy są uzbrojeni. Jak mnie usłyszałeś? Odbiór.

– MAJĄ NAS. – Anna się obejrzała. – Zaraz będzie za nami dziesięć radiowozów.

– Ale jeszcze ich nie ma.

Na najbliższym skrzyżowaniu wdepnął gaz do dechy. Równocześnie raptownie wykręcił w bok. Tył forda zawadził o nadjeżdżający z przeciwka samochód. Usłyszeli zgrzyt rozrywanej blachy. Zgubili tylny zderzak. Jechali pod prąd.auta z przeraźliwym dźwiękiem klaksonów umykały na boki. Kilka razy prawie doszło do czołowego zderzenia. Andrzej zobaczył za szybami przestraszone twarze kierowców. Otwarte w krzyku usta. Przerazone oczy. Był pewien, że sam wygląda równie idiotycznie.

– Zaraz powinniśmy być na miejscu – krzyknął.

Wykręcił w jedną z ulic. Przejechał ją na pełnym gazie. Przez cały czas słyszał z tyłu zawodzenie policyjnej syreny. Ponowny skręt. Kolejna przecznica. Gaz do dechy. Z opon poszedł dym.

Byli na placu budowy. Niespodziewanie wyrosła przed nimi drewniana brama. Ford rozniósł ją w drzazgi. W świetle reflektorów zobaczyli betonową drogę. Na jej końcu widać było dwunastopiętrowy garaż.

W rozpędzie wjechali na betonowy ślimak. Posypały się iskry. Samochód podbiło na występie.

– Zwolnij! – Krzyknęła Anna, widząc, jak bok auta trze o ścianę ślimaka.

Andrzej dodał gazu. W lusterku wstecznym zobaczył światła radiowozu. Nie zważał, że wozem niebezpiecznie rzuca na boki. Wcisnął gaz do dechy.

W podziemiach tego budynku nocowali przed dwoma dniami. Andrzej zapamiętał, że garaż składał się z dwóch przylegających do siebie piętrowców. Te, pod koniec budowy, miały być połączone na szczycie przejazdem.

Wjechali na ostatnie piętro. Andrzej chwycił mocno kierownicę. Przyspieszył. Auto zawyło na najwyższych obrotach. Z opon poszedł dym. Ford skoczył do przodu na krótkiej prostej. Sekundę później

betonowa droga raptownie urwała się pod kołami. Samochód z rykiem silnika wystrzelił nad przepaścią. Po krótkim locie uderzył z łomotem o zjazd po drugiej stronie.

Autem rzuciło na stalowe bariery. Zgrzytnęła blacha. Przednie światła prysnęły na boki. Rzucani z prawa na lewo, niczym na torze bobslejowym, zaczęli pędzić ślimakiem w dół.

ŚCIGAJĄCY RADIOWÓZ nie miał takiej szybkości, a kierowca widząc przepaść, wcisnął gwałtownie pedał hamulca. Zapiszczały opony. Samochód jeszcze toczył się do przodu, aż stanął, zabujał się i zawisł przednimi kołami nad przepaścią.

– Matko przenajświętsza – Długi Gaston przeżegnał się – ten skurwysyn o mało nas nie zabił.

– Centrala woła Siódemkę – w głośnikach rozległo się wołanie dyżurnego komendy. – Gdzie, do cholery, jesteście? Odbiór.

Żaden z policjantów nie próbował wyciągnąć dłoni po mikrofon radiostacji.

– Centrala woła Siódemkę.

Obaj spojrzeli tylko na siebie i równocześnie wyskoczyli na zewnątrz. Kiedy przewrócili się na plecy, zobaczyli, jak samochód powoli przechyla się i ze skrzypieniem trącej o beton blachy wali się w ciemną przepaść.

ANDRZEJ I ANNA porzucili forda przy wyjeździe z garażu. Ruszyli biegiem przez plac budowy.

– Dokąd teraz? – Anna była zdyszana. Przecisnęli się przez dziurę w siatce płotu. Kiedy byli na chodniku, zwolnili. Przy końcu ulicy dostrzegli zaparkowaną taksówkę, która czekała na klienta.

Kiedy wskoczyli do środka, kierowca czytał gazetę. Chciał krzyknąć, ale cios w kark odebrał mu świadomość. Andrzej przerzucił nieprzytomnego na siedzenie obok. Włączył starter. Po przejechaniu kilkuset metrów, zatrzymał się i wyciągnął taksówkarza na chodnik.

– Gdzie jedziemy? – Anna starła pot z czoła.

Andrzej uśmiechnął się zimno.

– W tym mieście zostało nam tylko jedno bezpieczne miejsce.

Dom stał na końcu cichej uliczki, samotny, dwupiętrowy, otoczony niewysokim murem, za którym był niewielki ogród. Na jego środku szemrała mała fontanna.

Do środka dostali się przez wybite przez Andrzeja okno w piwnicy.

– Czyj to dom? – Anna zaczęła rozglądać się niepewnie na boki.

– Przyjaciela.

– Nie wszyscy twoi znajomi mi się podobają.

ANDRZEJ SIEDZIAŁ w fotelu, trzymając gazetę w dłoniach. Na pierwszej stronie widniał wytłuszczony dużym tekstem nagłówek: „Wojny gangów narkotykowych ciąg dalszy”. Dalej dziennikarz opisywał zabójstwo Gasparda Lombardiego, mafiosa, który był księgowym Kardynała. Zza drzwi łazienki dobiegał plusk wody. Anna brała kąpiel. Uśmiechnął się, wyobraziwszy sobie jej ciało. Miękkie, jędrne. Jej piersi...

Zmarszczył brwi.

Hm...

Jej piersi były miękkie i o większe niż poprzednio. Ona sama również jakby przybrała na wadze. W biodrach stała się pełniejsza i pachniała jakoś tak...

Przypomniały mu się pytania Heleny. Rzeczywiście, ostatnio nie widział Anny w spodniach, choć uwielbiała je nosić.

I nagle go olśniło. Tak prawdziwie, do szpiku kości.

Kretyn. Miał przed sobą wszystkie podpowiedzi. Pytania Heleny. Ciało Anny. Jej poranne rozdrażnienie. No i ta ulotka, która wypadła z rzeczy Anny, kiedy pakował je do walizki. Dotyczyła testu ciążowego. Zdziwił się wtedy.



Zdziwił? Kretyn do potęgi.

O, cholera.

Była w ciąży. Z nim. Jego kochanie, jego najcudowniejsza dziewczyna...

Nasłuchiwał. Z łazienki nie dochodził żaden odgłos. Czyżby coś jej się stało?

Sekundę później jego uwagę przyciągnął chrobot klucza w zamku. W przedpokoju otworzyły się i zatrzasnęły drzwi wejściowe.

Secundus znieruchomiał, zaskoczony widokiem Andrzeja, który ruchem ręki powstrzymał go przed zapaleniem światła.

W łazience znów zaszumiała leżąca woda.

– Jestem ze swoją kobietą. – Andrzej zorientował się, że wciąż trzyma w dłoniach gazetę. Odrzucił ją na stolik. – Chyba nie masz nic przeciw?

– Dlaczego nie skorzystasz z kryjówki?

– Nie bardzo wierzę, że nikt o niej nie wie – odparł Leszczyński. – Samochód, który zostawiłeś z pieniędzmi był śledzony.

– I uważasz, że tu będziesz bezpieczny?

– Jasne. W końcu masz status dyplomaty. Poza tym na razie nie domyślają się, że mogłem być tak bezczelny i usadowić się pod samym światłem latarni, gdzie – dodał z przekąsem – podobno zawsze bywa najciemniej.

## Rozdział 19

Anna podciągnęła kołdrę pod brodę. Przez kotary do sypialni sączyło się światło poranka. Przymknęła oczy i zaczęła nasłuchiwać odgłosów, które dochodziły z pozostałej części mieszkania.

To dziwne, ale kiedy wczoraj przeskakiwali w samochodzie między betonowymi wieżowcami parkingu, nie czuła strachu. No, może w pierwszej chwili.

Kiedy dziś w nocy uchyliły się drzwi do sypialni, Anna natychmiast otworzyła oczy. W smudze padającego zza okna światła latarni dostrzegła postać Andrzeja. Zatrzymał się przy łóżku. Obserwowała go przez lekko rozchylone powieki.

Dłuższy czas przyglądał się jej z uwagą. Poczula się dziwnie, więc nie dała sygnału, że nie śpi. Poprawił kołdrę, która nieco zsunęła się na bok. Po czym położył się obok niej, objął i zasnął. Tak po prostu. Jak mąż od dwudziestu lat. Gdyby nie była zmęczona, dałaby mu za to popalić.

– Można? – W drzwiach pojawił się Andrzej. – Warto dzień zacząć od śniadania.

Poczula zapach smażonej jajecznicy. Podciągnęła się na poduszce, a on postawił tacę ze śniadaniem na jej kolanach.

– Jedz, bo wystygnie.

Obok talerzyka zobaczyła czerwoną różę.

– Dzień dobry – burknęła.

Jego oczy wyraziły nieme pytanie.

– Najpierw mówi się: „Dzień dobry”.

– Dzień dobry... – uśmiechnął się szeroko.

Wszedł z pokoju. Miała ochotę cisnąć za nim pantoflem. Wiedziała, dlaczego tak ją wkurzył. Zamiast śniadania wolałaby się z nim kochać.

Andrzej wrócił pół godziny później. Anna siedziała ubrana w fotelu i paliła papierosa.

– Palenie jest niezdrowe – Andrzej otworzył szerzej okno.

– Dotąd ci nie przeszkadzało.

Podszedł do niej, wyjął papierosa spomiędzy jej palców i zgasił w popielniczce. O dziwo, wcale jej to nie zezłościło. Pocałował ją w usta. Pachniał gorącą kawą i jej ulubioną wodą toaletową.

Dzień spędzili w domu, razem z Secundusem. Amerykanin był wściekły, że Polak próbuje wystawić go do wiatru.

– Przecież umawialiśmy się, że będziemy grali fair.

– No właśnie – Andrzej przytaknął głową. – Umawialiśmy się, ale ty nie dotrzymałeś swojego słowa.

– Kłamiesz. Grałem uczciwie. – Secundus potrząsnął gniewnie dłonią przykutą do kaloryfera.

Po obiedzie Andrzej wziął Annę za rękę, poszedł z nią do sypialni i zatrzaskał za nimi drzwi nogą.

– Może i mnie unieruchomisz kajdankami – mruknęła.

Pocałował ją delikatnie w czubek nosa.

– Mam już dosyć smęceń tego Jankesa.

Usiedli na łóżku.

– Co teraz? – spytała.

– Mogę przynieść dzisiejsze gazety i wtedy...

Nie dokończył. Objęła go ramieniem i zaczęła całować.

– Chciałam ci powiedzieć coś ważnego.

Spojrzała mu głęboko w oczy.

– Wiem – powiedział.

– Co wiesz?

– Będziemy mieli dziecko.

– Kto ci powiedział? – Anna zmarszczyła brwi. – Helena? Olga?

– Myślisz, że jestem jak inni faceci, którzy nie wiedzą, co się wokół nich dzieje?

– I co na to powiesz? – Anna spytała już bardziej miękko.

– Że kocham cię jeszcze mocniej i że mogą to być nawet trojaczki.

– Nie masz dla mnie litości?

– To może być groźne? – Przestraszył się.

– Otóż jesteś jak inni faceci... Ale i tak tylko ciebie kocham. – Rzuciła się na niego i zaczęła rozpinąć koszulę. – Jesteś tylko mój.

– Ja też nikomu nie zamierzam cię oddawać.

Niemal zerwał z niej sukienkę, bluzkę, rajstopy, a na koniec figi.

– Tylko byś spróbował. Zabiłabym.

Ściągnęła z niego koszulę, nie zważając na pękający materiał. Rozpięła pasek. Guzik zapinający górę spodni. Suwak. Szarpnęła do dołu dzinsy.

– Ja najpierw zabiłbym jego.

Uklękła. Zerwała spodenki. Był jej. Należał tylko do niej.

Kłęcząc zamknęła dłonie na jego wyprężonych pośladkach.

Przyciągnął ją ku sobie.

Chryste, jak długo marzyła o tej chwili. Był tylko dla niej. Jedno jej dotknięcie wprawiało go w drżenie. Rozmyślnie dozowała pieszczoty. Czekał na nie, a ona się z nim droczyła. Opóźniała, to znów przyspieszała.

Okręcił wokół swojej dłoni jej włosy związane w koński ogon. Stopniowo coraz mocniej zaciskał dłonie na tym węźle. Nie dopuszczał do siebie.

Nie zważała na ból. Chciała dać mu rozkosz.

Kiedy zbliżał się już do kresu, odsunął się gwałtownie do tyłu.

– Dlaczego? – Była zawiedziona. – Chciałam, żebyś...

Nie pozwolił jej dokończyć. Uniósł na rękach. Znowu zaczęli się gwałtownie całować. Jej zęby niemal zmiażdżyły jego wargi. Oboje poczuli krew.

Rzucił ją na łóżko. Przygniótł sobą. Wyprężyła się pod nim mocno, czując jak traci oddech.

Był tylko dla niej.

Był tylko z nią.

Już tylko pragnął odebrać jej świadomość wszystkiego co ich otacza. Podrzeć świat niczym gazetę. Podrzeć i rozrzucić dokoła.

Czuła jego narastające pragnienie i coraz bardziej gorący oddech na ramionach. Wszedł w nią gwałtownie, pozbawiając tchu. Krzyknęła cicho i przywarła do niego jeszcze mocniej

Stali się jednością...

– Jesteś draniem.

– Kocham cię.

– Ja mocniej.

– Nie... To ja....

Prawie doszła do granicy barw, które rozprysły się na boki, zalewając świat purpurą, błękitem, zielenią i rozsypującym się złotem...

Zobaczył to w jej oczach, rozszerzających się źrenicach, odchylanych wargach ust, które ukazały jej ostre ząbki.

Wysunął się z niej równie gwałtownie, co wszedł. Zaczął całować usta. Brodę, Szyję. Ramiona.

Pragnęła go w sobie, żeby doszedł z nią do kresu drogi i żeby razem skoczyli w przepaść.

Był silniejszy.

Zsunął się do piersi. Zacisnął zęby na sutce.

Rozorała mu paznokciami plecy.

Chciała go tylko mieć dla siebie, w sobie, nosić pod sercem niczym ich nienarodzone dziecko.

Zsunął się pocałunkami do jej brzucha, potem jeszcze niżej. Zaczął pieścić językiem każdy załomek ud.

Wreszcie zastygła w bezruchu, ogłuszona falą rodzącej się rozkoszy. Przestraszyła się jej. Cofnęła gwałtownie na łóżku, próbując uniknąć jego gwałtowności. Był równie szybki co ona. Wszedł w nią językiem, pieszcząc zarazem opuszkami palców.

Ukryła twarz w poduszce i zaczęła rozdzierająco krzyżeć. Jej ciało rozsypało się na miliony atomów. Każdy z nich pragnął jego dotyku, ale i odrzucał go od siebie. Chciał, żeby zaprowadził go na granice bólu, a potem rozstrzelał ciszą spełnienia.

Zaczęła płakać, czując przenikające ją falami spazmy skurczów pochwy.

Odepchnęła od siebie jego głowę.

– Dosyć. Proszę. Umieram.

Zacisnęła mocno uda. Nie pozwoliła mu się dotykać... Uciekła w samotność, gdzie wiała się w spełnieniu. Drżała z gasnącej w niej rozkoszy przeplatanej gorącem i chłodem, które przeszywały jej ciało...

Andrzej leżał za jej plecami, odrzucony, ale szczęśliwy. Kiedy jej ciało przestało drżeć, zaczął delikatnie głaskać ją po plecach i całować w kark.

Potem leżeli wtuleni w siebie, a po ich ciałach krople potu płynęły niczym srebrne krople deszczu.

POLICYJNI AGENCI rozpakowali w samochodzie kanapki. Dochodziła druga w nocy. Ten przy kierownicy sięgnął po termos. W oknach willi, gdzie mieszkał Amerykanin, przed godziną zgasły światła. Co takiego interesującego mogło dziać się w środku, że kazano im pilnować Jankesa?

Częstując się kanapkami, nie zauważyli zamaskowanych mężczyzn, którzy stanęli obok ich auta. Drzwi z obu stron zostały gwałtownie otwarte. Obaj policjanci zostali wyciągnięci na zewnątrz i ogłuszeni ciosami w tył głowy. Trzymany przez kierowcę termos sparzył dłoń jednego z napastników. Ten syknął boleśnie: „Job twoju mać”.

Jeden z napastników wstrzyknął coś policjantom. Ciała francuskich wywiadowców zwiotczały. Napastnicy bez słowa ponownie umieścili policjantów w samochodzie. Teraz wyglądało, jakby zmęczeni nocnym pijaństwem przysnęli w aucie, przed wejściem do własnego domu.

**PRZYKUTY DO KALORYFERA** Secundus otworzył gwałtownie oczy. Na tle okna, za którym świecił księżyc, zobaczył ciemną postać, która wśliznęła się do salonu. Czyżby Andrzej?

Poczuł ostry zapach byle jakiej wody kolońskiej. To nie był Polak.

Pomyślał o prawej dłoni, którą miał wolną.

Kiedy cień się nad nim pochylał, Secundus gwałtownie się przekręcił i z całej siły uderzył kolanem w kręgosłup napastnika. Coś chrupnęło. Zamaskowany drab krzyknął boleśnie i bezwładny zwałił się na pierś Secundusa.

Bolesny piorun przekuł mu żebra. Parzący war oblał go ukropem. Gwałtowny skurcz wyprężył ciało. Leżące na nim ciało powoli zsunęło się na podłogę. Wtedy zobaczył wbity w swą pierś bagnet. Chciał wyrwać go z piersi, ale stracił czucie w ramionach. Jednocześnie miał wrażenie, że coraz bardziej zanurza się w gotującym się ukropie.

W tym samym czasie dwa inne cienie pochylili się nad łóżkiem, w którym Andrzej spał przytulony do Anny.

## Czwartek, godzina 4.30

Obraz pokoju był rozmazany. Andrzej zacisnął powieki. Poczuł, jak po policzkach płyną mu łzy. Ponownie otworzył oczy. Zobaczył nieznajome twarze, zniekształcone, podobne do maszkar oglądanych w odbiciach luster cyrkowego gabinetu nieistniejących kształtów. Jakiś mężczyzna podał mu coś do wypicia. Z trudem przełknął płyn przez zaciśnięte gardło. Znowu zapadł w sen.

Kiedy ponownie odzyskał przytomność, zobaczył Annę.

– Jak się czujesz? – Spytała.

Pomogła mu usiąść na tapczanie.

– Jakbym pił przez ostatni tydzień.

Potaął dłonią pulsującą bólem skroń. Obok stały dwa fotele, niski stolik. W rogu telewizor. Nad nim, pod sufitem, dostrzegł kamerę. Rozległ się trzask otwieranego w drzwiach zamka. W progu pojawił się nieznajomy mężczyzna. Andrzej spojrzał na obcego ponuro.

– Możesz do mnie mówić towarzyszu Mikunin. Jestem... – zawahał się sekundę – przedstawicielem pewnej firmy, która zleciła mi reprezentowanie swoich interesów. Ale o tym porozmawiamy wieczorem, kiedy będziesz w lepszej formie. Dopiero jedenasta, więc macie czas dojść do siebie. Te drzwi prowadzą do łazienki – wskazał drzwi w lewej ścianie. Wanna ma opcję hydromasażu. Tamte – wskazał na przeciwległą ścianę – prowadzą do salonu. Zatem – rozejrzał się po pokoju – czujcie się jak u siebie.

Wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Szczęknął przekręcany w zamku klucz. W oknach były solidne kraty.

Anna podała mu ramię. Był osłabiony. Jeszcze miał zawroty głowy. Podeszedł powoli do okna. Rozpościerał się z niego widok na trawnik przecięty zwirową alejką, która kilkaset metrów dalej ginęła między drzewami parku. Otworzył okiennice. Wiatr lekko wzduął zasłony. Wokół panowała cisza.



– Gdzie jesteśmy?

Anna pomogła mu wrócić na tapczan.

– Nie wiem. Obudziłam się kilka minut przed tobą.

Andrzej sięgnął po szklankę i stojący nieopodal dzbanek. Chciało mu się pić.

– Jak się czujesz? – Spojrzał na nią zatroskanym wzrokiem.

– Pytasz o mnie, czy o dziecko?

– O ciebie.... To znaczy o was dwoje – poprawił się szybko.

– To dopiero któryś tydzień, spokojnie.

– Co z Secundusem?

– Nie widziałam go – Anna odpowiedziała niezbyt pewnym głosem.

Objął ją ramieniem i przytulił.

– Wszystko będzie dobrze – zapewnił, choć wcale tak nie myślał.

Spojrzał Annie w oczy. Z nocnych majaków niewiele pamiętał. To, co utkwilo mu w pamięci było twarzą ukochanej. Za każdym razem gdy widział ją w nieprzytomnym półśnie, przychodziło uspokojenie. Teraz w jej oczach zobaczył dziecięcą ufność, że potrafi ją obronić. O dziwo, zwolniło to pełną lęków galopadę myśli.

## Czwartek, godzina 14.20

Szczęknał zamek. W progu stanął służący, Japończyk.

- Towarzysz Mikunin zaprasza na obiad – uśmiechnął się zdawkowo.
- Zaraz będziemy gotowi – mruknął Andrzej.
- Poczekam na korytarzu.
- Zaprasza? – Anna prychnęła gniewnie.
- Rzeczywiście, dziwnie to brzmi.

Andrzej odłożył gazetę. Na pierwszej stronie widniała informacja o zabójstwie dwóch policjantów z Marsylii, którzy prowadzili śledztwo w sprawie zawodowego mordercy. Podobno ukrył się w Paryżu. Andrzej odniósł wrażenie, że chodziło im o niego. I że ktoś... ktoś się nim „zaopiekował”.

Wyszli na korytarz.

- Pozwolą państwo, że poprowadzę. – Japończyk ruszył przodem.

Zeszli na parter. Znaleźli się na dworze. Wszędzie towarzyszyły im owadzie oka kamer, których obiektywy obracały się za ich postaciami.

Wszystkie budynki posiadłości pobudowano na planie czworoboku z kamiennym patio pośrodku. Andrzej dostrzegł, że dach jednego z nich wieńczyły wycelowane w niebo cztery talerze anten satelitarnych.

Weszli do holu wyłożonego ciemnym marmurem i skręcili w boczny korytarz. Zatrzymali się przed drzwiami, które były rzeźbione w dziwaczne wzory kwiatowe. Służący nacisnął klamkę i zaprosił do środka.

Jadalnia była duża. Na środku stał okrągły stół z trzema krzesłami. Całą podłogę przykrywał gruby wzorzysty dywan. W czterech rogach stały marmurowe kolumnienki, na których w lichtarzach paliły się świece. Pod sufitem płonął przytłumionym światłem kryształowy żyrandol. Żadnych mebli, tylko stół i wiszące na ścianach stare obrazy. Za stołem siedział Mikunin.

- Miło mi, że przyjęliście zaproszenie – wstał z miejsca.

– Mieliliśmy inny wybór? – zapytał Andrzej.

Mikunin zrobił minę, jakby usłyszał dobry kawał.

– Sytuację, w której się znaleźliście, rzeczywiście można nazwać... powiedzmy delikatnie, niezręczną. Nie oznacza to jednak, że mamy zapomnieć o dobrych manierach. Rakuro zaraz poda pierwsze danie. Na razie proponuję przekąski: wędliny, jajka po rosyjsku, ślimaki... Zapraszam. – Wskazał krzesła.

Mimo zachęty, ani Anna, ani Andrzej nie spojrzeli na stół.

– Rozumiem – Mikunin odchylił się na krzesle. – Uważacie, że powinienem wyjaśnić sytuację. Przyznam, że taka kolejność bardziej mi odpowiada. – Upił z kieliszka łyk wina. – Może jednak chociaż usiądziecie.

Andrzej odsunął jedno z krzesel i spojrział na Annę. Po chwili wahania podeszła. Usiedli obok siebie. Był ciekaw, jaką bajkę zaserwuje mu Rosjanin, żeby go przekonać, że to jemu powinni oddać mikrofiszę. Bo nie miał wątpliwości, że właśnie o nie chodzi.

– Jest pan inteligentnym człowiekiem, Andrzeju Piotrowiczu Leszczyński. – Mikunin znowu sięgnął po wino. – I jako taki, powinien zrozumieć, że ludzie chcą dostać to, za co zapłacili. To ja zamówiłem u generała Sulimowicza mikrofiszę, więc są moją własnością.

– Ale nie przypilnowaliście Siejki, który pracował dla GRU, waszego wywiadowczego konkurenta.

– Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni. – Mikunin machnął lekceważąco ręką.

– Złodziej próbował okraść złodzieja, nieładnie – zadrwił Andrzej. – Co stało się z majorem Siejką?

– Był złodziejem, to prawda, ale to jeszcze nie było aż tak straszną przewiną. Gorszą była próba wydojenia z pieniędzy nas i tych z wywiadu wojskowego. Dlatego trafił do zbiorowej mogiły na podparyskim Thias.

– Smutne – mruknął Andrzej.

Towarzysz Mikunin zlekceważył jego nieszczerzy żal.

– A jeśli chodzi o pańską uczciwość – Rosjanin skrzywił drwiąco usta – ona też pozostawia wiele do życzenia. Od Sulimowicza zażądał pan pięć milionów, lecz w zamian dał mu bezwartościowe kopie. Tak... doskonale o tym wiem – Mikunin znów uśmiechnął się, widząc mimowolnie drgnięcie ust Leszczyńskiego. – Sulimowicz wierzy, że te, które Konarski przekazał biskupowi są prawdziwe. Zawsze uważałem go za pyszałkowatego głupca. Ja chcę dostać oryginały i nie dam się oszukać. Amerykanie uwierzyli, że tobie zależy tylko na forsie. Nie można mieć o to do nich pretensji. To kapitaliści, którzy nigdy nie rozumieją słowiańskiej duszy. Ja nie dałem się nabrać. Zwłaszcza bardzo zainteresowały mnie wyniki badań, które ostatnio zrobiła twoja kobieta – skłonił się Annie. – Będziesz ojcem. Teraz musisz już martwić się nie tylko o nią, ale... Wolałbyś, żeby to był chłopiec czy córka?

– Naprawdę uważasz mnie za idiotę? – Andrzej również przeszedł na ty. – Nawet nie spytam, jakie dostaniemy gwarancje na przeżycie, jeśli oddamy mikrofiszę. Nawet twój oddech kłamie, a co dopiero słowa.

Z twarzy Mikunina znikł dobroduszny wyraz. Rysy wyostrzyły się, usta zacisnęły w bezlitosną podkówkę. Andrzej dostrzegł kątem oka, że Anna zacisnęła dłonie na kolanach. Bała się.

– Za tobą nikt nie stoi – Mikunin mówił powoli, jakby wypowiedzenie każdego słowa sprawiało mu przyjemność. – Amerykanie mają na uwadze tylko własny interes. Francuzi na ciebie polują. A Polacy? Dzięki naszej cichej podpowiedzi uznają za zdrajcę. Jesteś sam i nie masz żadnej karty przetargowej. Mikrofiszę są cenne, gdyż dają szansę na wygraną z Zachodem ważnej partii szachów. – Mikunin przechylił głowę na bok i przyjrzał się najpierw Andrzejowi, potem Annie. – A może dobijemy targu, który byłbyś skłonny zaakceptować? Wypuszczę twoją kobietę i dziecko, które nosi w łonie, a ty oddasz mikrofiszę. I jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, może wypuszczę i ciebie.

Andrzej poczuł, jak coś oślizgłego otacza jego żołądek. Siłą woli zmusił się, by nie spojrzeć na Annę.

– Nie zabijesz mnie? – Andrzej nie wierzył w ani jedno słowo Rosjanina.

– Na świecie tak mało jest prawdziwej miłości – Mikunin westchnął.  
– Dam ci dwa dni na zastanowienie się. Jeśli odmówisz, wtedy twoją kobietą zajmie się Rakuro. Wiedziałem, że Japończycy potrafią być okrutni, ale nigdy, że aż tak. Będziesz się wszystkiemu przyglądał. A ponieważ Rakuro jest mistrzem, będzie to trwało wiele dni.

Dwaj mężczyźni przez chwilę mocowali się wzrokiem.

Przez ostatnie godziny mózg Andrzeja pracował na najwyższych obrotach. Próbował ułożyć rozproszone fragmenty zbieranych ostatnio danych w jeden zrozumiały wzór. Sulimowicz był zdrajcą i chciał mikrofisz, żeby oddać je KGB. Amerykanie również kombinują, jak wejść w posiadanie tajnego archiwum. Może w ich drużynie gra MI-6 i wywiad francuski. Ale tylko oni przeczuwają, że za wszystkim kryje się o wiele groźniejsze niebezpieczeństwo. Według Sekundusa, którego przycisnął pierwszej nocy, zapalnikiem bomby atomowej był don Ramir i jego pola kokainy. Zaś Don Ramira wykreowało i sfinansowało KGB.

Niegdyś Armia Czerwona domaszerowała tylko do Berlina i Wiednia. Dziś czerwoni handlarze narkotyków bez trudu dotrą do Sztokholmu, Madrytu, Lizbony, Rzymu, przez Ateny aż po cypryjską Nikozję.

– Zatrudniliście don Ramira. – Andrzej starał się nadać głosowi swobodny ton – gdyż zamierzacie przejąć europejski rynek koki. Obecnie skupia on już ponad osiemdziesiąt procent uzależnionych od twardych narkotyków, czyli praktycznie cały rynek europejski. Tylko po co wam marionetki w Warszawie? – Mikunin milczał, zaś Andrzej musiał wiedzieć. – Sentymenty za ładem Stalina są wam obojętne. Mimo komunistycznych frazesów lepiej rozumiecie reguły biznesowej gry, niż kapitaliści. Poważnie zastanowię się nad twoją propozycją, jeśli powiesz, dlaczego? W końcu i tak mnie zabijesz.

Anna chwyciła go za dłoń. Czuł na sobie jej spanikowane spojrzenie, ale nie odrywał wzroku od towarzysza. Wreszcie w oczach Mikunina coś błysnęło. Rosjanin nagle się rozluźnił, jakby brał udział w spotkaniu towarzyskim. Andrzej był pewien, że właśnie zapadł na niego wyrok skazujący i powinien się czuć jak chodzący trup. Ale póki życia...

– Dobrze kombinujesz – powiedział Mikunin. – Firma, której interesy reprezentuję, chce przejąć udziały Syndykatu. Długo pracowaliśmy nad

tym, żeby tak właśnie się stało. – Zamilkł i zajął się zapalaniem cygara, które wziął ze stojącego na stole pudełka. W pomieszczeniu trwała pełna napięcia cisza. W końcu Mikunin podjął wyjaśnienia. – Pod koniec lat siedemdziesiątych moi przełożeni postanowili rozpocząć przygotowania do ostatecznej rozprawy z Zachodem. Jednak nie szykowaliśmy nowych bomb, samolotów, czołgów i dział. Postanowiliśmy zniszczyć przeciwnika tym, co go napędzało – konsumpcją. Akcja otrzymała kryptonim „Prometeusz”.

W mózgu Andrzeja rozpoczęła się lawina połączeń synaptycznych. Wszystko co do tego dnia słyszał: urywki zdań, informacji, przeczytanych wiadomości, niedopowiedzenia, wyłowione uchem półsłowa, zaczęły łączyć się ze sobą, uzupełniać i nawzajem wyjaśniać. Był jak w transie. Miał wrażenie, że biegnie korytarzem długiej galerii. Każdy z wiszących obrazów, oglądany osobno, nic nie znaczył. Połączone jednak razem...

– Chcesz powiedzieć, że kieruje wami dobro jedynie słusznego ustroju, a nie zwykła chciwość?

– Jak będziesz mi przerywał, niczego się nie dowiesz – stwierdził obojętnie Mikunin. – Kiedy władza polskich towarzyszy zaczęła się chylić ku upadkowi, dostrzegliśmy sposób, jak wygrać na odejściu Polski z bloku państw socjalistycznych. Skierowaliśmy zainteresowanie don Ramira na Polskę. Zainwestował u was duże pieniądze. Kiedy ostatecznie ustrój socjalistyczny się zawalił, przedsiębiorstwo don Ramira miało już swoją markę i wystarczającą ilość życzliwych, bo przekupionych urzędników. Ci zadbali, by w czasach transformacji firma wiodła spokojny żywot przez nikogo nie niepokojona. W tym samym czasie, gdy w Polsce don Ramir budował biznesową pozycję, w Ameryce Południowej wykupywaliśmy olbrzymie połacie nieużytków, na których rolnicy zaczęli sadzić krzaki koki. Przez pierwsze lata testowano rodzaje i miejsca upraw. – Mikunin zaciągnął się wonnym cygarem. – Dziś nasze plantacje są w stanie wyprodukować ilość kokainy potrzebną do zaspokojenia pięciokrotnej rocznej konsumpcji w całej Europie. I zapewniam, że nie powiedzieliśmy jeszcze ostatniego słowa.

– Należało tylko wysłać narkotyki na Zachód i rozdać chętnym za półdarmo. Inaczej mówiąc, zbić ceny używek tak, żeby stały się powszechnie dostępne. Wcześniej pokonaliście ostatnią przeszkodę, czyli narkotykowych bossów, z którymi, jak mi nie mam, dotąd mieliście przyjacielskie układy. Za kilka lat Zachód padnie przed wami na kolana. Wtedy, być może, zamkniecie go w obozach, gdzie dla wybranych wprowadzicie elementy terapii odwykowych. Do tego jednak czasu narkotyki przyniosą wam większe zyski niż eksport gazu i ropy naftowej. – W głowie Andrzeja wszystko ułożyło się w jeden klarowny obraz. – Musieliście jeszcze z Polski zrobić bazę wypadową. Należało ubezwłasnowolnić jej przyszłych przywódców, którzy dojdą do władzy. Archiwum i zgromadzone w nim informacje miały być do tego kluczem.

Do rozmowy włączyła się Anna: – Postanowiliście wykraść akta osobowe dawnych opozycjonistów z archiwum MSW.

Tym razem Mikunin skłonił przed nią głowę.

– Trafiłaś w sedno. Mając teczki, będziemy mieli każdego na smyczy. Jak widzisz, stawka jest duża i nie stać nas na przegraną. Dlatego będę oczekiwał, że pojedziemy do Banku Koëniga, gdzie otworzysz skrytkę i przekażesz nam oryginalne mikrofiszki. Policja i żandarmeria szaleją, więc musimy jakiś czas odczekać, aż na ulicach Paryża wszystko się uspokoi.

– Teoretycy komunizmu twierdzili, że byt określa świadomość. Niedługo inni dopiszą do tego parafrazę – narkotykowy byt określa świadomość.

– I nastawiona na zabawę młodzież. – Mikunin podjął słowa Andrzeja. – Plus skorumpowana zachodnia policja. Wyobraź sobie, że wkrótce niektórzy dziennikarze odkryją, że dwóch śledczych z Marsylii zabili paryscy antyterrorysty z Grupy Interwencyjnej Policji Narodowej. No i wreszcie Polska – kraj bohater walki z komunizmem, przez który wleje się na Zachód kokainowe tsunami. Miałaś rację, to lepszy biznes niż eksport ropy.

W progu stanął Japończyk. Przed sobą popychał stolik na kółkach. Mikunin pociągnął z lubością nosem.

– Co proponujesz na pierwsze danie? – spojrzał pytająco na Rakuro.

- Champignons à la crème.
- Wyśmienicie. Do tego najlepszy jest kieliszek maréchaux.
- Nie będę jadła – Anna wstała od stołu. – Chcę wrócić do pokoju.
- Jak sobie życzysz. Rakuro, odprowadź panią.

Anna wyszła z jadalni. Za nią podążył milczący Japończyk.

Andrzej odsunął talerz.

- Ty też nie jesteś głodny? – Mikunin udał zmartwionego.
- Widzę, że przez cały czas dobrze się bawisz – Andrzej miał zły wyraz twarzy.

– Nie rozumiesz mnie – Mikunin udał zaskoczonego. – Moi szefowie będą wam wiele zawdzięczać. Dlatego uważam, że na tyle, na ile to możliwe, że powinienem okazać wam rosyjską gościnność. Jeżeli nie chcesz jeść, to oprowadzę cię po posiadłości.

- Sądzisz, że może mnie to zainteresować?
- Chyba warto wiedzieć, że z tego miejsca nie ma ucieczki.



## Czwartek, godzina 17.50

Na dworze wiał lekki wiatr. Andrzej podniósł głowę.

– Przyznasz, że takiego nieba nie można zobaczyć nad Nowym Jorkiem. – Rosjanin westchnął głośno.

Ruszyli w kierunku lądowiska, na którym stał helikopter o dziwnym kształcie. Ich kroki głośno zadudniły na betonowej płycie.

– Wspaniała maszyna, zbudowana na bazie amerykańskiego Black Hawka. Rozpiętość głównego wirnika tylko 16.36 metra – Mikunin oparł dłoń na klamce drzwi. – To egzemplarz eksperymentalny. Ma najlepsze osiągi w swojej klasie. Wystarczy wsiąść i polecieć. Tej maszyny nikt nie pokona. Chcesz spróbować?

– Skąd wiesz, że umiem latać?

– Z twojego profilu osobowego wynika, że przeszedłeś szkolenia na kilku typach amerykańskich helikopterów. Byłeś najlepszym pilotem w grupie szkoleniowej. Po przerzuceniu do Stanów miałeś otworzyć szkołę pilotażu. Dobry sposób na werbunek ludzi, którzy mają dużo pieniędzy i dostęp do ciekawych informacji. Jednak twoja była żona chciała cię mieć na miejscu. Dlatego jej wysoko postawiony w MSW tatuś znalazł ci inną robotę.

Andrzej otworzył drzwiczki.

– Mogę? – wskazał naabinę.

– Nie krępuj się.

Andrzej wspiął się na stopień i usiadł za sterami. Spojrzał na Rosjanina, który osten-tacyjnie wcisnął dłoń w kieszenie spodni.

– Masz ochotę zapalić silnik – Mikunin sprawiał wrażenie rozbawionego całą sytuacją.

Włączył obwody. Zegary na tablicy rozdzielczej zapłonęły przyćmionym światłem. Wskaźnik paliwa pokazał pełne baki. Wcisnął starter, ale turbina nie ruszyła z miejsca. Wcisnął go powtórnie. Znowu cisza. Wysiadł z kabiny.

– Całą posiadłość strzeże elektroniczny system ochrony, sterowany przez komputer najnowszej generacji, Geniack. – Mikunin zatoczył łuk ręką – Dotąd wyprodukowano na świecie tylko trzy takie egzemplarze – wszystkie w ZSRR. Bez jego wiedzy i zgody na terenie posiadłości nic się nie wydarzy. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, co te dzisiejsze komputery potrafią. Na przykład helikopter wcale nie potrzebuje pilota. Wystarczy, by sterował nim Geniack, a doleci do każdego punktu na mapie Europy. Chodź...

Ruszyli w stronę skrzydła budynku, na którego dachu widniały anteny łączy satelitarnych. Na pierwszym piętrze weszli do dużej sali. Jedynym meblowaniem było tu kilka foteli lotniczych dosuniętych do komputerowych konsol. Na ścianach migotały monitory.

– Obecnie na terenie posiadłości są cztery osoby: was dwoje, ja i Rakuro. Gdyby czujniki zarejestrowały piątą, bądź ktoś z nas, założymy, znikł z pola widzenia Geniacka, natychmiast zostałby wszczęty alarm. Te przypadki nie są jednak możliwe. Geniack myśli, ocenia sytuację, kalkuluje każde posunięcie i jeśli zajdzie potrzeba, zniszczy obiekt, który próbowałby uciec z chronionej strefy. Jak widzisz, strzeże nas, nomen omen, geniusz.

– Raczej lepsza od innych maszyna – stwierdził Andrzej.

– Widzę, że nie bardzo mi wierzysz.

– Jeśli komputer jest tak doskonały jak mówisz, musi się śmiertelnie nudzić – prychnął drwiąco Andrzej. – Sam przyznasz, że sprowadzenie elektronicznego mózgu do roli stróża to niezbyt absorbujące zadanie.

– Z tego powodu do jego pamięci wprowadzono program „Hazard”.

– Geniack gra w ruletkę? – zaśmiał się Andrzej.

– Nie, ale zaczynam podejrzewać, że ma duszę hazardzisty. Tobie z pewnością ta zabawa przypadnie do gustu, przecież uwielbiasz gry komputerowe. To też wiem z twojego dossier. Usiądź.

Mikunin wskazał jeden z foteli, który stał przed olbrzymim ekranem. Wcisnął kilka klawiszy na konsoli.

– Proponuję na początek grę „Ucieczka”.

Na ekranie zobaczyli trójwymiarowy realistyczny obraz posiadłości, widziany z góry. Na dziedzińcu ukazał się fantom – sylwetka mężczyzny.

– To jesteś ty – Mikunin usiadł obok. – Twoim zadaniem jest uciec poza granice wyznaczone ogrodzeniem. Jeżeli to zrobisz, wygrasz. No jak? – Spojrzał na klawiaturę.

Andrzej kiwnął głową.

– Jeśli będziesz chciał obserwować teren oczami fantomu, załóż to – wskazał czarną kulę kasku.

Po minucie gry, zaledwie gdy opuścił teren zabudowań, został rozstrzelany. Usłyszeli serię broni maszynowej i realistycznie odtworzony krzyk konającego człowieka.

– Przegrałeś. Ja też nigdy nie wyszedłem poza obręb zabudowań. Raz dotarłem do fontanny.

Andrzej nie słuchał. Jeżeli to, co mówił Rosjanin było prawdą...

– O czym myślisz? – Mikunin poklepał go po ramieniu. – Może zadajesz sobie pytanie, czy przypadkiem nie posadziłem cię przed maszyną do gry?

– Może.

– Podejźmy do okna.

Mikunin otworzył jedną z okiennic i nie patrząc na Andrzeja wyciągnął w jego kierunku dłoń.

– Możesz mi ofiarować swój sztylet?

– Sztylet?

Andrzej udał zdziwienie.

– Przez cały czas masz go przy sobie. Przynajmniej tak twierdzi nasz elektroniczny opiekun... Aha, zapomniałbym. Kiedy Geniack przystępuje z kimś do gry, lubi zakładać się o fanty. Jest nim teraz twój sztylet. Próbowaleś go ukryć, on go znalazł – przegrałeś. Należy zatem do Geniacka.

Andrzej podał mu bagnet.

– Teraz ostatnia lekcja. Wszystko, co jest na terenie posiadłości: drzewa, krzewy, ścieżki, helikopter i tak dalej, to elementy swoście pojmowanej przez komputer zero jedynekowej układanki. Każdy obiekt, nawet tak niepozorny jak ten sztylet, może zakłócić układ.

Mikunin zrobił zamach i ostrze śmignęło w powietrzu. Ułamek sekundy później padł pojedynczy wystrzał i rozległ się charakterystyczny brzęk trafionego kulej metalu.

– Teraz mi wierzysz? – Kiwnął głową. – Wyśmienicie.

– Mógłbym jeszcze raz zagrać z Geniackiem? – Spytał Andrzej.

– Ile razy zechcesz. Teraz, jutro... Tylko jedno ostrzeżenie. On ma wbudowany program autoochrony. Radzę więc skoncentrować się tylko na grze. Inaczej maszyna cię zabije.

## Piątek, godzina 19.10

Artur Nojman zobaczył nad sobą biel sufitu, po którym ślizgał się jednostajnym ruchem dziwaczny cień. Nie, to nie był cień, lecz wolno obracający się wentylator. Coś zapiszczało przy jego uchu. Odwrócił w tamtą stronę głowę i zobaczył urządzenie medyczne, na którego ekranie skakała zielona kropka. Spróbował unieść głowę, ale okazało się, że nie ma tyle siły. Zobaczył nad sobą twarz prowadzącego go polskiego oficera.

– Pamiętasz, jestem lekarzem – tamten kiwnął na powitanie głową.

– Fajnie, że wpadłeś – Artur próbował się uśmiechnąć.

Dopiero teraz przypomniał sobie ostatnie dni ukrywania się na Statku w Arnheim. Podawano mu metadon, który miał zastąpić rzekomo przyjmowaną heroinę. Najwyraźniej dawka była zbyt duża, gdyż wyładował na OIOM–ie miejscowego szpitala.

– Chyba trochę zaszalałem, prawda? – Spojrzał pytająco na oficera.

Miał na myśli to, że przez kilka dni łykał podawany mu metadon i szajbę, która mu po nim odwaliała.

– Trochę? Zdemolowałeś pół oddziału detoksykacyjnego.

– Ładny gnój – skrzywił się Artur.

– Dyrektor szpitala mówi o kilku tysiącach guldenów strat.

– O, w mordę.

– Nie przejmuj się – zazartował oficer – potrącimy ci z pensji.

– Jeśli mam dostać aż taką podwyżkę... to zgoda.

– Pomyślimy o tym później – oficer klepnął go po nodze.

– Co z Leszkiem? – Spytał Artur.

– Został zatrzymany w Świecku, gdy przekraczał przejście graniczne z Niemcami. Postawiono mu zarzut współpracy z gangami samochodowymi. Nie chcemy jeszcze ostrzegać Sulimowicza.

– Więc miałem rację, że to nie był zwykły fajans?

– Tylko w magazynie w Arnheim, według szacunkowych danych, zgromadzono około tony czystej kokainy.

– Chryste panie.

– Niemcy czyszczą magazyny w Hohenlinden, tam jest tego świństwa jeszcze więcej. Okazuje się, że takich magazynów jest w Europie mnóstwo.

– Sulimowicz nie dowiedział się o tej akcji?

– Mamy taką nadzieję. Z obławy w Arnheim nikt się nie wyśliznął. Wyłapaliśmy wszystkich strażników, więc jak na razie tylko my wiemy, że interes szlag trafił. Zastąpiliśmy ludzi przy telefonach i faksach, wszystko nadal niby funkcjonuje dawnym trybem. Ale tajemnica da się utrzymać z pewnością tylko przez kilka dni.

– Po co im takie ilości narkotyku – Artur potarł dłonią czoło. – Przecież gdyby rzucili ten towar na rynek... To nieopłacalne. Cena jednej działki spadłaby do paru groszy.

– Dowiemy się.

– Co z Jensenem?

– Prawdopodobnie Sulimowicz go ostrzegł, że policja zamierza go aresztować – wyjaśnił oficer. – Cały czas udajemy, że chodzi o udział w grupie przestępczej, która nielegalnie sprowadza z Austrii kradzione samochody. Jensen zniknął, a my na razie nie bardzo staramy się go znaleźć.

GENERAL SULIMOWICZ podniósł kołnierz płaszcza. Na piętnastym piętrze wieżowca wiał przejmujący wiatr. Chciał popatrzeć z tej wysokości na Warszawę, ale zrezygnował. Wisząca pod sufitem naga żarówka zabujała się gwałtownie, uderzyła o stalową belkę i pękła. W półmroku ruszył w stronę światła widocznego na końcu długiego korytarza. Przeszedł do skrzydła zabudowanego szklanymi ścianami, które dawały osłonę przed wichurą.

Powinien jak najszybciej dowiedzieć się, dlaczego Jensena połączono w śledztwie z jakimiś gangsterami kradnącymi samochody. To śmieszne. A może to był tylko pretekst, żeby ukryć coś znacznie ważniejszego?

Musi to sprawdzić. Odpowiedni ludzie dostali już polecenia. Jutro na jego biurku znajdą się stosowne raporty. Na szczęście w porę ostrzegł go przed aresztowaniem.

Spojrzał na neseser, w którym spoczywały mikrofiszki. Kiedy przedwczoraj otrzymał go od biskupa, czuł lekkie mrowienie w całym ciele. Przez półtora roku uganiał się za aktami i wreszcie je miał. Niedługo zjawi się wysłannik don Ramira, któremu wszystko przekaże. Wreszcie będzie wolny i... bogaty.

Zmarszczył brwi. Czy w międzyczasie czegoś nie przeoczył, zapomniał? Dziś od rana zadawał sobie to pytanie, lecz za każdym razem potwierdzał stuprocentową gotowość.

Skrzypnęły drzwi.

– To ty?

Zobaczył Jensena.

– Nie mogłeś wybrać innego miejsca? – Generał był trochę zły.

– Tu jest cicho, bezpiecznie i z daleka od niepowołanych przypadkowych oczu. Przecież kazałeś właśnie coś takiego znaleźć.

– W porządku – Sulimowicz rozejrzał się w koło. – Gdzie facet, który chciał, byśmy się z nim spotkali?

– Zostań, zaraz go przyprowadzę.

Jensen ruszył przez niewielki hol w stronę klatki schodowej, gdzie była winda budowlana. Zamierzał zjechać nią na dół po wysłannika don Ramira.

Doszedł do klatki schodowej. Otworzył drzwi. Pod sufitem zakołysała się poruszona przeciągiem żarówka. Za późno zobaczył stojącego po drugiej stronie napastnika. Dostał cios w krtani. Uderzenie zmiażdżyło mu tchawicę. Rzuciło do tyłu na pobliską ścianę.

Arsen doskoczył i wyszarpnął broń z dłoni Jensena. Pozbawiony tchu próbował krzyknąć. Jednak ze zmiażdżonej krtani nie wydobył się żaden dźwięk. Chwycił się dłońmi za szyję. Na zbiele łe wargi wypłynęła krew.

Arsen wyszarpnął nóż zza pasa i wziął rozmach. Wbił ostrze w środek czaszki mężczyzny. Przez ciało Jensena przebiegł elektryczny

dreszcz. Dłonie bezwładnie odpadły od gardła. Oczy wywróciły się w głąb czaszki. Martwiejące ciało najpierw osunęło się na kolana, wstrząsane drgawkami. Trup przekrzywił dziwnie głowę, jakby nie mógł oderwać spojrzenia od Rosjanina. Wreszcie zwiotczał. Przechylił się na bok i upadł niczym gumowy manekin.

Arsen ruszył przez korytarz. Zdjął z ramienia strzelbę. Odsunął bezpiecznik. Drzwi pokoju, do którego doszedł były szeroko otwarte. Stał w progu. Generał wyglądał na zewnątrz.

– Miałeś po niego iść – Sulimowicz powiedział zdziwiony.

Kiedy się odwrócił, dostrzegł nieznajomego. Próbował sięgnąć do zawieszanej pod pachą kabury po pistolet. Za późno. Wystrzał z dubeltówki odwalił mu prawe ramię. Wyrwane z barku mięso pacnęło głucho o pobliską ścianę. Potem odpadło od niej, zostawiając na białej powierzchni krwawy ślad. Generał krzyknął rozdzierająco. Z posiekanej ołowiem rany chlusnęła krew. Arsen znowu nacisnął spust. Strzał urwał Sulimowiczowi lewą dłoń. Kolejny wrzask.

– Zobacz, kurwa, co...

Nie zdążył powiedzieć: „zrobiłeś”. Arsen doskoczył jednym susem. Uderzył kolbą w szczękę. Pękły łamane kości.

Generałem rzuciło na szybę. Ta uszkodzona wcześniejszymi strzałami Arsena pękła z brzękiem. Rosjanin patrzył, jak Sulimowicz leciał w dół z jęklwym krzykiem. Potem gdzieś w ciemności rozległo się mokre pacnięcie, jakby pękł gumowy bukłak wypełniony wodą.

Arsen cofnął się znad brzegu piętra. W kręgu rzucanego z góry światła stał czarny nesaser. Podszedł do niego i wykopał w ślad za Sulimowiczem.

Wyszedł na korytarz. Minął leżącego na podłodze. Jensen miał siną twarz. Spojrzał na zegarek. Minęła godzina dwudziesta pierwsza. Czas na kolejny ruch zaplanowany przez towarzysza Mikunina.



## Piątek, godzina 21.02

Andrzej przebiegł palcami po konsoli. Próbował jeszcze zaznaczyć na ekranie pole ochronne. Dzięki temu jego awatar mógłby uniknąć kolejnego rozstrzelania. Zrobił to jednak zbyt wolno. Jednak Geniack nie wiedział, że człowiek po raz kolejny zrobił to celowo.

*Osiemdziesiąte trzecie niepowodzenie. Nie uczysz się.*

Andrzej pomyślał, że komentarz elektronicznego geniusza chyba oznacza znudzenie maszyny. Nadszedł czas.

„Mnie to też już nie bawi” – napisał Andrzej. – „Co byś powiedział na zmianę rozgrywki?”

*Co masz na myśli?*

„Może zmodyfikujemy zasady pojedynku i podwyższymy stawkę?”

Nastąpiła chwila przerwy, jakby Geniack się zawahał. Było to oczywiście bzdurą, a czas był jedynie niezbędny maszynie do uruchomienia określonych algorytmów

*Jaką masz propozycję?*

TOWARZYSZ MIKUNIN zaparkował samochód przy krawężniku. Wysiadł. Wrzucił do ulicznego automatu na gazety pieniądze. Sięgnął po „Le Parisien”. Olbrzymi tytuł wybity na pierwszej stronie tłustą czcionką informował o znalezieniu ciała amerykańskiego dyplomaty. Nieszczęśnik został zabity we własnym mieszkaniu przez nieznanego sprawcę.

Złożył gazetę i wrócił do samochodu. Z radiowego głośnika płynęła muzyka swingowa. Dwadzieścia minut po dwudziestej pierwszej Mikunin dojechał do bramy posiadłości. Sięgnął po pilota. Umieszczona przy bramie kamera termowizyjna prześwieciła samochód, identyfikując jedną osobę wewnątrz auta. Kamera telemetryczna ostatecznie zidentyfikowała twarz Mikunina.

Oba skrzydła odchyliły się na boki.

ANDRZEJ SIEDZIAŁ przed monitorami Geniacka. Limuzyna, którą prowadził Mikunin, wjechała w zagajnik. Wystukał na klawiaturze: „Gra rozpoczęta”.

*Potwierdzam rozpoczęcie gry* – odczytał na jednym z monitorów.

– Nie ma innego sposobu? – Anna splotła mocno dłonie, aż zbieleły jej kostki nadgarstków.

– Nie.

Andrzej wstał z fotela. Oboje biegiem ruszyli do drzwi. Nim nacisnął klamkę, Anna zatrzymała go. Przyciągnęła jego głowę i pocałowała w usta.

– Na szczęście.

Dziś w nocy będziemy go potrzebować, przebiegło Andrzejowi przez głowę, ale nie powiedział tego na głos. Pociągnął ją za sobą. Kiedy wybiegali na dwór, przed dom zajechał samochód.

– Zamierzacie iść na spacer? – Mikunin był w doskonałym humorze.

– Wręcz przeciwnie – Andrzej spojrzął na zegarek. – Dokładnie za pięć minut odlecimy stąd helikopterem.

Rozbawiło to Rosjanina.

– Nie udowodniłem ci wcześniej, że taka ewentualność nie wchodzi w rachubę?

– Tak było kilka dni temu, ale nie teraz.

Mikunin spoważniał.

– Wymyśl coś innego – warknął Rosjanin. – To przestaje być zabawne.

Andrzej pociągnął Annę za rękę i oboje ruszyli biegiem w kierunku helikoptera. Kiedy docierali do maszyny, wyczuł, jak dziewczyna drży. Pomógł jej wsiąść do środka.

– Zapnij dokładnie pasy.

– Rakuro – krzyknął Mikunin.

Z okna wyjrzał Japończyk.

– Ten cholerny komputer zwariował. Zrób coś.

Służący znikł, by wrócić z automatycznym karabinem.

Andrzej wcisnął starter. Turbina zaskoczyła i śmigło zrobiło obrót.

– Rozwał tego drania – krzyknął Mikunin.

W momencie, gdy Rakuro chciał strzelić, przez metalową framugę okna przebiegł elektryczny zygzak. Porażony prądem Japończyk przeraźliwie krzyknął. Niebieski piorun jeszcze kilka sekund trzymał go w swej mocy. Kiedy zgasł, Rakuro wypadł przez okno, wstrząsany przedśmiertnymi drgawkami.

Zegary na tablicy rozdzielczej zapłonęły. Na małym ekranie pokładowego komputera pojawił się napis: *Piąta minuta gry.*

– Miałeś rację – głos Andrzeja wzmocniony przez głośniki górował nad świstem wirujących śmigieł. – Geniack ma rzeczywiście duszę hazardzisty. Jemu już znudziła się gra w „Ucieczkę”. Wymyśliłem inną. Stawką są mikrofisze. Taką pulę zaproponowałem twojemu elektronicznemu geniuszowi. Zgodził się. Baw się dobrze...

Sięgnął po hełmofon. Nałożył go na głowę i zaciągnął pod szyją zapinki. Nasunął na twarz szybę monitora. Otoczenie helikoptera zaczął widzieć oczami kamery, która rejestrowany obraz wyświetlała przed jego oczami. Położył palec na sterze wysokości. Pociągnął do siebie.

Maszyna poderwała się do góry. Kiedy jej warkot umilkł, Mikunin stał jakiś czas w miejscu, nie wiedząc, co powinien zrobić. W końcu ruszył biegiem do budynku, gdzie była centrala sterowania. Wbiegł zdyszany do środka. Na jednym z ekranów zobaczył obraz rejestrowany przez kamerę lecącego helikoptera. Podszedł do konsoli i wpisał polecenie.

„Podaj plan gry.”

Na głównym ekranie pojawił się trójwymiarowy obraz Paryża. Jak wynikało z informacji wyświetlonych na monitorze, komputer wyznaczył korytarz powietrzny, który przebiegał nad miastem. Tylko w nim wolno było lecieć maszynie. Wyglądał niczym labirynt. W miarę

zbliżania się do końca trasy, korytarz powietrzny robił się coraz ciaśniejszy, a szybkość przelotowa wzrastała. Czas rozgrywki wynosił sześćdziesiąt minut. Gdyby pilotujący popełnił błąd i maszyna dotknęła wyznaczonych przez Geniacka wirtualnych granic, wówczas Andrzej otrzymywał punkty karne. Te, przeliczane były na minuty, które odejmowano od ogólnego czasu gry i ten ulegał skróceniu.

Kiedy Mikunin poznał zasady pojedynku, uśmiechnął się, gdy przyszedł mu do głowy diabelski pomysł.

„Chciałbym włączyć się do gry” – wystukał na klawiaturze.

*Już jesteś jej uczestnikiem.*

„Uczestnikiem biernym. Chcę wziąć aktywny udział.”

*Propozycja.*

Mikunin pomyślał.

„Rozpiętość głównego wirnika helikoptera to szesnaście metrów i trzydzieści sześć centymetrów. Chcę, aby ostatnie sto metrów korytarza powietrznego zostało zawężone do szesnastu metrów i czterdzieści sześć centymetrów.”

*Dziesięć centymetrów tolerancji.*

„Nie inaczej”.

*Jaki wnosisz fant do gry?*

„Pięćdziesiąt milionów dolarów, ulokowanych na koncie cyfrowym w banku w Lozannie.”

*Podaj numer konta.*

„849 352 HOV 44.”

*Sprawdzam.*

Po niecałej minucie na ekranie pojawił się komunikat.

*Twoja stawka nie jest adekwatna do fantów znajdujących się w puli rozgrywki.*

„Możesz wytłumaczyć dlaczego?”

*Leszczyński prócz ośmiu tysięcy czterystu pięćdziesięciu sześć mikrofisz postawił własne życie.*

Mikunin jeszcze raz rozpatrzył w myślach warunki gry. To niemożliwe, żeby lecący helikopter zmieścił się w korytarzu o długości stu metrów i szerokości szesnastu metrów i czterdziestu sześciu centymetrów. W końcu śmigła będą oddalone od wirtualnych ścian TYLKO o pięć centymetrów z każdej strony. Wystarczy lekki powiew wiatru. Jedynie diabeł mógłby pomóc Leszczyńskiemu przelecieć ten obszar bez naruszenia wyznaczonych granic. Musiał więc wygrać.

„Stawiam pieniądze i... swoje życie”

*Warunki zaakceptowane.*

## Piątek, godzina 21.34

„A to bydlę” – Andrzej zaklął w myśli. Podniósł szybę monitora i zobaczył, że Anna patrzy na ekran pokładowego komputera.

*Warunki zaakceptowane. Dodatkowym fantem w grze jest numer konta 849 352 HOV 44 i życie towarzysza Mikunina.*

– Co to znaczy? – Krzyknęła Anna.

– Że ostatnie sto metrów będziemy musieli przelecieć korytarzem, od którego ścian śmigła będą oddalone zaledwie o parę centymetrów.

– To niemożliwe. Powiedz, że się nie zgadzamy...

– Nasze zdanie nie ma żadnego znaczenia.

Andrzej zawiesił helikopter na środku Placu Inwalidów, na wprost mostu Aleksandra III. To był punkt startu, w którym miała rozpocząć się gra. Płynąca przed nimi Sekwana wyglądała niczym pognieciona powierzchnia czarnego jedwabiu. Wisieli na wysokości dwudziestu metrów nad jezdnią. Anna szarpnęła za klamkę drzwi. Były zablokowane.

Na ekranie zobaczyli napis.

*Następna próba złamania reguł gry zostanie ukarana porażeniem prądu.*

Anna zapadła się przerażona w fotelu.

Andrzej nasunął na twarz szybę kasku–monitora. Na rejestrowany przez kamerę helikoptera obraz otoczenia nałożyły się cztery linie, które wyznaczyły korytarz przelotowy. Jednocześnie w rogu ekranu zamigotała cyfra określającą wysokość przelotu najbliższego odcinka trasy. Mieli ją pokonać na pułapie czterdziestu pięciu metrów.

Andrzej podciągnął helikopter do góry. Mocniej zacisnął dłonie na dźwiku sterowniczym.

*Dziesięć, dziewięć, osiem...*

Dotknął stopą akceleratora.

*Pięć...*

*Cztery...*

*Trzy...*

*Dwa...*

*Jeden...*

*START.*

Maszyna ruszyła. Licznik czasu został włączony i zaczął odmierzać upływające sekundy.

Przelecieli nad mostem.

Na widzianym przez Andrzeja obrazie linia trasa przelotu wychyliła się w prawą stronę.

Przeskoczyli nad rzeką i polecili wzdłuż Rue de Rivoli. Pozostawili po lewej stronie ciemną bryłę Luwru.

Teraz ostrym łukiem Andrzej miał zawrócić i przelecieć pod mostem z maksymalną prędkością 295 kilometrów na godzinę.

Wcisnął mocniej akcelerator.

Z wcześniejszych obliczeń wynikało, że w pierwszej fazie musi nadrobić czas szybkością przelotu. Oto bowiem pod koniec labiryntu straci sporo minut na skomplikowane manewry i zarobi punkty karne.

Nadlecieli nad Plac de la Concorde i z hukiem pracującej turbiny spadli w kanion Champs Elysées.

Nad Placem Roosvelta wykręcił w stronę Avenue Matignon.

Nim dotarli do końca ulicy, Andrzej zastopował helikopter. Ten zgodnie z wykresem miał być wyprowadzony pionowym kanionem na wysokość sześciuset metrów.

Andrzej spojrział na zegar, odmierzający czas w lewym rogu ekranu szyby–monitora. Do końca pozostało czterdzieści cztery minuty i dwadzieścia sekund.

Kiedy osiągnęli zakładaną wysokość, zawrócili w kierunku Grobu Napoleona.

MŁODA KOBIETA podbiegła do budki telefonicznej. Wystukała numer policyjnego pogotowia. Przez cały czas patrzyła na wiszący kilkanaście metrów nad jezdnią helikopter. Wreszcie odezwał się głos dyżurującego policjanta, który nie zdążył wyrzec sakramentalnego: – Pogotowie policji, słucham.

– To szaleniec. – Krzyknęła histerycznie do słuchawki. – Przeleciał kilka metrów nad ziemią. A mało nas nie pozbijał.

– Kto?

MIKUNIN ŚLEDZIŁ z uwagą na centralnym monitorze każdy ruch maszyny.

Szósta minuta lotu. Jak dotąd Leszczyński nie popełnił żadnego błędu, ale najtrud-niejsze miał przed sobą.

ANDRZEJ WYHAMOWAŁ prędkość.

Dolatywali do Musée d’Orsay.

Maszyna stanęła na wysokości stu metrów nad ziemią.

W tym momencie dostali silny wiatr z tyłu od strony Sekwany.

Helikopter zaczęło ściągać w dół.

Przekroczyli granicę wyznaczonej strefy.

Zegar zanotował stratę czterdziestu sekund karnych.

Andrzej szarpnął ku sobie wolant. Zwiększył obroty śmigieł. Mimo to nadal byli spychani przez wiatr w stronę dachu muzeum.



## Piątek, godzina 21.48

Sierżant Fabien Bertu przyciągnął wolant i policyjny helikopter wzbił się do góry. Siedzący obok Gabriel Moriac, drugi pilot, sięgnął po mikrofon radiostacji.

– BAT VI w powietrzu. Odbiór.

– Zrozumiałem BAT VI. Leć do czwartej strefy.

– Otrzymaliśmy zawiadomienie, że nad ulicą Anatola Franca krąży niezidentyfikowany helikopter. Wykonuje jakieś dziwne manewry na boki, w górę i dół. Jak nic steruje nim szaleniec.

– Zrozumiałem, bez odbioru – powiedział do mikrofonu Fabien Bertu.

Sierżant przyspieszył lot. Trzy minuty później Gabriel trącił pilotującego w ramię.

– Jest tam, popatrz.

Fabien zobaczył bordowy helikopter o dziwacznej, podobnej do myśliwca konstrukcji, który teraz wisiał nad koronami drzew na wprost Katedry Notre Dame. Maszyna zaczęła wirować wokół własnej osi, równocześnie spiralnym lotem wznosząc się do góry. Oni też zaczęli się wznosić. Na wysokości dwustu metrów obie maszyny znieruchomiały obok siebie. Gabriel włączył reflektor i nakierował go na szaleńca.

– Tu Policyjny Patrol Powietrzny – głos płynął przez głośniki. – Sprowadź maszynę na dół i ląduj.

Nim dokończył ostatnie zdanie, bordowy helikopter ruszył na pełnym gazie. Tylko przytomność umysłu Fabiena i jego błyskawiczny refleks pozwoliły uniknąć zderzenia.

– Ten czubek chce nas rozwalić. – krzyknął Gabriel, odruchowo zamykając oczy.

Ruszyli w pościg.

– BAT VI do centrali.

– Słucham cię BAT VI.

– To rzeczywiście wariat. O mało nas nie zabił. Teraz na pełnym gazie ucieka brzegiem Sekwany. Lecimy za nim...

– Zrozumiałem. Zachowaj bezpieczną odległość. Bez odbioru.

ANTON LEBOURGE, pracownik Musée d'Orsay, podniósł głowę znad papierów rozłożonych na biurku.

– Co, do cholery?

Zza okna dobiegał głośny łomot. Wstał z fotela. Przetarł oczy zmęczone światłem lampki nocnej. Pracował już dziesiątą godzinę. Kiedy chciał się przeciągnąć, zobaczył za oknem narastające światła. Skąd ten łomot? Siła podmuchu, pchnęła niedomknięte okiennice. Rozległ się brzęk tłuczonych szyb. Za oknem zobaczył helikopter. Do pokoju wtargnął huragan. Huk śmigieł był coraz bliższy.

Lebourge pobiegł do drzwi. Był pewien, że pilot zamierza się wbić przez okno do jego pracowni.

– OBY TAK DALEJ.

Mikunin sięgnął po wypełniony winem kieliszek i wzniosł go w toaście. Upił łyk. Kolejny błąd kosztowała Polaka stratę następnych minut karnych.

KIEROWCA JADĄCEJ taksówki zobaczył pędzący kilka metrów nad jezdnią bordowy helikopter. W pierwszej chwili nie wierzył własnym oczom. Maszyna obniżyła lot. Taksówkarz w ostatniej sekundzie gwałtownie skręcił. W świetle reflektorów dostrzegł idącą chodnikiem kobietę. Ponownie zakręcił kierownicą. Rozpędzone auto wjechało do sklepu spożywczego, roznosząc wystawę w drobny mak.

## Piątek, godzina 22.06

Florence wyszła na szeroki taras. Chciała zaczerpnąć świeżego powietrza. Poprawiła szal zarzucony na ramiona, czując chłodny powiew nocy. Przyjęcie było doskonałe, a jej dystyngowany szyk podziwiali wszyscy zaproszeni goście. Była gwiazdą wieczoru i zamierzała nią pozostać do końca.

Niespodziewanie usłyszała w górze potężniejący gwizd. To co nastąpiło w ciągu kilkunastu następnych sekund było wydarzeniami rodem z sennego koszmaru, który nigdy nie powinien był się jej przyśnić. Kiedy uniosła głowę, zobaczyła, jak spomiędzy chmur spada na nią w szalonym pędzie bordowy helikopter. Chciała uciekać, lecz nogi miała sparaliżowane strachem. Zdołała tylko histerycznie krzyknąć. Zasłoniła głowę rękami i posikała się ze strachu.

ANDRZEJ TRZYMAŁ kurs nad środkowym pasem ulicy Charlesa de Gaulle'a. Do zakończenia gry mieli zaledwie dwie minuty i trzydzieści pięć sekund. Przed sobą zaś trzystumetrowy korytarz. Każde dotknięcie wyznaczonej przez komputer linii przelotu oznaczało stratę kolejnych bezcennych sekund.

Spojrzał na Annę.

– Kocham cię – krzyknął, ale ona go nie usłyszała.

Pchnął akcelerator na pełną moc. Wlecieli w ostatni odcinek wirtualnego tunelu. Przed nimi pojawiła się olbrzymia betonowa rama Grande Arche, Wielkiego Łuku Braterstwa. Prześwit miał szerokość stu ośmiu metrów i wysokość stu dziesięciu. Oni jednak mieli przelecieć ostatnie sto metrów między wirtualnymi bojami niemal o szerokości wirujących nad nimi śmigieł, które Geniack umieścił w prześwicie Wielkiego Łuku Braterstwa.

Kiedy zbliżali się do tego ostatniego odcinka, Andrzej wcisnął akcelerator na maksa. Zawyły silniki. Rzucił maszynę na bok. Włączył dopalacze. Helikopter przekręcił się o dziewięćdziesiąt stopni. Maszyna pchnięta do przodu dodatkową siłą dostała gwałtownego przyspieszenia.

Dzięki temu manewrowi śmigła zamiast pracować w poziomie, kręciły się teraz w pionie, który nie był ograniczony. Helikopter przeciął prześwit Wielkiego Łuku Braterstwa. Potem z gwizdem skoczył do góry i przekręcił się do pozycji przelotowej.

MIKUNIN WIDZIAŁ moment, gdy maszyna prześliznęła się przez Wielki Łuk Braterstwa. Nim uświadomił sobie, że przegrał, został śmiertelnie porażony prądem.

ARSEN PODSZEDŁ do ciała Mikunina, które zwisało bezwładnie z fotela. Dla pewności zbadał puls na szyi. Towarzysz był martwy. I to co najmniej od kilkunastu godzin.

Przed oczami stanęły mu lata, które spędził w seminarium duchownym na przedmieściach Petersburga. Przeżegnał trupa, wypowiadając ciche: *Requiem aeternam dona eis Domine*.

Przeszedł do gabinetu na zapleczu sali. Otworzył sejf i wyjął tajne akta opatrzone kryptonimem „Prometeusz”. Przerzucił pospiesznie sprawozdania, raporty, propozycje i wyniki zamykania poszczególnych etapów narkotykowego biznesu, werbunek generała Sulimowicza, fiasko z wykradzeniem akt archiwum polskiej Służby Bezpieczeństwa, pościg za Anną Wermer, fałszywa porcelana ulepiona z pasty kokainowej, śmierć narkotykowych bossów Europy, tania kokaina, która najpierw miała zalać stary kontynent, a potem Amerykę...

Czy rzeczywiście były to tylko komunistyczne mrzonki o rzuceniu na kolana przeciwnika z Zachodu? Ten plan mógł się powieść.

Sięgnął po słuchawkę telefonu. Już wszystko było wiadome, a niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Wykonał zadanie. Nie musiał się już obawiać dekonspiracji. Wykręcił numer kierunkowy, potem numer centrali, abonenta i kod dostępowy bezpośredniego połączenia. Chwilę później usłyszał w słuchawce obojętny głos Schneidera.

BENIAMIN NATAN Schneider odłożył słuchawkę na widełki aparatu telefonicznego. Przez chwilę patrzył na siedzącego na wprost biurka

Primusa. Czy wolałby, żeby na jego miejscu znajdował się Secundus? Prawdę mówiąc, nie miało to znaczenia. Obaj byli najlepszymi z najlepszych.

Za pół roku Primus zasiądzie za jego biurkiem. Wystarczająco wiele się przy nim nauczył, więc z pewnością podda przyszłym wyzwaniom. Schneider zostawiał dobrze prosperującą sieć agenturalną rozlokowaną w krajach Europy Zachodniej. Jednym z jej najcenniejszych aktywów był Arsen. Wkrótce, po zajęciu miejsca Mikunina, będzie jednym z najwyżej umocowanych na Zachodzie rosyjskich agentów KGB, którzy pracują dla Wujka Sama.

Wskazówki zegara przesunęły się na godzinę jedenastą. Drzwi do gabinetu otworzyły się szeroko. Weszła panna Rose Simons i położyła przed nim najnowsze wydanie The New York Timesa, które właśnie przyniesiono do biura. Na pierwszej stronie widniała informacja o zastrzeleniu przez nieznaną sprawców jednego z największych posiadaczy ziemskich w Ameryce Południowej, Ramira Mondego.

Schneider przesunął gazetę w stronę Primusa. Znaczyło to, że może już uruchomić wypłatę pięćdziesięciu tysięcy dolarów na wskazane im wcześniej konto.

## Dwa miesiące później

Do rozmównicy w gmachu MSW przy ul. Rakowieckiej wszedł niewysoki tustawy rudzielec. Andrzej wysilił pamięć. Już gdzieś się spotkali, tylko gdzie? Sekundę później przyszło olśnienie. Przed rokiem to on przyszedł do jego warszawskiego mieszkania z ofertą odszukania Anny.

– Twój raport narobił wiele szumu – usiadł na wprost i z uznaniem kiwnął głową. Sprawiał wrażenie, jakby kumplowali się od dwustu lat. – Odwaliłeś kawał niezłej roboty. Nadal podtrzymujesz decyzję o odejściu ze służby?

Kiwnął głową. Rudy się zasepił.

– Byłeś niezły. Amerykanie również mówią o tobie z uznaniem. Dawne grzechy zostaną ci zapomniane.

– Nie szukam rozgrzeszenia.

– Moi zwierzchnicy nie chcą, żebyś wyjeżdżał z kraju – przyjacielski głos rudzielca stał się bardziej chropowaty. – Wermer też musi zostać. Lepiej, żeby wasza historia pozostała między swoimi, zwłaszcza gdyby okazało się, że nie zwróciliście wszystkich materiałów z Paryża.

– Czyli coś z nich podebraliście, żeby ewentualnie móc na mnie rzucić winę.

– Jesteś strasznie przewrażliwiony.

– Mam tylko dobrą pamięć. Identyczne gadki słyszałem już od przełożonych za komuny. Jeśli dobrze pamiętam, wczoraj w przemówieniu sejmowym nowy premier Jan Krzysztof Bielecki obiecał trzymać się z daleka od praktyk dawnej służby bezpieczeństwa.

Rudy prychnął.

– Pracujesz w firmie od lat i wiesz, że po przekroczeniu bramy na Rakowieckiej zaczyna się życie w świecie, w którym nie ma miejsca na sentymenty. A ty nie lubisz łzawego pieprzenia. Wolisz konkrety, w końcu na zachodnich kontaktach zgromadziłeś spory kapitał. – Rudy uśmiechnął się szeroko. Miał zęby żółte od tytoniu. Typowy dawny

partyjny oblech, który tym razem zamiast portretu Lenina nosił w klapie obrazek z Matką Boską. Jak Wałęsa.

Andrzej otworzył szufladę biurka, wyjął z niej kopertę i podał Rudemu.

– Co to?

– Otwórz.

Ze środka wypadła pocztówka z widokiem Pałacu Kultury.

– W pewnym banku wypisałem ściśle określone zlecenie – wyjaśnił Leszczyński tonem jakby lekko znudzonym. – Za dwa miesiące, na nowojorskie poste restante, powinna zostać wysłana przeze mnie pocztówka. A potem to samo raz na dwa tygodnie. Jednak mogę ją wrzucać do skrzynki pocztowej tylko w kilku miejscach na świecie. Polska do nich nie należy. Jeśli tego nie zrobię, wówczas opowieść o dziwce i esbeku, którzy wykradli archiwum MSW trafi do redakcji New York Timesa. Zapewniam, że historia Anny Wermer będzie hitem przez wiele numerów. Oczywiście pod koniec każdego odcinka ukażą się dane z kilkunastu najciekawszych mikrofilmów. Już nawet mam tytuł dla serii. Jak ci się podoba: „Zwerbowana miłość”? Gdybyście chcieli wysłać za mnie pierwszy sygnał... – klepnął dłonią w leżącą na stole kartkę. – Za tydzień musi trafić do skrzynki pocztowej na londyńskim West Endzie. – Przesunął palcem w stronę rudego widokówkę. – Na odwrocie musi być napisane: „Pocałujcie mnie w dupę”. Ale treści następnych przekazów już ci nie zdradzę.

– Nie boisz się, że...

– Czego? – Udał zaskoczenie. – Przecież mamy w Polsce demokrację. A, jak wspomniałem, niegodne metody działania dawnej SB napiętnował sam premier Rzeczypospolitej.

## Listopad 1991 roku

Ktoś dotknął jego ramienia. Andrzej otworzył oczy.

– Uprzejmie prosimy o zapięcie pasów i zgaszenie papierosów. – Głos stewardesy był miło–obojętny.– Za dziesięć minut wylądujemy w Montevideo. Na dworze panuje słoneczna pogoda. Temperatura powietrza wynosi siedemdziesiąt trzy stopnie Fahren-heita. Linie Pan American dziękują państwu za wspólnie spędzoną podróż.

Anna przytuliła głowę do jego ramienia. Monika siedziała z twarzą przy okienku, podziwiając rozciągające się w dole widoki.

– Pobudka, wracamy do domu.

Nad ramieniem małej Andrzej zobaczył rozpościerające się w dole miasto.

– Pięć minut temu powiedziałeś, że już nic nie chcesz od życia. – Anna podniosła głowę i spojrzała mu w oczy. – Żadnych zleconych prac i nieoczekiwanych wyjść?

– Mając pięćdziesiąt milionów zdeponowane na koncie przez Mikunina, oraz – westchnął z udaną drwiną – drobne miliony rozrzucone w kilku innych bankach, chyba nie muszę ciężko pracować.

– Więc co będziesz robił?

Zamiast odpowiedzi pocałował ją w usta.



## W tym samym czasie w Paryżu

Helena była zła i miała ochotę komuś przyłożyć.

Swój pomysł, żeby zjeść śniadanie w tej włoskiej restauracji uznała za chybiony. Jak to możliwe, żeby bułka była niedopieczona?

Kelner, który przybiegł na jej wezwanie, próbował coś tłumaczyć, ale nie rozumiała francuskiego łamanego włoskimi słówkami. Chłopak pobiegł więc na zaplecze.

Na małą salkę wyszedł piekarz, ubrany w siatkową podkoszulkę, z rękami obsypanymi po łokcie mąką.

– Jak to, niedopieczona? – Krzyknął, zanim doszedł do stolika. – Moje wypieki są la più gustosa.

– Najsmaczniejsze? A to co? – Poderwała się z miejsca, ściskając między palcami bułkę. – Może ten gniot też jest la più...?

Zobaczyła wpatrzone w nią ciemne oczy, które stawały się coraz większe... i większe..., jakby piekarz zobaczył ósmy cud świata.

Helena poczuła zapach świeżego chleba. Przypomniła się jej ojciec, który po nocy pracy w piekarni wracał zmęczony nad ranem do domu. Stojący przed nią mężczyzna tak samo pachniał, miał piękne oczy jak papa i był równie przystojny. Może nawet i przystojniejszy?

Koniec

## o książce *Zwerbowana miłość. Powrót*

Anna Wermer, była prostytutka zwerbowana do tajnej misji przez agenta, który wykorzystał jej uczucia, wciąż nie znajduje spokoju. Pod nieobecność Anny, w jej mieszkaniu zostaje zamordowana podobna do niej przyjaciółka. Czyżby ktoś czyhał na życie kobiety? Z pomocą przybywa były kochanek Andrzej. Jednak czy kobieta może zaufać komuś, kto już raz ją zawiódł?

Anna dowiaduje się, że w Paryżu ma dojść do wymiany mikrofilmów za jej wolność i gwarantowane w przyszłości bezpieczeństwo. Czy w końcu uda jej się uwolnić spod jarzma demonów przeszłości?

Co dalej z jej relacją z Andrzejem?

Poznaj dalsze losy Anny i Andrzeja, bohaterów serii „Zwerbowana miłość” Pawła Szlachetki. Intrygujące postacie, emocjonująca akcja pełna niespodziewanych zwrotów i miłość, która ma szansę zmienić wszystko.